

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**STENDHAL**

**CZERWONE I CZARNE**

**TOM II**

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

## XXXI. PRZYJEMNOŚCI WIEJSKIE

O rus, quando ego te aspiciam!

H o r a c y

– Pan czeka zapewne na dylizans do Paryża? – spytał właściciel gospody, gdzie Julian zatrzymał się na śniadanie.

– Dzisiejszy, jutrzejszy, wszystko mi jedno – rzekł Julian.

W chwili gdy tak udawał obojętność, dylizans przybył właśnie. Były dwa miejsca wolne.

– Jak to, to ty, poczciwy Falcoz – rzekł podróżny przyby wający od strony Genewy do kogoś, kto wsiadł równocześnie z Julianem.

– Myślałem, że sobie siedzisz gdzieś pod Lyonem – rzekł Falcoz – w rozkosznej dolinie Rodanu!

– Ładnie siedzę! Uciekam.

– Co? ty uciekasz?! ty, Saint-Giraud? ty, z tą rozsądną miną, popełniłeś jakąś zbrodnię? – rzekł Falcoz śmiejąc się.

– Na honor, na jedno by wyszło. Uciekam od straszliwego życia prowincji. Lubię chłód lasów i spokój wiejski, wiesz o tym; nieraz obwiniałeś mnie o romantyzm. Nie chciałem nigdy słyszeć o polityce i polityka mnie wypędza.

– Do jakiegoż ty stronnictwa należysz?

– Do żadnego, i to mnie gubi. Oto całe moje życie polityczne: lubię muzykę, malarstwo, dobra książka jest dla mnie istnym świętem, przekroczyłem właśnie czterdziestkę! Cóż mi zostaje? Piętnaście, dwadzieścia, trzydzieści lat najwyżej. Więc cóż! Twierdzę, że za trzydzieści lat ministrowie będą nieco sprytniejsi, ale tak samo ucziwi jak dziś. Historia Anglii jest dla mnie zwierciadłem naszej przyszłości. Zawsze znajdzie się król, który zechce rozszerzyć swoje przywileje; zawsze ambicje poselskie, sława i dochody jakiegoś Mirabeau będą mąciły sen zamożnych prowincjałów; nazywają to miłością wolności ludu. Zawsze chętka zostania parem lub szambelanem skusi r e a k ó w. Każdy na okręcie państwa zechce być sternikiem, bo to jest popłatne. Czyż nigdy nie znajdzie się skromne miejsce dla biednego pasażera?

– Przejdźmy do faktów, które muszą być bardzo zabawne przy twojej spokojnej naturze. Czy to ostatnie wybory wypędziły cię z prowincji?

– P r z e k l e ń s t w o d a w n i e j s i ę g a. Miałem przed czterema laty czterdzieści lat i pięćset tysięcy franków; dziś mam o cztery lata więcej i prawdopodobnie o pięćdziesiąt

tysięcy franków mniej, stracę je bowiem na sprzedaży dworku w Montfleury, cudnie położonego w pobliżu Rodanu. W Paryżu znużyła mnie ustawna komedia, do której zniewala wasza tak zwana cywilizacja XIX wieku. Byłem spragniony swobody i prostoty. Kupuję tedy majątek w górach niedaleko Rodanu, nic piękniejszego pod słońcem. Wikary oraz okoliczna szlachta nadskakują mi przez pół roku; karmię ich obiadami. – Opuściłem Paryż – powiadam im – aby w życiu nie słyszeć ani nie mówić o polityce; jak panowie widzicie, nie abonuję żadnego dziennika, im mniej listonosz doręcza mi listów, tym bardziej rad jestem.

To stanowisko niezupełnie odpowiadało intencjom księdza wikarego; niebawem stałem się pastwą tysiąca natarczywych żądań, utrapień. Chciałem dać dwieście lub trzysta franków rocznie na ubogich; żądają, abym dał coś na pobożne stowarzyszenia, a Świętego Józefa, a Niepokalanej Dziewicy etc. Odmawiam – spada na mnie tysiąc szykan. Popelniam to głupstwo, że się irtuję. Nie mogę wyjść rano z domu ucieszyć się pięknnością gór, aby mnie jakaś przykreść nie wyrwała z marzeń, przypominając mi dotkliwie ludzi i ich niegodziwość. Podczas procesji, w dni krzyżowe na przykład (lubię te śpiewy, to musi być prawdopodobnie melodia grecka), nie błogosławią moich pól, bo, powiada wikary, należą do bezbożnika. Krowa starej wieśniaczki, bigotki, umiera, oczywiście z powodu stawu należącego do mnie, niedowiarka, paryskiego filozofa! W tydzień później patrzę, jak moje ryby wypływają brzuchem do góry, otrute wapnem. Prześladują mnie na wszelki sposób. Sędzia pokoju, zacny człowiek, ale drżący o swą posadę, zawsze rozstrzyga na moją niekorzyść. Spokój wiejski stał się dla mnie piekłem. Z chwilą gdy ujrzano, że mnie opuścił wikary, głowa wiejskiej kongregacji, nie popiera mnie zaś pensjonowany kapitan, wódz liberałów, wszyscy wsiedli na mnie, nawet murarz, którego żywił od roku, nawet stelmach, który chciał mnie orznać przy naprawie pługów. Aby zyskać oparcie i wygrać bodaj raz jakiś proces, robię się liberałem; ale jak powiadasz, nadchodzą te szelmowskie wybory, żądają mego głosu...

– Za kimś, kogo nie znasz?

– Gdzież tam, za kimś, kogo znam dobrze. Odmawiam, straszna nieostrożność! Z tą chwilą mam i liberałów na karku; położenie staje się nie do zniesienia. Sądzę, iż gdyby wikaremu wpadło do głowy obwinić mnie o zamordowanie służącej, znalazłoby się w obu stronnictwach dwudziestu świadków gotowych przysiąc, że widzieli, jak spełniam zbrodnię.

– Chcesz żyć na wsi nie dzielając namiętności sąsiadów, nie słuchając ich bająć. Szaleństwo!

– Dobrze więc, naprawiłem je. Montfleury jest na sprzedaż; stracę, jeśli trzeba, pięćdziesiąt tysięcy, ale rad jestem, że się wyrwałem z -tego piekła obłudy i szykan. Poszukam samotności i sielskiego spokoju w jedynym miejscu, gdzie one istnieją we Francji, gdzieś na czwartym pięterku wychodzącym na Pola Elizejskie w Paryżu. I jeszcze zastanawiam się, czy nie rozpocznę kariery politycznej w mej dzielnicy, składając jakiś grosik na rzecz parafii.

– Wszystko to nie byłoby możliwe za Bonapartego! – rzekł Falcoz z oczami błyszczącymi od gniewu i żalu.

– Wybornie, ale czemuż nie umiał się utrzymać na stanowisku ten twój Bonaparte? Wszystko, co ja dziś cierpię, to jego wina.

Julian podwoił baczność. Zrozumiał od pierwszego słowa, że bonapartysta Falcoz jest przyjacielem z lat dziecinnych pana de Rênal, filozof zaś Saint-Giraud musiał być bratem owego urzędnika w prefekturze X., który umiał tak tanio zdobyć na licytacji dzierżawę budynków gminnych.

– Tak, wszystko to sprawił twój Bonaparte – ciągnął Saint-Giraud. – Uczciwy człowiek, ot, do rany przyłożyć, liczący czterdzieści lat i pięćset tysięcy franków, nie może spokojnie skłonić głowy na prowincji; je go księża i je go szlachta wypędzają go stamtąd.

– Nie mów o nim nic złego – wykrzyknął Falcoz. – Nigdy Francja nie stała tak wysoko w szacunku ludów, co przez trzynaście lat jego panowania. Wówczas wszystko, co się działo, było wielkie.

– Twój cesarz, niech go diabli porwą – odparł Saint-Giraud – był wielki jedynie na polu bitwy i wówczas, gdy odbudował finanse w 1802. Co znaczy całe jego późniejsze postępowanie? Ci szambelani, ta pompa, recepcje w Tuilerych – to było nowe wydanie wszystkich monarchicznych głupstw. Wydanie, co prawda, poprawione, mogło trwać jeszcze wiek lub dwa. Szlachta i księża chcieli wrócić do dawnego, ale nie mają dość żelaznej ręki, aby je narzucić publiczności.

– Et, bajania drukarza-emeryta!

– Więc kto mnie wypędza z majątku? – ciągnął eks-drukarz z gniewem. – Księża, których Napoleon wskrzesił przez swój konkordat, zamiast ich traktować tak, jak państwo traktuje lekarzy, adwokatów, astronomów, widzieć w nich tylko obywateli, nie troszcząc się o rzemiosło, którym zarabiają na życie. Czy istnieliby dzisiaj butni szlachcice, gdyby Napoleon nie porobił baronów i hrabiów? Nie, wyszli już z mody. Obok księży, właśnie te szlachetki wiejskie załały mi sadła za skórę i zmusiły mnie do zostania liberałem!

Rozmowa ciągnęła się w nieskończoność; przedmiot ten będzie zaprzętał Francję jeszcze pół wieku. Gdy Saint-Giraud powtarzał wciąż, że niepodobna żyć na prowincji, Julian przytoczył nieśmiało pana de Rênal.

– Do kroćset, młody człowieku, paradny jesteś! – wykrzyknął Falcoz. – Ten człowiek stał się młotem, aby nie być kowadłem, i w dodatku straszliwym młotem. Ale zdystansował go jeszcze Valenod. Znasz tego hultaja? To numer pierwszy. Co powie twój Rênal, kiedy pewnego pięknego poranka usuną go, a zamianują Valenoda w jego miejsce?

– Zostanie sam na sam ze swymi zbrodniami – rzekł Saint-Giraud. – Znasz tedy Verrières, młodzieńcze? No więc! Bonaparte, niech go niebo pognębi, jego i jego monarchistyczną tandetę, uczynił możliwym panowanie Rênalów, Chélanów, z którego wynikło panowanie Valenodów i Maslonów.

Ta gorzka polityczna rozmowa uderzyła Juliana i rozwiała jego rozkoszne dumania.

Pierwsze wrażenie Paryża widzianego z oddali nie było zbyt silne. Zamki na lodzie przysłego losu musiały walczyć z żywym jeszcze wspomnieniem doby w Verrières. Przysięgał sobie nigdy nie opuścić dzieci swej ukochanej i wszystko poniechać dla ich obrony, gdyby zachłanność księży miała sprowadzić republikę i prześladowania szlachty.

Cóż by się z nim stało owej nocy, gdyby w chwili gdy przystawiał drabinę do okna sypialni pani de Rênal, zastał w pokoju kogoś obcego lub też pana de Rênal? Ale, w zamian, jak rozkoszne były te pierwsze dwie godziny, kiedy ona szczerze chciała go wyprawić, on zaś bronił swej sprawy siedząc obok niej w ciemności! Dusze takie jak Juliana zachowują podobne wspomnienie całe życie. Reszta wspomnień spływała się już z pierwszym okresem ich miłości przed czternastu miesiącami.

Julian zbudził się z głębokiej zadumy; dylizans zatrzymał się. Stanęli na dziedzińcu pocztowym przy ulicy J. J. Rousseau.

– Proszę mnie zawieźć do Malmaison – rzekł do przejeżdżającego fiakra.

– O tej godzinie, proszę pana, po co?

– Co wam do tego! Jedźcie.

Wszelka prawdziwa namiętność myśli tylko o sobie. Dlatego to, jak sędzę, namiętności są śmieszne w Paryżu, gdzie każdy sąsiad ma pretensję, aby się nim zajmowano. Nie będę opowiadał wzruszeń Juliana w Malmaison. Płakał. Jak to! Mimo szpetnych białych murów, wzniesionych świeżo i tnących park na kawałki?

Tak dla Juliana, jak i dla potomności nie zaszło nic pomiędzy Arcole, Świętą Heleną a Malmaison.

Wieczorem Julian długo się wahał, zanim się udał do teatru; miał dziwne pojęcie o tym miejscu zepsucia. Głęboka nieufność nie pozwoliła mu podziwiać żyjącego Paryża; przemawiały doń jedynie pomniki zostawione przez jego bohatera.

– Oto więc jestem w centrum intryg i obłudy. Tu władają protektorzy księdza de Frilair.

Wieczorem trzeciego dnia ciekawość pokonała zamiar obejrzenia wszystkiego przed zgłoszeniem się do księdza Pirard. Ksiądz objaśnił mu chłodno zajęcia, jakie go czekają u pana de la Mole.

– Jeżeli po kilku miesiącach nie okażesz się użyteczny, wrócisz do seminarium, ale już na innej stopie. Będziesz mieszkał u margrabiego, jednego z największych magnatów Francji. Będziesz się ubierał czarno, ale jak człowiek w żałobie, nie jak duchowny. Żądam, abyś trzy razy na tydzień uczęszczał na kursy teologii w seminarium, gdzie cię polecę. Co dzień w południe stawisz się w bibliotece margrabiego, który zamierza posługiwać się tobą w korespondencji dotyczącej procesu oraz w innych sprawach. Margrabia zaznaczy w paru słowach, na marginesie listu, w jakim duchu ma być odpowiedź. Zaręczyłem, iż za jaki kwartał nauczysz się sporządzać te odpowiedzi tak, że na tuzin przedłożonych margrabia będzie mógł podpisać osiem lub dziewięć. Wieczorem o ósmej uporzędujesz biuro, o dziesiątej będziesz wolny.

Może się zdarzyć – ciągnął ksiądz Pirard – że jakaś starsza dama lub jakiś jegomość o słodkiej mince ukaże ci ogromne korzyści lub po prostu ofiaruje pieniądze za pokazanie listów, które odbiera margrabia.

– Och! – wykrzyknął Julian rumieniąc się.

– Osobliwa rzecz – rzekł ksiądz z gorzkim uśmiechem – iż będąc biedakiem i po roku seminarium znajdujesz jeszcze w sobie tak cnotliwe oburzenie. Musiałeś być tedy bardzo ślepy.

Byłabyż to siła krwi – ciągnął ksiądz półgłosem, jakby sam do siebie. – Co jest osobliwe – dodał spoglądając na Juliana – to, że margrabia cię zna... Nie wiem skąd. Daje ci na początek sto ludwików rocznie. Człowiek ten powoduje się tylko kaprysem, to jego wada, będzie wojował z tobą o drobiazgi. Jeśli będzie rad z ciebie, pensja, twoja może wzrosnąć z czasem do ośmiu tysięcy franków.

Ale rozumiesz dobrze – podjął ksiądz zgryźliwie – że nie będzie ci płacił dla twoich pięknych oczu. Chodzi o to, abyś mu się nadał. Na twoim miejscu odzywałbym się bardzo mało, zwłaszcza zaś nie mówiłbym o tym, czego nie wiem. A – dodał jeszcze ksiądz – zasięgnąłem dla ciebie informacji; zapomniałem o rodzinie pana de la Mole. Ma dwoje dzieci, córkę i dwunastoletniego syna, panicza, eleganta, przy tym trochę trzpiota, który nigdy nie wie z rana, co będzie robił wieczór. Chłopak z głową i dzielny, odbył kampanię hiszpańską. Margrabia spodziewa się, nie wiem czemu, że ty się zaprzyjaźnisz z młodym Norbertem. Powiedziałem, żeś tęgi łacinnik; może liczy, że nauczysz chłopca paru komunałów z Wergilego lub Cyncerona.

Na twoim miejscu nigdy nie pozwoliłbym dworować z siebie temu lalusiowi; długo by poczekał, nimbym się dał ująć jego tonem bardzo grzecznym, ale nie wolnym od cienia ironii.

Nie taję ci, że młody hrabia będzie cię zrazu lekceważył dla twego urodzenia. Jego przodek był dworzanimem i dostąpił tego zaszczytu, że mu ucięto głowę na placu Grève 26 kwietnia 1574, za polityczne intrygi.

Ty jesteś synem cieśli z Verrières; co więcej, domownikiem ojca. Zważ dobrze te odcienie i wystuduj historię tej rodziny w Morerim; wszyscy pochlebcy, którzy tu bywają na obiedzie, robią do niej od czasu do czasu delikatne (w swoim mniemaniu!) aluzje.

Uważaj dobrze na sposób, w jaki będziesz odpowiadał na żarciki hrabiego Norberta de la Mole, dowódcy szwadronu huzarów i przyszłego para Francji, i nie przychodź do mnie potem z utyskiwaniami.

– Zdaje mi się – rzekł Julian rumieniając się mocno – że nie powinien bym w ogóle mówić z człowiekiem, który mną gardzi.

– Nie znasz tego rodzaju wzgardy, objawi się ona jedynie przesadną uprzejmością. Gdybyś był głupcem, mógłbyś się na to złapać; jeśli chcesz do czegoś dojść, powinieneś się na to złapać.

– A gdyby mi to wszystko nie odpowiadało – rzekł Julian – czy będę uchodził za niewdzięcznika, jeśli wrócę do mej celki pod numer 103?

– Oczywiście – odparł ksiądz. – Dworacy margrabiego będą cię spotwarzać, ale wówczas wystąpię ja. *Adsum qui feci*. Powiem, że ode mnie wyszło to postanowienie.

Cierpki i niemal wrogi ton księdza Pirard przygnębił Juliana; ton ten zepsuł całkowicie jego ostatnią odpowiedź.

Faktem jest, że ksiądz wyrzucał sobie w sumieniu przywiązanie do Juliana, jak również odczuwał jak gdyby świętą zgrozę, że się miesza tak bezpośrednio do czyjogoś życia.

– Ujrzysz jeszcze – dodał tak samo niechętnie i jakby spełniając uciążliwy obowiązek – ujrzysz panią de la Mole. Jest to duża blondynka, dewotka, wyniosła, grzeczna i nieznająca. Jest córką starego księcia de Chaulnes, znanego ze swych kastowych uprzedzeń. Dama ta jest jakby streszczeniem kobiet owego świata. Nie kryje się z tym, że rodowód sięgający wojen krzyżowych jest jedyną godną szacunku zaletą. Pieniądz idzie znacznie później; dziwisz się? nie jesteśmy na prowincji, moje dziecko.

Spotkasz w jej salonie kilku wielkich panów wyrażających się niezwykle lekko o panującej rodzinie. Co do pani de la Mole, ta zniża z szacunkiem głos, ilekroć wymienia jakiego księcia, a zwłaszcza księżnę krwi. Nie radziłbym odpowiedzieć przy niej, że Filip II albo Henryk VIII byli potworami. Byli KRÓLAMI, co im daje niewzruszone prawa do szacunku istotnie urodzonych, jak ty i ja. Jednakże – dodał ksiądz Pirard – jesteśmy księżmi (bo i ciebie będzie uważać za księdza); z tego tytułu uważa nas za lokajów niezbędnych dla jej zbawienia.

– Mam uczucie, proszę ojca – rzekł Julian – że niedługo zabawię w Paryżu.

– Jak zechcesz, ale zważ, że dla ludzi takich jak my nie ma innej drogi niż przez wielkich panów. Masz w swoim charakterze, przynajmniej dla mnie, coś nieokreślonego, co sprawia, iż jeśli się nie wywindujesz, będą cię prześladować; nie ma dla ciebie pośredniej drogi. Nie łudź się. Ludzie widzą, że ich towarzystwo nie sprawia ci przyjemności; w kraju tak towarzyskim jak nasz będziesz zgubiony, o ile nie zdołasz narzucić szacunku.

Co by się z tobą stało w Besançon, gdyby nie kaprys margrabiego? Kiedyś zrozumiesz, jak niezwykle jest to, co on dla ciebie uczynił, i jeśli nie jesteś potworem, będziesz miał dla niego i dla jego rodziny wiekuiłą wdzięczność. Iluż biednych księży, wykształceńszych od ciebie, lata całe żyło w Paryżu, mając jedynie piętnaście su za mszę i dziesięć su z Sorbony! Przypomnij sobie, co ci opowiadałem zeszłej zimy o pierwszych latach tego ladaco, kardynała Dubois. Jesteś może na tyle zarozumiały, aby myśleć, że masz więcej zdolności od niego?

Ja na przykład, spokojny i mierny człowiek, spodziewałem się, że dokończę życia w mym seminarium, i popełniłem to dzieciństwo, aby się do niego przywiązać. I ot! Miano mnie usunąć, kiedy wniosłem dymisję. Czy wiesz, ile wynosił mój majątek? Miałem, ni mniej ni więcej, pięćset dwadzieścia franków; ani jednego przyjaciela, ledwie paru znajomych. Pan de la Mole, którego w życiu nie widziałem, wyratował mnie. Wystarczyło mu rzec słowo i dano mi probostwo, którego parafianie są ludzie zamożni, wolni od małostkowych przywar; dochodów zaś wstydzę się po prostu, w takim są niestosunku do mej pracy. Rozgadałem się tak obszernie jedynie po to, aby cię nauczyć chodzić po ziemi.



Jeszcze jedno: mam to nieszczęście, że jestem popędliwy; bardzo być może, iż przestaniemy z sobą mówić.

Jeśli wyniosłość hrabiny lub niewczesne zarciki syna uczynią ci pobyt stanowczo nie do zniesienia, radzę ci dokończyć studia w jakim seminarium w Paryżu, raczej na północy niż na południu. Północ jest cywilizowańsza i – dodał zniżając głos – muszę wyznać, że bliskość paryskich dzienników trzyma w karchach prowincjonalnych tyranów.

Jeśli pozostaniemy nadal w dobrych stosunkach, a dom margrabiego nie będzie ci odpowiadał, ofiaruję ci miejsce mego wikarego i podzielę z tobą do połowy dochód z probostwa. Winien ci to jestem, i więcej jeszcze – dodał przerywając dziękczynienia Juliana – za niezwykłą rzecz, z jaką ofiarowałeś mi się w Besançon. Gdybym zamiast pięciuset dwudziestu franków nie miał nic, byłbyś mnie ocalił.

Głos księdza stracił zwykłą surowość. Ku wielkiemu swemu wstydowi Julian uczuł, że ma łzy w oczach; miał nieprzepartą ochotę uściskać zacnego księdza; wreszcie rzekł siląc się na ton męski:

– Ojciec nienawidził mnie od kolebki; to było jedno z mych największych nieszczęść; ale nie będę się już skarżył na los, skoro w księdzu znalazłem drugiego ojca.

– Dobrze już, dobrze – rzekł ksiądz zakłopotany; po czym, odnajdując szczęśliwie styl rektora seminarium, dodał: – Nie trzeba nigdy mówić l o s, moje dziecko, mów zawsze O p a t r z n o ś ć.

Fiaker zatrzymał się; woźnica podniósł brązowy młotek wiszący przy olbrzymiej bramie, był to PAŁAC DE LA MOLE; aby zaś przechodnie nie mogli o tym wątpić, słowa te były wyryte na czarnym marmurze nad drzwiami.

Pompa ta nie podobała się Julianowi. – A oni się tak boją jakobinów! Widzą Robespierre'a i gilotynę za każdym płotem, czasem są bezgranicznie śmieszni; a równocześnie znaczą tak swoje domy, izby w czas rozruchów motłoch poznał je i obrabował. – Julian podzielił się swą myślą z księdzem Pirard.

– Och, dziecko, dziecko, wkrótce będziesz moim wikarym. Cóż za straszna myśl przyszła ci do głowy!

– Wydaje mi się bardzo prosta – rzekł Julian.

Powaga odźwiernego, przede wszystkim zaś schludność dziedzińca wzbudziły jego podziw. Dzień był słoneczny.

– Cóż za wspaniała architektura! – powiedział do swego przyjaciela.

Był to jeden z owych banalnych pałaców, które wyrosły przy bulwarze Saint-Germain w epoce śmierci Woltera. Nigdy moda i piękność nie były równie odległe od siebie.

## XXXII. WEJŚCIE W ŚWIAT

Śmieszne i wzruszające wspomnienie:  
pierwszy salon, w którym, mając lat  
osiemnaście, znalazłem się sam i bez opieki!  
Lada spojrzenie kobiety wystarczało, aby  
mnie onieśmielić. Im bardziej siliłem się  
na dworność, tym bardziej stawałem się  
niezręcznym. Tworzyłem sobie o wszystkim  
najfałszywsze pojęcia; to otwierałem duszę  
bez potrzeby, to znów widziałem w człowieku  
wroga dlatego, że spojrzał na mnie poważnie.  
Ale mimo straszliwych mąk nieśmiałości,  
jakże wówczas piękny dzień był pięknym!

K a n t

Julian zatrzymał się w dziedzińcu oszołomiony.

– Opamiętajże się – rzekł ksiądz Pirard – przychodzą ci do głowy potworne myśli; zupełnie przy tym z ciebie dziecko! Gdzież owo *nil admirari* Horacego (bez entuzjazmu). Pomyśl, że skoro wejdiesz w ten dom, czerega lokajów zacznie się bawić twoim kosztem; będą widzieli w tobie równego im, postawionego niesłusznie ponad nimi. Pod pozorem życzliwości, dobrych rad, pomocy będą ci się starali podstawić nogę.

– Niech spróbują! – rzekł Julian zagryzając wargi i odzyskał całą nieufność.

Salony pierwszego piętra, które przebywali, nim dotarli do gabinetu margrabiego, zdałyby ci się, czytelniku, równie smutne jak wspaniałe. Gdyby ci je dano tak, jak są, nie chciałbyś w nich mieszkać; jest to ojczyzna ziewania i smutnego rozsądku. Julian był coraz więcej zachwycony. – Jak można być nieszczęśliwym – myślał – kiedy się mieszka w tak wspaniałym pałacu.

Wreszcie dotarli do najbrzydszego pokoju w tym pysznym apartamencie. Panował tam prawie zupełny mrok; przy biurku siedział mały, szczupły człowieczek o żywym oku i blond peruce. Ksiądz obrócił się do Juliana i przedstawił go. Był to margrabia. Julian z trudnością go poznał, tak bardzo wydał mu się uprzejmy. Nie był to już ów wyniosły magnat, którego widział w Bray-le-Haut. Julian odniósł wrażenie, że peruka margrabiego ma

za wiele włosów; obserwacja ta rozproszyła jego nieśmiałość. Potomek kompana Henryka III wydał mu się, na pierwszy rzut oka, dość niepozorny. Był bardzo chudy, ruchy miał niespokojne. Niebawem Julian spostrzegł, że obejście margrabiego jest jeszcze bardziej ujmujące niż grzeczność biskupa z Besançon. Audiencja nie trwała ani trzech minut. Wychodząc ksiądz rzekł do Juliana:

– Wpatrywałeś się w margrabiego jakby w obraz. Niewiele się rozumiem na tym, co owi ludzie nazywają grzecznością, niebawem będziesz w tym biegleszy ode mnie; mimo to śmiałość twego spojrzenia wydała mi się niezbyt grzeczna.

Wsiadli z powrotem do fiakra, woźnica zatrzymał się na bulwarach; ksiądz poprowadził Juliana przez szereg salonów. Julian zdziwiony był zupełnym brakiem mebli. Patrzył na wspaniały złoty zegar, przedstawiający scenę mocno, wedle niego, nieprzystojną, kiedy wytworny pan zbliżył się doń z przyjazną twarzą. Julian skłonił się lekko. Nieznajomy uśmiechnął się i położył mu rękę na ramieniu. Julian zadrżał i rzucił się w tył. Zarumienił się z gniewu. Ksiądz Pirard, mimo swej powagi, śmiał się do łez. Ten pan to był krawiec.

– Daję ci wolność na dwa dni – rzekł ksiądz wychodząc – dopiero wówczas będziesz mógł być przedstawiony pani de la Mole. Kto inny strzegłby cię jak młodej dziewczyny w pierwszych dniach pobytu w tym nowym Babilonie. Giń od razu, jeśli masz zginąć: uwolnię się od tej słabości, jaką mam dla ciebie. Pojutrze rano krawiec odniesie ci dwa ubrania; dasz pięć franków czeladnikowi, który przyjdzie ci je przymierzyć. Poza tym niech paryżanie nie usłyszą twego głosu: jeśli powiesz słowo, potrafią się go ucześcić i wydrwić cię. To ich talent. Bądź u mnie pojutrze w południe... A teraz idź, giń. Zapomniałem: idź sobie zamów buty, koszule, kapelusz; masz tu adresy.

Julian spojrział na pismo.

– To pismo margrabiego – rzekł ksiądz – jest to człowiek czynu, który przewiduje wszystko i woli raczej działać niż wydawać zlecenia. Bierze cię do domu, iżbyś mu oszczędził tego mozołu. Czy będziesz miał na tyle sprytu, aby dobrze wypełnić wszystko, co człowiek tak żywy wskaże ci półsłowem? Przyszłość to pokaże; uszy do góry!

Julian udał się, nie mówiąc słowa, do magazynów, których adres mu wskazano; zauważył, że wszędzie przyjęto go z szacunkiem; szewc zaś wpisując jego nazwisko do książki napisał: pan Julian d e Sorel.

Na cmentarzu Père-Lachaise jegomość jakiś, nader uprzejmy, a jeszcze bardziej liberalny w swoich odezwaniach, ofiarował się wskazać Julianowi grób marszałka Ney'a, którego względy polityczne pozbawiły nagrobka. Rozstawszy się z tym liberałem, który ze łzami w oczach tulił go niemal w objęciach, Julian spostrzegł, że nie ma zegarka. Wzbogacony tym doświadczeniem, zjawił się trzeciego dnia o południu u księdza Pirard, który przypatrywał mu się bystro.

– Zrobisz się może próżnym fircykiem – rzekł surowo.

Julian miał wygląd młodego człowieka w grubej żałobie, z czym było mu istotnie do twarzy; ale poczciwy ksiądz był sam zanadto parafianinem, aby zauważyć u Juliana ten charakterystyczny ruch ramion, który wyraża na prowincji zarazem elegancję i ważność. Wrażenie, jakie odniósł margrabia, było bardzo odmienne od sposobu, w jaki zacny ksiądz ocenił grację Juliana.

– Czy ksiądz miałby co przeciw temu, aby pan Sorel brał lekcje tańca? – spytał.

Ksiądz osłupiał.

– Nie – odparł – Julian nie jest księdzem.

Skacząc po dwa stopnie po ukrytych schodkach margrabia sam zaprowadził naszego bohatera do ładnej izdebki na poddaszu, z oknem na olbrzymi ogród pałacowy. Zapytał go, ile wziął koszul w magazynie.

– Dwie – odparł Julian, onieśmielony tym, że tak wielki pan zniża się do tych szczegółów.

– Bardzo dobrze – rzekł margrabia z poważną miną rozkazującym i zwięzłym tonem, który uderzył Juliana – bardzo dobrze. Weź pan jeszcze dwadzieścia dwie. Oto pensja za pierwszy kwartał.

Schodząc margrabia zawołał starego lokaja: – Arsenie – rzekł – będziesz usługiwał panu Sorel. – W chwilę potem Julian znalazł się sam we wspaniałej bibliotece; był to rozkoszny moment. Aby go nikt nie zaszedł na tym wzruszeniu, zaszył się w ciemny kąt; stamtąd przyglądał się z zachwytem błyszczącym grzbietom książek. – Będę mógł czytać to wszystko – powtarzał sobie. – Jakżeby mi tu mogło nie być dobrze! Pan de Rênal uważałby sobie za wiekuiłą hańbę zrobić setną część tego, co margrabia de la Mole zrobił dla mnie.

Ale weźmy się do przepisywania. Dopełniwszy tej roboty Julian ośmielił się zbliżyć do książek; omal nie oszalał z radości biorąc w rękę Woltera. Pobiegł otworzyć drzwi, aby go nikt nie zaskoczył. Następnie z rozkoszą przeglądał każdy z osiemdziesięciu tomów. Były wspaniale oprawione: arcydzieło najbogiejszego rękodzielnika w Londynie. Było to aż nadto, aby upoić Juliana.

W godzinę potem wszedł margrabia, przejrzał kopie i zauważył ze zdziwieniem, że Julian pisze s p r z e c i w i a ć przez s z. – Czyżby wszystko, co mi ksiądz opowiadał o jego wykształceniu, miało być baśnią! – Margrabia, mocno zniechęcony, spytał łagodnie:

– Nie jest pan bardzo pewny w ortografii?

– W istocie – odparł Julian nie zastanawiając się, jak bardzo szkodzi sobie tą odpowiedzią; wzruszyła go dobroć margrabiego, która przywiodła mu na pamięć oschły ton pana de Rênal.

– Stracony czas, cały ten eksperyment z prowincjonalnym klerykiem – pomyślał margrabia – ale tak trzeba mi było pewnego człowieka!

– S p r z e c i w i a ć nie pisze się przez s z – rzekł margrabia – kiedy pan skończy przepisywanie, poszukaj w słowniku wyrazów, których nie będziesz pewny.

O szóstej margrabia wezwał Juliana; z widoczną przykrością popatrzył na jego buty.

– To moja wina – rzekł. – Nie powiedziałem panu, że codziennie o wpół do szóstej trzeba się ubrać.

Julian patrzył nie rozumiejąc.

– To znaczy włożyć pończochy. Arsen będzie tego pilnował; dzisiaj ja sam cię wytłumaczę.

Domawiając tych słów pan de la Mole wprowadził Juliana do salonu kapiącego od złocień. W podobnych okolicznościach pan de Rênal nie omieszkiał nigdy przyspieszyć kroku, aby wejść pierwszy. Próżnostka dawnego chlebobdawcy sprawiła, że Julian nadeptał na nogę margrabiemu, urażając dotkliwie jego podagrę. – Och, niezgrabiasz w dodatku! – mruknął margrabia. Przedstawił go wysokiej i imponującej damie – była to margrabina. Mina jej wydała się Julianowi dość impertynencka; coś w rodzaju pani de Maugiron, podprefekcyny okręgu Verrières, kiedy celebrowała przy obiedzie w dzień świętego Karola. Oszołomiony wspaniałością salonu, Julian nie słyszał, co mówi pan de la Mole. Margrabina ledwie nań spozjrzała. Było tam kilka osób, Julian poznał z niewymowną przyjemnością młodego biskupa z Agde, który raczył doń przemówić parę słów swego czasu, przy ceremonii w Bray-le-Haut. Młody prałat przeląkł się widocznie tkliwych spojrzeń, jakie wlepił w niego onieśmielony Julian, i nie kwapił się odnawiać znajomości.

Wszyscy wydali się Julianowi jacyś smutni, sztywni; w Paryżu mówi się cicho i unika się wszelkiej przesady.

Okolo wpół do siódmej wszedł do salonu ładny młodzieniec z wąsami, blady i smukły; miał bardzo małą głowę.

– Zawsze dajesz na siebie czekać – rzekła margrabina, którą pocałował w rękę.

Julian domyślił się, że to hrabia de la Mole. Z pierwszego wrażenia wydał mu się uroczy.

– Czy możliwe – pomyślał – aby to był człowiek, którego złośliwość ma mnie wypędzić z domu?

Przyglądając się hrabiemu Norbertowi Julian zauważył, że jest w butach i przy ostrogach. – A ja mam być w trzewikach, widocznie jako podrzędna figura. – Siedli do stołu. Julian słyszał, jak margrabina zwraca się do kogoś surowo, podnosząc nieco głos; równocześnie spostrzegł młodą osobę, bardzo jasną blondynkę o zręcznej kibici, która siadła naprzeciw niego. Nie spodobała mu się; przyglądając się jej uważnie, pomyślał, że nigdy nie widział równie pięknych oczu; ale zwiastowały one wielki chłód duszy. Później Julian spostrzegł, że jest w nich wyraz nudy, zaciekawionej, ale pamiętającej o obowiązku imponowania. – Pani de Rênal miała bardzo piękne oczy – myślał – wszyscy się nimi zachwycali, a jednak nie były nic podobne do tych. – Julian nie był dość obyty w świecie, aby poznać, że te błyski zapalające się od czasu do czasu w oczach panny Matyldy (słyszał, że tak ją nazywają) to były iskierki dowcipu i złośliwości. Oczy pani de Rênal, kiedy się ożywiały, to ogniem namiętności lub szlachetnym oburzeniem, wówczas gdy słyszała o brzydkim uczynku. Pod koniec obiadu Julian znalazł określenie piękności panny de la Mole: – Ma oczy migotliwe – pomyślał. Zresztą była fatalnie podobna do matki, która coraz więcej mu się nie podobała, tak że przestał na nią patrzeć. Hrabia Norbert natomiast wydał mu się zachwycający. Julian był tak pod jego urokiem, że nie przyszło mu na myśl zazdrościć mu i nienawidzić go dlatego, że jest bogatszy i lepiej urodzony.

Julian zauważył, że margrabia ma znudzoną minę.

Przy drugim daniu rzekł do syna:

– Norbercie, proszę cię o względy dla pana Sorel, którego powołałem do mego sztabu i z którego chcę zrobić człowieka, w czym, mam nadzieję, nie będzie mi się s p r z e c i w i a ł. To mój sekretarz – dodał do sąsiada – i pisze s p r z e c i w i a ć przez s z.

Wszyscy spojrzeli na Juliana, który skłonił zbyt nisko głowę w kierunku Norberta, na ogół jednak sprawił korzystne wrażenie.

Widocznie margrabia musiał wspomnieć o okolicznościach dotyczących wychowania Juliana, ktoś z gości bowiem zagadnął go o Horacego. – Rozmową o Horacym pozyskałem sobie względy biskupa w Besançon – pomyślał Julian – widocznie oni znają tylko tego autora. – Od tej chwili zapanował zupełnie nad sobą. Przyszło mu to tym łatwiej, ile że właśnie osądził, iż panna de la Mole nigdy nie będzie w jego oczach kobietą. Od czasu seminarium nabierał o ludziach coraz gorszego mniemania i niełatwo dawał się onieśmielać. Byłby jeszcze pewniejszy, gdyby jadalnia była umeblowana z mniejszym przepychem. Imponowały mu zwłaszcza dwa lustra na osiem stóp wysokie, w których mówiąc o Horacym widział swego interlokutora. Odpowiedź jego, jak na parafianina, wypadła niezgorzej. Miał ładne oczy, których blask pomnażała jeszcze nieśmiałość, drżąca lub uszczęśliwiona, kiedy mu się udało trafnie odpowiedzieć. Wydał się sympatyczny. Egzamin ten wlań nieco ożywienia w ceremonialny obiad. Margrabia gestem zachęcił interlokutora, aby się ostro brał do Juliana. – Czyżby on w istocie coś umiał? – myślał pan de la Mole.

Julian odpowiadał wcale samodzielnie; ośmielił się na tyle, że poglądy jego ujawniały nie dowcip – rzecz niemożliwa dla kogoś nie znającego gwary paryskiej – ale pewną świeżość myśli, mimo że podanych bez wdzięku i smaku. Tyle było pewne, że jest to dobry łacinnik.

Przeciwnik Juliana był to członek Akademii, który przypadkowo dobrze posiadał łacinę; poznał w Julianie tęgiego humanistę i nie obawiając się już skompromitować chłopca, zaczął go w istocie przypierać do muru. Rozgrzany dysputą, Julian zapomniał wreszcie o przepychu sali i rozwinął na temat łacińskich poetów poglądy, których akademik nigdzie nie spotkał. Jako człowiek lojalny powińszował tego młodemu sekretarzowi. Szczęściem wszczęła się dyskusja o tym, czy Horacy był biedny, czy bogaty; czy był człowiekiem światowym, oddanym rozkoszy, lekkomyślnym, składającym wiersze dla zabawy, jak Chappelle, przyjaciel Moliera i La Fontaine'a, czy też biednym poetą-laureatem, wiszącym przy dworze i składającym ody na dzień urodzin królewskich jak Southey, przyjaciel lorda By-

rona. Zaczęto mówić o społeczeństwie za Augusta i za Jerzego IV; w obu tych epokach arystokracja była wszechpotężna, ale w Rzymie wydarł jej władzę Mecenas, będący jedynie prostym szlachcicem, w Anglii zaś zepchnęła ona Jerzego IV niemal do stanowiska weneckiego doży. Dyskusja ta zbudziła po trosze margrabiego z odrętwienia i nudy, w jakiej zagrożony był z początkiem obiadu.

Julian nie znał zupełnie tych nowożytnych imion, jak Southey, lord Byron, Jerzy IV; słyszał je po raz pierwszy. Ale zauważono powszechnie, że ilekroć rozmowa zeszła na sprawy dotyczące Rzymu, odbijające się w dziełach Horacego, Marcjale, Tacyta, posiadał on niezaprzeczoną wyższość. Julian przywłaszczył sobie bez ceremonii niektóre myśli biskupa z Besançon z owej pamiętnej rozmowy; poglądy te spotkały się z ogólnym poklaskiem.

Skoro nagadano się do syta o poetach, margrabina, która czuła się w obowiązku zachwycać wszystkim, co bawiło męża, raczyła spojrzeć na Juliana. – Pod nieokrziesaniem tego księżyka kryje się może niepospolity umysł – rzekł do margrabiny siedzący obok akademik. Julian dosłyszał urywek tej rozmowy. Takie gotowe formułki dosyć były w guście pani de la Mole. Przyjęła tę opinię o Julianie i rada była z siebie, że zaprosiła akademika na obiad. – Rozerwał margrabiego – myślała.

### XXXIII. PIERWSZE KROKI

Ta olbrzymia dolina, napełniona  
blaskiem oraz tysiącami ludzi,  
oślepiła moje oczy. Nikt mnie nie zna,  
wszyscy są wyżsi ode mnie. Głowę tracę.  
P o e m i d e l l a v. R a i n e

Nazajutrz, bardzo wcześnie, Julian przepisywał listy w bibliotece, kiedy panna Matylda weszła drzwiczkami ukrytymi w półkach na książki. Podczas gdy Julian podziwiał ten wymysł, panna Matylda zdawała się bardzo zdumiona i dość nierada, że go tam spotyka. Była w papilotach; wyraz jej twarzy wydał się Julianowi twardy, dumny, niemal męski. Panna de la Mole wykradała potajemnie książki z biblioteki ojca. Obecność Juliana udaremniła jej wyprawę tego ranka, co było pannie tym bardziej nie w smak, ile że przyszła po drugi tom *Księżniczki Babilońskiej* Woltera – godne dopełnienie na wskroś monarchicznego i religijnego wychowania, arcydzieła Sacré-Coeur! Biedna dziewczyna w dziewiętnastym roku życia potrzebowała już ostrej zaprawy dowcipu, aby znaleźć smak w powieści.

Około trzeciej zjawił się w bibliotece hrabia Norbert; przyszedł przejrzeć dziennik, aby móc wieczorem rozmawiać o polityce. Rad był, że ujrzał Juliana, o którego istnieniu zapomniał zupełnie. Był dlań nadzwyczaj uprzejmy; zaproponował przejażdżkę konną.

– Ojciec daje nam urlop do obiadu.

Julian zrozumiał to n a m; wydało mu się czarujące.

– Och, panie hrabio – rzekł – gdyby chodziło o to, aby ściąć drzewo wysokie na osiemdziesiąt stóp, ociosać je i porżnąć na deski, śmiem powiedzieć bez przechwałki, że dałbym sobie rady; ale co się tyczy konia, nie wiem, czym na nim siedział sześć razy w życiu.

– To będzie siódmy raz – rzekł Norbert.

W gruncie, Julian przypomniał sobie wjazd króla do Verrières i sądził, że wybornie jeździ konno. Ale wracając z Lasku Bulońskiego, na samym środku ulicy du Bac, spadł wymijając nagle kabriolet i umazał się w błocie. Szczęściem posiadał dwa ubrania. Przy obiedzie margrabia chcąc go zagadnąć spytał, jak się udała przejażdżka; Norbert odpowiedział spieszenie za Juliana, ogólnikowo.

– Pan hrabia zbyt łaskaw – odparł Julian – wdzięczny mu jestem i umiem się poznać na jego dobroci. Raczył mi dać ślicznego i łagodnego konika, ale ostatecznie, nie mógł mnie

przywiązać do siodła i w braku takiego zabezpieczenia wysypałem się na samym środku ulicy, tuż koło mostu.

Panna Matylda na próżno siliła się powściągnąć wybuch śmiechu; zaczęła rozpytywać o szczegóły. Julian odpowiedział z wielką prostotą i sam o tym nie wiedząc okazał dużo wdzięku.

– Dobrze się zapowiada ten księżyk – rzekł margrabia do akademika – to nie do wiary, aby parafianin umiał się zachować naturalnie w podobnych okolicznościach, a do tego opowiadać swoje nieszczęście przy d a m a c h!

Julian tak rozweselił słuchaczy swą katastrofą, iż pod koniec obiadu, kiedy rozmowa zesłała na inne tory, panna Matylda wypytywała jeszcze brata o szczegóły nieszczęsnego wypadku. Indagacja trwała dość długo; Julian spotkawszy kilka razy oczy panny de la Mole ośmielił się odpowiedzieć wprost, mimo iż nie pytany. W końcu zaczęli się wszyscy troje śmiać niby trzech dzikusów.

Nazajutrz Julian wysłuchał dwóch wykładów teologicznych i wrócił, aby przepisać ze dwadzieścia listów. W bibliotece zastał opodał swego biurka młodego człowieka ubranego bardzo starannie, ale o pospolitych rysach i zawistnej twarzy.

Wszedł margrabia.

– Co pan tu robi, panie Tanbeau? – rzekł surowo do intruza.

– Sądziłem... – zaczął młody człowiek z uniżonym uśmiechem.

– Nie, panie, n i e s ą d z i ł e ś pan. Jest to próba, ale niefortunna.

Młody Tanbeau wstał i wyszedł wściekły. Był to bratanek akademika popieranego przez panią de la Mole; kierował się na drogę naukową. Akademik uprosił margrabiego, aby go wziął za sekretarza. Tanbeau, który pracował w oddzielnym pokoju, dowiedziawszy się o łaskach Juliana, zapragnął je podzielić i usadowił się rano ze swą robotą w bibliotece.

O czwartej Julian ośmielił się, po krótkim wahaniu, zająć do hrabiego Norberta. Hrabia wybierał się właśnie na przejażdżkę; zakłopotał się trochę, był bowiem bardzo grzeczny.

– Sądzę – rzekł do Juliana – że niebawem zaczniesz pan brać lekcje jazdy; za kilka tygodni z przyjemnością wybiorę się z panem na spacer.

– Chciałem mieć ten zaszczyt i podziękować panu hrabiemu za jego łaskawość; niech mi pan wierzy – rzekł Julian bardzo poważnie – że czuję wszystko, co mi jest winien. Jeśli koń nie skaleczył się wskutek mej wczorajszej niezręczności i jeśli jest wolny, chętnie przejechałbym się dzisiaj.

– Wybornie, drogi panie Sorel, na twoje ryzyko! Uważaj pan, że dopełniłem wszystkich perswazji zaleconych przez rozsądek; jest już czwarta, nie mamy czasu do stracenia.

Znalazszy się na koniu, Julian spytał:

– Co trzeba zrobić, aby nie spaść?

– Wiele rzeczy – odparł Norbert śmiejąc się do rozpuku – na przykład pochylić się wstecz.

Julian ruszył ostrym kłusem. Znaleźli się na placu Ludwika XVI.

– Ej, młody śmiałku – rzekł Norbert – za dużo tu powozów, i w dodatku prowadzonych przez wariatów! Skoro spadniesz, przejadą bez ceremonii po tobie; nie zechcą kaleczyć pyska koniowi osadzając go na miejscu.

Dwadzieścia razy Julian omal że nie spadł; ale ostatecznie zakończyło się bez wypadku. Za powrotem młody hrabia rzekł do siostry:

– Przedstawiam ci tęgiego chwata.

Po obiedzie, mówiąc do ojca przez cały stół, Norbert chwalił odwagę Juliana, to było wszystko, co można było pochwalić w jego sposobie dosiadanania konia. Młody hrabia słyszał z rana, jak masztalerze opowiadali w dziedzińcu o upadku sekretarza drwiąc sobie nie-litościwie.



Mimo tylu objawów łaskawości Julian uczuł się niebawem zupełnie osamotniony wśród tej rodziny. Wszystkie zwyczaje wydawały mu się dziwne, co chwila popełniał omyłki będące uciechą lokajów.

Ksiądz Pirard odjechał do swej parafii. – Jeśli Julian jest słabą trzcina – myślał – niech zginie; jeśli jest tęgim człowiekiem, niech sobie sam daje radę.

## XXXIV. PAŁAC DE LA MOLE

Co on tu robi? Czyżby mu się tu podobało?  
Czyżby on starał się tu podobać?  
R o n s a r d

O ile w dostojnym salonie pałacu de la Mole wszystko się wydawało dziwne Julianowi, o tyle nawzajem błady ten i czarno ubrany młodzieniec wydawał się bardzo dziwny osobom, które raczyły go zauważyć. Pani de la Mole podsunęła mężowi myśl, aby go wyprawić z jakimś zleceniem w dniu ceremonialnych obiadów.

– Mam ochotę przeprowadzić doświadczenie do końca – odparł margrabia. – Ksiądz Pirard utrzymuje, że popełniamy błąd krusząc dumę ludzi, których dopuszczamy do siebie. M o ż n a s i ę o p r z e ć j e d y n i e n a t y m , c o s t a w i a o p ó r , e t c . Ten chłopak raz jeszcze zresztą jedynie swą obcą fizjonomią, poza tym jest głuchy i niemy.

– Aby się rozeznąć w tym świecie – rzekł sobie Julian – muszę zapisywać nazwiska i po parę słów o charakterze osób, które spotykam w salonie.

Na początku pomieścił kilku przyjaciół domu, którzy na wszelki wypadek zabiegali o względy Juliana w mniemaniu, że przez kaprys margrabiego posiada on nań wpływ. Były to mizerne i dość płaskie figury; ale trzeba dodać na chwałę tej klasy wypełniającej dziś arystokratyczne salony, nie byli jednako uniżeni wobec wszystkich. Niejeden zniósłby wiele od margrabiego, a nie ścierpiałby ostrzejszego słowa z ust pani de la Mole.

Cechą obojga państwa domu była duma i znudzenie; nadto przywykli obrażać ludzi dla rozerwania się, aby mogli posiadać prawdziwych przyjaciół. Ale wyjąwszy dni dżdżyste oraz momenty nudy o k r u t n e j – co było rzadkie – przestrzegali zawsze doskonałej grzeczności.

Gdyby owych kilku dworaków, którzy okazali tak ojcowską sympatię Julianowi, opuściło pałac de la Mole, margrabina byłaby zupełnie osamotniona; otóż w pojęciu kobiet tej sfery samotność to rzecz straszna, to symbol n i e ł a s k i .

Margrabia był wzorowy dla żony; czuwał, aby jej salon był dostatecznie zaludniony, nie parami Francji, gdyż uważał, że nowi jego koledzy nie są dość u r o d z e n i , aby bywać u niego jako przyjaciele, a nie dość zabawni, aby ich przyjmować jak niższych od siebie.

Sekrety te przeniknął Julian znacznie później. Polityka, która wypełniała rozmowy w domach mieszczańskich, w sferze margrabiego wpływa jedynie w chwilach ostatecznej rozpacz.

Taka jest w tym wieku nudy nieubłagana potrzeba zabawy, iż zgoła w dniu obiadów, le-dwie margrabia opuścił salon, wszyscy uciekali. Byle nie żartować z Boga, z księży, z kró-la, z wpływowych dygnitarzy ani artystów protegowanych przez dwór, ani ze wszystkiego, co jest p r z y j ę t e, byle nie chwalić Bérangera, dzienników opozycyjnych, Woltera ani Russa, ani niczego, co trąci odrobiną swobody myśli, byle zwłaszcza nie mówić nigdy o polityce, można było swobodnie rozprawiać o wszystkim.

Nie ma kroci ani orderów, które by mogły walczyć z taką etykietą. Każda myśl, bodaj nieco żywsza, wyglądała tam na grubiaństwo. Mimo dobrego tonu, wyszukanej grzeczności, dworności, nuda malowała się na wszystkich twarzach. Młodzi ludzie, składający obo-wiązkową wizytę, bojąc się wymówić jakieś słowo, które by pozwoliło podejrzewać myśl lub też zdradziło zakazaną lekturę, milczeli rzuciwszy parę gładkich słów na temat Rossiego i pogody.

Julian zauważył, że rozmowę podtrzymują zazwyczaj dwaj wicehrabiowie oraz pięciu baronów, których pan de la Mole poznał na emigracji. Panowie ci posiadali po sześć do ośmiu tysięcy funtów rocznego dochodu; czterej z nich byli zwolennikami *Gazety Co-dziennej* a trzej *Francuskiej*. Jeden miał co dzień do powiedzenia jakąś anegdotę ze dworu, w której słowo cudowne powtarzało się raz po raz. Julian zauważył, że ten miał pięć orde-rów, gdy inni tylko po trzy.

W zamian za to sterczało w przedpokoju dziesięciu lokajów w liberii, przez cały wieczór podawano co kwadrans herbatę i lody, o północy zaś lekką wieczerzę i szampańskie.

Była to przyczyna, dla której Julian zostawał niekiedy do końca; poza tym nie pojmował prawie, jak można poważnie słuchać rozmów w tym wspaniałym złożonym salonie. Nie-kiedy spoglądał po obecnych dla sprawdzenia, czy oni sami nie drwią z tego, co mówią. – Pocziwy de Maistre, którego umiem na pamięć, powiedział to sto razy lepiej, a mimo to jest bardzo nudny.

Nie sam Julian odczuwał tę duszność moralną. Jedni pocieszali się mnogimi porcjami lodów, drudzy przyjemnością powtarzania przez resztę wieczoru: – Idę właśnie z pałacu de la Mole, gdzie słyszałem, że Rosja etc...

Julian dowiedział się od jednego z filarów salonu, że nie dalej jak przed pół rokiem pani de la Mole nagrodziła dwudziestoparoletnią wytrwałość, robiąc prefektem pocziwego ba-rona de Bourguignon, który był podprefektem od czasu Restauracji.

Wielkie to wydarzenie odświeżyło zapał gości; już dawniej niewiele rzeczy mogło ich obrazić, obecnie nie obraziliby się o nic. Rzadko zdarzało się, aby komuś zrobiono afront wprost, ale parę razy podchwycił Julian przy stole, między margrabią a jego żoną, wymiany słów bardzo dotkliwe dla osób siedzących między nimi. Dostojni ci państwo nie ukrywali szczerzej wzgardy dla wszystkich nie mających z rodu p r a w a w s t ę p u d o k a r o c y k r ó l e w s k i e j. Julian zauważył, że jedynie słowo w o j n y k r z y ż o w e oblekało ich twarze w głęboką powagę zmieszaną z szacunkiem. Zwyczajny szacunek miał zawsze od-cień łaski.

Pośród tej pompy i nudy Julian interesował się wyłącznie panem de la Mole; z przyjem-nością usłyszał raz z jego ust zaprzeczenie, jakoby w czymkolwiek przyczynił się do awan-su nieboraka Bourguignon. Była to uprzejmość dla margrabiny – Julian znał przebieg sprawy od księdza Pirard.

Pewnego ranka, kiedy w bibliotece margrabiego ksiądz pracował z Julianem nad wieku-istym procesem, Julian spytał nagle:

– Proszę ojca, ten codzienny obiad w towarzystwie pani margrabiny, czy to mój obowią-zek, czy też specjalny fawor?

– To wysoki zaszczyt – odparł ksiądz, zgorszony. – Nigdy akademik N..., który od piętnastu lat zasługuje się, jak może, nie zdołał go uzyskać dla swego siostrzeńca.

– To dla mnie, proszę ojca, najuczciwsza strona urzędu. Nawet w seminarium tak się nie nudziłem. Czasem widzę, że ziewa nawet panna de la Mole, która wszakże musi być przyzwyczajona do rozrywek tego salonu. Obawiam się, że zasnę. Przez litość, niech mi to ojciec wyrobi, abym mógł jadać po dwa franki w jakiej garkuchni.

Książdz, prawdziwy parweniusz, był bardzo czuły na zaszczyt siadania do stołu z magnatem. Silił się rozbudzić te uczucia w Julianie, kiedy lekki szmer sprawił, że obaj odwrócili głowę. Julian ujrzał pannę de la Mole. Zaczerwienił się. Przyszła po książkę i słyszała wszystko; powzięła stąd pewien szacunek dla Juliana. Ten przynajmniej nie urodził się słuźalcem, jak ów stary książdz. Boże, jakież on szpetny!

Przy obiedzie Julian nie śmiał popatrzeć na pannę de la Mole, ale ona zagadnęła go ła-skawie. Tego dnia spodziewano się licznych gości, namówiła go, by został. W Paryżu młode panny nie lubią ludzi starszych, zwłaszcza gdy są nieco zaniedbani. Juliami nie potrzebował zbyt wielkiej spostrzegawczości, aby zauważyć, że pozostali w salonie koledzy pana de Bourguignon mieli zaszczyt być stałym przedmiotem żarcików panny de la Mole. Tego dnia – może dla popisu – szczególnie była okrutna dla nudziarzy.

Panna de la Mole stanowiła ośrodek małej grupy, która tworzyła się prawie co wieczór za olbrzymią berżerką margrabiny. Tam skupiali się margrabia de Croisenois, hrabia de Caylus, wicehrabia de Luz i paru jeszcze młodych oficerów zaprzyjaźnionych z Norbertem lub jego siostrą. Panowie ci zasiadali na wielkiej niebieskiej kanapie. Obok kanapy, z dala od świetnej Matyldy, Julian siadał milcząco na wyplatanym krzeselku. Ten skromny postereunek był przedmiotem zazdrości dworaków; Norbert sadowił na nim młodego sekretarza, zwracając się doń lub wciągając go do rozmowy parę razy w ciągu wieczoru. Tego dnia panna de la Mole spytała go, jak wysoka może być góra, na której wznosi się cytadela w Besançon. Julian w żaden sposób nie umiał powiedzieć, czy ta góra jest wyższa, czy niższa od Montmartre. Często śmiał się serdecznie z tego, co mówiono w tym kółku, ale czuł, że byłby niezdolny do takiej rozmowy. Był to niby cudzoziemski język, który rozumiał, ale którym nie umiałby mówić.

Kompania Matyldy była tego dnia szczególnie wrogo usposobiona do napływających gości. Przyjaciele domu mieli oczywiście pierwszeństwo, jako lepiej znani. Można się domyślić, z jaką uwagą Julian słuchał; wszystko go interesowało, i treść, i forma żartów.

– A, pan Descoulis! – rzekła Matylda. – Nie nosi już peruki; czyżby się chciał dobić prefektury blaskiem swego geniuszu? Patrzcie, jak wystawia to łyse czoło, brzemiennie jakoby wielkimi myślami.

– Ten człowiek zna cały świat – rzekł margrabia de Croisenois – bywa także u mego wuja, kardynała. Zdolny jest lata całe pielęgnować jedno kłamstwo w domu każdego z przyjaciół, a ma ich dwustu lub trzystu. Umie hodować przyjaźń, to jego talent. Od siódmej rano, w zimie, sterczy już, zabłocony, pod drzwiami któregoś z przyjaciół. Od czasu do czasu obraża się i pisze tuzin listów z zerwaniem. Następnie godzi się i pisze znowuż tuzin listów z wylewami przyjaźni. Ale najświetniejsza jego rola to szczerze i proste oddanie zanego człowieka, który nie chowa urazy. Manewr ten powtarza się, ilekroć ma prosić o jaką usługę. Wikariusz mego wuja cudownie opowiada życie pana Descoulis od czasu Restauracji. Ściągnę go tu do nas!

– Et, nie bardzo wierzę w takie gadania; to zawodowa zazdrość między mizerakami – rzekł hrabia de Caylus.

– Pan Descoulis będzie miał miejsce w historii – odparł margrabia – dokonał dzieła Restauracji z księdzem de Pradt oraz panami de Talleyrand i Pozzo di Borgo.

– Ten człowiek obracał milionami – rzekł Norbert – i nie pojmuję, że mu się chce przychodzić tutaj, aby znosić docinki mego ojca, nieraz bardzo dotkliwie. „Ile razy zdradziłeś przyjaciół, mój dobry Descoulis?” – pytał go raz na cały głos z końca stołu.

– Ale czy to prawda, że on zdradzał? – rzekła panna de la Mole. – Któż nie zdradzał?

– Jak to! – rzekł hrabia de Caylus do Norberta. – Bywa u was Sainclair, sławny liberal; kiz lichu on tutaj robi! Muszę podejść do niego, zagadnąć go, pociągnąć za język; powiadają, że dowcipny.

– Ale jakim cudem matka twoja go przyjmuje? – rzekł pan de Croisenois. – Ten człowiek ma poglądy tak dzikie, tak szlachetne, tak niezależne...

– Patrzcie – rzekła panna de la Mole – oto ów niezależny człowiek kłania się do ziemi panu Descoulis i ściska jego dłoń. Myślałam prawie, że pocałuje go w rękę.

– Widocznie Descoulis jest w lepszych stosunkach z władzą, niż przypuszczamy – podjął pan de Croisenois.

– Sainclair bywa tutaj, aby się dostać do Akademii – rzekł Norbert. – Spójrz, Croisenois, jak się kłania baronowi L...

– Mniej podle byłoby uklęknąć po prostu – odparł pan de Luz.

– Drogi Sorel – rzekł Norbert – ty, którzy masz olej w głowie, ale przybywasz z prowincji, staraj się nigdy nikomu nie kłaniać tak jak ów poeta; nawet samemu Bogu Ojcu.

– A, otóż i żywe wcielenie dowcipu, baron Bâton – rzekła panna de la Mole naśladując z lekka głos oznajmującego lokaja.

– Zdaje się, że nawet służba śmieje się tu z niego. Cóż za nazwisko: baron Bâton! – rzekł de Caylus.

– „Cóż znaczy nazwisko?“, tłumaczył nam kiedyś – odparła Matylda. – „Wyobraźcie sobie państwo księcia de Bouillon, gdyby go oznajmiono po raz pierwszy; trzeba jedynie, aby publiczność oswoiła się trochę...”

Julian oddalił się. Mało wrażliwy na urocze finezje lekkiej drwiny, wymagał od żartu, aby się wspierała na rozumnej podstawie. W ucinkach młodych ludzi widział jedynie skłonność do obmowy, i to go raziło. W swej prowincjonalnej czy angielskiej pruderii posuwał się tak daleko, że dopatrywał się w tym zazdrości, w czym się z pewnością mylił.

– Hrabia Norbert – powiadał sobie – który w moich oczach sporządzał trzy bruliony, mając skreślić list na kilkanaście wierszy do pułkownika, byłby bardzo szczęśliwy, gdyby w swoim życiu napisał jedną stronicę taką, jak Sainclair.

Snując się niepostrzeżenie, dzięki swej nieznaczącej pozycji, Julian zbliżał się kolejno do rozmaitych grup; posuwał się z dala za baronem Bâton, pragnąc go posłyszeć. Ów tak inteligentny człowiek wyglądał jakiś nieswój; uspokoił się dopiero wówczas, kiedy wyrzucił z siebie kilka efektownych frazesów. Julian odniósł wrażenie, że ten rodzaj inteligencji potrzebuje przestrzeni. Baron nie umiał rzucić ciętego słowa; aby zabłysnąć, trzeba mu było co najmniej czterech zdań, każde po kilka wierszy.

– T e n c z ł o w i e k r o z p r a w i a , n i e r o z m a w i a – rzekł ktoś za Julianem. Obrócił się i poczerwieniał z przyjemności usłyszawszy nazwisko hrabiego Chalvet. Był to największy umysłowej epoki. Julian spotykał często jego nazwisko w *Pamiętniku z wyspy Świętej Heleny* oraz w urywkach historii dyktowanych przez Napoleona. Hrabia Chalvet był oszczędny w słowach; określenia jego były niby błyskawice, trafne, żywe, głębokie. Skoro on zaczyna mówić, natychmiast dyskusja posuwa się naprzód. Rozumował faktami; przyjemnie było go słuchać. Zresztą w polityce był skończony cynik.

– Ja jestem niezawisły – mówił do jakiegoś jegomościa upstrzonego orderami, z którego drwił widocznie. – Skąd wymagać, abym dziś miał te same przekonania co przed sześciu tygodniami? W takim razie zasady byłyby moim tyranem.

Czterej otaczający go poważni młodzi ludzie skrzywili się; ci panowie nie lubili żartów. Hrabia zrozumiał, że się posunął za daleko. Szczęściem dostrzegł przezacnego pana Balland, wcielenie uczciwej obłudy. Zagadnął go; wszyscy otoczyli ich kręgiem wiedząc, że biedny Balland będzie kozłem ofiarnym. Dzięki swej moralności i moralizowaniu, mimo iż bardzo szpetny i obciążony początkami kariery trudnymi do opowiedzenia, Balland znalazł bogatą żonę, która umarła; następnie drugą, równie bogatą, której nie pokazuje. Cieszy się

w pokorze ducha sześćdziesięcioma tysiącami renty, ba, nawet ma pochlebców. Hrabia Chalvet zagadnął go o to wszystko, i to bez żadnej litości. Niebawem zebrało się koło nich ze trzydzieści osób. Wszyscy uśmiechali się, nawet poważni młodzi ludzie, nadzieja epoki.

– Po co on przychodzi do pana de la Mole, gdzie jest przedmiotem pośmiewiska? – myślał Julian. Zbliżył się do księdza Pirard, aby o to zapytać.

Pan Balland wymknął się.

– No! – rzekł Norbert – jeden ze szpiclów mego ojca poszedł; zostaje jedynie mały kuterzyna, Napier.

– Czyżby tu było słowo zagadki? – pomyślał Julian. – Ale w takim razie czemu margrabia przyjmuje pana Balland?

Surowy ksiądz Pirard, zaszyty w kącie salonu, krzywił się słysząc oznajmiane nazwiska.

– Ależ to jaskinia – powiadał jak Bazylion w *Cyruliku* – widzę tu same podejrzanym figury.

Surowy ksiądz nie znał satelitów wielkiego świata. Ale za pomocą przyjaciół swoich, jansenistów, miał dokładne wiadomości o ludziach, którzy dostają się do salonów jedynie dzięki zręczności w oddawaniu usług wszystkim stronnictwom lub też dzięki skandalicznemu bogactwu. Przez chwilę odpowiadał obszernie na ciekawe pytania Juliana; po czym urwał nagle, stroskany, że wciąż musi mówić źle o drugich, i wyrzucając to sobie jako grzech. Ksiądz Pirard, jansenista, przy tym z natury żółciowy, a poczytujący sobie za obowiązek miłość bliźniego, był całe życie w walce ze sobą.

– Cóż za fizjonomia, ten ksiądz Pirard! – mówiła panna de la Mole, gdy Julian zbliżył się do kanapy.

Juliana podrażniły te słowa; mimo to panna miała słuszność. Ksiądz Pirard był bezsprzecznie najzaciewniejszym człowiekiem w tym salonie, ale jego poprzsyczona twarz, odzwierciedlająca zgryzoty sumienia, była w tej chwili odrażająca. – I wierzyć tu fizjonomiom – myślał Julian – w chwili właśnie gdy ksiądz Pirard najskrupulatniej wyrzuca sobie jakąś przewinę, wygląda potwornie; podczas gdy na obliczu takiego Napier, notorycznego szpiega, odbija się czyste i spokojne szczęście. – Ksiądz Pirard uczynił wszelako wielkie ustępstwo dla swego stronnictwa: przyjął służącego, był bardzo starannie ubrany.

W tej chwili Julian zauważył coś niezwykłego: wszystkie oczy zwróciły się ku drzwiom, zapanowała niemal cisza. Lokaj oznajmił sławnego barona de Tolly, który z okazji wyborów ściągnął na siebie ogólną uwagę. Julian przysunął się i ujrzał go bardzo wyraźnie. Baron przewodniczył w pewnym okręgu; wpadł na genialną myśl usunięcia kartek zawierających listę jednego stronnictwa, dla wyrównania zaś zastępował je innymi kartkami, zawierającymi nazwiska, które mu były sympatyczne. Kilku wyborców, spostrzegłszy ten manewr, nie omieszkało powinszować baronowi. Nieborak był jeszcze błądzący od tej awantury. Niepoczciwi napomykali coś o galerach. Pan de la Mole przyjął go chłodno. Baron wymknął się.

– Śpieszy się do pana Comté<sup>1</sup> – rzekł hrabia Chalvet; powstał śmiech.

Wśród kilku wielkich panów, przeważnie milczących, oraz intrygantów, raczej ludzinyetę opinii, ale zdolnych, którzy tego wieczora tłoczyli się w salonie pana de la Mole (przebąkiwano, że ma zostać ministrem), młody Tanbeau zdobywał sobie ostrogi. Jeśli nie posiadał jeszcze bystrości sądu, zastępował ją, jak zaraz zobaczymy, energią słowa.

– Czemu nie skazano tego człowieka na dziesięć lat więzienia? – mówił, w chwili gdy Julian zbliżał się do grupy – takie gady należy trzymać w lochach; powinni gnić w ciemności, inaczej jad ich nabiera siły i staje się groźniejszy. Cóż za sens ma tutaj tysiąc talarów grzywny! Jest ubogi, dobrze, tym lepiej; ale stronnictwo zapłaci za niego. Należało mu się dać pięćset franków grzywny i dziesięć lat turmy.

---

<sup>1</sup> Słynny prestidigitator.

– Tam do licha, o jakim to potworze mówią? – pomyślał Julian, podziwiając gwałtowność słów i żywość gestów kolegi. Szczupła i zapadła twarz siostrzeńca akademika wstrętna była w tej chwili. Julian dowiedział się rychło, że chodzi o największego współczesnego poetę.

– Och, niktzemnik! – wykrzyknął Julian wpółgłośno i szlachetne łyzy zwilżyły jego oczy.  
– A, łajdaku – pomyślał – odpłacę ja ci te słowa!

Oto – myślał – tyralierzy stronnictwa, którego jednym z wodzów jest margrabia. A ten wielki człowiek, spotwarzany przezeń, ileż mógłby zebrać orderów, ile synekur, gdyby się sprzedał, nie powiadam już nędznemu ministerium pana de Nerval, ale jednemu z owych względnie uczciwych ministrów, którzy się przesunęli przed naszymi oczami.

Ksiądz Pirard, z którym pan de la Mole rozmawiał chwilę, skinął z dala na Juliana. Ale kiedy Julian, który słuchał właśnie ze spuszczonymi oczami jeremiad jakiegoś biskupa, uwolnił się i mógł się zbliżyć do swego protektora, ujrzał go w towarzystwie ohydneho Tanbeau. Płaz ten nienawidził księdza, jako sprawcy faworu Juliana, co nie przeszkadzało, że mu pilnie nadskakiwał.

– K i e d y ż ś m i e r ć o s w o b o d z i n a s o d t e g o ś c i e r w a ? – W tych słowach, nacechowanych biblijną energią, gryziopiórek mówił właśnie o czcigodnym lordzie Holland. Specjalnością jego było, że znał doskonale życiorysy współczesnych, i właśnie uczynił szybki przegląd ludzi mogących sobie rościć pretensję do jakiegoś wpływu pod berłem nowego króla Anglii.

Ksiądz Pirard przeszedł do sąsiedniego salonu; Julian udał się za nim.

– Margrabia nie lubi bazgraczy, ostrzegam cię: to jego jedyna antypatia. Znaj łacinę, grekę, jeśli zdołasz, historię egipską, perską etc., będzie cię szanował i popierał. Ale nie waż się pisać bodaj jednej stronicy po francusku, zwłaszcza w materiałach poważnych, przerastających twoje stanowisko: nazwie cię bazgraczem i zrazi się do ciebie zupełnie. Jak to, mieszkając w pałacu magnata, nie znasz powiedzenia księcia de Castries o d’Alembecie i Russie: „Hołota! chce to o wszystkim rozprawiać, ale nie ma ani tysiąca talarów renty!”

– Wszystko tu wiedzą – pomyślał Julian – jak w seminarium! – Nakreślił w istocie kilka kartek dosyć bombastycznym stylem: panegiryk na cześć starego chirurga, który rzekomo zrobił go człowiekiem. – I kajet ten – powiadał sobie Julian – stale był pod kluczem! – Poszedł do siebie, spalił rękopis i wrócił do salonu. Świetne opryszki już znikły, zostali jedynie posiadacze wielkich orderów.

Dokoła stołu, który służba wniosła wraz z zastawą, skupiło się kilka dam bardzo u r o d z o n y c h, bardzo nabożnych, bardzo przesadnych, liczących od trzydziestu do trzydziestu pięciu lat. Weszła właśnie świetna marszałkowa de Fervaques, przepraszając, że przybywa tak późno. Usiadła koło margrabiny. Julian drgnął: w oczach i spojrzeniu miała coś z pani de Rênal.

Koło panny de la Mole było wciąż pełno, wyśmiewała się z akompaniamentem przyjaciół z biednego hrabiego de Thaler. Był to jedyny syn owego sławnego Żyda, głośnego z bogactw, które zdobył pożyczając pieniędzy królom na wojnę z ludami. Żyd umarł wczesnie, zostawiając synowi trzysta tysięcy talarów miesięcznej renty i nazwisko, zbyt znane, niestety! Wyjątkowe to położenie wymagałoby wielkiej prostoty charakteru albo też wielkiej energii i siły woli. Nieszczęściem hrabia był przeciętnym człowiekiem, pełnym wszelkiego rodzaju pretensyj, które wmawiali mu pochlebcy.

De Caylus utrzymywał, że podsunęto mu zamiar starania się o pannę de la Mole, której nadskakiwał margrabia de Croisenois, mający sto tysięcy franków renty i w perspektywie tytuł książęcy.

– Och, nie obmawiajcie hrabiego, że ma jakiś zamiar – powiadał miłosiernie Norbert.

Zdolność *chceni* a to była rzecz, której najbardziej brakło hrabiemu de Thaler. Pod tym względem godzien był być królem. Radził się wszystkich, a nie miał odwagi iść za niczyją radą do końca.

– Sama jego fizjonomia – powiadała panna de la Mole – wystarcza, aby obudzić szczerą wesołość. – Była to osobliwa mieszanina niepokoju i rozczarowania; ale od czasu do czasu czytało się na niej wyraźnie ów przyływ pychy i zarozumiałości, naturalny w najbogatszym człowieku we Francji, zwłaszcza kiedy człowiek ten jest dość przystojny i nie ma trzydziestu sześciu lat. – Jest nieśmiało-arogancki – powiadał pan de Croisenois. Hrabia de Caylus, Norbert i paru młodych furfantów dworowali zeń sobie bez jego wiedzy do syta, wreszcie z uderzeniem pierwszej wyprawili go.

– Czy to pańskie słynne araby czekają na pana u bramy w tę plutę? – spytał Norbert.

– Nie, to inna para, o wiele tańsza – odparł de Thaler. – Lewy kosztuje może pięć tysięcy franków; prawy tylko sto ludwików; ale też zaprzęgają go jedynie w nocy, dlatego że dobrze chodzi w parze.

Uwaga Norberta nasunęła hrabiemu myśl, że człowiekowi takiemu jak on wypada pasjonować się końmi i że nie należy koni narażać na słotę. Odszedł; niebawem pożegnała się i młodzież, żartując zeń sobie.

– Oto – myślał Julian słysząc na schodach ich śmiechy – miałem sposobność ujrzeć przeciwieństwo mego położenia. Nie mam ani dwudziestu ludwików renty, znalazłem się obok człowieka, który ma dwadzieścia ludwików renty na godzinę i żartowano sobie z niego... Taki widok może wyleczyć z zawiści.



## XXXV. UCZUCIOWOŚĆ I ARYSTOKRATYCZNA DEWOTKA

Każda żywsza myśl uchodzi tam  
za nieprzyzwoitość, tak wszyscy  
nawykli do bezbarwnych słów.  
Biada temu, kto wkłada w rozmowę  
coś z siebie.  
F a u b l a s

Po kilku miesiącach prób oto jaka była pozycja Juliana, w chwili gdy intendent wręczył mu trzeci kwartał zasług. Pan de la Mole powierzył mu zarząd majątków w Bretanii i Normandii. Julian odbywał często podróże w te strony. Ponadto prowadził korespondencję w sprawie wiekuistego procesu z księdzem de Frilair. Ksiądz Pirard zapoznał go ze szczegółami.

Na podstawie zwięzłych notatek, które margrabia gryzmolił na marginesie otrzymywanych pism, Julian wygotowywał listy; prawie każda odpowiedź zyskiwała aprobatę.

W seminarium profesorowie żalili się na jego brak pilności, mimo to uważali go za jednego z najcelniejszych uczniów. Różnorodne te prace, prowadzone z całym zapalem obojętnej ambicji, rychło odjęty licom Juliana prowincjonalną świeżość. Bładość ta przemawiała na korzyść Juliana w oczach młodych seminarzystów; wydali mu się mniej złośliwi, mniej płaszczący się przed pieniądzem niż koledzy z Besançon; oni zaś uważali go za suchotnika.

Margrabia darował mu konia. Obawiając się, że go ktoś może zobaczyć w czasie przejażdżki, Julian oznajmił, że lekarze zalecili mu to ćwiczenie.

Ksiądz Pirard wziął go z sobą na kilka zebrań jansenistów. Julian zdumiał się; pojęcie religii łączyło się nieodzownie w jego umyśle z pojęciem obłudy i nadzieją zysków. Podziwiał tych surowych i pobożnych ludzi nie myślących o dochodach. Wielu jansenistów nabrało dlań sympatii; wspierali go radą. Otwierał się przed nim nowy świat. Poznał tam hrabiego Altamira, wysokiego mężczyznę, liberała skazanego na śmierć w swej ojczyźnie, przy tym dewota. Uderzył go ten kontrast: dewocja i miłość swobody.

Z młodym hrabią Julian był chłodno. Norbert zauważył, że nadto żywo odcina się jego przyjaciołom. Do panny Matyldy Julian, uchybiwszy parę razy konwenansom, postanowił w ogóle się nie odzywać. Wszyscy w pałacu de la Mole byli dlań bardzo grzeczni; ale czuł

się jakby zdegradowany. Zdrowy chłopski rozum tłumaczył mu to zjawisko pospolitym przysłowiem: *N o w e s i t o n a k o ł e k*.

Może widział rzeczy nieco jaśniej niż w pierwszych dniach lub też pierwszy czar paryskiej uprzejmości minął.

Z chwilą gdy kończył pracować, ogarniała go śmiertelna nuda; było to wyjąławiające działanie wielkoświatowej grzeczności, cudnej w istocie, ale tak odmierzonej, tak doskonale stopniowanej zależnie od pozycji. Człowiek choć trochę wrażliwy widzi w tym sztuczność. Zapewne, można zarzucić prowincji pospolitość, ton nie dość grzeczny, ale przynajmniej czujesz, że tego, kto z tobą mówi, obchodzisz bodaj trochę. W pałacu de la Mole nigdy nikt nie uraził miłości własnej Juliana, ale często z końcem dnia miał ochotę płakać. Na prowincji garson w kawiarni zainteresuje się tobą, jeśli ci się zdarzy wypadek; ale jeśli ten wypadek zawiera coś dotkliwego dla miłości własnej, wówczas ubolewając nad tobą powtórzy dziesięć razy słowo będące dla ciebie męczarnią. W Paryżu każdy ma tę delikatność, aby ukryć uśmiech, ale też zawsze jesteś obcy.

Pomijam milczeniem mnóstwo drobnych przygód, które byłyby może okryły śmiesznością Juliana, gdyby nie znajdował się poniekąd poniżej śmieszności. Nadmierna wrażliwość była przyczyną, że popełniał tysiąc niezręczności. Każda jego zabawa miała swój cel; codziennie strzelał z pistoletu, był jednym z najlepszych w szkole fechtunku. Skoro miał wolną chwilę, zamiast wypełniać ją jak dawniej czytaniem biegł do ujeżdżalni i dosiadał najbardziej narowistego konia. W czasie przejażdżek z nauczycielem prawie zawsze w końcu znajdował się na ziemi.

Margrabiemu podobała się w Julianie jego wytrwała praca, jego milczenie, inteligencja; stopniowo zaczął mu powierzać wszystkie trudniejsze sprawy. W chwilach gdy jego górne ambicje zostawiały mu nieco wytchnienia, margrabia kierował interesami wcale roztropnie. Mogąc dzięki swej pozycji mieć wczesne wiadomości, grał szczęśliwie na giełdzie. Skupował domy, lasy, ale łatwo wpadał w irytację. Rozdawał setki ludwików, a pieniał się o setki franków. Ludzie bogaci i ambitni szukają w interesach zabawy, nie rezultatów. Margrabia potrzebował szefa sztabu, który by zaprowadził w jego finansach jasny i łatwy do ogarnięcia porządek.

Pani de la Mole, mimo że tak obojętna z natury, żartowała niekiedy z Juliana. Nieobliczalność uczuciowych natur jest czymś wielce antypatycznym dla wielkich dam: jest to przeciwny biegun konwenansu. Parę razy margrabia ujął się za swym sekretarzem: jeśli jest śmieszny w salonie (mówił), wynagradza to w kancelarii. Julianowi zdawało się znowu, że pochwycił tajemnicę margrabiny; objawiała żywe zainteresowanie wszystkim, ilekroć oznajmiono barona de la Joumate. Był to człowiek niezmiernie chłodny, o niewzruszonej fizjonomii. Był wysoki, szczupły, brzydki, dobrze ubrany, przesiadywał wciąż na dworze i na ogół nie mówił nic o niczym. Taki był jego sposób myślenia. Pani de la Mole byłaby, po raz pierwszy w życiu, niezmiernie szczęśliwa, gdyby mogła zań wydać córkę.

## XXXVI. SPOSÓB WYMAWIANIA

Jeżeli można wybaczyć zadowolenie  
z siebie, to jedynie w młodości, wówczas  
bowiem jest ono przesadą rzeczy milej.  
Musi iść w parze z miłością, weselem, beztruską.  
Ale zadowolenie z siebie z powagą!  
Z miną uroczystą i zarozumiałą!  
Ten ostatni szczebel śmieszności miał być  
przywilejem XIX wieku. I tacy ludzie  
chcą spętać hydrę rewolucji!  
J o h a n i s b e r g , p a m f l e t

Jak na świeżego przybysza, który w dodatku przez dumę nigdy o nic nie pytał, Julian nie popełnił zbyt wielu niezręczności. Jednego dnia, kiedy zaskoczony ulewnym deszczem schronił się do kawiarni, jakiś wysoki mężczyzna w grubym surducie, uderzony jego chmurnym spojrzeniem, zmierzył go oczami, zupełnie tak jak niegdyś w Besançon kochanek Amandy.

Julian zbyt często wyrzucał sobie, że puścił bezkarnie ową pierwszą zniewagę; nie ścierpiał tego spojrzenia. Zażądał wyjaśnień. Obcy obrzucił go z miejsca gradem obelg; goście otoczyli ich, przechodnie stawali pod drzwiami. Przez prowincjonalną ostrożność Julian miał przy sobie parę małych pistoletów; ścisnął je w kieszeni konwulsyjnym ruchem. Mimo to zapanował nad sobą, powtarzał jedynie: – P r o s z ę o p a ń s k i a d r e s ; g a r d z ę p a n e m.

Wytrwałość, z jaką uczepił się tych kilku słów, ściągnęła w końcu uwagę tłumu.

Oczywiście! Niechże tamten, który tak rozpuścił gębę, da mu swój adres. Mężczyzna w surducie, słysząc uwagi w tym duchu, rzucił w nos Julianowi kilka biletów wizytowych. Szczęściem żaden nie trafił go w twarz; zdecydowany był zrobić użytek z broni, jeśli go tamten tknie. Wreszcie napastnik odszedł; od czasu do czasu odwracał się jeszcze, grożąc pięścią i ziejąc obelgami.

Julian był zlany potem.

– Zatem jest w mocy lada wyrzutka wzruszyć mnie w ten sposób! – powtarzał z wściekłością. – W jaki sposób zdławić tę upokarzającą wrażliwość?

Skąd wziąć świadków? Nie miał przyjaciela. Miał sporo znajomych, ale wszyscy regularnie po kilku tygodniach odsuwali się od niego.

– Nie umiem żyć z ludźmi i oto strasznie jestem ukarany – pomyślał. Wreszcie przyszło mu do głowy odszukać eks-porucznika 96 pułku nazwiskiem Lieven, biedaczyne, z którym fechtował się często.

– Służę panu – rzekł Lieven – ale pod jednym warunkiem: jeżeli nie zranisz przeciwnika, będziesz się zaraz na miejscu bił ze mną.

– Zgoda – rzekł Julian uszczęśliwiony i udali się szukać pana M. C. Beauvoisis, podług adresu wskazanego na bilecie, kędyś w dzielnicy Saint-Germain.

Była siódma rano. Dopiero kazawszy się oznajmić Julian wpadł na myśl, że mógłby to być ów młody krewniak pani de Rênal, zatrudniony niegdyś przy ambasadzie w Rzymie lub Neapolu, który dał list polecający śpiewakowi Geronimo.

Julian oddał roslemu lokajowi bilet rzucony mu w twarz poprzedniego dnia oraz własny.

Wytrzymał go, wraz ze świadkiem, dobre trzy kwadranse; wreszcie wprowadzono ich do wykwintnego apartamentu. Zastali tam młodego człowieka strojnego jak laleczka; rysy jego miały klasyczną i bezmyślną doskonałość greckich piękności. Bardzo wąską głowę zdobiły wspaniałe włosy blond utrefione starannie, ani jeden włoszek nie odstawał! – Więc dla tej fryzury – pomyślał porucznik – błazen kazał nam godzinę czekać! – Jaskrawy robdeszan, ranne spodenki, wszystko aż do haftowanych pantofli było doskonale wypielegnowane. Dystyngowana i martwa fizjonomia zwiastowała poprawne ubóstwo myśli; ideał dyplomaty typu Metternicha. Napoleon również nie lubił w swoim otoczeniu oficerów myślicieli.

Julian, któremu porucznik 96 pułku wytłumaczył, że pozwolić tak długo czekać na siebie, rzuciwszy komuś brutalnie bilet w twarz, jest nową zniewagą, wszedł ostro. Chciał być zuchwały, ale równocześnie rad by się był utrzymać w dobrym tonie.

Spokój pana de Beauvoisis, mina zarazem pełna taktu, ważności i zadowolenia z siebie, wytworna elegancja ramy, wszystko to tak zdumiało Juliana, że w mgnieniu oka stracił zapęd. To nie był zgoła wczorajszy jegomość. Zaskoczony tym, że spotyka tę dystyngowaną osobistość w miejsce brutala, którego szukał, nie mógł znaleźć słowa. Podał jeden z biletów, które mu rzucono.

– Tak, to moje nazwisko – rzekł młody dyplomata, w którym czarny surdut Juliana, o siódmej rano, nie budził zbytniego szacunku – ale, na honor, nie pojmuję...

Sposób, w jaki wymówił ostatnie słowa, zdołał na nowo podrażnić Juliana.

– Przychodzę bić się z panem – rzekł i wytłumaczył w krótkich słowach sprawę.

Pan Karol de Beauvoisis po dojrzałym zastanowieniu sformułował dość korzystny sąd o kroju czarnego fraka. – Od Stauba, to pewna – powiedział sobie słuchając wywodów Juliana – kamizelka w dobrym guście, buty przyzwoite; ale z drugiej strony, to czarne ubranie od świtu!... To aby łatwiej uniknąć kuli – zakonkludował w duchu kawaler de Beauvoisis.

Znalazszy to wytłumaczenie wrócił do poprzedniej wyszukanej grzeczności, traktując Juliana niemal jak równego sobie. Rozmowa ciągnęła się długo, sprawa była drażliwa; w końcu jednak Julian musiał się poddać oczywistości. Doskonale wychowany młodzian, którego miał przed sobą, nie przedstawiał najmniejszego podobieństwa z wczorajszym brutalem, który obraził Juliana.

Julian wyraźnie ociągał się z odejściem i przewlekał wyjaśnienia. Notował w myśli pewną arogancję k a w a l e r a de Beauvoisis – w ten sposób mówił kawaler sam o sobie, dotknięty tym, że Julian tytułuje go po prostu p a n e m. Podziwiał jego powagę, zabarwioną odcieniem skromnego zadowolenia z siebie, które nie opuszczało go ani na chwilę. Uderzyło go szczególnie mlaskanie językiem przy wymawianiu pewnych wyrazów... Ale ostatecznie w tym wszystkim nie było najmniejszej przyczyny do szukania zwady.

Młody dyplomata oddawał się z wielkim wdziękiem na usługi, ale eks-porucznik 96 pułku, który od godziny siedział z rozkraczonymi nogami, z rękami na udach i szeroko rozstawionymi łokciami, zawyrokował, że przyjaciel jego, pan Sorel, nie ma zamiaru szukać awantury, dlatego że komuś skradziono bilety wizytowe.

Julian gotował się kwaśno do wyjścia. Powóz kawalera czekał w dziedzińcu przed ganikiem; przypadkowo podniósł oczy i poznał w woźnicy wczorajszego napastnika.

Ujrzeć go, ściągnąć za poję długiego surduta, zrzucić z kozła na ziemię i zacząć go okładać szpicrutą było dziełem jednej chwili.

Dwaj lokaje próbowali bronić kolegi, Julianowi dostało się kilka szturchańców; natychmiast odwiódł kurek i strzelił w ich stronę; uciekli. Wszystko to stało się w ciągu minuty.

Tymczasem kawaler de Beauvoisis zstępował ze schodów z ucieszną powagą, powtarzając z pańska: „Co to? Co to?” Najoczywiej był bardzo ciekawy, ale dyplomatyczny chłód nie pozwalał mu okazać więcej zainteresowania. Skoro się dowiedział, o co chodzi, wyniosłość walczyła na jego twarzy z żartobliwą obojętnością, która nie powinna nigdy opuszczać twarzy dyplomaty.

Porucznik 96 pułku odgadł, że pan de Beauvoisis miałby ochotę się bić, chciał tedy dyplomatycznie zabezpieczyć przyjacielowi korzyści inicjatywy.

– Teraz – wykrzyknął – jest powód do pojedynku!

– Tak by się zdawało – odparł dyplomata.

– Wypędzam tego łajdaka – rzekł do służby – niech inny siada na jego miejsce.

Otworzono drzwiczki, kawaler zmusił Juliana i jego świadka, aby siedli pierwsi. Udali się do jednego z przyjaciół pana de Beauvoisis, który doradził spokojne miejsce spotkania. Po drodze rozmowa toczyła się bardzo poprawnie; jedyną osobliwością był dyplomata w szlafroku.

– Ci panowie, mimo że doskonale urodzeni – myślał Julian – nie są nudni jak goście pana de la Mole; i rozumiem, czemu – dodał w chwilę później – pozwalają sobie być nieobyčajni.

Mówiono o tancerkach, które we wczorajszym balecie zwróciły na siebie uwagę publiczności. Młodzi ludzie robili aluzje do śliskich anegdot, które tak Julianowi, jak i świadkowi jego, porucznikowi 96 pułku, były zupełnie nie znane. Julian nie silił się udawać doświadczenia w tej materii i przyznał się otwarcie do swej niewiedzy. Szczerze ta podobała się przyjacielowi kawalera; opowiedział kilka anegdot ze wszystkimi szczegółami i bardzo dowcipnie.

Jedna rzecz szczególnie uderzyła Juliana. Powóz zatrzymał się na chwilę z powodu budowy ołtarza, który wznoszono na ulicy na procesję Bożego Ciała. Młodzi ludzie pozwolili sobie na parę konceptów: proboszcz, wedle nich, był synem arcybiskupa. Nigdy u margrabiego de la Mole, który miał ochotę zostać księdzem, nie pozwolono by sobie wymówić czegoś podobnego.

Pojedynek skończył się w jednej chwili: Julian dostał kulę w ramię, obwiązano mu je chustkami, zmoczono wódką, po czym kawaler poprosił grzecznie Juliana, aby się pozwolił odwieźć do domu. Kiedy Julian nazwał pałac de la Mole, dyplomata wymienił spojrzenie z przyjacielem. Julian miał dorożkę, ale rozmowa tych panów wydawała mu się nieskończenie bardziej zajmująca niż towarzystwo zacnego porucznika 96 pułku.

– Mój Boże! Zatem pojedynek to tylko tyle! – pomyślał Julian. – Co za szczęście, że znalazł tego woźnicę! Jakież byłbym nieszczęśliwy, gdybym musiał ścierpieć jeszcze tę zniewagę!

Wesoła rozmowa nie przerwała się ani na chwilę. Julian zrozumiał wówczas, że dyplomatyczna komedia może się zdać na coś.

Nuda nie jest zatem czymś nieodłącznym od ludzi wielkiego świata! Żartują sobie z procesji Bożego Ciała, ośmielają się opowiadać ryzykowne anegdotki, i to z nader malowni-

czymi szczegółami! Brak im jedynie zmysłu politycznego, ale brak ten sownie równoważy się wdziękiem i zręcznością wysłowienia.

Julian uczył żywą sympatię do tych młodych ludzi. – Jakże byłbym szczęśliwy, gdybym mógł ich częściej widywać!

Ledwie się rozstali, kawaler pobiegł szukać informacji; nie były świetne.

– Okropna rzecz! – rzekł do świadka. – Niepodobna mi się przyznać, że biłem się z prostym sekretarzem pana de la Mole, i to dlatego, że woźnica ściągnął mi bilety wizytowe.

– Hm, to pewna, że jest w tym spora dawka śmieszności.

Tegoż samego wieczoru kawaler de Beauvoisis rozpowiedział wszędzie, że ów Sorel, zresztą młody człowiek bez zarzutu, jest naturalnym synem serdecznego druha margrabiego de la Mole. Fakt ten przyjęto bez trudności. Raz postawiwszy sprawę na tej stopie, młody dyplomata i jego przyjaciel raczyli odwiedzić Juliana kilka razy w ciągu dwóch tygodni, przez który to czas nie mógł opuszczać pokoju. Julian przyznał się im, że tylko raz jeden w życiu był w Operze.

– To niesłychane – rzekli – toż to jedyne miejsce, gdzie się chodzi; za pierwszym razem, kiedy wyjdiesz z domu, musisz iść na *Hrabiego Ory*.

W Operze kawaler przedstawił go słynnemu śpiewakowi Geronimo, który cieszył się wówczas olbrzymim powodzeniem.

Julian niemal że kochał się w kawalerze: to połączenie godności, tajemniczej powagi oraz zadowolenia z siebie czarowało go. Tak na przykład kawaler zająkiwał się nieco, ponieważ miał zaszczyt widywać często wielkiego pana dotkniętego tą wadą. Nigdy Julian nie widział w jednej osobie tyle śmiesznośtek skojarzonych z doskonałością form, stanowiącą dla biednego przybysza z prowincji ideał do naśladowania.

Julian pojawiał się dość często w Operze w towarzystwie kawalera de Beauvoisis, co wywoływało komentarze.

– Słuchaj no – rzekł jednego dnia pan de la Mole – jesteś tedy naturalnym synem szlachcica z Franche-Comté, mego serdecznego przyjaciela?

Julian próbował się tłumaczyć, że w niczym nie przyczynił się do tych pogłosek.

– Pan de Beauvoisis nie chciał, aby wiadano, że się bił z synem cieśli...

– Wiem, wiem – przerwał mu pan de la Mole – ode mnie teraz zależy ustalić tę wersję, która zresztą jest mi na rękę. Chciałem cię też prosić o jedną grzeczność, która ci zajmie ledwie pół godziny dziennie: co wieczór, o wpół do dwunastej, bądź w przedsiönku Opery, wówczas kiedy towarzystwo opuszcza teatr. Widzę u ciebie jeszcze pewne prowincjonalne nawyczki, trzeba się tego wyzbyć; zresztą nieźle jest znać, bodaj z widzenia, wysokie osobistości, do których mogę ci dać kiedy zlecenie. Zgłoś się do kancelarii, poleciłem, aby ci wydano bilet.

## XXXVII. ATAK PODAGRY

I otrzymałem awans, nie dla zasług,  
ale ponieważ mój przełożony miał podagrę.  
Bertolotti

Czytelnik czuje się może zdziwiony tym swobodnym, niemal przyjacielskim tonem; zapomnieliśmy powiedzieć, że od sześciu tygodni margrabiego więziła w domu podagra. Panna de la Mole bawiła z matką w Hyères u babki. Hrabia Norbert zachodził do ojca tylko na chwilę; bardzo byli dobrze z sobą, ale nie mieli sobie nic do powiedzenia. Pan de la Mole, skazany na towarzystwo Juliana, zauważył ze zdziwieniem inteligencję chłopca. Kazał sobie czytywać dzienniki. Niebawem młody sekretarz nauczył się wybierać zajmujące ustępy. Powstał wówczas nowy dziennik, którego margrabia nienawidził; przysiągł, że nigdy go nie będzie czytał, a co dzień o nim mówił. Julian śmiał się. Margrabia, obrażony na współczesność, kazał sobie czytywać Liwiusza; bawił go improwizowany przekład łacińskiego tekstu.

Jednego dnia margrabia rzekł z ową nadzwyczajną grzecnością, która często niecierpliwiła Juliana:

– Pozwól, mój drogi Sorel, abym ci zrobił prezent z niebieskiego fraka: ilekroć zechcesz go włożyć i przyjść do mnie, będziesz w moich oczach młodszym bratem hrabiego de Chaulnes, to znaczy synem starego księcia, mego przyjaciela.

Julian nie bardzo rozumiał, o co chodzi; tegoż samego wieczora spróbował wizyty w niebieskim fraku. Margrabia przyjął go jak równego sobie. Julian umiał odczuć prawdziwą grzecność, ale nie miał pojęcia o odcieniach. Byłby przysiągł przed tym kaprysem margrabiego, że niepodobna kogoś traktować z większymi względami. – Cóż za cudowny talent – pomyślał Julian, kiedy wstał, aby się pożegnać, margrabia zaś przeproszał, że nie może odprowadzić go z przyczyny podagry.

Ten osobliwy pomysł uderzył Juliana. – Czyżby sobie drwił ze mnie? – myślał. Poszedł zasięgnąć rady u księdza Pirard, który mniej grzeczny od margrabiego, pogwizdywał tylko i zaczął mówić o czym innym. Nazajutrz rano Julian zjawił się u margrabiego w czarnym ubraniu, z teką i listami do podpisu. Przyjęto go po dawnemu. Wieczorem, w niebieskim fraku, ton zupełnie odmienny: ściśle taki jak w wilię.

– Skoro pana nie nudzi zbyt odwiedzać łaskawie biednego chorego starca – rzekł margrabia – powinien byś mi zwierzać wszystkie szczegóły życia, ale szczerze, mając je-

dynie na względzie, aby opowiadać jasno i zabawnie. Trzeba się bawić – ciągnął margrabia – tylko to w życiu coś warte. Nikt nie może mi co dzień ocalić życia na wojnie ani co dzień darować mi miliona; ale gdybym miał tu, przy swoim szezlongu, Rivarola, odjąłby mi codziennie godzinę cierpienia i nudy. Znałem go dobrze w Hamburgu, na emigracji.

I margrabia zaczął opowiadać Julianowi anegdoty o Rivarolu i hamburczykach, których trzeba było czterech na to, aby zrozumieć jeden dowcip.

Pan de la Mole, skazany na towarzystwo kleryka, chciał go trochę rozruszać. Połechtał punkt honoru Juliana. Skoro żądano odeń prawdy, Julian postanowił mówić wszystko, przemilczając wszelako dwie rzeczy: swój fanatyczny kult dla pewnego imienia, które drażniło margrabiego, oraz swoje zupełne niedowiarstwo, niezbyt właściwe u przyszłego księdza. Drobne zajście z kawalerem de Beauvoisis zjawilo się bardzo w porę. Margrabia uśmieł się do łez ze sceny w kawiarni z woźnicą, który uraczył Juliana najplugawszymi wyzwiskami. Była to epoka doskonałej szczeroci między chlebobawcą a sekretarzem.

Pan de la Mole zainteresował się tym niezwykłym charakterem. W początkach podsycal śmieszności Juliana, aby się nimi bawić, niebawem bardziej go zajęło prostować łagodnie fałszywe pojęcia chłopca. – Zazwyczaj parafianie przybyli do Paryża podziwiają wszystko – myślał margrabia – ten nienawidzi wszystkiego. Tamci są zanadto sztuczni, ten nie dosyć; stąd głupcy biorą go za głupca.

Zimowe mrozy przewlekły atak podagry do kilku miesięcy.

– Wszak można się przywiązać do bolońskiego pieska – powiadał sobie margrabia – czemuż ja się tak wstydzę mego przywiązania do tego księżyka? Jest oryginalny. Traktuję go jak syna, więc cóż, co w tym złego? Fantazja ta, jeśli potrwa, będzie mnie kosztowała, ot, diament wartości pięciuset ludwików w testamencie.

Raz poznawszy nieugięty charakter swego protegowanego, margrabia obarczał go codziennie jakąś sprawą. Julian zauważył z przerażeniem, że temu magnatowi zdarza się dawać dwa sprzeczne zlecenia w tym samym przedmiocie, co mogło poważnie narazić jego sekretarza. Odtąd miał zawsze przy sobie registr, w którym notował decyzje, margrabia zaś podpisywał je. Julian przyjął pisarza, który kopiował poszczególne decyzje w osobnym rejestrze, zawierającym również kopie listów. Pomysł ten wydał się zrazu śmieszną pedanterią; ale w niespełna dwa miesiące margrabia zrozumiał jego korzyść. Julian poradził przyjąć bankowca, który by prowadził podwójną buchalterię dochodów i wydatków z dóbr, które Julian miał pod sobą.

Zarządzenia te dały margrabiemu tak jasny wgląd w jego sprawy, że mógł sobie pozwolić na przyjemność paru nowych spekulacji bez pośrednictwa agenta, który go okradał.

– Weź trzy tysiące franków dla siebie – rzekł jednego dnia do swego młodego ministra.

– Panie margrabio, moje postępowanie może być źle tłumaczone.

– Czegóż chcesz tedy? – podjął margrabia, zniecierpliwiony.

– Aby pan margrabia zechciał sam wpisać to zlecenie w rejestrze; na mocy tego zlecenia otrzymam trzy tysiące franków. Zresztą cały ten system rachunkowości jest pomysłu księdza Pirard.

Margrabia, ze znudzoną miną margrabiego de Moncade słuchającego rachunków intendenta Poisson, napisał zlecenie.

Wieczorem, kiedy Julian zjawiał się w niebieskim fraku, nie było mowy o interesach. Uprzejmość margrabiego była tak pochlebna dla obolałej wciąż ambicji naszego bohatera, iż niebawem mimo woli przywiązał się do miłego staruszka. Nie znaczy to, aby Julian był uczuciowy w paryskim rozumieniu, ale nie był potworem, nikt zaś od śmierci starego chirurga nie odnosił się doń z taką dobrocią. Zauważył ze zdumieniem, że margrabia chodzi około jego miłości własnej ze względami, jakich nigdy nie zaznał u starego chirurga. Zrozumiał także, że chirurg bardziej był dumny ze swego krzyża niż margrabia z błękitnej wstęgi; ojciec margrabiego był wielkim panem.



Jednego dnia, pod koniec rannej audiencji w czarnym ubraniu, poświęconej interesom, Julian rozgadał się z margrabią, który go zatrzymał dwie godziny i chciał mu koniecznie dać kilka banknotów przyniesionych przez agenta z giełdy.

– Spodziewam się, panie margrabi, że nie oddalę się od głębokiego szacunku, jaki mi jestem dłużny, skoro poproszę, by mi wolno było powiedzieć kilka słów.

– Mów, chłopcze.

– Niech pan margrabia pozwoli mi nie przyjąć tego daru. Nie był przeznaczony dla człowieka w czarnym ubraniu, zepsułby zaś zupełnie swobodę, jaką pan margrabia cierpi łaskawie u człowieka we fraku niebieskim.

Skłonił się z szacunkiem i wyszedł nie oglądając się za siebie.

Rys ten zabawił margrabię. Opowiedział go wieczorem księdzu Pirard.

– Muszę ci wreszcie coś wyznać, drogi księżu. Znam pochodzenie Juliana i upoważniam cię, abyś go nie chował w sekrecie.

– Dzisiejszy jego postępek był godny szlachcica – pomyślał margrabia – damę mu tedy szlachectwo.

W jakiś czas później margrabia mógł wreszcie wychodzić.

– Pojedziesz na dwa miesiące do Londynu – rzekł do Juliana. – Listy, które będę otrzymywał, wraz z mymi dopiskami każę ci przysyłać ekstrapocztą; ty będziesz sporządzał odpowiedzi i odsyłał mi je wkładając każdy list w dotyczącą odpowiedź. Obliczyłem, że zwłoka nie wyniesie więcej niż pięć dni.

Pędząc pocztą w stronę Calais Julian zdziwił się błahości rzekomych spraw, z którymi go wysłano.

Nie będziemy opisywali, z jakim uczuciem nienawiści, zgrozy niemal, wstąpił na ziemię angielską. Czytelnicy znają jego szaloną miłość do Bonapartego. W każdym oficerze widział sir Hudsona Lowe, w każdym wielkim panu lorda Bathurst, autora niecnych zarządzeń na Wyspie Świętej Heleny, nagrodzonego za nie dziesięcioletnim ministerium.

W Londynie poznał wreszcie wysoką elegancję. Zbliżył się z młodymi pankami rosyjskimi, którzy go wtajemniczyli w jej arkana.

– Masz wszelkie dane, drogi Sorel – mówili – masz z natury tę chłodną minę, będącą o t y s i ą c m i l o d p i e r w s z e g o w r a ż e n i a, którą tak silimy się osiągnąć.

– Nie pojąłeś swojej epoki – mówił książę Korazow – p o s t ę p u j z a w s z e n a w s p a k w s z e l k i e m u o c z e k i w a n i u. Oto, na honor, jedyna religia naszych czasów. Nie bądź ani trzpiotem, ani pedantem, gdyż wówczas oczekiwano by po tobie szaleństw lub mizdrzenia, tym samym chybiłbyś zasadzie.

Jednego dnia Julian okrył się chwałą w salonie księcia Fitz-Jamesa, który zaprosił go na obiad, zarówno jak księcia Korazowa. Czekano całą godzinę. Sposób, w jaki Julian zachował się pośród dwudziestu czekających, jest do dziś dnia tematem rozmów młodych sekretarzy ambasad w Londynie. Mina jego była wręcz nieopłacona!

Na przekór swoim przyjaciółom-dandysom zapragnął poznać słynnego Filipa Vane, jedyne filozofa, jakiego Anglia miała od Locke'a. Zastał go w chwili, gdy kończył siódmy rok więzienia. – Arystokracja nie żartuje w tym kraju – pomyślał Julian – co więcej, zniesławiono go, sponiewierano etc.

Julian znalazł go wcale wesołym; wściekłość arystokracji rozpraszała jego nudy. – Oto – myślał Julian wychodząc z więzienia – jedyny człowiek wesoły, jakiego widziałem w Anglii.

– Z e w s z y s t k i c h p o j ę ć n a j p o ż y t e c z n i e j s z e d l a t y r a n ó w j e s t p o j ę c i e B o g a – powiedział mu Vane. – Opuszczam dalszy ciąg systemu jako zbyt cyniczny.

– Cóż zabawnego przywiozłeś mi z Anglii? – spytał go pan de la Mole za powrotem. Julian milczał. – Jakież wrażenia? – dodał żywo margrabia.

– *Primo* – rzekł Julian – najrozsądniejszy Anglik jest szaleńcem godzinę w dniu; nawiedza go demon samobójstwa, który jest tam bóstwem domowym.

*Seciundo*, talent i dowcip tracą z chwilą wylądowania w Anglii dwadzieścia pięć procent wartości.

*Tertio*, nie ma nic w świecie piękniejszego, bardziej zachwycającego, wzruszającego niż krajobraz angielski.

– Teraz ja ci powiem – rzekł margrabia. – *Primo*, dlaczegoś opowiadała na balu u rosyjskiego ambasadora, że we Francji jest trzysta tysięcy młodych ludzi, w wieku dwudziestu pięciu lat, spragnionych namiętnie wojny? Czy sądzisz, że to jest pochlebne dla królów?

– Nie wiadomo, co robić, kiedy się rozmawia z wielkimi dyplomatami – rzekł Julian. – Mają manię poważnych dyskusji. Skoro się ograniczyć do komunałów z pism, uchodzi się za głupca. Skoro sobie pozwolić na coś szczerego i świeżego, są, jakby spadli z obłoków, nie wiedzą, co odpowiedzieć, i nazajutrz o siódmej rano każą oświadczyć nieborakowi przez sekretarza, że się zachował nietaktownie.

– Wcale nieźle – rzekł margrabia śmiejąc się. – Zresztą zakładam się, głęboki obserwatorze, żeś nie zgadł, po co jeździł do Anglii.

– I owszem, panie margrabio; po to, aby raz na tydzień zjeść obiad u francuskiego ambasadora, który jest najuprzejmiejszym z ludzi.

– Jeździłeś po ten order – rzekł margrabia. – Nie chcę, abyś porzucił czarny frak, przywykłem zaś do łżejszego tonu, który przybrałem z człowiekiem we fraku niebieskim. Aż do nowej instrukcji przyjm do wiadomości: ilekroć ujrę ten krzyż, będziesz młodszym synem mego przyjaciela księcia de Chaulnes, człowiekiem, który sam o tym nie wiedząc, jest od pół roku w dyplomacji. Zauważ – rzeki margrabia poważnie i przecinając wyrazy dziękczynienia – że ja cię nie chcę wyrwać z twego stanu. Jest to zawsze błąd i nieszczęście, tak dla protektora, jak dla protegowanego. Kiedy moje procesy cię znudzą lub kiedy przestaniesz mi być po myśli, wystaram ci się o dobre probostwo, jak dla naszego przyjaciela, księdza Pirard; nic więcej – dodał margrabia sucho.

Order nasycił chwilowo dumę Juliana; stał się o wiele mowniejszy. Mniej często przypuszczał, że ktoś chce go obrazić lub że jest przedmiotem owych żarcików, które można wykladać niezbyt pochlebnie, a które w ożywionej rozmowie mogą przejść niepostrzeżenie.

Order ten ściągnął nań osobliwą wizytę, mianowicie b a r o n a de Valenod, który przybył do Paryża podziękować ministrowi za swoje baronostwo oraz porozumieć się z nim. Miano go zrobić merem w miejsce pana de Rênal.

Julian śmiał się w duchu, kiedy Valenod dał mu do zrozumienia, iż odkryto, że pan de Rênal jest jakobinem. Faktem jest, że przy gotującym się wyborze nowy baron był kandydatem rządowym, a do zgromadzenia departamentalnego, w istocie skrajnie monarchistycznego, pan de Rênal wysuwany był przez liberałów.

Próżno Julian starał się czegoś dowiedzieć o pani de Rênal; baron, pamiętny widać dawnej rywalizacji, milczał jak grób. W końcu poprosił Juliana o pozyskanie mu głosu ojca przy wyborach. Julian przyrzekł napisać.

– Powinien byś, panie kawalerze, przedstawić mnie margrabiemu de la Mole.

– W istocie, p o w i n i e n b y m – pomyślał Julian – ale takiego łajdaka!...

– Doprawdy – odparł – jestem zbyt skromną figurą w pałacu de la Mole, aby się podjąć tej roli.

Julian mówił wszystko margrabiemu; wieczorem opowiedział mu pretensje Valenoda oraz jego czyny i sprawy od 1814.

– Nie tylko – odparł pan de la Mole bardzo serio – przedstawię mi jutro świeżego barona, ale zaproszę go na pojutrze na obiad. To będzie jeden z naszych prefektów.

– W takim razie – rzekł z zimną krwią Julian – proszę o miejsce dyrektora przytułku dla mego ojca.

– Doskonale! – rzekł rozweselony margrabia. – Rzecz załatwiona. Spodziewałem się moralów. Wyrabiasz się.

Pan de Valenod opowiedział Julianowi, że dzierżawca loterii w Verrières umarł. Julian uczynił sobie zabawkę, aby dać tę posadę panu de Cholin, owemu staremu cymbałowi, którego petycję znalazł był niegdyś w pokoju pana de Rênal. Margrabia śmiał się szczerze z petycji, którą Julian wyrecytował, oraz podpisał list z prośbą o tę posadę do ministra finansów.

Ledwie mianowano pana de Cholin, Julian dowiedział się, że poseł z jego departamentu prosił o tę posadę dla pana Gros, słynnego geometry. Szlachetny ten człowiek miał tylko tysiąc czterysta franków renty i co roku pożyczał sześćset franków świeżo zmarłemu dzierżawcy loterii, aby mu pomóc w wychowaniu dzieci.

Julian zdumiał się tym, co uczynił. – To nic – mówił sobie – jeśli chcę wspiąć się wyżej, trzeba będzie spełnić gorsze niesprawiedliwości i jeszcze umieć je ukryć pod sentymentalnymi frazesami. Biedny Gros! To on zasługiwał na krzyż, ja go dostałem i muszę postępować w duchu rządu, który mnie nim obdarzył.

## XXXVIII. JAKI ORDER WYRÓŻNIA CZŁOWIEKA

Twoja woda nie chłodzi, rzekł  
spragniony geniusz. – Jest to wszelako  
najchłodniejsze źródło w całym Diaz-Bekir.  
P e l l i c o

Jednego dnia Julian wracał z uroczej wioski Villequier, nad Sekwaną. Pan de la Mole interesował się tym majątkiem, ponieważ ze wszystkich jego posiadłości ta jedna należała do słynnego Bonifacego de la Mole. Julian zastał w pałacu margrabinę z córką: przybyły właśnie z Hyères.

Julian stał się już skończonym dandysem i paryżaninem. Przywitał pannę de la Mole oziębło. Zdawał się zgoła nie pamiętać czasów, kiedy go tak wesoło wypytywała o szczegóły upadku z konia.

Pannie de la Mole wydal się wyższy i bledszy. Postawa jego, wzięcie nie miały nic prowincjonalnego; rozmowa natomiast trąciła jeszcze nadmierną powagą, była zbyt rzeczowa. Mimo tego r a c j o n a l i z m u nie było w nim nic płaskiego; czuło się tylko, że ten młody człowiek jeszcze zbyt wiele rzeczy bierze na serio. Ale czuło się zarazem, że jest to człowiek zdolny poprzeć to, co mówi.

– Brak mu lekkości, ale nie sprytu – rzekła panna de la Mole żartując z ojcem z krzyża, który wyrobił Julianowi. – Norbert prosi cię o krzyż przez półtora roku, a przecież to jest l a M o l e!...

– Tak, ale Julian ma nieoczekiwane koncepty; rzecz, która owemu la Mole nie trafiła się nigdy.

Oznajmiono księcia de Retz.

Matyldę ogarnęło niezwykłe ziewanie; odnajdywała starożytne złocenia i gości ojcowskiego salonu. Widziała z góry przenudny obraz życia, jaki ją czeka w Paryżu. A w Hyères żałowała Paryża!

– Mam dziewiętnaście lat – myślała; – to wiek szczęścia, mówią wszystkie te dudki o złoconych brzegach. – Spojrzała na dziesiątek tomów z nowymi poezjami, nagromadzonych w czasie jej nieobecności na konsoli w salonie. Na swoje nieszczęście miała więcej rozumu od panów de Croisenois, de Caylus, de Luz i innych przyjaciół. Wyobrażała sobie wszystko, co jej powiedzą o pięknym niebie Prowansji, o poezji, Południu etc., etc.

Piękne oczy, w których odbijał się wyraz nudy i, co gorsza, zwątpienia o możliwości zabawy, zatrzymały się na Julianie. – Ten przynajmniej jest nieco inny.

– Panie Sorel – rzekła cichym, jasnym, ostrym głosem, nie mającym nic kobiecego, którym posługują się kobiety z wielkiego świata. – Panie Sorel, czy pan będzie dziś na balu u księcia de Retz?

– Pani, nie miałem zaszczytu być przedstawionym księciu. (Zdawało się, że te słowa i ten tytuł ranią usta dumnego plebejusza).

– Zalecił memu bratu, aby pana przyprowadził; niech pan przyjdzie, opowie mi pan coś o Villequier; jest projekt, aby się tam wybrać na wiosnę. Chciałabym wiedzieć, czy zamek nadaje się do zamieszkania i czy okolica w istocie tak piękna, jak mówią. Tyle jest rzeczy przechwalonych!

Julian milczał.

– Niech pan przyjdzie na bal z bratem – dodała oschle.

Julian skłonił się z szacunkiem. – Zatem nawet na balu mam obowiązek składać raporty wszystkim członkom rodziny! Czyż nie jestem płatnym rządcą? – Zły humor Juliana wzrastał. – Kto wie jeszcze, czy to, co powiem pannie, nie będzie krzyżowało zamiarów ojca, brata, matki. To istny dwór udzielnego księcia. Trzeba by być zupełnym zerem, a mimo to dogodzić wszystkim.

Niesympatyczna dziewczyna! – myślał patrząc za oddalającą się panną, którą matka wezwwała, aby ją przedstawić paru przyjaciółkom. – Przesadza każdą modę; suknia spada jej z ramion; jest jeszcze bledsza niż przed podróżą... Cóż za bezbarwne włosy, tak nieprawdopodobnie jasne, rzekłby kto, iż światło przechodzi przez nie na wskroś... Co za duma w ukłonie, w spojrzeniu! Cóż za ruchy królowej!

Panna de la Mole skinęła na brata w chwili, gdy opuszczał salon.

Hrabia Norbert zbliżył się do Juliana.

– Drogi Sorel – rzekł – gdzie mam pana spotkać, abym cię wziął z sobą o północy na bal do księcia de Retz? Polecił mi wyraźnie, bym pana przyprowadził.

– Wiem dobrze, komu jestem winien tyle łaski – rzekł Julian kłaniając się do ziemi.

W przystępie złego humoru, nie mogąc znaleźć nic do zarzucenia uprzejmemu, a nawet serdecznemu tonowi Norberta, zaczął nicować własną odpowiedź. Wydała mu się uniżona.

Przybywszy na bal zdumiał się wspaniałością pałacu Retzów. Nad wjazdem rozpięty był olbrzymi namiot z karmazynowej materii usianej złotymi gwiazdami, nie można wyobrazić sobie nic wytworniejszego. Pod tym namiotem dziedziniec zmienił się w gaj pomarańcz oraz kwitnących oleandrów. Ponieważ doniczki były starannie zakopane, zdawało się, że oleandry i pomarańcze wyrastają z ziemi. Droga, którą wjeżdżały powozy, wysypana była piaskiem.

Całość wydała się naszemu parafianinowi niesłychana. Nie miał pojęcia o takiej wspaniałości; w jednej chwili rozbujana jego wyobraźnia zapomniała o wszystkich kwasach. W powozie, kiedy jechali na bal, Norbert był wesół, on zaś widział wszystko czarno; ledwie wjechali w dziedziniec, role zmieniły się.

Norbert był wrażliwy jedynie na kilka szczegółów, których wśród takich przepychów niepodobna było dociągnąć do całości. Szacował w myśli cenę każdej rzeczy i w miarę jak dochodził do pewnej cyfry, Julian zauważył, że staje się niemal zazdrosny i markotny.

Co się tyczy Juliana, wszedł do pierwszej sali, gdzie tańczono, zachwycony, pełen podziwu i prawie wylękły ze wzruszenia. Przy drzwiach do drugiej sali tłoczono się tak, że niepodobna było posuwać się naprzód. Dekoracja tej wielkiej sali odtwarzała Alhambrę w Grenadzie.

– Nie ma co, trzeba przyznać, że to królowa balu – mówił jakiś młody elegant z wąsikami, którego łokieć wbijał się w pierś Juliana.

– Panna Fourmont, która całą zimę była najpiękniejsza – odparł sąsiad – czuje, że zeszała na drugi plan: popatrz, jaką ma minę.

– W istocie, stara się być piękna za wszelką cenę. Patrz, patrz na ten luby uśmiech, z jakim tańczy w kontredansie swoje solo. Na honor, to nieopłacone!

– Panna de la Mole czuje doskonale swój triumf, ale umie nad nim panować. Rzekłbyś, że boi się podobać temu, z kim rozmawia.

– Brawo! To wysoka szkoła.

Julian czynił daremne wysiłki, aby ujrzeć tę czarującą kobietę; gromadka wyższych od niego mężczyzn zasłaniała mu widok.

– Wiele jest kokieterii w tym szlachetnym umiarkowaniu – podjął młodzian z wąsikami.

– A te wielkie niebieskie oczy, które się opuszczają tak wolno, w chwili gdy tuż, tuż miały się zdradzić – dodał sąsiad. – Na honor, bardzo sprytnie!

– Patrz, jak piękna Fourmont wygląda przy niej pospolicie – rzekł trzeci.

– Ten skromny wyraz oczu mówi: Ileż uroków rozwinęłabym dla pana, gdybyś był godny mnie!

– A kto może być godny boskiej Matyldy? – rzekł pierwszy. – Jakiś panujący książę, piękny, rozumny, przystojny, bohaterski i mający nie więcej niż dwadzieścia lat.

– Syn naturalny cara rosyjskiego... któremu na intencję tego małżeństwa wykrojono by jakie księstwo, albo po prostu hrabia de Thaler, z jego miną przebranego parobka.

Zrobiło się miejsce koło drzwi, Julian mógł wejść.

– Skoro uchodzi za takie cudo w oczach tych lalusiów, warta jest, aby się jej przyjrzeć. Zrozumiem, co jest doskonałością w oczach tych ludzi.

Gdy jej szukał wzrokiem, Matylda spojrzała na niego.

– Obowiązek mnie woła – rzekł sobie Julian; ale zły humor wyładował się tylko w tym wyrażeniu. Posunął się, wiedziony ciekawością: silnie wycięta suknia Matyldy zabarwiła tę ciekawość uczuciem przyjemności, co prawda w sposób mało pochlebny dla jej miłości własnej. – Świeża jest – pomyślał. Kilku młodych ludzi – Julian poznał tych, których rozmowie przysłuchiwał się we drzwiach – znajdowało się między nim a Matyldą.

– Pan spędził w Paryżu całą zimę – rzekła – prawda, że to najpiękniejszy bal w tym roku? Nie odpowiedział.

– Ten kadryl pomysłu Coulona doprawdy prześliczny; i odtączony znakomicie.

Młodzi ludzie obrócili się, aby ujrzeć, kto jest ów szczęśliwiec, z którego margrabianka chce koniecznie wycisnąć odpowiedź. Odpowiedź nie była zachęcająca.

– Nie mogę sądzić o tym, pani, życie spływa mi przy biurku; to pierwszy tak wspaniały bal, który oglądam.

Młodzi ludzie z wąsikami osłupieli ze zgorzienia.

– Jest pan filozofem, panie Sorel – podjęła panna żywiej – patrzysz na te bale, festyny jak mędrzec, jak Jan Jakub Rousseau. Szaleństwa te raczej dziwią cię, niż pociągają.

Jedno słowo ugodziło wyobraźnię Juliana i wypędziło z jego serca wszelką iluzję. Usta jego przybrały wyraz przesadnej może wzgardy.

– Jan Jakub jest dla mnie głupcem, kiedy sili się wyrokować o wielkim świecie; nie rozumiał go i mierzył go duszą lokaja i parweniusza.

– Stworzył *Umowę społeczną* – rzekła Matylda ze złością.

– Głosząc republikę i obalenie monarchii, parweniusz ten pijany jest ze szczęścia, jeżeli jaki książę raczy zmienić kierunek poobiedniej przechadzki, aby odprowadzić któregoś z jego przyjaciół.<sup>2</sup>

– Ach, tak, książę de Luksemburg w Montmorency, odprowadzający pana Coidet w stronę Paryża... – podchwyciła panna de la Mole z przyjemnością i upojeniem pierwszych rozkoszy erudycji. Była pijana swą wiedzą, coś jak członek Akademii, który odkrył istnie-

---

<sup>2</sup> Rousseau, *Wyznania*, cz. II.

nie króla Feretriusza. Oko Juliana pozostało przenikliwe i surowe. Matylda miała chwilę entuzjazmu, chłód partnera oblał ją zimną wodą. Zdumiała się; zwykle to ona działała w ten sposób na drugich.

W tej chwili margrabia de Croisenois zbliżył się skwapliwie do panny de la Mole. Zatrzymał się chwilę o trzy kroki nie mogąc się przedostać. Patrzył na nią uśmiechając się z tej przeszkody. Obok niego stała młoda margrabina de Rouvray, kuzynka Matyldy. Wspierała się na ramieniu męża, którego zaślubiła dopiero przed dwoma tygodniami. De Rouvray, również bardzo młody, promieniał szczęściem człowieka, który, zawarłszy małżeństwo z konwenansu, sklecone przez dwóch rejentów, znalazł w żonie doskonałą piękność. De Rouvray miał zostać księciem po śmierci wiekowego stryja.

Gdy margrabia de Croisenois, nie mogąc przebić tłumu, patrzył na Matyldę z roześmianą twarzą, ona wiodła swymi wielkimi oczami koloru nieba po nim i jego sąsiadach. – Czy może być coś pospolitszego niż ta cała grupa? Ten Croisenois chciałby mnie zaślubić, jest grzeczny, dworny, doskonale wychowany, jak de Rouvray. Ci panowie byliby bardzo mili, gdyby nie byli tak straszliwie nudni. On także będzie mnie prowadził na bal z tą ograniczoną i zadowoloną z siebie miną. W rok po ślubie mój powóz, konie, suknie, zamek o dwadzieścia mil od Paryża, wszystko to będzie tak wytworne, jak tylko może być; wszystko, co trzeba, aby doprowadzić do rozpaczy jakąś parwenuśzkę, taką hrabinę de Roiville na przykład; a potem?...

Matylda nudziła się już w wyobraźni. Margrabia de Croisenois zdołał do niej dotrzeć i zagadnął ją, ale pogrążona w zadumie, nie słyszała. Szmer jego słów mieszał się z gwarem balu. Wiodła machinalnie okiem za Julianem, który oddalił się z twarzą pełną szacunku, ale dumną i niechętną. W kącie, z dala od krążącego tłumu, ujrzała hrabiego Altamira, skazanego na śmierć w ojczyźnie, znanego już czytelnikowi. Za Ludwika XIV jakaś jego krewniczka zaślubiła księcia Conti; wspomnienie to ubezpieczało go nieco przeciw policji kongregacji.

– Tylko skazanie na śmierć wyróżnia człowieka od innych: to jedyna rzecz, której się nie da kupić. Ba, mimo woli urodziłam paradoks! Szkoda, że mi nie przyszedł do głowy wówczas, kiedy mogła z honorem spożytkować. – Matylda miała zbyt wiele smaku, aby wsuwać w rozmowę dowcip ukuty zawczasu, ale miała też nadto próżności, by nie podziwiać samej siebie. Wyraz zadowolenia spłoszył z tej twarzy wrażenie nudy. Margrabia de Croisenois, który ją ciągle zabawiał, przypisał sobie ten rezultat i podwoił wymowę.

– Co mógłby najsurowszy krytyk zarzucić temu konceptowi? – myślała Matylda. – Odpowiedziałabym mu tak: Tytuł barona, wicehrabiego można kupić; order dostaje się; brat właśnie go dostał, a cóż takiego zrobił? Stopień – można uzyskać. Dziesięć lat służby lub pokrewieństwo z ministrem wojny i ot, jest się majorem jak Norbert. Wielki majątek!... to jeszcze najtrudniejsze, tym samym najbardziej godne uwagi. Zabawne! To zupełnie przeciwnie, niż powiadają książki... Ba, majątki można zdobyć żeniąc się z córką Rotszylda!

Stanowczo mój aforyzm jest głęboki. Wyrok śmierci to jedyna rzecz, o którą nikomu nie przyszło na myśl się ubiegać.

– Zna pan hrabiego Altamira? – spytała pana de Croisenois.

Wyglądała na osobę tak nieobecną duchem i pytanie to miało tak mało związku z tym, co biedny margrabia prawil jej od pięciu minut, iż grzeczny kawaler zmieszał się. Był to wszakże rozumny człowiek i zażywający wielkiej opinii w tej mierze.

– Matylda jest nieco ekscentryczna – pomyślał – to wada, ale poza tym małżeństwo z nią daje tak piękną pozycję! Nie wiem, jak on to robi, ten stary la Mole, ale to fakt, że ma kapitalne stosunki we wszystkich partiach: ten człowiek nie zatonie. Zresztą ta ekscentryczność Matyldy może uchodzić za głębię, za d u s z ę. Przy urodzeniu i majątku dusza nie jest śmiesznością; owszem, przynosi zaszczyt. Matylda posiada zresztą, o ile zechce, to połączenie dowcipu, rozumu i ironii, które stanowią najwyższy urok rozmowy...

Ponieważ trudno jest robić dobrze dwie rzeczy naraz, margrabia odpowiadał bezmyślnie, jakby wydając lekcję:

– Któż nie zna poczciwego Altamira? – I opowiedział historię tego nieudanego, śmiesznego, nedorzecznego spisku.

– Bardzo nedorzeczne – rzekła Matylda jakby do samej siebie – ale w tym był czyn. Chcę widzieć człowieka; przedstaw mi go pan – rzekła do zgorszonego margrabiego.

Hrabia Altamira był jednym z najzagorzalszych wielbicieli dumnej i wzgardliwej urody panny de la Mole; była to, jego zdaniem, jedna z najpiękniejszych kobiet w Paryżu.

– Jakaż by ona była piękna na tronie! – rzeki do pana de Croisenois; i pozwolił się zaprowadzić bez oporu.

Nie brak w świecie ludzi, którzy chcieliby wpoić przekonanie, że nie ma nic równie niesmacznego niż spisek w XIX wieku; to trąci jakobinizmem. A cóż może być szpetniejszego niż jakobinizm nieudany?

Spojrzenie, jakie Matylda wymieniła z panem de Croisenois, żartowało sobie nieco z Altamiry; ale słuchała go z przyjemnością.

– Spiskowiec na balu, to ładny kontrast – myślała. Altamira, ze swym bujnym czarnym wąsem, wydał się jej podobny do spoczywającego lwa; ale spostrzegła niebawem, że duszę jego wypełniało tylko jedno: u z y t e c z n o ś ć , p o d z i w d l a u z y t e c z n o ś c i .

Wyjawszy to, co mogło dać jego krajowi parlament i konstytucję, młody hrabia niczego nie uważał za godne swej uwagi. Opuścił z przyjemnością Matyldę, najładniejszą kobietę na balu, bo ujrzał wchodzącego peruwiańskiego generała. Zwątpiwszy o Europie takiej, jak ją urządził Metternich, biedny Altamira pocieszał się myślą, że Stany Zjednoczone Ameryki Południowej, wzmógłszy się w potęgę i w siłę, zdołają zwrócić Europie wolność, którą im przesłał Mirabeau.<sup>3</sup>

Tłum elegantów z wąsikami otoczył Matyldę. Spostrzegła, że nie oczarowała Altamiry, i czuła się dotkniętą jego odejściem; widziała, jak czarne oko jego błyszczy podczas rozmowy z generałem. Panna de la Mole spoglądała na młodych Francuzików z ową głęboką powagą, której żadna z jej rywalek nie była zdolna naśladować. – Który z nich – myślała – umiałby się narazić na skazanie na śmierć, nawet z najkorzystniejszymi widokami?

To szczególne spojrzenie czarowało dudków, niepokoiło zaś ludzi inteligentnych. Lękali się, że panna wystrzeli nagle jakim ironicznym słówkiem, na które trudno będzie znaleźć odpowiedź.

– Urodzenie daje mnóstwo przymiotów, których brak raziłby mnie: widzę to na Julianie – myślała Matylda – ale poraża te właściwości duszy, które prowadzą na śmierć.

W tej chwili ktoś mówił koło niej: – Ten hrabia Altamira to młodszy syn księcia de San-Nazaro-Pimentel; jeden z tych Pimentelów próbował ocalić Konradyna, ściętego w 1268. To jedna z najstarszych rodzin w Neapolu.

– Oto – pomyślała Matylda – ładne potwierdzenie mojej zasady: urodzenie odejmuje siłę charakteru, bez której człowiek nie narazi się na śmierć! Jest mi przeznaczone pleść dziś nedorzeczności. Skoro tedy jestem tylko kobietą jak inne, trzeba tańczyć!

Uległa prośbom margrabiego de Croisenois, który od godziny błagał o galopadę. Aby się pocieszyć po niepowodzeniach w filozofii, Matylda chciała być czarująca – pan de Croisenois odszedł upojony.

Ani taniec, ani chęć podobania się jednemu z najprzystojniejszych mężczyzn na dworze, nic nie zdołało rozerwać Matyldy. Budziła same zachwyty, była królową, widziała to, ale było jej to obojętne.

– Jakże czcze życie wiodłabym z człowiekiem takim jak Croisenois! – mówiła sobie, gdy ją odprowadzał na miejsce w godzinę później. – Gdzież znajdę przyjemność – dodała smutnie – jeżeli po pół roku nieobecności nie znajduję jej na balu budzącym zazdrość

<sup>3</sup> Stronica ta, pisana 25 lipca 1830, drukowana była 4 sierpnia. (Przyp. wyd.)



wszystkich kobiet w Paryżu? Otaczają mnie hołdy najwykwintniejszego towarzystwa. Z m i a s t a jest tutaj zaledwie kilku parów i może paru Julianów. A mimo to – dodała z rosnącym smutkiem – los mi dał wszystko: ród, majątek, młodość, wszystko, wyjąwszy szczęście!

Najwątliwsze jeszcze z moich zalet to te, o których mówiono mi cały wieczór. Inteligencja, wierzę; wyraźnie boją mnie się wszyscy. Skoro odważę się puścić na temat serio, po pięciu minutach rozmowy dobijają zdyszani, jakby robiąc wielkie odkrycie, do rzeczy, którą powtarzam im od godziny. Jestem piękna, mam ten talizman, za który pani de Staël byłaby oddała wszystko, a mimo to faktem jest, że umieram z nudów. Czemuż miałabym się mniej nudzić zmieniawszy swoje nazwisko na tytuł margrabiego de Croisenois?

Boże! – dodała niemal bliska płaczu – czyż to nie jest człowiek doskonały? To arcydzieło hodowli naszego wieku; nie można nań spojrzeć, aby natychmiast nie znalazł na zawołanie czegoś miłego, dowcipnego; jest odważny... Szczególny jest ten Sorel – pomyślała i wyraz nudy w jej oczach ustąpił podrażnieniu. – Oznajmiłam mu, że życzę sobie z nim mówić, i nie raczy się pojawić!

## XXXIX. BAL

Przepych toalet, blask świec,  
woń perfum; tyle pięknych ramion,  
biustów; bukiety, upajające melodie Rossiniego,  
malowidła Ciceri! Głowę tracę!  
*Podróże Uzeriego*

– Jesteś nie w humorze – rzekła margrabina do córki – ostrzegam cię, że to nieładnie wygląda na balu.

– Głowa mnie po prostu boli – odparła Matylda ze wzdorliwą miną – za gorąco tu.

W tej chwili, jakby dla usprawiedliwienia słów panny de la Mole, stary baron de Tolly zasłabł i zemdlął; trzeba go było wynieść. Przypuszczano apopleksję; niemiły wypadek.

Matyldy to nie obeszło. Miała tę zasadę, aby nigdy nie patrzeć na starców i na wszelkie rzeczy smutne.

Poszła tańczyć, aby uniknąć rozmów o apopleksji, niegroźnej zresztą, bo na trzeci dzień baron znów wypłynął.

– Ten Sorel nie przychodzi! – powtórzyła w myśli jeszcze raz przetańczywszy. Szukała go niemal wzrokiem i spostrzegła go w drugim salonie. Rzecz osobliwa, zdawałoby się, że stracił ten wyraz niewzruszonego chłodu, który mu był tak właściwy; nie miał już miny angielskiej.

– Rozmawia z hrabią Altamira, ze skazańcem! – pomyślała. – Oko jego płonie posępnym ogniem, wygląda na przebranego władcę; spojrzenie jeszcze dumniejsze niż zwykle.

Julian zbliżył się, wciąż rozmawiając z Altamirą; wpatrywała się weń bacznie, studiując jego rysy, aby odnaleźć w nich owe wysokie przymioty, zdolne pozyskać człowiekowi zaszczyt śmierci na rusztowaniu.

– Tak – mówił Julian do hrabiego Altamira, przechodząc koło panny de la Mole – Danton to był człowiek!

– O nieba! Byłby on Dantonem? – pomyślała Matylda. – Ale on ma rysy tak szlachetne, a ten Danton był straszliwie brzydki...

Julian był jeszcze dość blisko, bez namysłu zawołała go; miała tę świadomość – nie wolną od dumy – że zadaje pytanie, jak na młodą pannę, dość osobliwe.

– Nieprawdaż, Danton był rzeźnikiem? – rzekła.

– Tak, w oczach niektórych osób – odparł Julian z wyrazem ledwie ukrywanej wzdargy i okiem jeszcze rozpromienionym rozmową z Altamira – ale, nieszczęściem dla ludzi dobrze urodzonych, był adwokatem w Méry-sur-Seine; to znaczy, pani – dodał złośliwie – zaczął tak jak wielu parów, których tu widzę. To prawda, Danton miał olbrzymią wadę w oczach pięknych kobiet: był bardzo brzydki.

Ostatnie słowo wyrzekł szybko, dziwnym i z pewnością niezbyt grzecznym tonem.

Julian czekał chwilę, lekko pochylony, z wyrazem dumy i pokory zarazem. Zdawał się mówić: Płacą mi za to, bym pani odpowiadał, a ja żyję z tej płacy. Nie raczył podnieść oczu na Matyldę. Ona ze swymi pięknymi oczami, w tej chwili nadmiernie rozszerzonymi i utkwionymi w Juliana, wyglądała jak jego niewolnica. Wreszcie, skoro milczenie przeciągało się zbyt długo, spojrział na nią jak służący patrzy na pana pytając o rozkazy. Mimo że oczy jego spotkały wzrok Matyldy, wciąż utkwiony w nim z tym samym dziwnym wyrazem, oddalił się z wyraźnym pośpiechem.

– On, tak rzetelnie piękny – rzekła wreszcie do siebie Matylda ocknąwszy się z zadumy – z takim zapalem wysławia brzydotę! Nigdy nie myśli o sobie samym! To nie Caylus ani nie Croisenois. Ten Sorel ma coś z miny mego ojca wówczas, gdy tak dobrze udaje Napoleona na balu. – Zapomniała zupełnie o Dantonie. – Stanowczo nudzę się dziś straszliwie. – Ujęła pod ramię brata i ku jego wielkiemu niezadowoleniu zmusiła go, aby się z nią przeszedł trochę po salach. Przyszła jej ochota posłuchać dalszej rozmowy skazańca z Julianem.

Tłum był ogromny. Udało się jej przydybać ich w chwili, gdy o dwa kroki przed nią Altamira zbliżał się do tacy, aby sięgnąć po lody. Rozmawiał z Julianem na w pół doń zwrócony. Spozstrzegł ramię w haftowanym rękawie sięgające również do tacy. Haft zwrócił widocznie jego uwagę, obejrzał się, aby sprawdzić, do kogo należy ręka. W jednej chwili szlachetne i szczerze jego oczy przybrały lekki odcień wzdargy.

– Widzisz tego człowieka – rzekł z cicha do Juliana – to księżę d’Araceli, ambasador. Dziś rano domagał się mego wydania u ministra spraw zagranicznych, pana de Nerval. O, tego tam, który gra w wista. Pan de Nerval dość byłby skłonny mnie wydać, dostarczyliśmy wam bowiem paru spiskowców w 1816. Jeśli mnie oddadzą w ręce memu królowi, zawisnę na szubienicy w ciągu dwudziestu czterech godzin. I oto jeden z tych ładnych paniczyków z wąsikami ucapi mnie za kark.

– Nikczemni! – wykrzyknął Julian półgłębko.

Matylda nie traciła ani słowa z ich rozmowy. Nuda pierzchła.

– Nie tak znów nikczemni – odparł hrabia. – Ot, wspomniałem o sobie, aby ci dać żywy przykład. Popatrz na księcia d’Araceli; co parę minut spogląda na swoje złote runo; nie może się nasycić rozkoszą, że widzi to cacko na swej piersi. Ten biedny człowiek jest w istocie anachronizmem. Sto lat temu złote runo było zaszczytem, ale wówczas przeszłoby wysoko nad jego głową. Dziś między ludźmi z urodzeniem trzeba być takim Aracelim, aby się zeń czuć dumnym. Wywieszałby całe miasto, aby je dostać.

– Za tę cenę je dostał? – spytał Julian, poruszony.

– Niezupełnie – odparł chłodno Altamira – ot, kazał może wrzucić do rzeki ze trzydziestu bogatych właścicieli, którzy uchodzili za liberałów.

– Co za potwór! – dorzucił Julian.

Panna de la Mole, która przechyliła głowę z najwyższym zainteresowaniem, była tak blisko niego, że piękne jej włosy dotykały niemal ramienia Juliana.

– Jesteś bardzo młody! – odparł Altamira. – Mówiłem ci, że mam siostrę w Prowansji; jest jeszcze ładna, dobra, łagodna, wzorowa matka, obowiązkowa, nabożna bez dewocji.

– Do czego on zmierza? – myślała panna de la Mole.

– Żyje szczęśliwie – ciągnął dalej hrabia Altamira – tak samo żyła i w 1815. Ukrywałem się wówczas u niej w majątku jej koło Antibes; otóż, dowiedziawszy się o straceniu Ney, zaczęła tańczyć!

– Czy podobna? – rzekł Julian, osłupiały.

– Zaciekłość partyjna – odparł Altamira. – W XIX wieku nie ma już prawdziwych namiętności; dlatego Francuzi się tak nudzą. Praktykują największe okrucieństwa, ale bez okrucieństwa.

– Tym gorzej! – rzekł Julian. – Kiedy się popełnia zbrodnie, trzeba bodaj czynić to z przyjemnością; to tylko jest w nich dobrego i jedynie w ten sposób można je po trosze usprawiedliwić.

Panna de la Mole, zapominając zupełnie o etykiecie, wcisnęła się prawie między Juliana a Altamirę. Brat, którego trzymała pod ramię, przyzwyczajony jej ulegać, rozglądał się, jak gdyby się zatrzymał z powodu tłoku.

– Masz słuszość – rzekł Altamira – wszystko się dziś robi bez przyjemności, bez świadomości, nawet zbrodnie. Mógłbym ci wskazać na tym balu jakich dziesięciu ludzi, którzy przed sądem boskim staną jako mordercy. Zapomnieli o tym – i świat również! Wielu z nich wzrusza się do łez na widok psa, który złamie nogę. Kiedy się rzuca kwiaty na ich grób na Père-Lachaise, jak to się mówi z wdziękiem w Paryżu, jakiś mówca obwieszcza, że jednoczyli wszystkie cnoty szlachetnych rycerzy, i opowiada o wielkich czynach ich przaszczura, kędyś za Henryka IV. Jeśli mimo uczynności księcia Araceli nie powieszą mnie i jeśli będę kiedy cieszył się swoim majątkiem w Paryżu, zaproszę cię na obiad z jakim dziesiątkiem morderców, powszechnie szanowanych i wolnych od wyrzutów sumienia. My dwaj na tym obiedzie będziemy jedyni ludzie bez plamy krwi; ale ja będę przedmiotem wzgardy, prawie nienawiści, jako krwiożerczy potwór i jakobin, ty zaś po prostu, jako człowiek z ludu, intruz w wykwintnym towarzystwie.

– Najzupełniejsza prawda – rzekła panna de la Mole.

Altamira popatrzył na nią zdumiony; Julian nie raczył spojrzeć.

– Zauważ, że rewolucja, na której czele się znalazłem – ciągnął hrabia – zawiodła jedynie dlatego, że nie chciałem strącić paru głów ani też rozdzielić między naszych stronników kilku milionów znajdujących się w kasie, od której miałem klucz. Król, który pała dziś żądzą powieszenia mnie, a który przed buntem nazywał mnie po imieniu, dałby mi wielką wstęgę swego orderu, gdybym był strącił te głowy i rozdał te pieniądze; wówczas osiągnąłbym choć połowę celu i kraj mój miałby bodaj jakąś konstytucję... Tak toczy się świat: to partia szachów...

– Wówczas – wykrzyknął Julian z płomieniem w oku – nie umiał pan grać; dziś...

– Strąciłbym te głowy, chcesz powiedzieć, i nie byłbym żyrondyką, jak mi to kiedyś dałeś do zrozumienia?... Odpowiem ci – rzekł Altamira smutnie – wówczas, kiedy zabijesz człowieka w pojedynku, co jest jeszcze mniej szpetne niż oddać go w ręce kata.

– Na honor! – rzekł Julian. – Kto chce osiągnąć cel, godzi się na środki; gdybym zamiast być niczym, miał jakąś władzę, kazałbym powiesić trzech ludzi, aby ocalić czterech.

Oczy jego wyrażały ogień przekonania oraz wzgardę dla pospolitych sądów ludzkich; spotkał się z oczami panny de la Mole stojącej tuż obok i pogarda ta, miast zmienić się w wyraz uprzejmy i dworny, jak gdyby zdwoiła się jeszcze. Dotknęło to ją głęboko, ale nie było już w jej mocy zapomnieć Juliana; oddaliła się z urazą, pociągając za sobą brata.

– Muszę się napić ponczu i dużo tańczyć – rzekła sobie – postaram się wybrać najświetniejszego partnera i zrobić furorę. Wybornie, oto ów sławny impertynent, hrabia de Fervaques. – Przyjęła zaproszenie, zaczęli tańczyć.

– Pokażę ci – myślała – kto ma ostrzejszy języczek; ale aby sobie zadrwić z hrabiego, muszę go rozgadać. – Niebawem reszta tancerzy udawała tylko, że tańczy kontredansa: nie chcieli tracić ani jednej z ciętych replik Matyldy. De Fervaques mieszał się; znajdując jedynie gładkie słówka w miejsce myśli, nadrabiał minami; Matylda, podrażniona poprzednim zajściem, dopiekała mu okrutnie. I zrobiła sobie wroga. Tańczyła do rana, wreszcie opuściła bal śmiertelnie znużona. Ale w powozie resztką sił, jakie w niej jeszcze zostały,

obróciła się przeciw niej: uczuła się smutna i nieszczęśliwa. Julian wzgardził nią, ona zaś nie mogła nim gardzić.

Julian był w zachwycie. Bezwiednie upojony muzyką, kwiatami, pięknnością kobiet, wykwentem, a zwłaszcza, ponad wszystko inne, swoją wyobraźnią, która roila o odznaczeniach dla niego, o wolności dla całego świata, rzekł do hrabiego: – Co za piękny bal! Niczego tu nie brak.

– Brak myśli – odparł Altamira.

I fizjonomia jego wyrażała ową wzgardę, która jest tym dotkliwsza, im bardziej maskowana grzecznością.

– Wszak pan tu jesteś, hrabio. Czy to nie jest myśl, i to myśl w stanie buntu?

– Jestem tu dla mego nazwiska. Ale wasze salony nienawidzą myśli. Trzeba, aby była na wyżynie piosenki z wodewilu: wówczas może liczyć na nagrodę. Ale człowiek, który myśli, którego słowa tchną energią, świeżością, nazywa się tu c y n i k i e m. Czyż nie tym przydomkiem jeden z sędziów ochrzcił Couriera? Wtrąciliście go do więzienia wraz z Bérangerem. Wszystko, co się u was wznosi nieco wyżej duchem, kongregacja oddaje na pastwę policji, z aprobatą wykwentnego świata. Tak, wasze zmurszałe społeczeństwo ceni przede wszystkim pozory. Nie wzniesiecie się nigdy ponad junactwo: będziecie mieli Muratów, nigdy Waszyngtonów. Widzę we Francji jedynie próżność. Człowiek myślący samodzielnie łatwo się może wyrwać z czym nieostrożnym; cóż za hańba dla gospodarza domu!

Przy tych słowach karetą hrabiego, który odwoził Juliana, zatrzymała się przed pałacem de la Mole. Julian oczarowany był spiskowcem. Altamira powiedział mu wielki komplement, widocznie z głębokiego przekonania:

– Pan nie posiadasz lekkości francuskiej, rozumiesz znaczenie użyteczności.

Przypadkowo przed dwoma dniami Julian widział tragedię Kazimierza Delavigne *Mario Faliero*. – Czy Izrael Bertuccio nie miał więcej charakteru niż wszyscy ci szlachetni Wenecjanie? – powiedział sobie nasz zbuntowany plebejusz – a jednak to są ludzie, których szlachectwo sięga roku 700, na wiek przed Karolem Wielkim, gdy najwyższa ś m i e t a n k a z balu księcia de Retz ledwo, ledwo zdołałaby się wywieść z XIII wieku. I ot, pośród tej szlachty weneckiej, tak wielkiej przez swe urodzenie, wraża się w pamięć jedynie Izrael Bertuccio.

Rewolucja niweczy wszystkie tytuły dane przez kaprys społeczny. Wówczas człowiek zdobywa sobie po prostu to stanowisko, jakie mu daje jego odwaga wobec śmierci. Nawet inteligencja jednostki traci swą władzę.

Czym byłby dziś Danton, w tym wieku Valenodów i Rênalów? Nawet nie byłby podprokuratorem... Co mówię! Zaprzedałby się kongregacji, byłby ministrem, bo ostatecznie ten wielki Danton kradł. Mirabeau także się sprzedał. Napoleon ukradł miliony we Włoszech, inaczej byłby osiadł na mieliźnie nędzy, jak Pichegru. Jeden La Fayette nie kradł nigdy. Czyż więc trzeba kraść, trzeba się sprzedawać? – myślał Julian. Pytanie to stanęło w poprzek rozumowań. Resztę nocy spędził na czytaniu dziejów rewolucji.

Nazajutrz, pisząc listy w bibliotece, myślał jeszcze o rozmowie z hrabią Altamira.

– W istocie – odpowiadał sobie po długim dumaniu – gdyby hiszpańscy liberałowie związali z sobą lud współnictwem zbrodni, nie wymieciono by ich tak łatwo. To były zarozumiałe i gadatliwe dzieci... jak ja! – wykrzyknął nagle Julian, budząc się jakby ze snu. – Cóż zdziałiałem takiego, co by mi dawało prawo sądzić tych nieboraków, którzy bądź co bądź raz w życiu odważyli się działać? Jestem jak człowiek, który wstając od stołu powiada: Jutro nie będę jadł obiadu; co mi nie przeszkodzi być silnym i rześkim jak dziś. Kto wie, czego doznaje człowiek w pół drogi do wielkiego czynu?...

Te górne myśli zmąciło niespodziane zjawienie się panny de la Mole, która weszła do biblioteki. Julian był tak przepelniony podziwem dla wielkości Dantona, Mirabeau, Carno-

ta, którzy umieli nie dać się pokonać, że wzrok jego zatrzymał się na pannie de la Mole zupełnie bez myśli: nie uklonił się jej, nie widział jej prawie. Skoro wreszcie wielkie jego oczy, tak szeroko rozwarłe, spostrzegły jej obecność, zgasły nagle. Panna de la Mole zauważyła to z goryczą.

Na próżno poprosiła go o *Historię Francji* Vély'ego, umieszczoną na najwyższej półce, co zniewoliło Juliana do sięgnięcia po drabinkę. Julian wszedł na drabinę, znalazł tom, oddał go pannie, jeszcze nieprzytomny. Odnosząc drabinę uderzył w pośpiechu łokciem w szybę bibliotecznego szafy; brzęk szkła obudził go wreszcie. Zaczął skwapliwie przeproszać pannę de la Mole; chciał być grzeczny, ale był tylko grzeczny. Matylda widziała wyraźnie, że zaszła go nie w porę i że wolałby zostać ze swymi myślami niż z nią rozmawiać. Popatrzywszy nań długo, odeszła z wolna. Julian spoglądał za odchodzącą. Z przyjemnością stwierdził kontrast między prostotą jej stroju a wczorajszym wykwintem. Różnica fizjonomii była równie uderzająca. Młoda dziewczyna, tak wyniosła na balu u księcia de Retz, miała w tej chwili wzrok niemal błagalny. – Tak – myślał Julian – ta czarna suknia jeszcze lepiej uwydatnia jej kibić. Postawę ma królewską, ale czemu jest w żałobie? Jeśli spytam kogo o to, może znów popełnię niezręczność?

Julian ochłonął zupełnie. – Muszę odczytać wszystkie listy pisane dziś rano: Bóg wie, ile znajdę nonsensów! – Gdy zmuszając się do uwagi czytał pierwszy list, usłyszał szelest jedwabnej sukni; odwrócił się żywo; panna de la Mole stała o dwa kroki i śmiała się. To ponowne wtargnięcie podrażniło Juliana.

Matylda uczyła wyraźnie, że jest niczym dla tego chłopca; śmiechem chciała pokryć zakłopotanie, co jej się też udało.

– Widzę, że pana zaprzęta coś bardzo zajmującego, panie Sorel. Czy nie jaka ciekawa anegdota tycząca spisku, któremu Paryż zawdzięcza obecność hrabiego Altamira? Niech mi pan powie, o co chodzi, strasznie ciekawa: będę dyskretna, przysięgam!

Zdziwiła się sama, słysząc własne słowa. Jak to, ona błaga domownika! Zakłopotanie jej wzrosło, dodała lekko:

– Co mogło z pana, zazwyczaj tak zimnego, uczynić istotę natchnioną, coś na kształt proroka z Michała Anioła?

To nagle niedyskretnie pytanie, raniąc Juliana głęboko, wtrąciło go z powrotem w niepo czytalność:

– Czy Danton dobrze zrobił, że kradł? – rzekł gwałtownie, z coraz dzikszym wyrazem. – Czy rewolucjoniści w Piemencie, w Hiszpanii powinni byli wciągnąć lud do zbrodni? Oddać ludziom, nawet niegodnym, rangi, ordery? Czy ludzie, którzy by przywdziali te ordery, nie musieliby się lękać powrotu króla? Czy należało wydać skarb w Turynie na grabież? Słowem, pani – rzekł zbliżając się ze straszną twarzą – czy człowiek, który chce wygnać z ziemi głupotę, zbrodnię, powinien przejść jak burza i zadawać ciosy na oślep?

Matylda złękła się, nie mogła wytrzymać jego spojrzenia, cofnęła się. Popatrzyła nań chwilę; następnie, wstydząc się swego lęku, lekkim krokiem wyszła z pokoju.

## XL. KRÓLOWA MAŁGORZATA

Miłości, w jakimż szaleństwie  
każesz nam znajdować rozkosz?  
*Listy zakonnicy portugalskiej*

Julian odczytał listy; rozległ się dzwon na obiad. – Jakież ja musiałem się wydać śmieszny tej paryskiej lalce! – myślał. – Cóż za szaleństwo mówić jej szczerze to, o czym myślałem. Ba, może nie takie szaleństwo! W tej chwili szczerłość była kwestią godności.

Po cóż zresztą pytała o rzeczy poufne! To była niedyskrecja, brak taktu. Moje poglądy na Dantona nie wchodzą w zakres świadczeń, za które jej ojciec mi płaci.

Kiedy Julian wszedł do jadalni, wyrwała go z dumań żałobna suknia panny de la Mole; uderzyła go tym więcej, iż nikt z rodziny nie był ubrany na czarno.

Po obiedzie uczul, że egzaltacja, w której spędził cały dzień, minęła zupełnie. Szczęściem, był tego dnia na obiedzie ów łacinnik, członek Akademii.

– Ten może najmniej będzie sobie drwił ze mnie – pomyślał Julian – jeśli, jak przypuszczam, pytanie moje o żałobę panny de la Mole okaże się głupstwem.

Matylda spoglądała nań dziwnie. – Oto zalotność kobiet wielkiego świata, jak mi je odmalowała pani de Rênal – myślał Julian. – Byłem opryskliwy dziś rano, nie uległem jej kaprysowi, kiedy miała chętkę do rozmowy. Nabrałem ceny w jej oczach. Ale to wróci, wróci, jej arystokratyczna pycha potrafi znaleźć odwet. Ha! Niech próbuje! Cóż za różnica z tą, którą straciłem! Co za urocza naturalność, co za prostota! Znałem jej każdą myśl wcześniej niż ona sama, czytałem w jej duszy. W sercu jej walczyła przeciw mnie jedynie obawa śmierci którego z dzieci; zrozumiałe i naturalne przywiązanie, sympatyczne nawet dla mnie, który przez nie cierpiałem. Byłem głupiec. Rojenia moje o Paryżu nie pozwoliły mi ocenić tej wzniosłej kobiety. Cóż za różnica, wielki Boże! A tutaj co? Oschła i wyniosła próżność, wszystkie odcienie miłości własnej, i nic więcej.

Ruszono od stołu. – Nie dajmy nikomu zagarnąć pana akademika – myślał Julian. Zbliżył się doń, gdy wszyscy przechodzili do ogrodu, przybrał słodką i pokorną minę i jął wtórować jego oburzeniom na powodzenie Hernaniego.

– Gdybyśmy żyli w czasach Bastylii!... – rzekł.

– Wówczas nie odważyłby się! – wykrzyknął akademik z gestem godnym Talmy.

Patrząc na jakiś kwiat Julian przytoczył parę słów z *Georgik* Wergilego, wykrzykując, że nic nie dorówna wierszom księdza Delille. Słowem, przymilał się akademikowi na wszystkie sposoby, po czym odezwał się najobojętniej:

– Widać panna de la Mole dostała spadek po jakim wuju i dlatego nosi żałobę.

– Jak to, należysz pan do tego domu – rzekł akademik przystając – i nie znasz jej dziwactwa?! W istocie, dziwi mnie, że matka pozwala na to; ale mówiąc między nami, siła charakteru nie należy do głównych cnót w tym pałacu. Panna de la Mole góruje nad innymi w tym względzie i wodzi wszystkich na pasku. To dziś 30 kwietnia! – tu akademik zatrzymał się spoglądając na Juliana z wiele mówiącą miną. Julian uśmiechnął się dwuznacznie.

– Co może być za związek między wodzeniem na pasku, czarną suknią a 30 kwietnia? – pytał w duchu. – Muszę być jeszcze tępszy, niż mniemałem.

– Przyznam się... – rzekł do akademika wciąż pytająco.

– Przejdźmy się po ogrodzie – odparł ten, zachwycony, że będzie miał sposobność rozwinąć dłuższe opowiadanie w wytwornym stylu. – Jak to! Czy możliwe, abyś pan nie wiedział, co zaszło 30 kwietnia 1574?

– Gdzie? – spytał Julian zdziwiony.

– Na placu de Grève.

Julian był tak zdumiony, że to słowo nie objaśniło go w niczym. Ciekawość, oczekiwanie tragicznego wzruszenia, tak zgodne z jego charakterem, dawały oczom jego ów blask, tak sympatyczny dla opowiadającego. Akademik, zachwycony, że znalazł wdzięcznego słuchacza, opowiedział obszernie, jak to 30 kwietnia 1574 najładniejszy kawaler swego czasu, Bonifacy de la Mole, oraz Hannibal de Coconasso, szlachcic z Piemontu, jego przyjaciel, dali głowy na placu de Grève. La Mole był ubóstwianym kochankiem królowej Małgorzaty Nawarskiej; a zauważ pan – ciągnął akademik – że panna de la Mole nosi imię Matyldy Małgorzaty. La Mole był równocześnie ulubieńcem księcia d'Alencon oraz serdecznym przyjacielem króla Nawarry, później Henryka IV, męża kochanki. W tłusty wtorek owego roku 1574 dwór znajdował się w Saint-Germain wraz z biednym Karolem IX, który dogorywał. La Mole chciał wyrwać z niewoli owych książąt, swych przyjaciół, których Katarzyna Medycejska trzymała pod strażą na dworze. Puścił się w dwadzieścia koni na Saint-Germain; księżę d'Alencon stchórzył, la Mole oddał głowę katu.

Co zaś do panny Matyldy (sama mi to wyznała swego czasu, kiedy miała ledwie dwanaście lat. O, bo to jest charakterek!... – tu akademik podniósł oczy do nieba), otóż w całej tej awanturze najbardziej ją uderzyło, że królowa Małgorzata, ukryta w jakimś domu na placu de Grève, odważyła się wyprosić u kata głowę kochanka. I następnego dnia, o północy, wzięwszy tę głowę do powozu, sama pojechała ją zagrzebać w kaplicy u stóp Montmartre.

– Czy podobna?! – wykrzyknął Julian ze wzruszeniem.

– Panna Matylda gardzi bratem, ponieważ, jak pan widzi, nie myśli zgoła o tej starożytnej historii i nie wdziewa żałoby 30 kwietnia. Od czasu owej głośnej śmierci i aby upamiętnić serdeczną przyjaźń Bonifacego de la Mole dla Coconassa (który to Coconasso, jako szczyry Włoch, miał na imię Hannibal), wszyscy mężczyźni w rodzinie noszą to miano. Ów Coconasso zaś – dodał akademik zniżając głos – był wedle słów samego Karola IX jednym z najokrutniejszych siepaczy w dniu 24 sierpnia 1572<sup>4</sup>. Ale jak to możliwe, drogi panie, abyś pan, mieszkając tutaj, nie wiedział o tym wszystkim?

– Więc to dlatego dwa razy podczas obiadu panna de la Mole nazwała brata Hannibalem... Zdawało mi się, że się przesłyszałem.

– To był wyrzut. Dziw, że margrabia cierpi te szaleństwa... Mąż tej pannicy będzie miał ciężkie życie!

Słowom tym towarzyszyło jeszcze kilka satyrycznych uwag. Złośliwość i niechęć błyszczące w oczach akademika niemile uderzyły Juliana. – Jesteśmy niby dwaj lokaje obma-

---

<sup>4</sup> Noc św. Bartłomieja.



wiający swoich państwa – pomyślał. – Ale nic nie powinno mnie dziwić ze strony tego filara Akademii.

Jednego dnia Julian zastał go na kolanach przed margrabiną de la Mole; prosił ją o trafikę dla siostrzeńca na prowincji. Wieczorem garderobiana panny de la Mole, robiąc słodkie oczy do Juliana, jak niegdyś Eliza, wyjaśniła go, że żałoba Matyldy nie jest bynajmniej obliczona na pokaz. Dziwactwo to tkwi głęboko w jej charakterze. Kochała szczerze owego de la Mole, ulubionego kochanka najrozumniejszej i najdowcipniejszej królowej swego czasu, który zginął za to, że chciał wrócić wolność przyjaciołom. I co za przyjaciołom! Królewskiemu bratu i Henrykowi IV!

Przyzwyczajony do idealnej szczerości pani de Rênal, Julian widział w paryżankach jedynie sztuczność; toteż o ile był nastrojony smętnie, nie umiał z nimi rozmawiać. Panna de la Mole stała się wyjątkiem. Z czasem naturalną jej dumę przestał brać za oschłość serca. Miewał z panną de la Mole długie rozmowy, przechadzając się z nią po obiedzie pod otwartymi oknami salonu. Zwierzyła mu się raz, że czytuje historię d'Aubignégo, również Brantôme'a. – Osobliwa lektura – pomyślał – a margrabia nie pozwala jej czytać Waltera Scotta!

Jednego dnia z błyskiem szczerego zachwytu opowiedziała Julianowi ów postępek młodej kobiety za Henryka II, wyczytany w *Pamiętnikach l'Étoile'a*: przekonawszy się o niewierności męża, zasztyletowała go.

Cóż za triumf dla miłości własnej Juliana! Osoba otoczona takim uwielbieniem, która, wedle wyrażenia akademika, wodzi na pasku cały dom, raczy z nim rozmawiać w tonie niemal przyjaźni.

– Omyliłem się – pomyślał niebawem – to nie serdeczność, jestem jedynie powiernikiem z tragedii, to potrzeba wygadania się. Uchodzę tu za inteligentnego. Muszę przeczytać Brantôme'a, d'Aubignégo, l'Étoile'a. Będę mógł wówczas sprostować tę i ową z powiastek, które mi opowiada panna de la Mole. Trzeba mi wyjść z roli biernego powiernika.

Stopniowo rozmowy jego z młodą dziewczyną, tak dumną, a zarazem tak swobodną, stały się bardziej zajmujące. Julian zapomniał o smutnej roli buntującego się plebejusza. Panna okazała się wykształcona, a nawet rozsądna. Zapatrywania jej w ogrodzie bardzo się różniły od tych, które wygłaszała w salonie. Niekiedy miewała wobec Juliana chwile zapалу i szczerości, stanowiące kontrast ze zwykłą wyniosłością i chłodem.

– Wojna Ligi to heroiczny okres Francji – mówiła raz z oczyma błyszczącymi zapalem. – Wówczas każdy bił się o triumf swego stronnictwa, a nie aby zdobyć mizerny Krzyżyk, jak za waszego cesarza. Niech pan przyzna, że mniej w tym było egoizmu i małości. Lubię tę epokę.

– A Bonifacy de la Mole był jej bohaterem – rzekł Julian.

– Był przynajmniej bardzo kochany, a słodko jest być tak kochanym. Któż dzisiaj kobieta nie wzdrygnęłaby się przed dotknięciem głowy świętego kochanka?

Pani de la Mole zawołała córkę. Obluda, jeśli ma być użyteczna, powinna się ukrywać, Julian zaś, jak widzimy, zwierzył się poniekąd pannie de la Mole ze swym uwielbieniem dla Napoleona.

– Oto olbrzymia przewaga, jaką oni mają nad nami – myślał Julian zostawszy sam w ogrodzie. – Dzieje przodków wnoszą ich nad pospolite uczucia; przy tym nie muszą myśleć o środkach do życia! Cóż za nędza! – dodał z goryczą. – Niegodny jestem rozprawić o tak wielkich rzeczach! Życie moje jest pasmem obludy dlatego, że nie mam tysiąca franków renty na chleb.

– O czym pan дума? – spytała Matylda wracając pędem.

Julian znudzony był wzdrganą dla samego siebie. Przez dumę wyznał szczerze swą myśl. Zaczerwienił się opowiadając tak bogatej osobie o swym ubóstwie. Hardością tonu starał

się podkreślić, że nie prosi o nic. Nigdy nie wydał się Matyldzie tak ładny: w oczach jego błyszczało uczucie i szczerość, których mu często brakło.

W niespełna miesiąc później Julian przechadzał się zamyślony po ogrodzie, ale twarz jego nie miała już owej filozoficznej dumy, w jaką oblekało go ustawne poczucie niższości. Odprowadził przed chwilą do pałacu pannę de la Mole, która twierdziła, że potknęła się biegnąc z bratem.

– Oparła się na moim ramieniu bardzo szczególnie! – myślał. – Czy jestem śmiesznym zarozumiałcem, czy też ona w istocie coś do mnie czuje? Słucha mnie z twarzą tak słodką, nawet wówczas, gdy jej zwierzam cierpienia mej dumy! Ona, tak wyniosła! Zdumieliby się goście, gdyby ją ujrzeli z tą fizjonomią. To pewna, że dla nikogo nie ma tej dobroci i słodyczy.

Julian starał się nie przeceniać tej osobliwej przyjaźni. Sam porównywał ją do zbrojnego pokoju. Za każdym widzeniem, nim wrócili do poufnego tonu z dnia poprzedniego, zadawali sobie jak gdyby pytanie: „Będziemy dziś przyjaciółmi czy wrogami?” Julian rozumiał, że dać się raz znieważyć bezkarnie tej hardej dziewczynie znaczy stracić wszystko. – Jeżeli mamy się poróżnić, czy nie lepiej, aby się to stało od razu, w obronie słusznych praw mej dumy niż broniąc się przed wzgardą, jaką pociągnąłby najmniejszy kompromis?

Niejednokrotnie, w dniach złego humoru, Matylda próbowała tonów wielkiej damy; mimo że czyniła to bardzo zręcznie, Julian odpychał szorstko te zakusy. Jednego dnia przerwał jej wręcz: – Czy panna de la Mole życzy sobie coś rozkazać sekretarzowi ojca? – spytał. – Winien jest wysłuchać jej rozkazów i spełnić je z szacunkiem, ale poza tym nie ma jej nic do powiedzenia. Nie bierze pensji za to, aby się jej spowiadał ze swych myśli.

Stosunek ten i towarzyszące mu wątpliwości rozproszyły nudę, jaką Julian odczuwał stale we wspaniałym salonie, gdzie lękano się wszystkiego i gdzie z niczego nie wypadało żartować.

– To by było zabawne, gdyby ona mnie kochała! Kocha czy nie – ciągnął w duchu Julian – mam powiernicę, inteligentną dziewczynę, przed którą drży cały dom, najbardziej zaś margrabia de Croisenois. Ten młody człowiek, tak uprzejmy, łagodny, dzielny, kojarzący wszystkie dary rodu i majątku, z których jeden tylko uczyniłby mnie tak szczęśliwym! Kocha się w niej do szaleństwa, ma ją zaślubić. Ileż listów wypisałem na zlecenie pana de la Mole do obu rejentów w sprawie ślubnego kontraktu! A ja, który z piórem w ręku czuję się tak podrzędną figurą, w dwie godziny później, tu, w tym ogrodzie, święcę triumf nad tym uroczym człowiekiem; ostatecznie, sympatia jej do mnie bije po prostu w oczy. Może nie cierpi w nim przyszłego męża: to by się dosyć godziło z jej dumą. Względy, jakie ma dla mnie, zawdzięczam roli powiernika, komparsa!

Ale nie; albo jestem szalony, albo ona durzy się we mnie: im bardziej jestem chłodny i pełen szacunku, tym bardziej ona szuka mego towarzystwa. To by mogło być rozmyślnie, udane; ale wszak widzę, jak oczy jej się ożywiają, skoro zjawię się niespodziewanie. Czyżby paryżanki umiały do tego stopnia grać komedię? Ba, cóż! Pozory są za mną, cieszymy się pozorami! Boże, jakaż ona piękna! Ileż uroku mają dla mnie te wielkie błękitne oczy, oglądane z bliska, kiedy tak na mnie patrzą! Cóż za różnica tej wiosny z zeszłym rokiem, kiedy żyłem tak nieszczęśliwy, trzymając się jedynie siłą charakteru pośród trzystu złych i plugawych obłudników! Byłem prawie równie nikczemny jak oni.

Bywały i dni zwątpienia. – Ta dziewczyna drwi sobie ze mnie – myślał. – Porozumiała się z bratem, aby mnie wystrychnąć na dudka. Ale zdawałoby się, że tak szczerze gardzi niedołęstwem brata! „Jest odważny, ot i wszystko – powiada. – Nie ma ani jednej myśli, w której by się ważył oddalić od szablonu”. Zawsze ja muszę stawać w jego obronie. Dziewiętnastoletnia dziewczyna! Czyż w tym wieku można, minutę po minucie, trzymać się programu obłudy?

Z drugiej strony, ilekroć ona wlepi we mnie swe duże niebieskie oczy z pewnym szczególnym wyrazem, zawsze hrabia Norbert oddala się. To mi jest podejrzane; czyż nie powinno by go oburzać, że siostra jego wyróżnia d o m o w n i k a ? Bo słyszałem, jak książe de Chaulnes wyrażał się o mnie w ten sposób. – Na to wspomnienie gniew tłumiał w Julianie inne uczucia. – Byłżeby to kult staroświeckiego stylu u tego starego maniaka?

– Więc cóż, ładna jest! – rozmyślał dalej Julian z oczami błyszczącymi jak u tygrysa. – Będę ją miał, a potem pójdę stąd, i biada temu, kto mi zastąpi drogę!

Zagadnienie to pochłonęło Juliana, nie mógł myśleć o niczym innym. Dnie spływały mu jak godziny. Co chwila, kiedy silił się zająć jaką poważną sprawą, myśl jego rzucała wszystko; w kwadrans później budził się z bijącym sercem, z zamętem w głowie, dumając: – Czy ona mnie kocha?

## XLI. KRÓLESTWO MŁODEJ PANNY

Podziwiam jej piękność, ale boję się jej rozumu.

M é r i m é e

Tak Julian trawił czas na rozpamiętywaniu wdzięków Matyldy lub oburzał się na jej wrodzoną wyniosłość, o której zresztą zapominała dla niego. Gdyby był ten czas obrócił na obserwowanie tego, co się dzieje w salonie, zrozumiałby, na czym polega władza tej panny nad całym otoczeniem. Z chwilą gdy ktoś nie był po myśli panny de la Mole, umiała go skarać za pomocą tak celnego, tak dobrze obmyślonego, tak niewinnego na pozór żarciku, że zadana przez nią rana jątrzyła się długo i z czasem stawała się nie do zniesienia dla urażonej miłości własnej. Ponieważ nie przywiązywała żadnej wartości do rzeczy będących treścią życia dla całej rodziny, zachowała na wszystko obojętne spojrzenie. Miło jest pochwalić się bytnością w arystokratycznym salonie, skoro się go opuści, ale to wszystko; sama grzeczność może mieć urok jedynie przez pierwsze dni. Julian doświadczył tego na sobie, po zachwytach nastąpiło rozczarowanie. – Grzeczność – powiadał sobie – to tylko brak odruchów złego wychowania. – Matylda nudziła się często; może nudziłaby się wszędzie. Wówczas złośliwe żarciki stanowiły dla niej szczerą rozrywkę i przyjemność.

Jeśli dała jakie nadzieje margrabiemu de Croisenois, hrabiemu de Caylus i paru dystyngowanym młodzieńcom, to może dlatego, aby zyskać ofiary nieco zabawniejsze od rodziców, od starego akademika i od paru podrzędnych figur zabiegających o jej względy. Widziała w nich jedynie nowy cel dla pocisków.

Wyznamy z przykrością, bo mamy słabość do Matyldy, że ten i ów pozwolił sobie pisać do niej i ona odpisywała czasami. Spieszmy dodać, że osóbką ta stanowi wyjątek w obyczajach jej sfery. Wychowanice szlchetnego klasztoru Sacré-Coeur, jeśli czym na ogół grzeszą, to nie brakiem ostrożności.

Jednego dnia Croisenois zwrócił Matyldzie dość kompromitujący list, pisany doń poprzedniego dnia. Sądził, że tym dowodem ostrożności poprawi swoje widoki. Ale Matylda lubiła właśnie nieostrożność. Lubiała igrać z ogniem. Nie odezwała się do margrabiego przez sześć tygodni.

Bawiły ją listy tych młodych ludzi; ale wedle niej wszystkie były do siebie podobne. Zawsze najgłębsza, melancholijna miłość.

– Każdy z nich jest tym samym zwierciadłem doskonałości, każdy gotów puścić się do Palestyny – zwierzała się kuzynce. – Możesz sobie wyobrazić coś nudniejszego? Więc to

takie listy będę otrzymywała przez całe życie! Styl zmienia się co dwadzieścia lat, wedle profesji będącej w modzie. Za czasów Cesarstwa musiał być mniej bezbarwny. Wówczas cała ta złota młodzież widziała lub spełniała czyny, które n a p r a w d ę miały coś wielkiego. Książę de \*\*\*, mój wuj, był pod Wagram.

– Czyż to sztuka machać szablą? A kiedy się im to zdarzyło, opowiadają o tym tak często! – odparła panna de Sainte-Hérédité, kuzynka Matyldy.

– A jednak lubię te opowiadania. Brać udział w prawdziwej bitwie napoleońskiej, gdzie padało po dziesięć tysięcy ludzi, to dowodzi odwagi. Niebezpieczeństwo podnosi duszę i ratuje ją od nudy, w której toną moi biedni wielbicieli, a ta nuda jest zaraźliwa. Któremu z nich przyszło na myśl zrobić coś niezwykłego? Starają się zyskać mą rękę, wielka historia! Jestem bogata, ojciec mój zapewni zięciowi protekcję. Och, gdybyż się znalazł jeden trochę zabawniejszy od innych!

Żywy, jasny, obrazowy sposób widzenia psuł, jak czytelnik widzi, język Matyldy. Niejedno słówko raziło uszy jej dwornych wielbicieli. Gdyby panna de la Mole nie była tak w m o d z i e, uznaliby niemal, że styl jej jest nieco jaskrawy jak na skromną panienkę.

Ona znowuż była niesprawiedliwa dla paniczów z Lasku Bulońskiego. Patrzyła w przyszłość nie ze zgrozą – to byłoby coś żywego – ale z odrazą bardzo rzadką w jej latach.

Czego mogła pragnąć? Majątek, urodzenie, dowcip, piękność – wedle głosu ogółu, w który wierzyła – wszystko to skupiło się z woli losu w niej.

Oto stan duszy owej panny, budzącej zazdrość w całym Saint-Germain, w epoce kiedy zaczynała znajdować przyjemność w przechadzkach z Julianem. Zdziwiła ją jego duma, a zaimponował jej spryt młodego wieśniaka. – Zostanie biskupem, jak ksiądz Maury – pomyślała.

Niebawem ten szczery i nieudany opór, jaki bohater nasz przeciwstawił wielu jej myślom, zainteresował ją; myślała o tych rozmowach, opowiadała o nich szczegółowo przyjaciółce z uczuciem, że nigdy nie odda dobrze ich charakteru.

Naraz olśniła ją myśl: – Cóż za szczęście, ja kocham! – pomyślała jednego dnia z niewiarygodnym upojeniem. – Kocham, kocham, to jasne! W moim wieku młoda, ładna, inteligentna dziewczyna gdzie może znaleźć wrażenia, jeśli nie w miłości? Daremnie bym się siliła, nigdy nie zdołam pokochać panów de Croisenois, de Caylus i *tutti quanti*. Są doskonali, za doskonali może, słowem, nudzą mnie.

Przeszła w głowie wszystkie opisy namiętności, które czytała w *Manon Lescaut*, *Nowej Heloizie*, *Listach zakonnic portugalskiej* etc. Chodziło, rozumie się, jedynie o wielką miłość; miłostka była niegodna panny jej lat i urodzenia. Miano miłości dawała jedynie owemu heroicznemu uczuciu, jakie zdarzało się we Francji za czasów Henryka III i Bassompierre'a. Miłość taka nie ustępowała nikczemnie przeszkodom; przeciwnie, popychała do wielkich czynów. – Cóż za nieszczęście – myślała – że nie mamy prawdziwego dworu jak dwór Katarzyny Medycejskiej lub Ludwika XIII. Czuję się na wysokości wszystkiego, co śmiałe i wielkie. Czegóż nie uczyniłabym z dzielnego króla, jak Ludwik XIII, wzdychającego u mych stóp! Zawiodłabym go do Wandei, jak często mówi baron de Tolly, i stamtąd odzyskałby swoje królestwo; wówczas precz z konstytucją... a Julian byłby mym pomocnikiem. Czego mu zbywa? Nazwiska i majątku. Zdobyłby nazwisko, zdobyłby majątek.

Niczego nie zbywa takiemu Croisenois, a będzie całe życie jedynie książątkiem p ó ł u l t r a, póliberałem, istotą zawsze niezdecydowaną i odległą od ostateczności, tym samym z a w s z e n a d r u g i m p l a n i e.

Gdzież jest wielki czyn, który by nie był o s t a t e c z n o ś c i ą, szaleństwem, w chwili, gdy się go podejmuje? Dopiero kiedy się urzeczywistni, wydaje się czymś możliwym popolitym istotom. Tak, miłość ze swymi cudami będzie władała w mym sercu; czuję ją po ogniu, jaki mnie ożywia. Należała mi się od nieba ta łaska. Nie na próżno skupiło ono na jednej istocie wszystkie swoje dary. Szczęście moje będzie godne mnie. Dni nie będą tak

głupio podobne do siebie. Już w tym jest wielkość, jest odwaga, aby się ważyć kochać człowieka stojącego o tyle niżej. Spróbujmy, czy w dalszym ciągu okaże się mnie wart. Za pierwszą słabością, jaką w nim spostrzeżę, rzucam go. Dziewczyna mego rodu i z tak r y c e r s k i m c h a r a k t e r e m (to określenie jej ojca), nie powinna żyć jak gąska.

A czyż nie taką byłaby moja rola, gdybym pokochała margrabiego? Miałabym nowe wydanie szczęścia kuzynek, którymi tak gardzę. Wiem z góry, co by mi powiedział poczciwy Croisenois i co ja bym odpowiedziała. Cóż to za miłość, przy której się ziewa? To już lepsza dewocja. Miałabym wesele takie, jak niedawno jedna kuzynka, przy czym rodzina roztkliwiłaby się, o ile nie byłaby wściekła o jakiś punkcik kontraktu, wsunięty w ostatniej chwili przez rejenta jej oblubieńca.

## XLII. BYŁŻEBY TO DANTON?

Potrzeba niebezpieczeństwa – oto natura pięknej Małgorzaty Walezjanki, mojej ciotki, która rychło zaślubiła króla Nawary, obecnie panującego Francji pod mianem Henryka IV.

Potrzeba hazardu stanowiła całą tajemnicę charakteru tej uroczej księżniczki; stąd jej kłótnie i jednanie z braćmi od szesnastego roku życia.

Owo, cóż może stawić na kartę młoda dziewczyna?

To, co ma najcenniejszego, swoją reputację, cześć całego życia.

*Pamiętniki księcia Angoulême,  
naturalnego syna Karola IX.*

– Między Julianem a mną nie ma żadnych kontraktów, rejentów; wszystko jest heroiczne, wszystko będzie dziekiem przypadku. Poza szlachectwem, którego mu brak, jest to wierne powtórzenie miłości Małgorzaty Walezjanki dla młodego de la Mole, najdawniejszego kawalera swoich czasów. Czyż to moja wina, jeśli młodzi panicze ze dworu tak pilnie przestrzegają tego, co w y p a d a, i bledną na samą myśl o śmielszej przygodzie. Mała wycieczka do Grecji lub Afryki jest dla nich szczytem odwagi, a i tam jeszcze umieją wędrować jedynie kupą. Z chwilą gdy znajdą się sami, boją się nie włóczy Beduina, ale śmieszności, i ta myśl doprowadza ich do szaleństwa.

Mój Julianek, przeciwnie, lubi działać tylko sam. Nigdy w tej wyjątkowej naturze nie postanie myśl szukania pomocy i oparcia u drugich! Gardzi drugimi i dlatego ja nim nie gardzę.

Gdyby przy swym ubóstwie Julian był szlachcicem, miłość moja byłaby tylko pospolitym głupstwem, płaskim mezaliansem, nie chciałabym jej; nie miałyby tego, co cechuje wielką namietność, bezmiaru trudności do zwalczenia i tragicznej niepewności wyniku.

Panna de la Mole była tak przejęta tymi rojeniami, że nazajutrz bezwiednie prawie ją wychwalać Juliana przed margrabią de Croisenois i bratem. Rozwinęła taką wymowę, że dotknęła ich.

– Strzeż się tego chłopca i tej energii! – wykrzyknął brat. – Skoro powtórzy się rewolucja, pośle nas wszystkich na gilotynę.

Nie odpowiedziała wprost; zaczęła żartować z brata i margrabiego z powodu lęku, jaki w nich budzi energia. Jest to w gruncie jedynie obawa spotkania się z czymś nieprzewidywanym, lęk, że się nie zdoła sprostać temu czemuś...

– Zawsze, zawsze, panowie, obawa śmieszności, potwora, który na szczęście umarł w roku 1816.

– Nie ma już śmieszności – mawiał pan de la Mole – w kraju, gdzie są dwa stronnictwa.

Córka zrozumiała jego myśl.

– Tak więc, panowie – rzekła do przeciwników Juliana – będziecie drzeć ze strachu całe życie, a potem powiedzą wam:

Nie było zgoła wilka, był tylko cień jego.

Matylda pożegnała ich wkrótce. Odezwanie brata przejęło ją zgrozą i lękiem, ale nazajutrz widziała w nim już tylko najwyższą pochwałę.

– W epoce gdy wszelka energia umarła, jego energia budzi w nich niepokój. Powtórzę Julianowi powiedzenie brata; zobaczę, co odpowie. Ale wybiorę chwilę, kiedy mu oczy błyszczą. Wówczas nie potrafi skłamać.

– To byłby Danton! – dodała po długiej zadumie. – Więc dobrze, przypuśćmy, że rewolucja się zaczyna. Jaką rolę odegrałby Croisenois i brat? Wiadomo z góry: wzniosła rezygnacja. Byłyby z nich heroiczne barany, pozwalające się zarznąć bez słowa. Jedyńą ich obawą w chwili śmierci byłoby to, aby nie uchybić dobremu tonowi. Mój Julianek palnąłby w łeb jakobinowi, który by go przyszedł uwięzić, o ile by miał bodaj cień nadziei ocalenia. On się nie boi być w złym tonie, o nie!

To ostatnie słowo pogrzyżyło ją w zadumie; budziło przykre wspomnienia i odjęło jej całą śmiałość. Przypomniały się jej żarciki panów de Caylus, de Croisenois, de Luz, brata. Wszyscy ci panowie zarzucali jednogłośnie Julianowi minę k s i ę ż ą : pokorną i obłudną.

– Ależ – podjęła nagle z okiem błyszczącym radością – cierpkość i wytrwałość ich żarcików dowodzi, na przekór im, że jest to najwybitniejszy człowiek, jaki pojawił się tej ziemi. Cóż znaczą jego wady, śmieszności? Jest w nim coś wielkiego, co ich drażni, zazwyczaj tak dobrych i pobłażliwych. Wiadomo, że jest biedny i że się kształci na księdza; oni mają epolety i nie potrzebują nauki; to wygodniej.

Mimo tego szpetnego czarnego ubrania i mimo całej księżej fizjonomii, którą biedny chłopiec musi mieć pod karą głodowej śmierci, charakter jego niepokoi ich, to pewna. A i tej księżej miny wyzbywa się, skoro tylko chwilę jesteście sami. A kiedy ci panicze powiedzą coś, co im się zdaje sprytne i oryginalne, czy pierwsze ich spojrzenie nie kieruje się na Juliana? Zauważyłam to doskonale. A mimo to wiedzą, że on nigdy się do niech nie odezwie, o ile go nie zapytają. Zwraca się pierwszy jedynie do mnie. Uważa mnie za duszę wyższą. Na ich uwagi odpowiada tylko o tyle, o ile wymaga grzeczność. Natychmiast uderza w ton szacunku. Ze mną dysputuje całymi godzinami, nie jest pewny swych poglądów, póki spotykają się u mnie z najłżejszym bodaj zarzutem. Wreszcie, przez całą zimę nie było strzelaniny, jedynie słowami można było ściągnąć na siebie uwagę. Otóż ojciec mój, człowiek wyższy, który wysoko wzniesie losy naszego domu, szanuje Juliana. Wszyscy inni nienawidzą go; nie gardzi nim nikt z wyjątkiem dewotek, przyjaciółek matki.

Hrabia de Caylus miał lub też udawał wielką namiętność do koni; spędzał życie całe w stajni, często nawet jadał tam śniadanie. Ta wielka namiętność w połączeniu z zasadą, aby się nigdy nie śmiać, zyskała mu mir wśród przyjaciół: był to luminarz tego kółka.

Nazajutrz, skoro wszyscy młodzi, z wyjątkiem Juliana, skupili się za fotelem pani de la Mole, de Caylus, wspierany przez margrabiego de Croisenois i Norberta, zaatakował żywo pochlebny sąd Matyldy o Julianie, i to bez żadnych racji, od pierwszego słowa. Zrozumiała doskonale grę i była zachwycona.



– Sprzymierzili się wszyscy – myślała – przeciw genialnemu chłopcu, który nie ma ani dziesięciu ludwików renty i który nie może im odpowiedzieć, chyba że jest pytany. Boją się go w tym jego czarnym ubraniu. Co by dopiero było w epoletach!

Nigdy Matylda nie była tak olśniewająca. Od pierwszej zaczepki obsypała Caylusa i jego sprzymierzeńców sarkazmami. Zgasiwszy ogień żarcików, jakimi próbowali się bronić świetni oficerowie, rzekła:

– Niech jutro jaki szlachetka z Franche-Comté spostrzeże się, że Julian jest jego naturalnym synem, niech mu da nazwisko i kilka tysięcy franków, za sześć tygodni będzie miał wąsy jak wy, panowie, za pół roku będzie oficerem huzarów jak wy, panowie. I wówczas tęgość jego charakteru przestanie być śmieszna. Wówczas, mój przyszły księżę-panie, zostanie ci wyłącznie dawny lichy argument: wyższość szlachty ze dworu nad szlachtą z prowincji. Ale co panu pozostanie, jeśli zechcę pana przyprzeć do muru, jeśli przyjdzie mi ochota dać Julianowi za ojca jakiegoś hiszpańskiego granda, jeńca wojennego w Besançon za Napoleona, który to grand, przez skrupuł sumienia, uznaje syna na łożu śmierci?

Wszystkie te domysły o nieprawym pochodzeniu wydały się panom Caylus i de Croise-nois w złym guście; oto jedyne wrażenie, jakie odnieśli z wywodów Matyldy.

Słowa siostry były tak jasne, że Norbert, mimo iż tak przez nią zawojowany, przybrał poważną minę, niezbyt, trzeba to przyznać, odpowiednią dla jego uśmiechniętej i pocziwej fizjonomii. Odważył się rzec kilka słów.

– Czyś ty chory, mój drogi? – odparła Matylda z poważną minką. – Musi być z tobą bardzo źle, skoro odpowiadasz na żart morałami. Ty i morały! Czyżbyś się ubiegał o posadę prefekta?

Urażona mina hrabiego de Caylus, zły humor Norberta i milcząca rozpacz pana de Croise-nois zatarły się rychło w pamięci Matyldy. Musiała się zdobyć na postanowienie wobec myśli, która przemożnie zawładnęła jej duszą.

– Julian jest ze mną dość szczery – rzekła sobie – w jego wieku, na podrzędnym stanowisku, przy tej dręczącej go ambicji, można odczuwać potrzebę przyjaciółki. Jestem może tą przyjaciółką, ale nie widzę w tym miłości. Przy takim charakterze jak jego wyznałby mi tę miłość.

Ta niepewność, te roztrząsania wypełniały wszystkie chwile Matyldy. Po każdej rozmowie z Julianem znajdowała nowe argumenty; nuda, która ją trapiła dotąd, pierzchła.

Jako córka wybitnego człowieka, który mógł zostać ministrem i zwrócić duchowieństwu jego lasy, panna de la Mole była w Sacré-Coeur przedmiotem bezmiernych pochlebstw. Szkody, jakie stąd powstają, są nie do powetowania. Wmówiono w nią, że dzięki swemu urodzeniu, bogactwu etc. powinna być szczęśliwsza od innych. Jest to źródło nudy monarchów oraz ich szaleństw.

Matylda nie uniknęła zgubnego oddziaływania tej myśli. Mimo całej inteligencji dziesięcioletnie dziecko nie może się opancerzyć przeciw pochlebstwom całego klasztoru, i to tak uzasadnionym na pozór.

Z chwilą gdy orzekła, że kocha Juliana, przestała się nudzić. Co dzień czuła się szczęśliwsza, że zdobyła się na wielkie uczucie. – To niebezpieczna zabawka – myślała. – Tym lepiej, och, tym lepiej! Bez wielkiej namiętności umierałam z nudy w najpiękniejszym okresie życia, między szesnastym a dwudziestym rokiem. Straciłam już najlepsze lata słuchając zrządzenia matczynych przyjaciółek, które w 1792 w Koblencji nie były podobno tak samo surowe jak ich dzisiejsze morały.

Gdy Matylda brnęła w tych niepewnościach, Julian nie mógł zrozumieć przeciągłych spojrzeń, które raz po raz zatrzymywały się na nim. Zauważył jedynie wzmożony chłód hrabiego Norberta oraz nowy przypływ wyniosłości panów de Caylus, de Luz i de Croise-nois. Był do tego przyzwyczajony. Nieszczęście to spadało nań zazwyczaj po jakimś wieczorze, na którym zwrócił na siebie uwagę więcej, niż przystało. Gdyby nie uprzejmość

Matyldy oraz gdyby nie ciekawość, jaką w nim budziło to wszystko, wyrzekłby się towarzystwa młodych elegantów, kiedy po obiedzie udawali się do ogrodu za panną de la Mole.

– Tak, niepodobna się mylić – powiadał sobie Julian – panna de la Mole patrzy na mnie w osobliwy sposób. Ale nawet kiedy jej piękne oczy otwierają się dla mnie z największym wylaniem, widzę w nich zawsze jakiś odcień śledztwa, chłodu i złośliwości. Czy możliwe, aby to była miłość? Cóż za różnica z oczami pani de Rênal!

Raz po obiedzie Julian, który udał się za panem de la Mole do gabinetu, wrócił szybko do ogrodu. Zbliżając się bez zastanowienia do grupy otaczającej Matyldę, zasłyszał kilka słów dość głośnych. Panna de la Mole spierała się o coś z bratem. Julian usłyszał dwa razy wymówione wyraźnie swoje imię. Postąpił bliżej; zapanowało milczenie i daremnie silono się je przerwać. Panna de la Mole i jej brat nadto byli podnieceni, aby znaleźć inny temat. De Caylus, de Croisenois, de Luz i jeszcze ktoś z młodych, wszyscy wydali się Julianowi lodowaci. Oddalił się.

## XLIII. SPISEK

Urywki słów, przypadkowe spotkania  
przeobrażają się w oczach człowieka  
z wyobraźnią w najoczywistsze dowody,  
zwłaszcza jeśli rozpała go namiętność.  
S c h i l l e r

Nazajutrz Julian znowuż zaszedł Norberta i siostrę, gdy rozmawiali o nim. Za jego zjawieniem zapanowała, jak wczoraj, śmiertelna cisza. Podejrzenia jego nie miały granic.

– Czyżby ci mili panice postanowili sobie zdrwić ze mnie? Trzeba przyznać, że to o wiele prawdopodobniejsze, bardziej naturalne niż rzekoma miłość panny de la Mole do biednego sekretarzyny. Zresztą, czyż ci ludzie miewają namiętności? Siła ich leży w udawaniu. Zazdroszczą mi odrobiny wymowy. Zazdrość to też ich słabostka. Wszystko tłumaczy się kluczem. Panna de la Mole chce we mnie wmówić, że jest mną zajęta, po prostu aby się zabawić z narzeczonym moim kosztem.

Okrutne to podejrzenie sprawiło przewrót w duszy Juliana. Myśl ta zniweczyła bez trudu zarodek miłości, który kielkował w jego sercu. Miłość tę wyhodowała jedynie rzadka piękność Matyldy lub raczej jej królewskie wzięcie oraz cudowne toalety. W tym był Julian jeszcze parweniusem. Ładna kobieta z wielkiego świata jest podobno czymś najbardziej uderzającym dla zdolnego plebejusza w chwili, gdy wchodzi w wyższe sfery. Nie charakter Matyldy był przedmiotem zadumy Juliana w ubiegłych dniach. Był dość inteligentny, aby sobie zdać sprawę, że nie zna zgoła tego charakteru: wszystkie jego objawy mogły być jedynie pozorem.

I tak Matylda za nic w świecie nie opuściłaby mszy w niedzielę; prawie co dzień towarzyszyła matce do kościoła. Jeśli w salonie de la Mole ktoś niebacznie zapomniał, gdzie się znajduje, i pozwolił sobie na cień żartu godzącego w prawdziwe lub urojone interesy tronu i ołtarza, Matylda lodowaciała natychmiast. Spojrzenie jej, zazwyczaj tak żywe, stroiło się w niewzruszoną dumę starego rodzinnego portretu.

Równocześnie Julian przekonał się, że panna posiada zawsze w swoim pokoju parę najwolnomyślniejszych tomów Woltera. On sam ściągał nieraz tom z tego wspaniale oprawnego wydania. Rozsuwając nieco pozostałe tomy, ukrywał brak tego, który zabierał; ale niebawem spostrzegł, że i ktoś drugi czytuje Woltera. Uciekł się do sztuczki praktykowanej

w seminarium: umieścił parę ździebeł włosia na tomach, które, jak sądził, mogłyby zająć pannę de la Mole. Znikały na całe tygodnie.

Pan de la Mole, zirytowany na księgarza, który mu nasyłał obficie fałszywe pamietniki, polecił Julianowi, aby kupował wszystkie śmielsze nowości. Ale iżby trucizna nie rozlała się po domu, sekretarz miał rozkaz chować te książki w szafce margrabiego. Niebawem zyskał pewność, że te nowe książki, o ile były bodaj trochę wrogie interesom tronu i ołtarza, rychło znikały. Z pewnością nie Norbert je czytywał.

Julian, przeceniając doniosłość tych faktów, przypisywał pannie de la Mole głębię Makiiawela. Ta rzekoma zbrodniczość stanowiła urok w jego oczach, prawie jedyny duchowy urok, jaki posiadała. Znudzenie hipokryzją i morałami wtrąciło go w tę ostateczność.

Wyobraźnia jego bardziej wchodziła tu w grę niż serce. Dopiero napasłszy się w myślach kibicią panny de la Mole, wykwentem stroju, białością rąk, pięknnością ramion, swobodą każdego ruchu, Julian czuł się zakochany. Wówczas dla dopełnienia uroku wyobrażał ją sobie jako Katarzynę Medycejską, głęboką i zbrodniczą. Był to ideał Maslonów, Frilairów, Castanédów, uwielbianych przezeń w młodości. Słowem, był to dlań ideał Paryża.

Czy może być coś pociesniejszego niż wiara w głębię lub zbrodniczość charakterów w Paryżu?

– Niepodobna, aby to tródrwiło sobie ze mnie! – myślał Julian. Kto zna jego charakter, wyobraża sobie chłodny i posepny wyraz, jakim odpowiedział na spojrzenia Matyldy. Z gorzką ironią odepchnął wynurzenia przyjaźni, o której zdumiona panna odważyła się natrącić.

Podrażnione tym nagłym zwrotem, serce młodej panny, z natury chłodne, znudzone, wrażliwe na grę inteligencji, pograżyło się w namiętność, do której było stworzone. Ale w charakterze Matyldy było też wiele dumy, toteż uczuciu, które czyniło całe jej szczęście zależnym od drugiej osoby, towarzyszył głęboki smutek.

Przez czas pobytu w Paryżu Julian skorzystał już tyle, aby rozróżnić, że to nie jest oschły smutek nudy. Zamiast łaknąć, jak niegdyś, wieczorów, widowisk i rozrywek, Matylda unikała ich.

Muzyka francuska śmiertelnie nudziła Matyldę; mimo to Julian, który uważał sobie za obowiązek wystawać z końcem widowiska w przedsionku, zauważył, że Matylda bywa w Operze bardzo często. Zdawało mu się, że straciła nieco z owej doskonałej miary, jaśniejącej wprzód we wszystkich jej postępkach. Sposób, w jaki rozmawiała z młodymi ludźmi, bywał niekiedy tak ironiczny, że aż obelżywy. Zdawało się Julianowi, iż szczególnie wzięła na ząb margrabiego de Croisenois.

– Musi ten człowiek szalenie kochać pieniądze, skoro nie rzuci tej panny z całym jej majątkiem! – myślał Julian. On sam, obrażony za ród męski, odnosił się do Matyldy ze zdwojonym chłodem, często wprost niegrzecznie.

Mimo iż postanowił nie dać się wziąć na lep sympatii Matyldy, bywała ona tak niekiedy wyraźna, on zaś sam, w miarę jak mu z oczu zaczęła spadać łuska, był tak pod urokiem panny, że niekiedy nie wiedział, co z sobą począć.

– Zręczność i wytrwałość tych fircyków odniosłyby w końcu triumf nad mym niedoświadczeniem – myślał – trzeba jechać i położyć temu koniec.

Margrabia powierzył mu zarząd majątków i domów, których posiadał sporo w Langwedocji. Podróż była nieodzowna; pan de la Mole zgodził się na nią z trudem. Wyjąwszy sferę wysokich ambicji margrabiego, Julian stał się dlań jego drugim ja.

– Ostatecznie, nie dałem się im złapać – powiedział sobie Julian gotując się do wyjazdu. – Czy żarciki, jakimi panna de la Mole smaga tych panów, są szczere lub czy mają jedynie uśpić mą nieufność, ostatecznie ubawiły mnie.

Jeśli nie chodziło tu o to, aby zadrwić z chłopskiego syna, charakter tej panny jest niezrozumiały co najmniej w równej mierze dla pana de Croisenois, co dla mnie. Wczoraj na

przykład robiła wrażenie zupełnie szczerzej: a ja, biedny i nędzny, miałem tę rozkosz, że pognębiłem swym faworem młodzieńca bogatego i znakomitego rodu. Oto mój najpiękniejszy triumf, będę go rozpamiętywał w kolasce pocztowej, gnając do Langwedocji.

Julian trzymał wyjazd w sekrecie, ale Matylda wiedziała lepiej od niego, że ma opuścić Paryż nazajutrz i na długo. Oznajmiła, że ją strasznie boli głowa i że w dusznym salonie czuje się jeszcze gorzej. Przechadzała się długo po ogrodzie i tak nękała kąśliwymi żarcikami Norberta, panów de Croisenois, Caylus, de Luz i paru innych, że przepędziła ich w końcu. Julianowi przyglądała się w szczególnie sposób.

– To spojrzenie mogłoby być komedią – myślał Julian – ale ten przyspieszony oddech, całe to pomieszanie! Ba! Czyż mnie sądzić o tym? Mam do czynienia z najświetniejszą i najsprytniejszą paryżanką. Ten przyspieszony oddech, który omal mnie nie wzruszył, jest może wystudiuwany u Leontyny Fay, którą Matylda ubóstwia.

Zostali sami; rozmowa gasła.

– Nie! Julian nic nie czuje dla mnie – mówiła sobie Matylda, szczerze zgnębiona.

Kiedy się z nią żegnał, ścisnęła mu ramię z siłą.

– Dostanie pan dziś ode mnie list – rzekła głosem tak zmienionym, że dźwięk jego ledwo był do poznania. Okoliczność ta wzruszyła głęboko Juliana.

– Ojciec – ciągnęła – ceni go wysoko za usługi, jakie mu pan oddaje. M u s i pan odwlec jutrzejszy wyjazd, niech pan znajdzie pozór.

I oddaliła się pędem.

Julian patrzył z zachwytem na jej uroczą kibić, nóżkę rzadkiej piękności, chód pełen wdzięku; ale czy odgadłby kto, co wypełniło jego myśl, skoro Matylda znikła? Uczuł się obrażony rozkazującym tonem, z jakim rzekła to m u s i. Ludwik XV także w godzinę śmierci odczuł bardzo niemile owo m u s i, niezręcznie użyte przez nadwornego lekarza, a wszak Ludwik XV nie był parweniuszem.

Za godzinę lokaj oddał Julianowi list; było to po prostu wyznanie miłosne.

– Styl wcale naturalny – zauważył w duchu Julian, siląc się za pomocą spostrzeżeń literackich powściągnąć radość, która kurczyła jego policzki i mimo woli zmuszała go do uśmiechu.

– Nareszcie, ja – wykrzyknął nie mogąc opanować naporu uczuć – ja, biedny chłopak, otrzymuję oświadczyzny od wielkiej damy! Co do mnie, spisałem się niezłe – dodał. – Umiałem zachować godność: nie powiedziałem, że ją kocham.

Zaczął badać kształt liter; panna de la Mole miała drobne pismo angielskie. Potrzebował fizycznego zajęcia, aby stłumić radość dochodzącą do szалу.

*Wyjazd pański zmusza mnie do wyznania... Byłoby nad moje siły nie widywać pana...*

Jedna myśl olśniła Juliana nagłym odkryciem, przerwała rozczytywanie się w liście i zdwoiła jego uciechę.

– Pobitem margrabiego de Croisenois! – wykrzyknął. – Ja, który umiem rozmawiać tylko poważnie! A on jest taki przystojny, ma wąsiki, śliczny uniform, umie zawsze znaleźć na poczekaniu zręczne słówko!...

Julian miał chwilę upojenia, błąkał się po ogrodzie, oszalały ze szczęścia. Następnie udał się do kancelarii i kazał się oznajmić margrabiemu, który na szczęście był w domu. Dowiódł mu z łatwością, pokazując jakieś papiery z Normandii, że obrót tamtejszych procesów wymaga odłożenia podróży.

– Rad jestem, że nie jedziesz – rzekł margrabia, skoro ukończyli rozmowę o interesach – l u b i ę c i ę m i e ć p r z y s o b i e.

Julian wyszedł; te słowa zmieszały go.

– A ja mam zamiar uwieść jego córkę! Córkę, w której ojciec mieści chlubę swego życia, uniemożliwić małżeństwo z panem de Croisenois; jeśli sam nie otrzyma mitry, ujrzy ją przynajmniej na jej głowie.

Przeszło mu przez głowę, aby jechać do Langwedocji mimo listu, mimo rozmowy z margrabią. Ale ten błysk szlachetności zgasł szybko.

– Dobry sobie jestem – pomyślał – ja, plebejusz, aby się litować nad taką rodziną! Ja, którego księżę de Chaulnes nazywa d o m o w n i k i e m ! W jaki sposób margrabia pomnaża swój olbrzymi majątek? Grając na zniżkę, skoro się dowie w zamku, że nazajutrz ma nastąpić urojony zamach stanu. A ja, rzucony przez garbaty los na ostatni szczebel, ja, któremu ten los dał szlachetne serce, a odmówił bodaj tysiąca franków renty, to znaczy chleba, ś c i ś l e b i o r a c c h l e b a, ja miałbym sobie odmówić przyjemności, która się nastęcza? Toć to orzeźwiający źródło, które gasi moje pragnienie w pustym mierności przebywanej tak mozolnie! Na honor, nie głupim; niech każdy dba o siebie w pustyni egoizmu zwanej życiem.

Przypomniał sobie wzgardliwe spojrzenie pani de la Mole, a zwłaszcza jej dostojnych przyjaciółek. Przyjemność zwycięstwa nad panem de Croisenois spłoszyła do reszty ten przebłysk cnoty.

– Jakżebym chciał, aby się obraził! – wykrzyknął. – Jakże pewną ręką wpakowałbym mu teraz szpadę gdzieś pod zebro! (Zaznaczył gestem cios). Przedtem byłem chłystkiem wyzyskującym nikczemnie odrobinę odwagi. Po tym liście jestem mu równy.

– Tak – powiadał sobie z nieopisaną rozkoszą, sącząc z wolna słowa – zważono na szali zalety pana margrabiego i moje i biedny cieśla przeważał.

– Bravo! – wykrzyknął. – Oto jak trzeba mi podpisać mą odpowiedź. Nie wyobrażaj sobie, panno de la Mole, że ja zapominam o moim stanie. Dam ci ja dobrze uczuć i zrozumieć, że to z synem drwala zdradasz potomka sławnego Wita de Croisenois, który towarzyszył świętemu Ludwikowi na wyprawę krzyżową.

Julian nie mógł powściągnąć radości. Musiał zejść do ogrodu. Pokój, w którym zamknął się na klucz, wydał mu się ciasny, duszny.

– Ja, biedny góralczyk – powtarzał sobie bez ustanku – ja, skazany wiecznie na ten smutny czarny strój! Ha! Dwadzieścia lat wprzód nosiłbym mundur, jak oni. Wówczas człowiek taki jak ja ginął lub był w t r z y d z i e s t y m s z ó s t y m r o k u g e n e r a ł e m.

List, który trzymał w ręce, dawał mu wzrost i postawę bohatera.

– Teraz, prawda, w tym czarnym ubraniu można mieć w czterdziestym roku sto tysięcy franków dochodu i błękitną wstęgę jak biskup z Beauvais. Doskonale! – mówił śmiejąc się uśmiechem Mefistofelesa. – Mam więcej sprytu od nich; umiem wybierać mundur swej epoki.

Uczuł przyływ ambicji i przywiązania do duchownego stroju. – Iluż kardynałów niżej urodzonych ode mnie panowało! Mój ziomek Granvelle na przykład.

Stopniowo podniecenie Juliana uspokoiło się; rozsądek przeważał. Powiedział sobie tak jak jego mistrz Tartufe, którego rolę umiał na pamięć:

Mogę w tym widzieć podstęp niewinny z twej strony.

.....

Nie uwierzę tym słowom, tak pełnym słodyczy,

Póki łask twoich, pani, dowód wyraźniejszy

Powątpiewania mego w twą szczerłość nie zmniejszy...

*Tartufe, akt IV, scena 5*

– Tartufe także zginął przez kobietę, a był to chwyt nie lada... Mogłaby komu pokazać mą odpowiedź... ale znajdziemy lekarstwo – dodał cedząc z wolna słowa z akcentem tłu-

mionego okrucieństwa – zaczniemy ją od najpłomienniejszych zdań z listu boskiej Matyldy.

Tak, ale czterech lokajów pana de Croisenois rzuci się na mnie i wydrze mi oryginał.

Nie; jestem dobrze uzbrojony i mam zwyczaj, jak wiadomo, palić bez ceremonii do lokajów.

Ale cóż, trafi się jeden odważniejszy i rzuci się na mnie. Przyrzeczono mu sto napoleonów. Zabijam go albo ranię, doskonale, tego właśnie chcieli. Wtrąca mnie do więzienia zupełnie legalnie; stawia przed sądem karnym i wysła, wedle wszelkich form, abym dotrzymał w Poissy towarzystwa panom Fontan i Magalon. Tam będę sypiał na barłogu z czterystu nędzaczami... I ja miałbym się litować nad tymi ludźmi! – wykrzyknął zrywając się gwałtownie. – Czy oni znają litość nad biedakiem, skoro dostaną go w ręce!

Wykrzyk ten był ostatnim tchnieniem wdzięczności dla pana de la Mole, która mimo woli dręczyła go trochę.

– Z wolna, z wolna, panowie szlachta, rozumiem tę makiawelską sztuczkę; ksiądz Maslon ani ksiądz Castanède, władca seminarium, nie mógłby wymyślić nic lepszego. Odbierzcie mi list p r o w o k a t o r s k i, a zrobicie ze mnie drugie wydanie pułkownika Caron w Kolmarze. Chwileczkę, panowie, prześlę ów ważny list w opieczętowanej paczce księdzu Pirard. To uczciwy człowiek, jansenista, niedostępny pokusom pieniężnym. Tak, ale on otwiera listy... nie, posłę Fouquému.

Trzeba wyznać, że spojrzenie Juliana w tej chwili było okrutne, fizjonomia wstrętna; oddychała szczerą zbrodnią. Był to nędzacz uzbrojony przeciw całemu społeczeństwu.

– D o b r o n i ! – wykrzyknął Julian. I jednym susem przebył stopnie pałacowego ganuku. Wszedł do budynku publicznego pisarza; przestraszył go.

– Przepisz pan – rzekł podając mu list panny de la Mole.

Podczas gdy pisarz pełnił swą czynność, on sam napisał do Fouquégo; prosił o przechowanie cennego depozytu. – Ale – wpadło mu nagle do głowy – c z a r n y g a b i n e t na poczcie otworzy mój list i da wam to, czego szukacie... nie, panowie!

Kupił w protestanckiej księgarni ogromną Biblię, ukrył zręcznie list Matyldy w okładce, zapakował i wysłał dylizanssem pod adresem jednego z robotników Fouquégo, którego nazwiska nikt nie znał w Paryżu.

Dokonawszy tego, wrócił rad i wesół do pałacu de la Mole.

– Teraz do p r a c y ! – wykrzyknął zamykając się na klucz i zrzucając surdut.

*Jak to, pani – pisał do Matyldy – więc to panna de la Mole przesłała przez lokaja ten list nazbyt ponętny dla biednego drwala!... Zapewne chciała Pani zadrwić z jego naiwności...*

Po czym cytował najjaskrawsze zdania z otrzymanego listu. Jego własny list przyniosłby zaszczyt dyplomatycznej zręczności kawalera de Beauvoisis. Była dopiero dziesiąta; Julian, pijany szczęściem i poczuciem swej potęgi, tak nowym dla biedaka, udał się do Opery Włoskiej. Słuchał śpiewu przyjaciela swego Geronimo. Nigdy muzyka nie działała nań w ten sposób. Był bogiem.

## XLIV. MYŚLI MŁODEJ DZIEWCZYNY

Ileż niepewności! Ileż bezsennych nocy!  
Wielki Boże! jakież poniżenie! On sam  
będzie mną pogardzał. Ale on jedzie, tracę go!  
Alfred de Musset

Matylda napisała swój list nie bez walki. Jaki bądź był początek skłonności jej do Juliana, niebawem wzięła ona górę nad dumą, która, odkąd Matylda pamiętała sama siebie, władała wyłącznie w jej sercu. Tę wzniosłą i zimną duszę opanowało po raz pierwszy namiętne uczucie. Ale uczucie to, jeśli pokonało dumę, było jeszcze wierne nawykom dumy. Dwa miesiące walki i nieznanych wrażeń przetworzyły, można rzec, całą jej istotę moralną.

Matyldzie zdawało się, że widzi przed sobą szczęście. Wizja ta, tak wszechmocna dla śmiałych dusz skojarzonych z wyższym umysłem, musiała długo zmagać się z godnością oraz względami pospolitych obowiązków. Jednego dnia Matylda zaszła do matki o siódmej rano, prosząc, aby jej pozwoliła na jakiś czas osiąść w Villequier. Margrabina nie raczyła nawet odpowiedzieć i kazała jej wrócić do łóżka. Był to ostatni wysiłek płaskiego rozsądku i hołdu wobec przyjętych pojęć.

Obawa występków oraz urażenia poglądów świętych dla panów de Caylus, de Luz i de Croisenois działały na nią dość słabo: ci ludzie nie są zdolni jej zrozumieć; radziłyby się ich, gdyby chodziło o kupno kolaski lub majątku. Istotnym jej lękiem było nie zrazić Juliana.

A może i on ma jedynie pozory człowieka wyższego?

Nienawidziła słabych; była to jedyna pretensja do ładnych chłopców, którzy ją otaczali. Im dowcipniej żartowali sobie ze wszystkiego, co odbiega od mody lub podąża za nią niezręcznie, tym więcej tracili w jej oczach.

– Są odważni, to wszystko. I to jeszcze jak odważni! – myślała. – W pojedynku; ale pojedynki są już częścią ceremonii. Wszystko jest wiadome zawczasu, nawet to, co trzeba powiedzieć padając. Skoro się leży na trawie, z ręką na sercu, trzeba się zdobyć na szlachetne przebaczenie dla wroga oraz czułe słówko dla swej damy, często urojonej lub takiej, która idzie na bal w dzień śmierci amanta, aby nie budzić podejrzeń.

Łatwo wyzywać niebezpieczeństwo na czele lśniącego stają szwadronu; ale niebezpieczeństwo samotne, pojedyncze, nieprzewidziane, naprawdę szpetne!



– Ach, tak – dumiała Matylda – na dworze Henryka III spotykało się ludzi wielkich charakterem jak i urodzeniem! Ha! Gdyby Julian był służył pod Jarnac lub pod Moncontour, nie wątpiłabym o nim. W owych czasach jurności i siły Francuzi nie byli lalkami. Dzień bitwy był niemal dniem najmniejszych wzruszeń.

Życie ich nie było spętane jak mumia egipska, w powijaku zawsze wspólnym, wciąż jednakim. Tak – dodała – więcej trzeba było odwagi, aby wrócić samemu o jedenastej wieczór, wychodząc z pałacu de Soissons, gdzie mieszkała Katarzyna Medycejska, niż dziś, aby uganiać się po Algierze. Życie mężczyzny było pasmem przypadków. Obecnie cywilizacja wyгнаła przypadek, nie ma nic n i e p r z e w i d z i a n e g o. Jeśli objawi się w myślach, na wypródkę smaga się je docinkami; jeśli w faktach, lęk nasz nie cofa się przed żadną nikczemnością. Do jakiego bądź szaleństwa popchnie nas strach, jest ono usprawiedliwione. Zwyradniały, nudny wiek! Co by powiedział Bonifacy de la Mole, gdyby wychylając z grobu uciętą głowę ujrzał w 1793, jak siedemnastu jego potomków dało się ująć jak barany, aby w dwa dni potem dać szyję na gilotynie? Śmierć była rzeczą pewną, ale byłoby w złym tonie bronić się i zabić jednego lub dwóch jakobinów. Ach, w heroicznym czasie Francji, w wieku Bonifacego de la Mole, Julian byłby dowódcą szwadronu, a mój brat młodym księdzem, skromnym i cnotliwym, o statecznym wzroku i odmierzonych słowach.

Na kilka miesięcy wprzód Matylda zwątpiła, aby mogła spotkać istotę nieco różną od wspólnego wzoru. Bawiło ją jakiś czas pisywanie do paru młodych elegantów. Śmiałość ta, tak nierozważna, mogła ją zniesławić w oczach pana de Croisenois, księcia de Chaulnes, jego ojca, i całej przyszłej rodziny, która na wieść, że zamierzone małżeństwo się rozchodzi, chciałyby znać powody. W dniu, w którym napisała list, Matylda nie mogła spać. Ale owe listy to były jedynie odpowiedzi. Tutaj ośmieliła się wyznać, że kocha. Napisała p i e r w s z a (straszne słowo!) do człowieka stojącego na najniższym szczeblu. Okoliczność ta groziła w razie odkrycia wieczną hańbą. Któraż z przyjaciółek matki ośmieliłaby się stanąć w jej obronie? Cóż za bajkę można by wymyślić, aby osłabić wzdargę salonów?

Już mówić byłoby okropne, ale pisać! „S ą r z e c z y, k t ó r y c h s i ę n i e p i s z e !”, wykrzyknął Napoleon dowiadując się o kapitulacji Baylena. I to Julian przytoczył jej to odezwanie, jak gdyby dając jej zawczasu naukę.

Wszystko to jeszcze nic, lęk Matyldy miał inne przyczyny. Zapominając o wadze tej zbrodni wobec świata, o plamie haniebnej i nie do zmycia – obrażała bowiem swoją kastę – Matylda gotowała się pisać do człowieka innego zgoła typu niż panowie de Croisenois, de Luz, de Caylus. Głębia i tajemniczość Juliana mogły przerażać nawet w zwykłych stosunkach. A ona miała zeń zrobić swego kochanka, swego pana może!

– Jakież będą jego uroszczenia, jeśli kiedykolwiek będzie miał władzę nade mną! Więc dobrze, powiem sobie jak Medea: W ś r ó d t y l u n i e b e z p i e c z e ń s t w z o s t a ł a m s o b i e J A.

Julian nie ma żadnego szacunku dla urodzenia – tak przypuszczała. – Co więcej, może zupełnie mnie nie kocha!

W końcu tych straszliwych niepewności uczuła nagły przypływ kobiecej dumy. – Wszystko powinno być niezwykle w życiu istoty takiej jak ja! – wykrzyknęła, zniecierpliwiona. Duma, którą wszczepiono jej od dzieciństwa, walczyła z cnotą. W tej chwili doszedł jej wiadomości wyjazd Juliana i ten przyspieszył wszystko.

(Takie charaktery są na szczęście bardzo rzadkie.)

Wieczorem, bardzo późno, Julian wpadł na chytry pomysł, aby kazać znieść do odźwiernego ciężką walizę; do pomocy wezwał lokaja zalecającego się do pokojówki.

– To może nie zdać się na nic – myślał – ale jeśli się powiedzie, panna będzie myślała, że wyjechał.

Usnął, bardzo rad ze swego konceptu. Matylda nie zmrużyła oka.

Nazajutrz wczesnym rankiem Julian wyszedł niepostrzeżenie z pałacu, ale wrócił przed ósmą.

Ledwie się znalazł w bibliotece, panna de la Mole zjawiała się w progu. Oddał jej odpowiedź. Uważał, że powinien do niej przemówić, była przynajmniej wyborna sposobność, ale panna nie chciała słuchać: wyszła. Julian był uszczęśliwiony, nie wiedziałby, co mówić.

– Jeśli to wszystko nie jest zabawką ułożoną z hrabią Norbertem, jasne jest, że to mój oziębły wzrok rozpałił pocieszoną miłość w tej arystokratycznej paninie. Byłbym skończony dudek, gdybym sobie dał zawrócić w głowie tej jasnowłosej lali.

Pod wpływem tych rozważań Julian stał się jeszcze chłodniejszy i bardziej wyrachowany niż wprzód.

– W bitwie, która się gotuje – dodał – duma będzie niby wyniosły pagórek, stanowiący jej obronną pozycję. Na tym terenie trzeba manewrować. Źle zrobiłem zostając w Paryżu; ta zwłoka poniża mnie i wystawia na sztych, jeśli to wszystko jest tylko grą. Jakimż niebezpieczeństwem groził ten wyjazd? Ja sobie drwiłem z nich, jeśli oni drwili ze mnie! A jeśli jej sympatia jest szczerą, pomnożyłbym ją tym stokrotnie.

List panny de la Mole dostarczył próżności Juliana tak żywych wzruszeń, że ciesząc się tym, co się stało, zapomniał rozważyć korzyści wyjazdu.

Nieszczęściem jego charakteru było to, że był zbyt wrażliwy na własne błędy. Ta omyłka podrażniła go bardzo; nie myślał już prawie o nieprawdopodobnym triumfie, który poprzedził tę drobną ohydę, kiedy około dziewiątej panna zjawiała się w progu, rzuciła mu list i uciekła.

– Zdaje się, że to będzie romans w listach – rzekł podnosząc list. – Nieprzyjaciel robi fałszywy ruch, oszańcuje się oziębłością i cnotą.

Matylda prosiła go o stanowczą odpowiedź; list jej miał akcent bólu, który pomnażał radość Juliana. Zrobił sobie tę przyjemność, aby przez dwie stronicie wodzić w ciemnościach osoby, które chciały zeń sobie zadrwić, po czym, również dla żartu, oznajmił pod koniec, że wyjazd postanowiony jest na jutro.

– W ogrodzie znajdę sposobność doręczenia jej listu – pomyślał. I udał się do ogrodu. Spojrzał w okno panny de la Mole.

Pokój ten znajdował się obok apartamentów matki, na pierwszym piętrze, ale nad antresolą. Piętro było tak wysokie, że kiedy Julian przechadzał się z listem w ręku w alei lipowej, panna de la Mole nie mogła dojrzeć go z okna. Strzyżone sklepienie lip zasłaniało widok.

– Ech – rzekł Julian, podrażniony – nowa nieostrożność! Jeśli postanowiono zadrwić sobie ze mnie, wówczas, pokazując się z listem w ręku, wspomagam plany wrogów.

Pokój Norberta znajdował się tuż nad pokojem siostry; gdyby Julian wychylił się spod lip, hrabia i jego przyjaciele mogliby śledzić wszystkie jego ruchy.

Panna de la Mole ukazała się za szybą; wysunął list, a ona spuściła głowę. Natychmiast Julian wrócił pędem do siebie; przypadkowo spotkał na schodach piękną Matyldę, która pochwyciła jego list z zupełną swobodą i roześmianymi oczami.

– Ileż uczucia było w oczach biednej pani de Rênal – pomyślał Julian – kiedy nawet po pół roku romansu odważyła się przyjąć list ode mnie! W życiu swoim, jak sądzę, nie popatrzyła na mnie tak wesoło.

Nie sformułował również jasno dalszych refleksji; czy wstydział się może błałości pudek?

– Ale też co za różnica! – dodawała jego myśl – ten wykwint rannej sukienki, ta wytworność obejścia! Widząc pannę de la Mole światowy człowiek odgadłby na trzydzieści kroków sferę, do której należy. To się nazywa wartość oczywista!

Żartując tak Julian nie przyznawał się jeszcze przed sobą do całej swej myśli: pani de Rênal nie miała sposobności poświęcenia dlań margrabiego de Croisenois. Rywalem jego

był jedynie ów ohydny podprefekt Charcot, który przezwał się d e M a u g i r o n, ponieważ Maugironów już nie ma.

O piątej Julian otrzymał list trzeci; rzucono mu go pod drzwi biblioteki. Panna znowu uciekła. – Cóż za mania pisania – pomyślał śmiejąc się – kiedy można tak wygodnie rozmawiać! Nieprzyjaciel chce mieć moje listy, to jasne, i to w większej ilości.

Nie śpieszył się z otwarciem. – Znowu frazesy – pomyślał. Ale czytając pobladł. Było tylko kilka wierszy:

*Pragnę rozmówić się z Panem; muszę z Panem mówić dziś wieczór; proszę być w ogrodzie z uderzeniem pierwszej po północy. Znajdzie Pan koło studni drabinę ogrodową, niech Pan ją przystawi do okna i wejdzie. Będzie dziś księżyc, mniejsza o to.*

## XLV. CZY SPISEK?

Ha! Jakże okrutny jest czas między powzięciem  
wielkiego zamysłu a wykonaniem!  
Ileż próżnych lęków! Ile niepewności!  
Chodzi o życie. – Chodzi o więcej, o honor!  
S c h i l l e r

– To zaczyna być poważne... – myślał Julian – i nieco zbyt wyraźne – dodał po zastanowieniu. – Jak to, ta piękna panna może ze mną mówić w bibliotece z najzupełniejszą. Bogu dzięki, swobodą; margrabia, w obawie, bym mu nie pokazał rachunków, nie zagląda tam nigdy. Jak to! Pan de la Mole i hrabia Norbert, jedyne osoby, które tu zachodzą, są prawie cały dzień za domem, można z łatwością wiedzieć, kiedy wracają, i oto wyniosła Matylda, dla której ręka udzielnego księcia nie byłaby zbyt szlachetna, chce, abym popełnił najobrzydliwszą nieostrożność!

To jasne, chcą mnie zgubić lub co najmniej zadrwić ze mnie. Zrazu chcieli mnie zgubić przez moje listy; okazały się zbyt ostrożne; trzeba im czynu jaśniejszego niż dzień. Ci piękni panicze mają zbyt wysokie pojęcie o mej głupocie lub próżności. Tam, do licha, w najpiękniejszą noc księżycową pięć się dwadzieścia pięć stóp na pierwsze piętro! Wszyscy będą mieli czas mnie oglądać, nawet z sąsiedztwa. Ładnie będę wyglądał na tej drabinie!

Julian udał się do siebie i pogwizdując zaczął pakować walizę. Zdecydowany był jechać, nawet nie odpowiadając.

Ale to roztropne postanowienie nie wróciło mu spokoju. – Gdyby przypadkiem – rzekł nagle do siebie zamknąwszy walizę – Matylda działała z dobrą wiarą, wówczas odegrałbym rolę skończonego tchórze. Ja nie jestem u r o d z o n y, trzeba mi tęgich przymiotów płatnych gotówką, nie na kredyt czyjejsz życzliwości, trzeba czynów!

Kwadrans bił się z myślami. – Na co przeczyć? – rzekł wreszcie. – Będę w jej oczach tchórzem. Tracę nie tylko najświetniejszą ozdobę arystokracji, jak o niej mówiono na balu, ale prócz tego boską przyjemność zwycięstwa nad margrabią de Croisenois, synem księcia, dziedzicem jego mitry. Uroczy młodzian, posiadający wszystkie przymioty, których mnie zbywa: dowcip, urodzenie, majątek...

Wyrzut ten ścigałby mnie całe życie; nie z powodu niej, tyle jest ładnych kobiet...

...Lecz honor jest jeden!

powiada stary don Diego. Otóż tutaj jasno i wyraźnie cofam się przed pierwszym niebezpieczeństwem, które się nastęca; pojedynek z panem de Beauvois to był żart! Tu sprawa zupełnie inna. Mogę być ustrzelony przez lokaja, ale to najmniejsza: mogę być zniesławiony!

To zaczyna być poważne, mój chłopcze – dodał wesoło przedrzeźniając gaskoński akcent. – Tu idzie o h o n o r. Nigdy biedaczyna, rzucony przez los równie nisko jak ja, nie odnajdzie takiej sposobności; będę miał sukcesy, ale ot, pokątne...

Zastanawiał się długo, przechadzał się szybkim krokiem, zatrzymując się od czasu do czasu. W pokoju znajdował się marmurowy biust kardynała Richelieu, na który mimo woli Julian zwracał spojrzenie. Biust ten zdawał się nań patrzeć surowo, jak gdyby wyrzucając mu brak odwagi będącej rasowym obowiązkiem Francuza. – Za twoich czasów, wielki człowieku, czyżbym się wahał?

– W najgorszym razie – rzekł wreszcie – przypuśćmy, że to pułapka; jest ona bardzo szpetna i bardzo kompromitująca dla młodej panny. Wiedzą, że nie jestem człowiekiem, który by zmilczał. Trzeba mnie będzie tedy zgładzić. To byłoby dobre w 1574, za Bonifacego de la Mole, ale dzisiejszy la Mole nie odważyłby się na to. To już nie ci ludzie. Panna de la Mole budzi tyle zawiści! Czteryście salonów głosiłoby jutro jej hańbę, i z jaką uciechą!

Lokaje szepcą już między sobą o szczególnych względach, których jestem przedmiotem; wiem, słyszałem...

Z drugiej strony, te listy! Mogą myśleć, że mam je przy sobie. Zdybawszy mnie u panny, odbiorą mi je. Będę miał sprawę z dwoma, trzema, czterema ludźmi, czy ja wiem? Ale skąd oni wezmą w Paryżu tylu ludzi? Gdzie znaleźć w Paryżu dyskretnych służalców? Boją się sądów, trybunałów... ba, nawet tacy: Caylus, Croisenois, de Luz – wszyscy. Ta chwila, ta głupia mina, jaką będę miał wśród nich, to musiało ich skusić. Strzeż się losu Abelarda, mości sekretarzu!

Więc dobrze, do kroćset, nauczę was i ja, będę rąbał w twarz, jak żołnierze Cezara pod Farsalus. Co do listów, mogę je złożyć w bezpiecznym miejscu.

Przepisał ostatnie dwa listy, ukrył je w ozdobnym wydaniu Woltera w bibliotece i sam zaniósł oryginały na pocztę.

– Na jakież szaleństwo się puszczam! – mówił ze zdumieniem i grozą, wróciwszy do domu. Przez kwadrans nie pomyślał o tym, co miał uczynić jeszcze tej nocy. – Ale jeśli się cofnę, będę pogardzał sam sobą. Całe życie czyn ten będzie dla mnie przedmiotem straszliwej wątpliwości, wątpliwość zaś taka jest dla mnie najdotkliwszym cierpieniem. Czyż nie doświadczyłem tego z kochankiem Amandy? Sądzę, że łatwiej darowałbym sobie zbrodnię; raz przyznawszy się, przestałbym o niej myśleć.

Jak to, byłbym rywalem człowieka noszącego jedno z najpiękniejszych nazwisk we Francji i miałbym sam, dobrowolnie, uznać swą niższość? Tak, nie iść to tchórzostwo! To słowo rozstrzyga o wszystkim – rzekł Julian wstając – a przy tym panna jest bardzo ładna!

Jeśli to nie jest pułapka, jakież ona szaleństwo popełniła dla mnie!... Jeśli to mistyfikacja, do kroćset, panowie! Ode mnie zależy, aby żart przybrał obrót serio, i tak też uczynię.

Ale jeśli mi zwiążą ręce, gdy wejdę do pokoju? Mogą ustawić jakiś potrzask!

To tak jak w pojedynku – pomyślał śmiejąc się. – Jest zastawa na każde pchnięcie, powiada mistrz fechtunku. Ale Opatrzność, która chce, aby się to raz skończyło, sprawia, że jeden z przeciwników zapomina się zastawić. Zresztą oto moja odpowiedź!” – tu Julian wy dobył pistolety i mimo że panewka była opatrzona, odnowił kapslę.

Zostawało jeszcze kilka godzin; w oczekiwaniu Julian napisał do Fouquégo:

*Mój przyjacielu, otwórz załączony list jedynie w razie wypadku, jeśli usłyszysz, że stało się coś osobliwego. Wówczas wymaż nazwiska z rękopisu, który załączam, i sporządź osiem kopii, które roześlesz do dzienników w Marsylii, Bordeaux, Lyonie, Brukseli etc.; w*

*dziewięć dni później każ wydrukować rękopis, prześlij egzemplarz margrabiemu; po dwóch tygodniach porozrzucaj egzemplarze w nocy po ulicach Verrières.*

Ten krótki usprawiedliwiający memoriał, który Fouqué miał otworzyć jedynie w razie wypadku, Julian ułożył w sposób najmniej narażający pannę de la Mole; odmalował jedynie wyraźnie swoje położenie.

Julian wiązał właśnie paczkę, kiedy zadzwoniono na obiad; serce zaczęło mu bić. Wyobraźnia jego, rozgrzana opisem, który nakreślił, pełna była tragicznych przeczuć. Widział siebie schwytanego przez służbę, skrępowanego, wleczonego do piwnicy z zakneblowanymi ustami. Tam któryś ze sług strzegł go bez ustanku, jeśli zaś honor dostojnej rodziny wymagał, aby sprawa wzięła tragiczny obrót, łatwo było zakończyć wszystko za pomocą trucizny nie zostawiającej śladów; powiedziano by, że umarł na jakąś chorobę, i przeniesiono go z wzdolki do pokoju.

Wzruszony własną powieścią, niby aktor dramatyczny, Julian wchodził do jadalni z istotnym lękiem. Patrzył na służbę w wielkiej liberii. Badał fizjonomie. – Których wybrano na nocną obławę? – pytał sam siebie. W tej rodzinie wspomnienia dworu Henryka III są tak żywe, tak często wskrzeszane, że w poczuciu zniewagi potrafią oni być energiczniejsi niż kto inny z tej sfery. Spojrzał na pannę de la Mole, aby wyczytać w jej oczach zamiary rodziny; była blada, fizjonomia jej miała coś zupełnie średniowiecznego. Nigdy nie wydała się tak wspaniała; była naprawdę piękna i imponująca. Uczuł w sercu prawie miłość. – *Pal-lida morte futura* — pomyślał. (Bładość jej zwiastuje wielkie zamiary).

– Czemu nie powiedzieć prawdy? – Bał się. Ponieważ zdecydowany był na czyn, poddawał się temu uczuciu bez wstydu. – Bylem w chwili działania miał dość odwagi, cóż znaczą moje uczucia w tej chwili?

Poszedł rozpatrywać się w położeniu, zbadać ciężar drabiny.

– Oto narzędzie – pomyślał ze śmiechem – którym jest mi przeznaczone posługiwać się, tu i w Verrières! Cóż za różnica! Wówczas – dodał z westchnieniem – nie musiałem się strzec osoby, dla której się narażałem. I cóż za różnica w niebezpieczeństwie!

Gdyby mnie zabito w ogrodzie pana de Rênal, nie byłoby w tym dla mnie hańby. Z ła-twością zdołano by upozorować śmierć. Tutaj, cóż za ohydne powiastki będą krążyć w pa-lacach de Chaulnes, de Caylus, de Retz, słowem, wszędzie. Będę potworem w oczach po-tomności.

Przez dwa lub trzy lata – podjął śmiejąc się i drwiąc z samego siebie. Ale ta myśl była mu straszna. – I co zdoła mnie usprawiedliwić? Przypuśćmy, że Fouqué wydrukuje mój pośmiertny pamflet, to będzie tylko jedno bezeceństwo więcej. Jak to! Przyjmują mnie w dom i za cenę gościnności, łask, którymi mnie obsypują, drukują pamflet odsłaniając do-mowe tajemnice! Znieważam honor kobiety! Och, tysiąc razy lepiej być ofiarą!

Był to dla Juliana straszliwy wieczór.

## XLVI. PIERWSZA PO PÓLNOCY

Miał pisać do Fouquégo z odwołaniem, kiedy wybiła jedenasta. Z hałasem przekręcił klucz, jak gdyby zamykał się na noc. Obszedł na palcach cały dom, zwłaszcza czwarte piętro, gdzie mieszkała służba. Nie zauważył nic podejrzanego. Pokojówka margrabiny wydawała wieczór, służba zapijała poncz bardzo wesoło. – Ci, którzy się tak śmieją, nie mogą być przeznaczeni do nocnej wyprawy, byłiby poważniejsi.

Wreszcie zeszedł, aby się ukryć w ciemnym kącie ogrodu. – O ile to ma być sekret przed służbą, w takim razie muszą sprowadzić przez mur ludzi przeznaczonych na to, aby mnie pochwyć. Jeżeli pan de Croisenois zachował jeszcze nieco rozwagi, musi rozumieć, że mniej będzie kompromitujące dla jego przyszłej żony, jeśli mnie pochwyca, nim wejdę do sypialni.

Zbadał teren z wojskową ścisłością. – Chodzi tu o mój honor – myślał. – Jeśli popełnię jaką nierozwagę, nie będzie żadnym usprawiedliwieniem powiedzieć sobie: Nie przewidziałem tego.

Czas był rozpaczliwie pogodny. Około jedenastej księżyc wstał; o wpół do pierwszej oświecał całą fasadę od ogrodu.

– Oszalała! – powtarzał sobie Julian. Kiedy wybiła pierwsza, świeciło się jeszcze w oknach Norberta. W życiu swoim Julian nie zaznał tyle strachu, widział jedynie niebezpieczeństwo, nie czuł żadnego zapału. Poszedł po ogromną drabinę, czekał pięć minut, aby dać czas na odwołanie rozkazu, i pięć minut po pierwszej przystawił drabinę do okna. Wszedł powoli z pistoletem w rękę, zdziwiony, że go nikt nie napada. Skoro się zbliżył do okna, otwarło się z cicha:

– Jest pan – rzekła Matylda, wzruszona. – Śledzę pańskie ruchy od godziny.

Julian był bardzo zakłopotany, nie wiedział, jak się zachować, nie czuł ani śladu miłości. W zakłopotaniu swoim myślał, że trzeba być przedsiębiorczym, spróbował uścisnąć Matyldę.

– Fe! – rzekła odpychając go.

Bardzo rad, że go odtrąciła, rozejrzał się dokoła. Księżyc świecił tak jasno, że cienie, jakie rzucał w pokoju panny de la Mole, były zupełnie czarne. – Mogliby tam doskonale ludzie być ukryci tak, że ich nie widać – pomyślał.

– Co pan tam ma w kieszeni? – spytała Matylda, uszczęśliwiona, że znalazła temat do rozmowy. Czuła się bardzo nieszczęśliwa; wszystkie uczucia skromności i lęku, tak naturalne u panny z wielkiego domu, odzyskały swą władzę i zadawały jej tortury.

- Mam rozmałą broń i pistolety – odparł Julian, niemniej rad, że może coś powiedzieć.
- Trzeba odsunąć drabinę – rzekła Matylda.
- Jest bardzo duża; może stłuc szybę w salonie albo na parterze.
- Nie trzeba tłuc szyb – odparła Matylda starając się na próżno odzyskać naturalny ton.
- Mógłby ją pan, jak sądzę, spuścić na sznurze. Mam zawsze zapas sznurów.
- I to ma być kobieta zakochana – pomyślał Julian – ona śmie mówić, że kocha! Co za zimna krew! Co za rozwaga, ostrożność! Nie, to jasne, nie pobiłem margrabiego de Croise-nois, jak w swej głupocie sądziłem; jestem po prostu jego następcą. Ale w gruncie, cóż mi to znaczy? Alboż ja ją kocham? Pobiłem margrabiego w tym rozumieniu, że on będzie nierad z tego, że ma następcę, a jeszcze bardziej, że tym następcą jestem ja. Z jaką dumą przyglądał mi się wczoraj u Tortoniego, udając, że mnie nie poznaje! Jak niechętnie przywitał się później, skoro już nie mógł inaczej!
- Julian przywiązał sznur do ostatniego szczebla i spuszczał pomału drabinę wychylając się mocno, aby nie uderzyć w szybę.
- Doskonały moment, aby mnie zabić – pomyślał – jeśli jest ktoś ukryty w pokoju Matyldy. – Ale wciąż panowało głębokie milczenie.
- Drabina dotknęła ziemi. Julian zdołał ją ułożyć na grzędzie egzotycznych kwiatów pod murem.
- Co powie matka – rzekła Matylda – skoro ujrzy swoje krzewy połamane!... Trzeba rzucić sznur – dodała z zimną krwią. – Gdyby ktoś spostrzegł sznur u balkonu, trudno by to było usprawiedliwić.
- A j a k j a b ę d ę o d e j ś ć ? – rzekł Julian żartobliwie, naśladowując gwarę kreolską (jedna z pokojówek pani de la Mole urodziła się na San Domingo).
- P a n b ę d z i e o d e j ś ć d r z w i a m i – rzekła Matylda, zachwycona tym konceptem.
- Och, jakże ten człowiek godzien jest mojej miłości! – pomyślała.
- Julian opuścił sznur. Matylda ścisnęła mu ramię. Sądząc, że to nieprzyjaciel, odwrócił się żywo dobywając sztyletu. Matyldzie zdawało się, że ktoś otwiera okno. Stali nieruchomo z zapartym oddechem. Księżyc świecił im prosto w twarz. Szmer nie powtórzył się, niepokój minął.
- Wówczas wróciło zakłopotanie, równe po obu stronach. Julian upewnił się, czy drzwi zaryglowane; miał ochotę zajrzeć pod łóżko, ale nie śmiał; mogło się tam doskonale kryć paru lokajów. Wreszcie, aby sobie później nie wyrzucać tego zaniedbania, zajrzał.
- Matyldę znowu ogarnęło przemożne uczucie nieśmiałości. Położenie przejmowało ją grozą.
- Co pan zrobił z listami? – rzekła wreszcie.
- Cóż za sposobność sprawienia niespodzianki tym panom, jeśli słuchają, i uniknięcia bitwy! – pomyślał Julian.
- Pierwszy zaszyty jest w Biblii, którą wczoraj dyliżans uwiózł bardzo daleko.
- Mówił wyraźnie i szczegółowo, tak aby mogły słyszeć osoby ukryte w dwóch mahoniowych szafach, do których nie śmiał zajrzeć.
- Dwa następne są na poczcie i podążają tą samą drogą.
- Ależ, Boże, po co te ostrożności? – wykrzyknęła Matylda, przerażona.
- Po cóż kłamać? – pomyślał Julian i wyznał jej wszystkie swoje podejrzania.
- Oto więc przyczyna oziębłości twoich listów! – wykrzyknęła Matylda z akcentem raczej szaleństwa niż tkliwości.
- Julian nie zauważył tego odcienia, owo „ty” sprawiło, że stracił głowę lub co najmniej podejrzania jego rozwiały się; ośmielił się wziąć w ramiona śliczną dziewczynę, która budziła w nim tyle respektu. Odepchnęła go, ale miękko.



Sięgnął do swej pamięci, jak niegdyś w Besançon wobec Amandy, i wyrecytował kilka najładniejszych frazesów z *Nowej Heloizy*.

– Jesteś mężczyzną – odparła nie słuchając zbytnio jego tyrad – chciałam doświadczyć twej odwagi, wyznaję. Twoje pierwotne podejrzenia, twoja stanowczość dowodzą, że jesteś mężniejszy jeszcze, niż myślałam.

Matylda przemagała się, aby go t y k a ć; ten niezwykle sposób mówienia zaprzętał ją widocznie bardziej niż treść słów. T y k a n i e to, wyzute z czulszego akcentu, nie sprawiło Julianowi żadnej przyjemności; dziwił się, że nie czuje drgnienia szczęścia; musiał je wzbudzać w sobie rozumowo. Widział, że budzi szacunek hardej dziewczyny, która nigdy nie chwaliła niczego bez zastrzeżeń; świadomość ta upoiła jego miłość własną.

Nie była to, trzeba przyznać, owa rozkosz, jaką znajdował niekiedy przy pani de Rênal. Pierwsze te chwile nie miały nic tkliwego. Było to upojenie ambicji, a Julian był przede wszystkim ambitny. Zaczął na nowo mówić o swoich podejrzeniach i ostrożności. Mówiąc myślał, jak skorzystać ze zwycięstwa.

Matylda, jeszcze zakłopotana i jakby zgnębiona swoim krokiem, rada była, że znaleźli temat do rozmowy. Zaczęli mówić o sposobach widywania się. Julian upajał się inteligencją i tupetem, które rozwinął w tej dyskusji. Mieli do czynienia z ludźmi bardzo przenikliwymi, młody Tanbeau szpieguje niezawodnie, ale oni oboje też nie są znów tak niezręczni.

Cóż łatwiejszego niż spotkać się w bibliotece i tam się umawiać?

– Mogę zjawiać się, bez obudzenia podejrzeń, we wszystkich apartamentach – dodał Julian – prawie że w sypialni pani de la Mole. – Trzeba było nieodzownie przejść przez ten pokój, aby dostać się do pokoju córki. Jeśli Matylda woli, aby zawsze wchodził po drabinie, narażać się na to błahe niebezpieczeństwo będzie dlań rozkoszą.

Matyldę drażniła jego triumfująca mina. – Jest tedy moim panem! – myślała. Już nękały ją wyrzuty. Rozsądek wzдрыgał się przed tym bezmiarem szaleństwa, jakie popełniła. Gdyby mogła, unicestwiłaby siebie i Juliana. Kiedy chwilami siłą woli nakazywała milczenie wyrzutom, uczucia nieśmiałości i palącego wstydu czyniły ją bardzo nieszczęśliwą. Nie przewidywała strasznego stanu.

– Trze ba coś mówić – myślała – wypada przecież rozmawiać z kochankiem. Za czym, jakby dla spełnienia obowiązku, z czułością raczej w słowach niż w tonie, opowiedziała mu wszystko, co przeżyła w ciągu ostatnich dni.

Jeśli się odważy, zgodnie z jej rozkazem, wejść do niej po drabinie, wówczas (tak postanowiła) odda mu się zupełnie. Ale nikt nie powiedział rzeczy równie czułych zimniejszym i grzeczniejszym tonem. Dotąd schadzka była lodowato chłodna; doprawdy, można było zniechęcić miłość. Cóż za nauka dla szalonej dziewczyny! Czy warto gubić przyszłość dla takiego momentu?

Po długich wahaniach, które powierzchownemu świadkowi mogłyby się wydać objawem wybitnego wstrętu – tak trudno jest instynktom kobiecym ustąpić nawet tak niezłomnej woli – Matylda stała się wreszcie powolną kochanką Juliana.

Zapały te były, co prawda, nieco wymuszone. Namiętna miłość była raczej naśladowaniem niż rzeczywistością.

Panna de la Mole mniemała, że dopełniła obowiązku względem siebie i kochanka. – Biedny chłopiec – powiadała sobie – okazał tyle dzielności, powinien być szczęśliwy, inaczej byłby to z mej strony brak charakteru. – Ale byłaby rada, za cenę wiekiwego nieszczęścia, wykupić się z tej okrutnej konieczności.

Mimo strasznego gwałtu, jaki sobie zadawała, panowała w zupełności nad słowami.

Żaden wyrzut, żadna wymówka nie zepsuły tej nocy, która wydała się Julianowi bardziej dziwna niż szczęśliwa. Cóż za różnica, wielki Boże, z ostatnią dobą w Verrières! – Te paryskie maniery potrafią wszystko zepsuć, nawet miłość – powiadał w bezmiernej niesprawiedliwości.

Myślom tym oddawał się stojąc w wielkiej mahoniowej szafie, gdzie go ukryła Matylda za pierwszym szmerem w sypialni pani de la Mole. Matylda udała się z matką na mszę, pokojówki opuściły niebawem apartament i nim wróciły sprzątać, Julian wymknął się z łatwością.

Siadł na konia i zapuścił się w lasy najmniej uczęszczane w okolicy Paryża. Był bardziej zdumiony niż szczęśliwy. Szczęście, które od czasu do czasu wypełniało jego duszę, podobne było do uczuć młodego podporucznika, którego wskutek jakiegoś zdumiewającego czynu wódz zamianował z miejsca pułkownikiem; czuł się wyniesiony na olbrzymią wyżynę. Wszystko, co poprzedniego dnia było powyżej niego, znalazło się na równi lub niżej. Stopniowo, w miarę oddalenia, szczęście Juliana rosło.

Jeśli w uczuciach jego nie było tkliwości, to dlatego że – mimo iż słowo to może się wydawać dziwne – Matylda w całym postępowaniu dopełniła niejako obowiązku. We wszystkich wypadkach tej nocy nie było dla niej nic nieprzewidzianego prócz męki i wstydu, które znalazła w miejsce owej d o s k o n a ł e j b ł o g o ś c i opisywanej w powieściach.

– Czyżbym się omyliła, czyżbym go wcale nie kochała? – rzekła sobie.

## XLVII. STARA SZPADA

I now mean to be serious; it is time,  
Since laughter now-a-days is deem'd too serious  
A jast at vice by virtue's called a crime.  
*Don Juan; p. XII*

Nie zjawiała się przy obiedzie. Wieczorem zeszła na chwilę do salonu, ale nie patrzyła na Juliana. Wydało mu się to dziwne. – ale – pomyślał – nie znam ich obyczajów, zapewne ona mi to wytłumaczy. – Bądź co bądź z najwyższą ciekawością śledził rysy Matyldy; nie mógł ukryć przed sobą, że mają wyraz oschły i niechętny. Wyraźnie nie była to ta sama kobieta, która poprzedniej nocy odczuwała lub udawała wybuchy szczęścia, zbyt gwałtowne, aby mogły być szczerze.

Nazajutrz i trzeciego dnia ten sam chłód; nie patrzyła nań, nie zauważała jego obecności. Julian, pożerany niepokojem, był o sto mil od uczuć pierwotnego triumfu. Byłoby to przebudzenie cnoty? Ale to było zbyt płaskie słowo dla dumnej Matyldy.

– W zwykłych okolicznościach ona wcale nie wierzy w religię – myślał Julian – ceni ją jako rzecz użyteczną dla interesów kasty. Ale czy przez prosty wstyd nie może sobie wyrzucić błędu? – Julian sądził, że jest jej pierwszym kochankiem.

– Ale – powiadał znowu – trzeba przyznać, że w całym jej obejściu nie ma cienia prostoty, tkliwości; nigdy nie zdała mi się wynioślejsza. Czyżby mną gardziła? To by było godne jej: wyrzucać sobie to, co uczyniła, jedynie z powodu mego urodzenia.

Gdy Julian, dręczony uprzedzeniami czerpanymi w książkach i we wspomnieniach z Verrières, ścigał majak tkliwej kochanki, nie myślącej już o własnym istnieniu, od chwili gdy uszczęśliwiła lubego, próżność Matyldy burzyła się.

Ponieważ od dwóch miesięcy przestała nudzić się, nie lękała się już nudy; w ten sposób, nie mając o tym pojęcia, Julian stracił swą największą zaletę.

– Mam tedy władcę! – powtarzała panna de la Mole tonąc w zgryzocie. – Jest człowiekiem honoru, doskonale; ale jeśli urażę jego próżność, zemści się rozgłaszając nasz stosunek. – Matylda nie miała dotąd kochanka i w tej okoliczności, która daje jakieś tkliwe złudzenie najoschlejszym duszom, wydana była na łup gorzkich refleksji.

– Ma nade mną straszną władzę, skoro panuje grozą i może mnie okrutnie skarać, jeśli go doprowadzę do ostateczności. – Sama ta myśl wystarczała, aby pannę de la Mole pchnąć

do wyzywiania Juliana. Odwaga stanowiła główną jej cechę. Nic nie było w stanie jej poruszyć ani zagasić w niej uczucia wciąż odradzającej się nudy prócz myśli, że stawia na kartę cale istnienie.

Trzeciego dnia, gdy panna de la Mole wytrwale udawała, że go nie widzi, Julian udał się za nią po obiedzie, wyraźnie wbrew jej woli, do sali bilardowej.

– Sądzi pan, widocznie, że pan zyskał nade mną jakieś prawa – rzekła z ledwie wstrzymanym gniewem – skoro wbrew mej oczywistej woli upiera się pan mówić ze mną? Wie pan, że nikt nie zdobył się na taką śmiałość?

Nic zabawniejszego nad tę rozmowę kochanków; bezwiednie żywili dla siebie uczucia nienawiści. Ponieważ żadne nie odznaczało się łagodnością, przeto zachowując wzorowe formy oświadczyli sobie niebawem, że zrywają na zawsze.

– Przysięgam pani wieczną tajemnicę – rzekł Julian – dodałbym nawet, że nigdy nie odezwę się do pani, gdyby tak wyraźna odmiana nie musiała zaszkodzić jej reputacji.

Skłonił się z szacunkiem i wyszedł.

Dopełniał mniemanego obowiązku bez zbyteń trudu; nie przypuszczał, aby był zakochany w pannie de la Mole. To pewna, że jej nie kochał trzy dni wprzód, gdy siedział ukryty w mahoniowej szafie. Ale wszystko zmieniło się nagle, z chwilą gdy się poróżnił z Matyldą na zawsze.

Okrutna pamięć zaczęła mu odtwarzać najdrobniejsze szczegóły nocy, która w rzeczywistości zostawiła go tak chłodnym.

Tejże samej nocy, która nastąpiła po wiekiustym zerwaniu, Julian omal nie oszalał, zmuszony wyznać przed sobą, że kocha pannę de la Mole.

Okropne walki nastąpiły po tym odkryciu: sprawiło ono przewrót we wszystkich jego uczuciach.

W dwa dni później zamiast nadymać się wobec pana de Croisenois byłby go niemal uściśnął zalewając się łzami.

Oswoiwszy się nieco z tą męką uczuł błysk rozsądku: postanowił jechać do Langwedocji, spakował walizkę i udał się na pocztę.

Serce w nim zamarło, kiedy przybywszy do biura dowiedział się, że przypadkowo jest na jutro miejsce w dyliżansie. Zatrzymał je i wrócił oznajmić wyjazd margrabiemu.

Pan de la Mole wyszedł. Julian, w półmartwy, poszedł nań czekać w bibliotece. Jakież było jego uczucie, kiedy ujrzał tam pannę de la Mole.

Na jego widok przybrała wyraz niechęci, co do którego niepodobna było się mylić.

Zmożony cierpieniem, oszołomiony niespodzianką, Julian miał tę słabość, że przemówił do niej najtkliwszym, z duszy płynącym tonem:

– Więc nie kocha mnie już pani?

– Brzdzi mnie, że oddałam się pierwszemu lepszemu – rzekła płacząc z wściekłości.

– P i e r w s z e m u l e p s z e m u ! – wykrzyknął Julian i porwał stary średniowieczny miecz, przechowywany w bibliotece jako osobliwość.

Ból jego, już tak dotkliwy w chwili gdy odezwał się do panny de la Mole, pomnożyły stokrotnie łzy wstydu, które wylewała w jego oczach. Byłby najszczęśliwszy, gdyby ją mógł zabić.

W chwili gdy z trudem wyciągnął miecz z zardzewiałej pochwy, Matylda, szczęśliwa z nowego wrażenia, podeszła dumnie; przestała płakać.

Myśl o margrabim de la Mole, jego dobroczyńcy, stanęła Julianowi żywo przed oczami. – Zabić jego córkę – rzekł sobie – cóż za ohyda! – Już miał odrzucić szpadę. – Ani chybi – pomyślał – ona parskanie śmiechem na widok tego melodramatycznego gestu!

Ta myśl sprawiła, że odzyskał zimną krew. Obejrzał ciekawie brzeszczot, jak gdyby szukał na nim rdzawej plamy, następnie schował go do pochwy i spokojnie powiesił na złoconym gwoździu.

Czynność ta, dokończona bardzo wolno, trwała z minutę; panna patrzyła nań, zdziwiona.  
– Omal tedy nie zginęłam z ręki kochanka! – powtarzała sobie.

Myśl ta przenosiła ją w najpiękniejsze czasy Karola IX i Henryka III.

Stała nieruchoma przed Julianem, który właśnie powiesił broń, patrzyła nań już bez nawiści. Trzeba przyznać, że była uroczą w tej chwili, nie było w niej śladu l a l k i p a r y s k i e j (główny zarzut Juliana wobec paryżanek).

– Znowu gotowa bym ulec – myślała Matylda – dopieroż by się uważał za mego pana i władcę, i to właśnie w chwili, gdym doń mówiła tak ostro.

Uciekła.

– Boże, jaka ona piękna! – rzekł Julian patrząc za odchodzącą. – Pomyśleć, że niespełna przed tygodniem istota ta rzucała mi się w ramiona z taką furią... I te chwile nie wrócą nigdy! I to z mojej winy! I w chwili tak niezwykłego, tak chlubnego dla mnie zdarzenia byłem na nie nieczuły!... Trzeba przyznać, że natura dała mi płaski i nieszczęśliwy charakter!

Wszedł margrabia; Julian czym prędzej oznajmił wyjazd.

– Dokąd? – spytał nagle pan de la Mole.

– Do Langwedocji.

– O nie, za pozwoleniem, mam dla ciebie ważniejsze przeznaczenie! Jeśli pojedziesz, to na północ... a nawet, mówiąc po wojskowemu, internuję cię w pałacu. Bądź łaskaw nie oddalać się na dłużej, mogę cię potrzebować w każdej chwili.

Julian skłonił się i wyszedł bez słowa, ku zdumieniu margrabiego. Nie był w stanie mówić, zamknął się w pokoju. Tam mógł swobodnie rozpamiętywać całą okropność swego położenia.

– Tak więc – myślał – nie mogę nawet się oddalić! Bóg wie, jak długo margrabia zatrzyma mnie w Paryżu. Boże, cóż się ze mną stanie? I nie mam przyjaciela, którego bym się mógł poradzić: ksiądz Pirard nie pozwoliłby mi dokończyć pierwszego zdania, hrabia Altamira zaproponowałby mi udział w jakim spisku.

– A tymczasem ja oszaleję, czuję to, oszaleję!

Któż mną pokieruje, co się stanie ze mną?

## XLVIII. OKRUTNE CHWILE

I ona mi to wyznaje! Rozwodzi się  
nad najdrobniejszymi szczegółami.  
Piękne jej oczy, utkwione w moich,  
malują jej miłość dla innego.

S c h i l l e r

Panna de la Mole, zachwycona, myślała jedynie o tym szczęściu, że jej omal nie zabito. Chwilami mówiła sobie: wart jest być moim panem, skoro już gotów był mnie zabić. Iluż salonowych lalusiów trzeba by stopić w jedno, aby uzyskać taki odruch?

Trzeba przyznać, że był bardzo piękny w chwili, gdy wszedł na krzesło, aby powiesić szpadę, ściśle w tej samej malowniczej pozycji, jaką jej nadał tapicer! Ostatecznie, to nie było takie szaleństwo, żem go pokochała.

W tej chwili, gdyby się nastroczył jaki sposób nawiązania z Julianem, chwyciłaby się go z przyjemnością. Julian, zamknąwszy się na dwa spusty, oddał się rozpacz. W przystępie szaleństwa myślał już, żeby rzucić się jej do nóg. Gdyby miał tkwić w pokoju, puścił się na wędrowkę po ogrodzie i pałacu tak, aby otworzyć furtkę sposobności, męczarnia jego zmieniałyby się może w jednej chwili w szczęście.

Ale ten spryt, którego brak mu zarzucamy, wykluczyłby ów wzniosły gest, jakim pochwycił miecz, który to gest nadał mu tyle powabu w oczach panny. Zwrot ten na korzyść Juliana trwał cały dzień. Matylda przedstawiała sobie w uroczych barwach krótkie chwile miłości, żałowała tych chwil.

– W istocie – mówiła sobie – miłość moja do tego biednego chłopca trwała, w jego pojęciu, od pierwszej po północy, kiedy go ujrzałam, jak wchodzi po drabinie z pistoletami w kieszeni, aż do ósmej rano. W kwadrans potem, kiedy słuchała mszy, przyszło mi na myśl, że on może mnie niewolić postrachem.

Po obiedzie panna de la Mole nie tylko nie unikała Juliana, ale zagadnęła go i zachęciła poniekąd, aby się udał z nią do ogrodu! Usłuchał. Brakło mu jeszcze tej próby. Matylda ulegała bezwiednie odradzającej się miłości. Znajdowała niezwykłą przyjemność w tym, aby się z nim przechadzać, patrzyła z ciekawością na ręce, które chwyciły miecz, aby ją zabić.

Po takim postępkach, po wszystkim, co się stało, nie mogło być już mowy o zwadzie.

Stopniowo Matylda zaczęła mu się zwierzać ze stanu swego serca. Znajdowała rozkosz w takiej rozmowie; opowiadała mu o swych przelotnych sympatiach dla pana de Croisenois, dla pana de Caylus...

– Jak to! Caylus także! – wykrzyknął Julian; gorycz i zazdrość opuszczonego kochanka buchnęły w tym słowie. Matylda odczuła to; nie było to jej niemiłe.

Dreźczyła dalej Juliana skreślając mu swoje dawniejsze uczucia obrazowo, z akcentem prawdy. Wiedział, że mówi szczerze. Z bólem widział, że w miarę opowiadania Matylda czyni odkrycia we własnym sercu.

Męka zazdrości nie może iść dalej!

Podjeźwać, że rywal cieszy się względami kochanki – to już dość okrutne, ale słuchać opisu uczuć kobiety, którą się samemu ubóstwia, to chyba szczyt męczarni.

Och, jakże się czuł ukarany za pychę, w której wynosił się nad Caylusów i Croisenois! Z jaką męką przeceniał w duchu ich najlżejsze przewagi! Z jaką żarliwą szczerością pogardzał sam sobą!

Matylda wydawała mu się urocza, wszelkie słowo jest za słabe, aby wyrazić bezmiar jego podziwu. Idąc obok niej, spoglądał ukradkiem na jej ramiona, ręce, na jej królewskie ruchy. Gotów był paść do jej stóp, zmiażdżony miłością i męką, krzycząc: Litości!

I ta osoba tak piękna, tak niepospolita, która raz jeden darzyła mnie swą łaską, teraz pokocha zapewne pana de Caylus.

Julian nie mógł wątpić o szczerości panny de la Mole; we wszystkim, co mówiła, dźwięczał ton prawdy. Na domiar niedoli Juliana bywały chwile, w których Matylda, zagłębiając się w swoje chwilowe uczucia dla pana de Caylus, zaczynała mówić o nich tak, jakby one jeszcze trwały. W głosie jej przebijała miłość, Julian to czuł.

Cierpiał bardziej, niż gdyby mu lano w piersi roztopiony ołów. W jaki sposób, doszedłszy do tego bezmiaru męki, biedny chłopiec mógłby zgadnąć, że jeśli panna de la Mole znajduje tyle przyjemności w rozpamiętywaniu cienia sympatii dla pana de Caylus lub pana de Luz, to dlatego że rozmawia o tym z nim, z Julianem?

Niepodobna opisać męczarni Juliana. Słuchał zwierzeń miłości Matyldy do innych w tej samej alei lipowej, gdzie tak niedawno czekał, aż wybije godzina, aby wejść do jej pokoju. Niepodobna udźwignąć więcej cierpienia.

Ta bolesna rola trwała długi tydzień. Panna zdawała się szukać Juliana lub bodaj nie unikała rozmowy; tematem zaś, do którego wracali z okrutną rozkoszą, były uczucia Matyldy do innych. Streszczała mu listy, które niegdyś pisywała, przytaczała słowa, zdania całe. Przyglądała się Julianowi ze złośliwą radością. Cierpienia jego sprawiały jej rozkosz.

Widać z tego, że Julian nie miał doświadczenia, że nie czytywał nawet romansów. Gdyby był nieco sprytniejszy i gdyby z zimną krwią powiedział ubóstwianej dziewczynie, przerywając jej te dziwne zwierzenia: Przyznaj, że choć nie mam tylu zalet co tamci, pomimo to kochasz mnie...

Może byłaby rada, że ją odgadł; a przynajmniej powodzenie zależałoby najzupełniej od chwili i od wdzięku, z jakim Julian wyraziłby tę myśl. W każdym razie położyłby – może z korzyścią dla siebie – koniec sytuacji, która zaczynała już być monotonna w oczach Matyldy.

– Nie kochasz mnie już, a ja cię uwielbiam! – wykrzyknął raz Julian, oszalały z miłości i męki. Było to chyba największe niezgrabstwo, jakie mógł popełnić.

Odezwanie to stłumiło w mgnieniu oka przyjemność, którą panna de la Mole znajdowała w rozwieraniu przed nim stanów swego serca. Zaczynała się dziwić, że po tym, co zaszło między nimi, nie oburzają go jej zwierzenia; w chwili gdy Julian zdradził się tak głupio, była już gotowa sobie wyobrazić, że on jej wcale nie kocha. – Widocznie duma zdławiła w nim miłość – myślała. – To nie jest człowiek, który by bezkarnie zniósł rywalizację takich

panów de Caylus, de Luz, de Croisenois, mimo iż rzekomo uznaje ich wyższość. Nie, już go nie ujrzę u swych stóp!

W poprzednich dniach, w naiwności swego cierpienia, Julian wysławiał przed nią przymioty tych panów: dochodził w tym do przesady. Odcień ten nie uszedł uwagi panny de la Mole, była zdziwiona, ale nie zgadywała przyczyny. Namiętna dusza Juliana, wychwalając szczęśliwego rzekomo rywala, współżyła z jego szczęściem.

Wykrzyknik ten, tak szczery, ale taki płaski, zmienił wszystko w jednej chwili. Upewniona o miłości Juliana, Matylda zlekceważyła go zupełnie.

Przechadzała się z nim, w chwili gdy padły te niezręczne słowa – odeszła; ostatnie jej spojrzenie wyrażało najstraszliwszą wzgardę. W salonie wieczorem nie spojrzała nań. Nazajutrz wzgarda ta wypełniła całe jej serce. Uczucie, które przez tydzień kazało jej znajdować tyle przyjemności w przestawaniu z Julianem na serdecznej stopie, pierzchło; widok jego sprawiał jej przykrość. Wrażenie to dochodziło do wstrętu; nic nie zdołałoby wyrazić bezmiaru wzgardy, ilekroć oczy jej napotkały Juliana.

Julian nie rozumiał tego, co od tygodnia działo się w sercu Matyldy, ale odczuł jej wzgardę. Miał ten rozsądek, aby się jej pokazywać jak najrzadziej, i nie patrzył na nią nigdy.

Ale to wyrzeczenie nie obeszło się bez okrutnej męki. Czuł się jeszcze nieszczęśliwszy. – Więcej serce ludzkie nie może znieść – myślał. Pędził dni przy okienku na poddaszu, za szczelnie zamkniętą żaluzją: stamtąd mógł bodaj przyglądać się pannie de la Mole, kiedy się zjawiała w ogrodzie.

Cóż się z nim działo, kiedy ją widział przechadzającą się z panem de Caylus, de Luz i innym jakimś figurantem z jej zwierzeń?

Julian nie miał pojęcia o takiej męce; musiał się powściągać, aby nie krzyknąć; tę niezłomną duszę przeorało w końcu cierpienie na wskroś.

Wszelka myśl nie dotycząca panny de la Mole stała mu się wstrętna; niezdolny był napisać najmniejszego listu.

– Ty masz jakiegoś bzika – mówił margrabia.

Julian drżąc, aby go nie odgadnięto, zaczął bąkać o chorobie; w końcu uwierzono mu. Szczęściem dlań margrabia zrobił przy obiedzie żartobliwą aluzję do przyszłej podróży; Matylda zrozumiała, że ta podróż może być długa. Już od wielu dni Julian unikał jej, świetni zaś młodzieńcy posiadający wszystko, czego brakło temu blademu, posępnemu człowiekowi, niegdyś tak jej drogiemu, nie umieli rozproszyć jej zadumy.

– Zwykła panna – myślała Matylda – poszukałaby sobie wybrańca wśród tej młodzieży ściągającej w salonie wszystkie spojrzenia; ale cechą duszy wyższej jest to, że nie zdoła się wlec myślą po koleinach wyjeżdżonych przez pospólstwo.

Stawszy się towarzyszką człowieka takiego jak Julian (brak mu jedynie majątku, a ten ja mam!), będę budziła nieustanną uwagę, nie przejdę niepostrzeżona. Nie tylko nie będę się wciąż obawiała rewolucji, jak moje kuzynki, które ze strachu przed ludem nie śmiały połączyć opieszałego woźnicę, ale będę pewna, że odegram rolę, i ważną rolę, gdyż człowiek, którego kocham, ma charakter i ambicję bez granic. Czego mu brak? Przyjaciół, pieniędzy? Ja mu to dam.

Ale myśląc o Julianie widziała w nim istotę niższą, której miłość ma się na skinienie.



## XLIX. OPERA KOMICZNA

O how this spring of love resembleth  
The uncertain glory of an April day,  
Which now shows all the beauty of the sun.  
And by and by a cloud takes all away!  
Shakespeare

Pochłonięta marzeniami o przyszłości i o ważnej roli, którą miała odegrać, Matylda zaczęła niebawem żałować nawet suchych i filozoficznych dysput z Julianem. Znużona górnymi myślami, niekiedy także żałowała szczęścia, którego zaznała przy nim; wspomnienia te nie były wolne od wyrzutu i nękały ją chwilami.

– Ostatecznie, można mieć słabostkę – mówiła sobie – kobieta taka jak ja może się zapomnieć jedynie dla wyższego człowieka; nikt nie powie, że mnie uwiodły jego ładne wąsiki czy jazda konna, ale jego głębokie wywody o przyszłości Francji, jego poglądy, w których rozwija analogię grożących nam wypadków z rewolucją z roku 1688 w Anglii. Uległam – odpowiadała na swoje wyrzuty – jestem słabą kobietą; ale przynajmniej nie omały mnie jak lalkę zewnętrzne powaby.

Jeśli przyjdzie do rewolucji, czemu Julian Sorel nie miałby być Rolandem, a ja panią Roland? Wolę to niż rolę pani de Staël: nasza epoka nie ścierpiałaby niemoralności obyczajów. To pewna, że nie dopuszczę się w życiu powtórnej słabości; umarłabym ze wstydu.

Rojenia Matyldy nie zawsze, trzeba przyznać, były tak surowe. Przyglądała się Juliano-  
wi, znajdowała uroczy wdzięk w całym jego zachowaniu się.

– Nie ma wątpienia – mówiła sobie – zdołałam w nim zniweczyć najłżejszy cień myśli o jakichś prawach nade mną. Nieszczęśliwy i namiętny wyraz, z jakim ten biedny chłopiec oświadczył mi się przed tygodniem, dowodzi tego wyraźnie; trzeba przyznać, że to było dzikie z mej strony pogniewać się o słowa, w których błyszczało tyle szacunku, tyle miłości. Czyż nie jestem jego żoną? – Ten wykrzyknik był bardzo naturalny i, trzeba przyznać, bardzo ujmujący. – Julian kochał mnie jeszcze po tych nielitościwych rozmowach, w których drażniłam go okrutnie mymi zrodzonymi z nudy kaprysmi dla tych paniczów, o których tak jest zazdrosny. Och, gdyby wiedział, jak mało są groźni! Jak bardzo w porównaniu z nim wydają mi się mizerni i szablonowi.

Podczas tych rozmyślań Matyllda wodziła ołówkiem po kartce albumu. Naszkicowany profil zdumiał ją i zachwycił: był uderzająco podobny do Juliana. – To głos nieba! To istny cud miłości! – wykrzyknęła z uniesieniem. – Bezwiednie narysowałam jego portret.

Uciekła do swego pokoju, zamknęła się, wzięła się do pracy, próbowała serio zrobić portret Juliana, ale nie mogła; profil skreślony przypadkiem okazał się najpodobniejszy. Matyllda widziała w tym oczywisty dowód wielkiego uczucia.

Rozstała się z albumem bardzo późno, dopiero gdy trzeba było jechać z matką na operę. Miała tylko jedną myśl: szukała Juliana wzrokiem, aby matka zaprosiła go do teatru.

Nie zjawił się; jedynie zwykli znajomi odwiedzili panie w łoży. Przez pierwszy akt Matyllda marzyła o ukochanym z najwyższą namiętnością, w drugim fraza, której towarzyszyła melodia godna Cimarosy, przeniknęła jej serce. Bohaterka mówiła: „Muszę się ukarać za nadmiar mego uwielbienia, nadto go kocham!”

Świat cały znikł dla Matylldy, gdy usłyszała tę boską kantylenę. Mówiono do niej, nie odpowiadała; matka łajała ją, ale panna ledwie mogła się przemóc, aby na nią spojrzeć. Egzaltacja jej dorównywała najwyższym wzruszeniom. Pełna boskiego uroku kantylena, której słowa zadziwiająco odpowiadały jej położeniu, zaprzętała wszystkie chwile nie wypełnione myślą o Julianie. Miłość z g ł o w y jest zapewne inteligentniejsza niż prawdziwa miłość, ale miewa jedynie rzadkie chwile upojenia; zbyt jest świadoma, bez ustanku sądzi siebie samą, nie tylko nie przesłania myśli, ale istnieje wyłącznie siłą myśli.

Za powrotem, nie zważając na matkę, Matyllda oświadczyła, że ma gorączkę, i przesiedziała do późna, powtarzając przy fortepianie kantylenę, która ją oczarowała:

Devo punirmi, devo punirmi,  
Se troppo amai, etc.

Rezultatem tej szalonej nocy było przeświadczenie, że zdołała zapanować nad swą miłością. (Ta stronica wiele zaszkodzi nieszczęsnemu autorowi. Dusze z lodu oskarżą go o nieprzystojność. Otóż autor nie wyrządza zgoła tej zniewagi młodym gwiazdom paryskich salonów, aby przypuszczać, że bodaj jedna z nich zdolna jest do szaleństw obniżających charakter Matylldy. Jest to postać zupełnie zmyślona, poza sferą obyczajów, które zapewnią tak szacowne miejsce wiekowi XIX. Jeżeli czego, to nie rozwagi brakuje młodym pannom, stanowiącym ozdobę balów ostatniej zimy. Nie sądzę również, aby je można było oskarżać, że zanadto lekceważą świetny los, konie, majątki i wszystko, co zapewnia pozycję w świecie. Nie tylko nie żywią wstrętu do tych rzeczy, ale marzą o nich wytrwale; jeżeli co, to właśnie to pobudza bicie ich serca. Nie miłość też zapewnia los ludziom posiadającym pewne zdolności, jak Julian; czepiają się oni kurczowo jakiejś koterii i kiedy ta koteria zwycięży, wszystkie pomysły splotają na nich. Biada człowiekowi głębszemu nie należącemu do żadnej koterii: wezmą mu za złe jego błahe i wątpliwe powodzenia, a nieskazitelna cnota będzie triumfować okradając go. Bo, drogi panie, powieść to jest zwierciadło przechadzające się po gościńcu. To odbija lazur nieba, to błoto przydrożnej kałuży. Człowieka tedy, który nosi zwierciadło w swoim plecaku, będziecie obwiniali o niemoralność! Jego zwierciadło odbija kał, a wy oskarżacie zwierciadło! Oskarżajcie raczej gościniec, gdzie jest bagno, a bardziej jeszcze droźnika, który pozwala, aby woda gniła i aby się tworzyły bajora. A teraz, kiedyśmy się już zgodzili, że taki charakter, jak Matylldy, niemożliwy jest w naszej roztropnej i cnotliwej epoce, mogę z mniejszą obawą obrażenia uszu opowiadać dalej szaleństwa tej sympatycznej dziewczyny).

Cały dzień szukała sposobności, która by potwierdziła jej triumf nad szaloną miłością do Juliana. Głównym jej celem było dokuczać mu na każdym kroku, ale żaden jego ruch nie uszedł jej uwagi.

Julian zbyt był nieszczęśliwy, a zwłaszcza zbyt wzruszony, aby odgadnąć tak skomplikowany manewr; tym bardziej nie umiał dostrzec zwrotu w sercu Matyldy; przypłacił to ciężko; nigdy może tyle nie cierpiał. Tak dalece nie panował nad swymi czynnościami, że gdyby jakiś zgryźliwy filozof powiedział mu: „Staraj się szybko skorzystać z pomyślnego nastroju, w tego rodzaju miłości m ó z g o w e j, jaką widuje się w Paryżu, kaprys nie może trwać dłużej niż parę dni”, Julian zrozumiałby go. Ale mimo swego szaleństwa był człowiekiem honoru. Pierwszym jego obowiązkiem była dyskrecja; czuł to. Spytać kogokolwiek o radę, opowiedzieć swą mękę byłoby dlań szczęściem człowieka, któremu w skwarze pustyni spadnie z nieba kropla chłodnej rosy. Zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, lękał się, aby nie odpowiedział wybuchem płaczu na jakie pytanie; zamknął się u siebie.

Matylda przechadzała się długo; kiedy wreszcie wróciła do pałacu, on zszedł do ogrodu; zbliżył się do krzaka róży i uszczknął zeń kwiat.

Noc była ciemna, mógł się oddać cierpieniu bez obawy świadków. Jasne było, że panna de la Mole kocha jednego z młodych wojskowych, z którymi dopiero co rozmawiała tak wesoło. Kochała wprzód jego, ale rychło poznała jego nicość!

– W istocie, czymże ja jestem! – powiadał sobie Julian z przeświadczeniem. – Istotą bardzo płaską, pospolitą, nudną dla drugich, nieznośną dla siebie. – Uczuł wstręt do wszystkich swych zalet, do rzeczy, które wprzód kochał z zapalem, i w tym zupełnym r o z s t r o j u w y o b r a ż n i chciał sądzić życie mocą wyobraźni! Często omyłka niepospolitych ludzi.

Niejednokrotnie nastęczała mu się myśl o samobójstwie; był to obraz pełen uroku, rozkoszny odpoczynek; szklanka wody ofiarowana nieszczęśliwemu, który kona w pustyni ze skwaru i pragnienia.

– Śmierć moja pomnoży jeszcze jej wzgardę! – wykrzyknął. – Jakież wspomnienie zostawię!

Skoro istota ludzka osunie się w otchłań nieszczęścia, pozostaje jej jedynie determinacja. Julian nie był dość jasnowidzący, aby sobie powiedzieć: „Trzeba się odważyć”; ale patrząc w okno Matyldy ujrzał przez żaluzje, że gasi światło; wyobraził sobie ten uroczy pokój, który widział, niestety, jeden raz w życiu. Wyobraźnia jego nie sięgała dalej.

Wybiła pierwsza: usłyszeć dźwięk zegara i powiedzieć sobie: „wejdę tam!”, było sprawą jednej chwili.

Był to błysk jasnowidzenia; argumenty cisnęły się tłumnie. – Mógł być nieszczęśliwy? – powiadał sobie. Pobiegł do drabiny; ogrodnik przywiązał ją łańcuchem. Kurkiem z pistoletu, który połamał, Julian, ożywiony w tej chwili nadludzką siłą, skruszył ogniwo łańcucha, uwolnił w parę sekund drabinę i przystawił ją do okna.

– Pogniewa się, zmiażdży mnie wzgardą, więc cóż? Pocałuję ją, pocałuję po raz ostatni, pójdę do siebie i palnę sobie w łeb... wargi moje dotkną jej policzków, zanim umrę!

Pędem wbiega po drabinie, puka w żaluzje; po chwili Matylda słyszy go, chce otworzyć okno, drabina nie puszcza; Julian czepia się żelaznego pręta służącego do przytrzymywania żaluzji i narażając się na spadnięcie popycha gwałtownie drabinę i usuwa ją nieco. Matylda może otworzyć.

Wpada do pokoju ledwie żywy.

– Więc to ty! – mówi Matylda rzucając mu się w ramiona.

\* \* \*

Któż zdoła opisać bezmiar szczęścia Juliana? Szczęście Matyldy było niemal równie wielkie. Obsypywała się wyrzutami, oskarżała się przed nim.

– Ukarz mnie za mą piekielną dumę – mówiła dławiąc go w ramionach. – Jesteś mój pan, ja twoja niewolnica, powinnam cię na kolanach błagać o przebaczenie za to, że chcia-

łam się buntować. – Wysuwała mu się z ramion, aby mu paść do nóg. – Tak, ty jesteś moim panem – mówiła pijana jeszcze szczęściem i miłością – panuj zawsze nade mną, karz swoją niewolnicę, kiedy się zechce buntować.

To znów za chwilę wydziera się z jego objęć, zapala świecę i Julian musi używać wszystkich sił, aby ją powstrzymać w chwili, gdy chce sobie uciąć całą połąć włosów.

– Niech mi to przypomina – mówiła – że jestem twą niewolnicą; jeżeli kiedy ta ohydna duma mnie opęta, pokaż mi te włosy i powiedz: nie chodzi już o miłość, nie chodzi o wzruszenia, jakich możesz doznawać w tej chwili; przysięgałaś słuchać, honor nakazuje ci słuchać.

Ale roztropniej jest poniechać opisu tych szaleństw i upojeń.

Charakter Juliana okazał się na wyżynie jego szczęścia. – Muszę zejść po drabinie – rzekł do Matyldy, skoro ujrzał, że świt jawi się na widnokręgu, hen poza ogrodem. – Ofiara, którą sobie nakładam, jest godna ciebie; pozbawiam się kilku chwil najwyższego szczęścia, jakiego dusza ludzka może kosztować. Czynię to poświęcenie dla twojej dobrej sławy; jeśli znasz moje serce, ocenisz gwałt, jaki sobie zadaję. Czy zawsze będziesz dla mnie tym, czym jesteś w tej chwili?... Ale honor przemawia, to dosyć. Wiedz, że po naszej pierwszej schadzce nie wszystkie podejrzenia zwróciły się na złodziei. Pan de la Mole kazał ustawić straż w ogrodzie. Croisenois otoczony jest szpiegami, wiadomo, co porabia każdej nocy.

Na myśl o tym Matylda parsknęła głośnym śmiechem. Matka i panna służąca zbudziły się i zaczęły coś do niej mówić przez drzwi. Julian spojrział na nią; zbladła, połajęła służącą, matce nie raczyła nawet odpowiedzieć.

– Jeśli im przyjdzie na myśl otworzyć okno, zobaczą drabinę! – rzekł Julian.

Uścisnął jeszcze raz Matyldę, skoczył na drabinę i zsunął się raczej, niż zszedł: w jednej chwili był na ziemi.

W trzy sekundy później drabina znalazła się pod lipami, honor Matyldy był ocalony. Julian oprzytomniawszy spostrzegł, że jest cały we krwi i prawie nagi: skaleczył się zsuwając się nieostrożnie.

Nadmiar szczęścia wrócił mu całą energię: gdyby się znalazł w obliczu dwudziestu ludzi, rzucić się na nich samemu byłoby dlań w tej chwili jedną rozkoszą więcej. Szczęściem waleczność jego nie spotkała się z żadną próbą; położył drabinę na zwykłym miejscu, owinał ją łańcuchem, zatarł ślady na grządkach pod oknem Matyldy.

Gdy wodził po ciemku ręką po miękkiej ziemi, aby się upewnić, że ślad jest zupełnie zatarty, uczył, że mu coś pada na rękę; był to warkocz Matyldy: obcięła połowę włosów i rzuciła mu je.

Stała w oknie.

– Posyła ci to twoja służebnica – rzekła dość głośno – na znak wiekuistej wdzięczności. Wyrzekam się własnej woli, rozumu, bądź moim panem.

Julian, zwyciężony, omal nie pobiegł po drabinę, aby wrócić do jej pokoju. Wreszcie rozsądek zwyciężył.

Dostać się z ogrodu do pałacu nie było rzeczą łatwą. Udało mu się otworzyć siłą drzwi do piwnicy; znalazłszy się w domu, musiał wyważyć, możliwie najciszej, drzwi do swego pokoju. Opuszczając wespół z Matyldą sypialnię Matyldy, zostawił nawet klucz, który miał w kieszeni ubrania. – By – myślał – ona pamiętała o tym, aby ukryć ten zewłok śmiertelny!

Wreszcie znużenie wzięło górę nad szczęściem; kiedy słońce wstawało, Julian zapadł w głęboki sen.

Dzwon na śniadanie ledwo go rozbudził; zszedł do jadalni. Niebawem zjawiała się Matylda. Duma Juliana zaznała chwili upojenia na widok miłości błyszczącej w oczach tej pięknej i otoczonej hołdami kobiety; ale niebawem przeląkł się.

Pod pozorem braku czasu na dokończenie fryzury Matylda ułożyła włosy tak, iż Julian mógł od pierwszego rzutu oka spostrzec rozmiary poświęcenia, jakie dlań uczyniła. Gdyby

tak piękną twarz mogło cokolwiek oszpecić, Matylda byłaby to osiągnęła; połowa popielatych włosów była odcięta na pół cala przy głowie.

Przy śniadaniu całe zachowanie Matyldy zgodne było z tą nierozwagą. Można by mniemać, że sili się okazać całemu światu szaloną miłość dla Juliana. Szczęściem, tego dnia pan de la Mole i margrabina bardzo byli zajęci kwestią rozdania orderów, przy którym pominięto księcia de Chaulnes. Pod koniec śniadania zdarzyło się Matyldzie, mówiąc do Juliana, rzec: P a n i e m ó j. Zaczerwienił się po białka.

Przypadkiem czy też z umysłu pani de la Mole nie zostawiła tego dnia córki ani na chwilę samej. Ale wieczorem, przechodząc do salonu, panna znalazła sposobność, aby rzec Julianowi:

– Czy będziesz myślał, że to mój wybieg? Mama zarządziła, że garderobiana ma sypiać w moim pokoju.

Ten dzień przemknął jak błyskawica. Julian był u szczytu szczęścia. Nazajutrz od siódmej rano siedział już w bibliotece; miał nadzieję, że panna de la Mole raczy się zjawić; napisał do niej długi list.

Ujrzał ją znacznie później przy śniadaniu. Była starannie uczesana; sztuką zdołała zasłonić ubytek włosów. Spojrzała parę razy na Juliana, ale spokojnie i uprzejmie; nie było już mowy o nazywaniu go s w o i m p a n e m.

Zdumienie Juliana tamowało mu oddech... Matylda wyrzucała sobie niemal wszystko, co dlań uczyniła.

Po dojrzałej rozwadze doszła do przekonania, że to jest osobnik, jeśli nie zupełnie pospolity, to w każdym razie nie wyrastający na tyle ponad średnią miarę, aby zasługiwał na szaleństwa, na które się dlań odważyła. Razem wzięwszy, nie w głowie jej była miłość! Tego dnia miała dość kochania.

Julian przechodził wzruszenia godne szesnastoletniego chłopca. Wątpliwości, zdumienie, rozpacz nawiedzały go kolejno podczas tego śniadania, które wlokło się jak wieczność.

Skoro tylko mógł bez nieprzyzwoitości wstać od stołu, popędził raczej, niż pobiegł do stajni, osiodłał konia i puścił się galopem; lękał się zhańbić jaką słabością. – Trzeba mi zabić w sobie serce fizycznym zmęczeniem – powiadał sobie galopując po Meudon. – Com ja uczynił, com rzekł, aby zasłużyć na takie obejście?

Nie trzeba nic robić, nic mówić dzisiaj – myślał wracając do pałacu. – Trzeba być martwym fizycznie, jak jestem moralnie. Julian nie żyje już, to jego trup miota się jeszcze.

## L. JAPOŃSKI WAZON

Serce jego nie obejmuje zrazu bezmiaru  
nieszczęścia: jest bardziej zmieszany  
niż wzruszony. Ale w miarę powrotu  
przytomności czuje głębię swej niedoli.  
Radość życia przestała dlań istnieć;  
zdolny jest czuć jedynie ukłucia rozpaczy.

Ale co mówić o bólu fizycznym?  
Jakież ból jedynie cielesny można porównać z tym bólem?  
J e a n P a u l

Zadzwoniono na obiad, Julian ledwo zdążył się ubrać; zastał w salonie Matyldę, która nalegała na brata i na pana de Croisenois, aby nie jechali na wieczór do Suresnes, do marszałkowej de Fervaques. Starła się być miła i czarująca. Po obiedzie zjawili się panowie de Luz, de Caylus z kilkoma przyjaciółmi. Można by rzec, iż panna de la Mole wraz z czułością siostrzaną odzyskała skrupuły konwenansu. Mimo że wieczór był prześliczny, nie chciała iść do ogrodu ani też oddalić się od berzerki pani de la Mole. Całe grono skupiło się koło błękitnej kanapy, jak w zimie.

Matylda miała wstręt do ogrodu lub przynajmniej wydal się jej bardzo nudny; związany był ze wspomnieniem Juliana.

Nieszczęście paraliżuje inteligencję. Nasz bohater popełnił tę niezręczność, że zbliżył się do krzeselka, które niegdyś było świadkiem jego triumfów. Dziś nikt nie odezwał się doń, nikt go nie zauważył lub gorzej jeszcze. Przyjaciele panny de la Mole, którzy siedzieli na kanapce najbliżej Juliana, odwracali się plecami lub przynajmniej jemu się tak zdawało.

– Jestem w niełasce u dworu – pomyślał. Przyjrzał się bacznie ludziom, którzy chcieli go przytłoczyć wzgardą.

Wuj pana de Luz piastował wysokie stanowisko przy osobie króla; stąd piękny oficerek zaczynał rozmowę z każdą zjawiającą się osobą od tego interesującego faktu: wuj pojechał o siódmej do Saint-Cloud i ma tam zostać na noc. Natrącał o tym niby to mimochodem, ale stale.

Przyglądając się panu de Croisenois surowym okiem nieszczęścia, Julian zauważył, że ten sympatyczny i pocziwy młodzian wierzy w ogromny wpływ spraw nadnaturalnych. Tak dalece, że martwi go i drażni, skoro widzi, że ktoś przypisuje jakiś ważniejszy wypa-

dek prostej przyczynie. – Jest w tym coś z szaleństwa – myślał Julian. – To charakter zadziwiająco podobny do cesarza Aleksandra, jak mi go opisał książę Korazow. – W pierwszym roku pobytu w Paryżu biedny Julian, świeżo wypuszczony z seminarium, olśniony tak nowymi dlań urokami tych ujmujących młodych ludzi, zdolny był jedynie podziwiać. Prawdziwy ich charakter zaczynał się dopiero rysować jego oczom.

– Odgrywam tu niegodną rolę – pomyślał nagle. Chodziło o to, aby opuścić krzeselko w sposób nie zanadto niezręczny. Chciał coś wymyślić, silił się wycisnąć coś nowego z wyobraźni pochłoniętej innymi myślami. Próbował znaleźć coś w pamięci; ale musimy przyznać, pamięć Juliana była niezbyt bogata w tego rodzaju sztuczki; biedny chłopiec był jeszcze bardzo nieobyty, toteż kiedy wstał, aby opuścić salon, uczynił to niezręcznie i rażąco. Przygnębienie malowało się zbyt wyraźnie w całej jego postawie. Odgrywał od trzech kwadransów rolę natrętnego famulusa, przed którym nikt się nie krępuje z okazaniem, co o nim myśli.

Krytyczne obserwacje, jakim dopiero co poddał swoich rywali, nie pozwoliły mu wziąć swego nieszczęścia zbyt tragicznie: przedwczorajsze wspomnienie działało nań krzepiąco. – Mimo wszystkich ich przewag – myślał zapuszczając się w ogród – Matylda nie była dla żadnego z nich tym, czym dwa razy w życiu raczyła być dla mnie.”

Myśl jego nie sięgała dalej. Nie pojmował zgoła charakteru dziwnej osoby, która zrzuceniem losu stała się bezwzględna panią jego szczęścia.

Cały następny dzień zamordowywał siebie i swego wierzchowca. Nie próbował wieczorem zbliżyć się do niebieskiej kanapy, której Matylda pozostała wierna. Zauważył, że hrabia Norbert nie raczy nań spojrzeć, kiedy go spotka w domu. – Musi sobie zadawać osobliwy gwałt – myślał Julian – z natury tak grzeczny.

Sen byłby dla Juliana szczęściem. Na przekór fizycznemu utrudzeniu zbyt urocze wspomnienia jeły owładać całą jego wyobraźnią. Nie umiał sobie zdać sprawy, że forsowne wycieczki konne w lasach w pobliżu Paryża oddziałują jedynie na niego samego, w żadnej zaś mierze na serce lub umysł Matyldy; że więc tym samym zostawia trafowi decyzję swego losu.

Miał uczucie, że jedna rzecz przyniosłaby mu ulgę w tej męce: rozmowa z Matyldą. Ale co odważyłby się jej powiedzieć?

Pewnego dnia o siódmej rano dumął głęboko na ten temat, kiedy nagle ona sama zjawiła się w bibliotece.

– Wiem, że pan pragnie ze mną mówić.

– Wielki Boże! Kto to pani powiedział?

– Cóż panu na tym zależy? Dość, że wiem. Jeśli pan jesteś człowiekiem bez honoru, możesz mnie zgubić lub bodaj próbować tego; ale to niebezpieczeństwo, w które zresztą nie wierzę, nie przeszkodzi mi być szczerą. Nie kocham już pana, moja szalona wyobraźnia oszukała mnie...

Rażony tym ciosem Julian, oszołomiony miłością i bólem, próbował się usprawiedliwić. Nic głupszego. Czy może się ktoś usprawiedliwić z tego, że się nie podoba? Ale rozsądek nie miał już władzy nad jego postępkami. Ślepy instynkt parł go ku temu, aby opóźnić rozstrzygnięcie jego losu. Zdawało mu się, że póki mówi, jeszcze nie wszystko skończone. Matylda nie słuchała tego, co mówi, drażnił ją sam dźwięk jego głosu, nie mogła zrozumieć, jak on się ośmiela jej przerywać.

Wyrzuty i duma nękały ją po równi tego ranka. Uginała się pod tą okropną myślą, że dała nad sobą prawa mizernemu klerykowi, synowi chłopca. – To prawie to samo – powtarzała przesadzając swe nieszczęście – co gdybym się zapomniała z lokajem.

W dumnych i śmiałych charakterach jest tylko jeden krok od gniewu na siebie do oburzenia na innych; w takim razie wybuch wściekłości sprawia wielką przyjemność.

W jednej chwili panna de la Mole obsypała Juliana wyrazami najwyższej wzdąrdy. Była to dziewczyna bardzo inteligentna, a inteligencja ta błyszczała zwłaszcza w sztuce dręczenia i zadawania okrutnych ran.

Pierwszy raz w życiu Julian znalazł się pod uciskiem wyższego umysłu zięjącego nienawiścią. Nie próbował się bronić, gardził w tej chwili sam sobą. Słyszając, jak panna de la Mole obrzuca go słowami tak okrutnie wzgardliwymi, tak dobrze obmyślonymi na to, aby zniweczyć w nim wszelkie dobre mniemanie o sobie, miał uczucie, że ona ma słuszość i że to wszystko jeszcze nie dosyć.

Co do niej, doznawała rozkosznego zadowolenia dumy karząc w ten sposób jego i siebie za swoje urzeczzenie.

Nie potrzebowała szukać i wymyślać bolesnych rzeczy, którymi bryzgała mu w twarz z taką przyjemnością. Powtarzała jedynie to, co od tygodnia powiadał jej głos serca, wzdrągający się przeciw tej miłości.

Każde słowo mnożyło straszną mękę Juliana. Chciał uciec; ona zatrzymała go rozkazującym gestem.

– Raczy pani zauważyć – rzekł – że pani mówi bardzo głośno, może ktoś usłyszeć.

– Więc cóż! – odparła dumnie panna. – Któż się ośmieli powiedzieć mi, że słyszał! Chcę na zawsze uleczyć pańską mizerną ambicję z pewnych fałszywych pojęć co do mojej osoby.

Skoro Julian zdołał wyjść z biblioteki, był tak zdziwiony, że tym samym mniej odczuwał swoje nieszczęście. – Więc tak! Nie kocha mnie już! – powtarzał głośno, jak gdyby zdając przed sobą sprawę z położenia. – Kochała mnie może jaki tydzień lub dwa, ja zaś będę ją kochał całe życie. Czy to możliwe! Nie była niczym, niczym dla mego serca tak niedawno temu!

Duma zalewała serce Matyldy. Zdołała tedy zerwać raz na zawsze! To, że mogła odnieść pełny triumf nad skłonnością tak potężną, napelniało ją szczęściem. – Nareszcie ten chłopak zrozumie, i to raz na zawsze, że nie ma i nie będzie miał nigdy żadnej władzy nade mną. – Czuła się tak szczęśliwa, że istotnie w tej chwili nie było w niej ani śladu miłości.

Po tak okrutnej, upokarzającej scenie u człowieka mniej namiętnego niż Julian miłość byłaby niemożliwa. Nie uchybiając ani na chwilę temu, co była winna samej sobie, panna de la Mole powiedziała mu mnóstwo rzeczy przykrych, a tak dobrze obliczonych, że mogły robić wrażenie prawdy, nawet rozważane z zimną krwią.

W pierwszej chwili Julian wyciągnął z tej zdumiewającej sceny wniosek, że Matylda jest bezgranicznie dumna. Wierzył niezachwianie, że wszystko między nimi skończone, mimo to nazajutrz podczas śniadania okazał się w jej obecności zmieszany i wystraszony. Była to wada, której dotąd nie można było mu wyrzucać. Zarówno w małych, jak wielkich rzeczach wiedział jasno, co powinien i co chce uczynić, i tak postępował.

Po śniadaniu, kiedy pani de la Mole poprosiła go o rewolucyjną, a mimo to dość rzadką broszurę, którą proboszcz przyniósł jej rano w sekrecie, Julian, biorąc druk z konsoli, strącił niebieski porcelanowy wazon, zresztą bardzo brzydki.

Pani de la Mole zerwała się wydając krzyk rozpaczony i podeszła, aby obejrzeć szczątki ukochanego wazonu. – To stara japońszczyzna – rzekła – miałam go po ciotecznej babce, przeoryszy w Chelles; był to dar Holendrów dla księcia regenta, który go dał swojej córce...

Matylda podeszła wraz z matką, uszczęśliwiona z katastrofy niebieskiego wazonu, którego nie cierpiała. Julian stał milczący i bynajmniej nie zmieszany; znalazł się tuż obok panny.

– Wazon ten – rzekł – strzaskany jest na zawsze. Tak i uczucie, które władało mym sercem. Proszę, byś pani raczyła mi darować wszystkie szaleństwa, do których mnie przywiódło. – To rzekłszy wyszedł.



– Można by rzec w istocie – rzekła pani de la Mole – że ten Sorel jest dumny i szczęśliwy z tego, co uczynił.

Słowa te ugodziły Matyldę wprost w serce. – To prawda – pomyślała – matka odgadła: to w istocie uczucie, które go przenika.

Wówczas dopiero pierzchła radość ze sceny, którą mu zrobiła wczoraj. – A więc wszystko skończone – rzekła sobie z pozornym spokojem – mam naukę na przyszłość; straszny, upokarzający błąd nauczy mnie rozsądku na całe życie.

– Ach, czemu to, co rzekłem, nie jest prawdą? – pomyślał Julian. – Czemu miłość do tej szalonej dziewczyny dręczy mnie jeszcze?

Miłość ta miał wygasnąć, jak się spodziewał, czyniła szybkie postępy. – Szalona jest – powiadał sobie – ale czy nie jest urocza? Czy może być coś wdzięczniejszego? Czyż wszystkie upojenia najwykwintniejszej kultury nie skupiają się w jej osobie?

Wspomnienia minionego szczęścia oblegały Juliana i zniweczyły niebawem wpływ rozsądku. Rozum daremnie walczy przeciw takim wspomnieniom; jego surowe zakazy mnożą jedynie ich urok.

W dwadzieścia cztery godziny po stłuczeniu starego japońskiego wazonu Julian był stanowczo jednym z najniezwyklejszych ludzi.

## LI. SEKRETNE ZLECENIE

Wszystko, co opowiadam, widziałem:  
i jeśli mogłem się łudzić patrząc,  
z pewnością nie oszukuję was  
powiadając wam o tym.  
L i s t d o a u t o r a

Margrabia wezwał Juliana: pan de la Mole zdawał się odmłodzony, oczy mu błyszczały.

– Musimy trochę spróbować twojej pamięci – rzekł do Juliana – powiadają o niej cuda. Czy mógłbyś się nauczyć na pamięć czterech stron i wyrecytować je w Londynie, ale nie zmieniając ani słowa?

Margrabia miał gniewnie świeży numer *Quotidienne*; próżno silił się ukryć bardzo poważny wyraz twarzy, jakiego Julian nie widział u niego nigdy, nawet kiedy była mowa o procesie z księdzem Frilair.

Julian miał już na tyle sprytu, aby zrozumieć, że powinien podjąć bez zdziwienia lekki ton margrabiego.

– Ten numer *Quotidienne* nie jest może zbyt zabawny, ale jeśli pan margrabia pozwoli, jutro rano będę miał zaszczyt powtórzyć go w całości.

– Jak to! Nawet ogłoszenia?

– Najdokładniej; nie zbraknie ani słówka.

– Dajesz słowo? – rzekł margrabia poważniejąc nagle.

– Tak, panie margrabio; jedynie obawa chybienia słowu mogłaby zmącić mą pamięć.

– Zapomniałem spytać cię o to już wczoraj. Nie żądam przysięgi, że nigdy nie powtórzysz tego, co usłyszysz: nadto cię dobrze znam, aby ci czynić tę zniewagę. Zareczyłem za ciebie, wprowadzę cię do salonu, gdzie będzie jakieś dwanaście osób, zapiszesz sobie wszystko, co kto powie. Nie obawiaj się, mówcy będą się trzymali kolei, nie mówię p o r z ą d k u – dodał margrabia wracając do sceptycznego tonu, który był mu właściwy. – Z tego, co będziemy mówili, spisziesz jakie dwadzieścia stron; wrócisz tu ze mną, ściagniemy je do czterech. Te cztery strony wyrecytujesz mi jutro w miejsce numeru *Quotidienne*. Natychmiast potem puścisz się w drogę pocztą, jak młody furfant podróżujący dla rozrywki. Chodzi o to, aby cię nikt nie zauważył. Dotrzesz do wysokiej osobistości. Tam trzeba będzie jeszcze więcej sprytu. Chodzi o to, aby oszukać całe otoczenie, ile że między sekre-

tarzami i służbą znajdują się ludzie zaprzędani wrogom i czyhający na naszych wysłanników, aby ich przytrzymać.

Otrzymaśz zdawkowy list polecający.

W chwili gdy jego ekscelencja spojrzy na ciebie, wyjmiesz ten zegarek, który ci pożyczam na drogę. Weź go od razu i daj mi w zamian swój.

Sam książkę osobiście spisze pod twym dyktandem owe cztery stronicie, których nauczysz się na pamięć.

Dokonawszy tego, ale nie wcześniej – zauważ to dobrze – będziesz mógł, o ile ekscelencja zapyta, opowiedzieć przebieg posiedzenia.

Aby się nie nudzić w podróży, pamiętaj wciąż, że między Paryżem a rezydencją ministra znajdują się ludzie, którzy chętnie wygarnęliby z fuzji do pana Sorel. Wówczas koniec twojej misji i co za tym idzie, fatalne opóźnienie, jakże bowiem, mój drogi, zdołalibyśmy się dowiedzieć o twej śmierci? Gorliwość twoja nie sięga tak daleko, abyś nas o tym powiadomił.

Biegnij natychmiast sprawić sobie kostium – ciągnął margrabia z niewzruszoną powagą. – Ubierz się, ot, modą z zaprzeszłego roku. Dziś wieczór trzeba, abyś był nieco zaniedbany; na drogę, przeciwnie, ubierz się jak zwyczajnie. Dziwi cię to, zgadujesz już?... Tak, chłopcze, jedna z czcigodnych osobistości, które będą dziś głos zabierać, snadnie mogłaby przesłać wskazówki, przy pomocy których uraczono by cię co najmniej porcyjką opium wieczorem w jakiej zacnej gospodzie, gdzie byś się zatrzymał na kolację.

– Lepiej – rzekł Julian – nadłożyć trzydzieści mil, a nie jechać prostą drogą. Chodzi tu, jak przypuszczam, o jazdę do Rzymu...

Margrabia przybrał wyniosły i niezadowolony wyraz, którego Julian nie widział u niego od Bray-le-Haut.

– Dowiesz się wówczas, kiedy uznam za stosowne ci powiedzieć. Nie lubię pytań.

– To nie było pytanie – rzekł Julian z zapalem – przysięgam, po prostu myślałem głośno, szukałem w głowie najpewniejszej drogi.

– Tak, ale na razie podrwiłeś tą głową. Nie zapominaj nigdy, że poseł w twoim wieku nie powinien przemocą wdzierać się w zaufanie.

Julian, bardzo upokorzony, zamilkł. Jego miłość własna szukała wymówki i nie mogła znaleźć.

– Zrozum i to – dodał pan de la Mole – że ile razy kto strzeli głupstwo, zawsze powołuje się na swoje serce.

W godzinę potem Julian zjawił się w gabinecie margrabiego w niepozornej postaci, w starym ubraniu, w krawacie wątpliwej białości; było coś arcymieszczkańskiego w każdym jego rysie.

Widząc go margrabia parsknął śmiechem: dopiero wówczas Julian dostąpił zupełnego odpustu.

– Jeśli ten chłopak mnie zdradzi – myślał pan de la Mole – komu zaufać? A kiedy się działa, trzeba komuś ufać. Mój syn i jego przyjaciele to ludzie dzielni, wierni bez granic: gdyby się trzeba było bić, zginęliby na stopniach tronu; umieją wszystko... z wyjątkiem tego, czego trzeba. Niech mnie licho porwie, jeśli mam jednego z nich, który byłby zdolny nauczyć się na pamięć czterech wielkich stronic i zrobić sto mil nie dając się wytropić. Norbert umiałby zginąć jak jego przodkowie, przymiot dobry dla rekruta...

Margrabia zadumał się głęboko. A nawet gdyby chodziło oto, aby zginąć – dodał z westchnieniem – może ten Sorel potrafiłby to równie dobrze jak on...

– Powóz czeka, siadajmy – rzekł margrabia, jakby chcąc odpędzić natrętą myśl.

– Panie margrabio – rzeki Julian – gdy mi sporządzano to ubranie, nauczyłem się na pamięć pierwszej stronicy z dzisiejszego numeru *Quotidienne*.

Margrabia ujął dziennik, Julian wyrecytował nie zmyliwszy ani słowa. – Dobrze – pomyślał margrabia, osobliwie d y p l o m a t y c z n y tego wieczora – przez ten czas chłopak nie zauważy, którędy jedziemy.

Weszli do wielkiego, dość ponurego salonu, obitego częściowo zielonym aksamitem. Na środku chmurny lokaj kończył ustawiać wielki stół jadalny, który zmienił się później w stół do pracy za pomocą olbrzymiego zielonego sukna poplamionego atramentem; zapewne spuścizna po jakimś ministerium.

Gospodarz domu (nazwiska nie wymieniono) był to otyły mężczyzna, którego fizjonomia i wymowa wyrażały mózół trawienia.

Na znak margrabiego Julian usiadł na szarym końcu. Nie wiedząc, co z sobą począć, jął zacinać pióra. Zerkając spod oka, doliczył się siedmiu uczestników, ale widział tylko ich grzbiety. Dwaj rozmawiali z panem de la Mole dosyć poufale; reszta odnosiła się doń mniej lub więcej uniżenie.

Zjawiała się nowa osobistość bez oznajmienia. – Dziwne – pomyślał Julian – nie oznajmniają tutaj. Czyżby ta ostrożność była na moją cześć?

Wszyscy powstali na powitanie nowo przybyłego. Miał ten sam wysoki order co trzej obecni. Mówiono dość cicho; Julian mógł tedy sądzić o nim jedynie z postawy i fizjonomii. Był niski, krępy i rumiany; w błyszczącym oku widniała wściekłość odyńca.

Prawie równocześnie uwagę Juliana odciągnęła bardzo odmienna postać. Był to człowiek wysoki, chudy, mający na sobie kilka kamizelek. Oko miał łagodne, gesty uprzejme.

– Kubek w kubek stary biskup z Besançon – pomyślał Julian. Człowiek ten widocznie należał do Kościoła, miał lat pięćdziesiąt parę i minę nadzwyczaj ojcowską.

Przybył też młody biskup z Agde i wydał się bardzo zdumiony, skoro czyniąc przegląd obecnych spostrzegł Juliana. Nie odezwał się doń ani słowem od uroczystości w Bray-le-Haut. Zdziwione jego spojrzenie zakłopotало i podrażniło Juliana. – Cóż, u licha! – myślał. – Czy zawsze to, że kogoś znam, będzie mi się obracało na złe? Wszyscy ci wielcy panowie, których nigdy nie widziałem, nie onieśmielają mnie wcale, natomiast spojrzenie tego biskupiątką mrozi mnie. Trzeba przyznać, że ze mnie jest bardzo dziwaczna i nieszczęśliwa figura.

Niebawem wszedł z hałasem mały, bardzo czarny człowiek i zaczął mówić od samych drzwi; miał żółtą cerę i minę narwańca. Z przybyciem tego niezmordowanego gaduły potworzyły się grupy, wyraźnie w tym celu, aby uniknąć jego nudnych wywodów.

Oddalając się od kominka rozmawiający zbliżyli się do samego końca stołu, gdzie był Julian. Pozycja jego stawała się coraz kłopotliwsza; ostatecznie, mimo wysiłków, nie mógł nie słyszeć. Mimo swego niedoświadczenia rozumiał całą wagę rzeczy, o których mówiono bez osłonek; a jak bardzo musiało owym osobom zależeć na tym, aby te rzeczy zostały tajemnicą!

Już, czyniąc to, jak mógł najwolniej, Julian zaciał ze dwa tuziny piór; niebawem ucieczka ta miała się wyczerpać. Próżno szukał jakiegoś rozkazu w oczach pana de la Mole; margrabia zapomniał o nim.

– To śmieszne, co ja robię – myślał Julian zacinając pióra – ale ci ludzie wyglądający na miernoty, a dźwigający z własnej lub cudzej woli tak wielkie sprawy, muszą być bardzo podejrzliwi. Moje nieszczęśliwe spojrzenie ma w sobie coś pytającego, coś nie dość pełnego szacunku, co by ich niezawodnie dotknęło. Jeśli spuszczą oczy, będzie wyglądało, jakbym nasłuchiwał.

Był niezmiernie zakłopotany, słyszał osobliwe rzeczy.

## LII. DYSKUSJA

Republika! Na jednego, który poświęciłby  
wszystko dla sprawy, są dziś tysiące  
i miliony znające jedynie własne przyjemności,  
własną próżność. W Paryżu o szacunku  
dla człowieka rozstrzyga jego powóz,  
nie jego cnota.  
N a p o l e o n, *Pamiętnik*

Nagle wpadł lokaj wołając:

– Książę de \*\*\*!

– Milcz, durniu – rzekł książę wchodząc. Powiedział to tak dobrze, z takim majestatem, że Julian pomyślał, że umieć się zgniewać na lokaja stanowi całą umiejętność tej wielkiej figury. Julian podniósł oczy i spuścił je natychmiast. Tak dobrze odgadł rolę nowo przybyłego, że drżał, aby spojrzenie nie było niedyskrecją.

Książę był to mężczyzna pięćdziesięcioletni, wytwornie ubrany, poruszający się jak na sprężynach. Miał wąską głowę, duży nos, twarz martwą i wydatną; trudno o połączenie szlachetniejszej i bardziej nie znaczącej zarazem fizjonomii. Przybycie jego dało hasło do otwarcia posiedzenia.

Obserwacje Juliana przerwał nagle głos pana de la Mole.

– Przedstawiam panom księdza Sorel – rzekł margrabia – obdarzony jest zdumiewającą pamięcią; przed godziną wspomniałem mu o misji, którą może być zaszczycony, i aby dać dowód pamięci, nauczył się na pamięć pierwszej stronicy *Quotidienne*.

– Hehe! zagraniczne nowinki tego pocziwego N... – rzekł gospodarz domu.

Wziął żywo dziennik, popatrzył na Juliana z miną tak ważną, że przez to aż komiczną, i rzekł:

– Mów pan!

Zapanowało milczenie, wszystkie oczy zwróciły się na Juliana; recytował tak płynnie, że po dwudziestu wierszach książę rzekł:

– Wystarczy.

Mały człowiek ze wzrokiem odyńca usiadł. Był snadź przewodniczącym zebrania, zająwszy bowiem miejsce dał znak Julianowi, aby przysunął stolik karciany stojący opodal. Julian usiadł zaopatrzywszy się w przybór do pisania. Policzył osoby siedzące dokoła zielonego sukna; było ich dwanaście.

– Panie Sorel – rzekł książę – przejdź pan do sąsiedniego pokoju, zawołamy pana.

Pan domu przybrał niespokojną minę. – Okiennice nie zamknięte – szepnął do sąsiada.

– Nie ma potrzeby wyglądać oknem! – krzyknął ktoś głupio za Julianem.

– Ot, wpakowałem się co najmniej w spisec – pomyślał Julian. – Szczęściem, nie jest on z tych, które prowadzą na rusztowanie. Gdyby zresztą i było niebezpieczeństwo, winien to jestem, i więcej jeszcze, margrabiemu. Szczęśliwy byłbym, gdyby mi dane było odkupić wszystkie strapienia, jakie mogą mu sprawić moje szaleństwa!

Wciąż myśląc o swoich szaleństwach i o swym nieszczęściu rozglądał się tak, aby nie zapomnieć żadnego szczegółu. Przypomniawszy sobie dopiero wówczas, że nie wołano na wsiadany nazwy ulicy i że margrabia przybył tu dorożką, co mu się nigdy nie zdarzało.

Długo zostawiono Juliana jego dumaniem. Salon, w którym się znalazł, obity był czerwonym aksamitem z szeroką taśmą złotej lamy. Na konsoli stał duży krucyfiks z kości słoniowej, na kominku książka pana de Maistre *O papieżu*, wspaniale oprawna, ze złożonymi brzegami. Julian otworzył ją, aby się nie wydawało, że podsłuchuje. Od czasu do czasu mówiono w sąsiednim pokoju bardzo głośno. Wreszcie drzwi się otwarły; zawołano go.

– Pomnijcie, panowie – rzekł przewodniczący – że od tej chwili mówimy w obecności księcia \*\*\*. Ten pan – rzekł wskazując na Juliana – to młody lewita oddany świętej sprawie; dzięki swej zadziwiającej pamięci potrafi oddać najdrobniejsze słowo dyskusji.

– Pan ma głos – rzekł wskazując jegomościa z ojcowską miną i w kilku kamizelkach. Julian pomyślał, że właściwiej byłoby go nazwać p a n e m w k a m i z e l k a c h.

Wziął papier i pilnie notował.

Tutaj autor chciał wykropkować całą stronicę. – To będzie pretensjonalnie – rzekł wydawca – dla utworu zaś tak błahego jak pański pretensjonalność to śmierć.

– Polityka – odpowiada autor – to kamień u szyi literackiego dzieła; musi je zatopić w pół roku. Polityka wśród gry wyobraźni to niby wystrzał z pistoletu na koncercie: hałas brutalny, a pozbawiony siły. Nie harmonizuje z żadnym instrumentem. Ta polityka urazi śmiertelnie połowę czytelników, a znudzi drugą połowę, która ma ją, w formie o wiele energiczniejszej, w porannym dzienniku...

– Jeśli pańscy bohaterowie nie będą mówili o polityce, przestaną być Francuzami z 1830, a pańska książka nie będzie zwierciadłem, jak masz do tego pretensje...

Protokół spisany przez Juliana miał dwadzieścia sześć stronic: oto jego wyciąg bardzo błady, trzeba było bowiem, jak zawsze, opuścić rysy zbyt śmieszne, których nadmiar mógłby się wydać wstrętny lub nieprawdopodobny. (P a t r z *Gazeta Sądowa*).

Człowiek w kamizelkach i z ojcowską miną (może jaki biskup?) uśmiechał się często; wówczas oczy jego, przesłonięte mrugającymi powiekami, przybierały szczególny blask i wyraz mniej niepewny niż zazwyczaj. Jemu pierwszemu kazano przemówić wobec księcia (co to za książę? – myślał Julian), widocznie w tym celu, aby – niby generalny adwokat – wyłożył przekonania wszystkich. Julian odniósł wrażenie, że mówca grzeszy mglistością oraz brakiem stanowczych konkluzji. W ciągu dyskusji sam książę uczynił mu nawet ten zarzut.

Po kilku wielce moralnych i filozoficznych ogólnikach człowiek w kamizelkach rzekł:

– Szlachetna Anglia, sterowana przez wielkiego człowieka, nieśmiertelnego Pitta, wydała czterdzieści miliardów franków na walkę z rewolucją. Jeśli szanowne zgromadzenie pozwoli mi poruszyć szczerze myśl dość smutną, powiem tak: Anglia nie zrozumiała, że z człowiekiem takim jak Bonaparte, zwłaszcza gdy jako bronią przeciw niemu rozporządza się jedynie dobrymi intencjami, jedyną wartość mają środki osobiste...

– Och, znowu apologia morderstwa! – zachnął się pan domu.

– Niechże pan nam oszczędzi sentymentalnych kazań! – wykrzyknął niechętnie przewodniczący, przy czym jego dzicze oko zalśniło okrutnym blaskiem. – Mów pan dalej! – rzekł do jegomościa w kamizelkach. Czoło i policzki przewodniczącego oblały się purpurą.

– Szlachetna Anglia – ciągnął dalej mówca – jest dziś zmiażdżona, gdyż każdy Anglik kupując bochenek chleba musi płacić procent od czterdziestu miliardów franków użytych przeciw jakobinom. Nie ma już Pitta.

– Jest książę Wellington – rzekł jakiś wojskowy nadymając się powagą.

– Proszę o ciszę, panowie – wykrzyknął przewodniczący – jeśli mamy jeszcze dysputować, niepotrzebnie fatygowaliśmy pana Sorel.

– Wiadomo, że pan ma swoje sposoby – rzekł książę cierpko, spoglądając na jegomości, który przerwał, eks-generała napoleońskiego. Julian domyślił się, że to słowo kryło jakąś osobistą i mocno obrażającą aluzję. Wszyscy uśmiechnęli się; generał odstępca był wściekły.

– Nie ma już Pitta, panowie – podjął sprawozdawca z miną człowieka, który stracił już nadzieję dogadania się. – Gdyby nawet znalazł się w Anglii drugi Pitt, nie da się dwa razy zmistyfikować narodu tymi samymi środkami.

– Dlatego też zwycięski generał, nowy Bonaparte, niemożliwy jest już we Francji! – wykrzyknął znów wojskowy.

Tym razem ani przewodniczący, ani książę nie śmieli okazać niezadowolenia, mimo że Julian czytał w ich oczach, że mają ochotę. Spuścili oczy; książę poprzestał na ostentacyjnym westchnieniu.

Ale referent nie krył swego niezadowolenia.

– Komuś jest pilno, abym skończył – rzekł z ogniem, odrzucając nagle uśmiechniętą maskę dworności i taktu, którą Julian uważał za wyraz jego charakteru – komuś pilno, abym skończył; daremne, widzę, są wysiłki, jakie czynię, aby nie obrazić niczyich uszu, chociażby najdłuższych. Zatem, panowie, będę zwięzły.

Powiem po prostu. Anglia nie da już ani grosza na ofiarę dla dobrej sprawy. Gdyby sam Pitt zmartwychwstał, nie potrafiłby, przy całym geniuszu, otumanić drobnych posiadaczy, którzy wiedzą, że krótka bitwa pod Waterloo kosztowała ich, sama jedna, miliard. Skoro żądacie, aby mówić po prostu – dodał zapalając się coraz bardziej – powiem: myślcie sami o sobie, Anglia nie ma ani gwiney na wasze usługi, kiedy zaś Anglia nie płaci, wówczas Austria, Rosja, Prusy, które mają jedynie odwagę, a nie mają pieniędzy, mogą się zdobyć co najwyżej na jedną lub dwie kampanie przeciw Francji.

Wolno mieć nadzieję, że młodzi żołnierze, skupieni pod hasłem jakobinizmu, dostaną ciągi w pierwszej bitwie, może i w drugiej; ale w trzeciej, choćbym miał uchodzić w waszych zaślepionych oczach za rewolucjonistę, w trzeciej ujrzenie żołnierzy z 1794, innych zgoła niż wówczas, gdy ich powołano w 1792.

Tu z kilku miejsc rozległy się sprzeciwy.

– Młodzieńcze – rzekł przewodniczący – idź do drugiego pokoju przepisać początek protokołu.

Julian z wielkim żalem wyszedł. Sprawozdawca poruszył możliwości stanowiące przedmiot najczęstszych dumań Juliana.

– Boją się, abym sobie z nich nie drwił – myślał. Kiedy go przywołano z powrotem, przemawiał pan de la Mole. Mówił z powagą, która znającemu go dobrze Julianowi wydała się bardzo zabawna.

– ...Tak, panowie, zwłaszcza o tym nieszczęśliwym narodzie można powiedzieć:

Będzie li bogiem, słowem albo miską?

„B ę d z i e b o g i e m !”, woła bajkopis. Do was to, panowie, zdają się odnosić te tak szlachetne i głębokie słowa. Działajcie sami osobiście, a szlachetna Francja wstanie niemal taka, jaką ją uczynili nasi przodkowie i jaką oglądały jeszcze nasze oczy przed śmiercią Ludwika XVI.

Anglia (przynajmniej jej szlachetni lordowie) nienawidzi na równi z nami plugawego jakobinizmu: bez angielskiego złota Austria, Prusy mogą stoczyć ledwie parę bitew. Czy to wystarcza, aby sprowadzić szczęśliwą okupację, jak ta, którą pan de Richelieu tak głupio zmarnotrawił w 1817? Nie sądzę.

Ktoś przerwał, ale zagłuszyło go ogólne p s t !. Był to znów generał napoleoński, który marzył o błękitnej wstędze i chciał się zaznaczyć między redaktorami tajemnej noty.

– Ja nie sądzę – podjął pan de la Mole, skoro się uciszyło; położył nacisk na tym ja z dumą, która zachwyciła Juliana. – To się nazywa gracz – mówił biegnąc piórem prawie równo ze słowami margrabiego. – Jednym dobrze zaakcentowanym słówkiem pan de la Mole unicestwił dwadzieścia bitew tego sprzedawczyka.

– Nie tylko samej zagranicy – ciągnął margrabia tonem bardzo umiarkowanym – możemy zawdzięczać nową okupację wojskową. Cała ta młodzież, która pisuje podburzające artykuły w *Globe*, dostarczy kilka tysięcy przywódców, pomiędzy którymi może się znaleźć taki Kleber, Hoche, Jourdan, Pichegru, tylko niebezpieczniejszy.

– Nie umieliśmy mu stworzyć glorii – rzekł przewodniczący – trzeba go było uczynić nieśmiertelnym.

– Trzebaż wreszcie, aby Francja rozpadła się na dwa stronnictwa – podjął pan de la Mole – ale dwa stronnictwa nie tylko z nazwy, dwa stronnictwa bardzo wyraźne, odgraniczone. Musimy wiedzieć, kogo trzeba zmiażdżyć. Z jednej strony dziennikarze, wyborcy, słowem, o p i n i a; młodzież i jej satelici. Gdy oni się odurzają brzękiem czczych słów, my mamy tę niezawodną przewagę, że zjadamy budżet.

Nowe przerywania.

– Pan, proszę pana – rzekł margrabia do przerywającego z niezrównaną wyniosłością i swobodą – pan nie zjadasz, jeśli to słowo pana razi, pan pożerasz czterdzieści tysięcy franków z budżetu państwa i osiemdziesiąt tysięcy, które otrzymujesz z listy cywilnej. A więc, drogi panie, skoro mnie pan zmusza, biorę pana śmiało za przykład. Jak pańscy szlachetni przodkowie, którzy szli za Świętym Ludwikiem na wojnę krzyżową, powinien być pan za tych sto dwadzieścia tysięcy franków wystawić nam co najmniej pułk, kompanię, co mówię! pół kompanii, złożonej z pięćdziesięciu ludzi gotowych walczyć i oddanych dobrej sprawie na śmierć i życie. Macie tylko lokajów, którzy w razie buntu napędziliby strachu wam samym.

Tron, ołtarz, szlachta mogą zginąć jutro, panowie, o ile nie stworzycie sobie w każdym departamencie pięciuset oddanych ludzi; mówię oddanych, nie tylko z całą francuską odwagą, ale z hiszpańską wytrzymałością.

Połowa tej armii powinna się składać z naszych dzieci, wnuków, z prawdziwej szlachty. Każdy z nich będzie miał przy boku nie jakiegoś łyka gadułę, gotowego przywdziać trójkolorową kokardę, jeśli się zdarzy nowy rok 1815, ale tęgiego chłopca, szlachcica wpoi weń zasady: niech to będzie, o ile możliwe, jego mleczny brat. Niech każdy z nas poświęci piątą część swego dochodu, aby stworzyć tę małą oddaną armię, pięciuset ludzi na każdy departament. Wówczas będziecie mogli liczyć na obcą okupację. Nigdy cudzoziemski żołnierz nie dostanie się do Dijon, jeśli nie będzie miał pewności, że znajdzie pięciuset sprzymierzeńców w każdym departamencie.

Cudzoziemscy monarchowie tylko wtedy zechcą z wami gadać, jeśli im zapewnicie dwadzieścia tysięcy szlachty, gotowej chwycić za broń, aby im otworzyć bramy Francji. Ciężka to ofiara, powiecie; otóż, panowie, bezpieczeństwo naszych głów zależy od niej. Między wolnością prasy a naszym istnieniem jako szlachty jest walka na śmierć i życie. Zostańcie rękodzielnikami, chłopami albo bierzcie karabin. Bądźcie tchórzami, jeśli chcecie, ale nie głupcami; otwórzcie oczy.

„S t r ó j c i e b a t a l i o n y” – powiem wam słowami pieśni jakobinów; wówczas znajdzie się jakiś szlachetny Gustaw Adolf, który, poruszony groźącą zagładą monarchicznej zasady, pogna trzysta mil i uczyni dla was to, co Gustaw dla protestanckich książąt. Chcecie nadal rozprawiać, a nie działać? Za pięćdziesiąt lat będą w Europie sami prezydenci republik, ani jednego króla. A wraz z tymi czterema literami: K, R, Ó, L, zginą i księża, i szlachta. Widzę już tylko k a n d y d a t ó w robiących słodkie oczy do plugawej w i ę k s z o ś c i.



Darmo mówilibyście, że Francja nie ma w tej chwili popularnego wodza, znanego, ukochanego; że armia oddana jest jedynie interesom tronu i ołtarza, że wyłączone z niej starych wiarusów, gdy w każdym pruskim i austriackim pułku znajdzie się pięćdziesięciu podoficerów, którzy byli w ogniu. Dwieście tysięcy młodzieży z drobnego mieszczaństwa rwie się do wojny...

– Dość już tych przykrych prawd! – rzekła pewnym siebie tonem poważna osobistość, piastująca widocznie jakąś wysoką godność kościelną, gdyż pan de la Mole uśmiechał się przyjaźnie zamiast się gniewać, co było nieomylnym znakiem dla Juliana.

– Dosyć przykrych prawd, streśćmy się, panowie: człowiek, któremu trzeba uciąć zgangrenowaną nogę, źle by uczynił, gdyby zapewniał chirurga: Ta noga jest zupełnie zdrowa. Darujcie mi porównanie, panowie, szlachetny książę \*\*\* jest naszym chirurgiem.

Wreszcie padło wielkie słowo – pomyślał Julian – zatem to do... będę gnał tej nocy.

### LIII. KLER, LASY, WOLNOŚĆ

Pierwszym prawem każdej istoty  
jest zachowanie istnienia, życia.  
Siejecie szalej, a chcecie, aby wzeszły kłosa!  
M a k i a w e l

Poważny dostojnik mówił dalej; czuło się, że w i e; z łagodną i umiarkowaną powagą, która niezmiernie podobała się Julianowi, wykladał te wielkie prawdy.

1. Anglia nie ma ani gwinei na nasze usługi; w modzie są tam ekonomia i Hume. Nawet ś w i ę c i nie dadzą nam pieniędzy, a pan Brougham wyśmiej się z nas.

2. Niepodobna bez angielskiego złota wycisnąć z monarchów Europy więcej niż dwie kampanie; dwie kampanie zaś nie wystarczą przeciw drobnemu mieszczaństwu.

3. Konieczne jest utworzyć we Francji zbrojne stronnictwo, inaczej monarchiczna Europa nie zaryzykuje ani tych dwóch kampanii.

Czwarty punkt, który ośmielę się panom przedstawić jako oczywisty, jest ten:

N i e p o d o b n a s t w o r z y ć w e F r a n c j i z b r o j n e j p a r t i i b e z p o m o c y k l e r u. Mówię to śmiało, ponieważ to udowodnię. Trzeba dać wszystko duchowieństwu.

1. Ponieważ, zajmując się swymi sprawami noc i dzień, pod kierunkiem ludzi wysoce uzdolnionych, przebywających z dala od wszelkich burz, o trzysta mil poza waszymi granicami...

– Och, Rzym! Rzym! – wykrzyknął gospodarz domu.

– Tak, panie, Rzym! – odparł kardynał dumnie. – Bez względu na mniej lub więcej dowcipne żarciki, które były w modzie za pańskiej młodości, oświadczam głośno w r. 1830, że jedynie duchowieństwo prowadzone przez Rzym umie trafić do ludu. Pięćdziesiąt tysięcy księży powtarza te same słowa w dniu wskazanym przez przełożonych, do ludu zaś, który, ostatecznie, dostarcza żołnierzy, bardziej przemówi głos kapłana niż głosy wszystkich robaków ziemnych... (Ta wycieczka osobista wywołała szmery.)

Duchowieństwo przewyższa was rozumem, myślą, panowie -ciągnął podniesionym głosem kardynał – wszystko, coście uczynili, aby się zbliżyć do tego zasadniczego punktu, a m i a n o w i c i e, a b y m i e ć w e F r a n c j i z b r o j n e s t r o n n i c t w o, było naszym dziełem.

Tu nastąpiły fakta... Kto poruszył osiemdziesiąt tysięcy strzelb w Wandei? etc., etc.

– Póki duchowieństwo nie ma swoich lasów, nie ma w rękę. Przy pierwszej wojnie minister wojny wytłumaczy swoim podwładnym, że nie ma pieniędzy dla nikogo, oprócz dla proboszcza. W gruncie, Francja nie jest zbyt wierząca, a lubi wojnę. Ktokolwiek jej ją da, będzie podwójnie popularny, prowadzić bowiem wojnę znaczy w y g ł o d z i ć j e z u i t ó w, mówiąc gwarą pospólstwa; prowadzić wojnę znaczy uwolnić tych pyszałków Francuzów od grozy zagranicznej interwencji.

Słuchano kardynała z uznaniem.

– Pan de Nerval – rzekł – powinien by ustąpić z ministerium; jego nazwisko niepotrzebnie drażni.

Na te słowa wszyscy wstali i zaczęli mówić naraz. – Znów mnie wyprawia – pomyślał Julian; ale nawet roztropny przewodniczący zapomniał o istnieniu Juliana.

Wszystkie oczy zwróciły się w jedną stronę: Julian poznał pana de Nerval, prezydenta ministrów, którego widział na balu u księcia de Retz.

Z a m i e s z a n i e d o s z ł o d o s z c z y t u, jak powiadają dzienniki w sprawozdaniach z izby. Po dobrym kwadransie uciszyło się nieco.

– Nie będę twierdził, panowie – rzekł szczególnym głosem – że nie zależy mi na tece. Rozumiem, że moje nazwisko zdwaja siły jakobinów, zwracając przeciw nam wielu umiarkowanych. Usunąłbym się tedy chętnie; ale drogi Pana wiadome są jedynie niewielu; ale – dodał wpatrując się bystro w kardynała – ja mam misję; niebo powiedziało mi: Dasz głowę na rusztowaniu lub odbudujesz we Francji monarchię, sprowadzisz parlament do tego, czym był parlament za Ludwika XV; i d o k o n a m t e g o, panowie.

Zamilkł, usiadł, zapanowała cisza.

– Tęgi aktor – pomyślał Julian. Mylił się jak zawsze, przypisując ludziom za wiele inteligencji. Podniecony utarczkami ożywionego wieczoru, a zwłaszcza szczerością dyskusji, pan de Nerval wierzył w tej chwili w swą misję. Przy wielkiej odwadze człowiek ten nie miał rozumu.

Północ wybiła podczas ciszy, która zaległa po owym pięknym słowie: d o k o n a m t e g o. Zdawało się Julianowi, że dźwięk zegara ma coś imponującego i posępnego. Czuł się wzruszony.

Niebawem dyskusja wybuchła na nowo z rosnącą energią, a zwłaszcza z nieprawdopodobną naiwnością. – Ci ludzie każą mnie otruć – myślał Julian. – Jak można mówić podobne rzeczy wobec plebejusza!

Biła druga, kiedy rozprawiano jeszcze. Gospodarz od dawna spał, pan de la Mole musiał dzwonić, aby podano nowe świece. Pan de Nerval, minister, wyszedł o trzy kwadransy na drugą, przypatrzawszy się dobrze twarzy Juliana w lustrze. Po jego odejściu wszyscy uczyli ulgę.

– Bóg wie, co ten człowiek opowie królowi – szepnął do sąsiada pan w kamizelkach, gdy zakładano świece. – Może nas bardzo ośmieszyć i zwichnąć nam przyszłość. Trzeba przyznać, że to był rzadki tupet, a nawet bezczelność z jego strony, aby się tu zjawić. Bywał tu, nim był ministrem; ale teka zmienia wszystko, pochłania człowieka; powinien by to czuć.

Ledwie minister wyszedł, generał napoleoński zamknął oczy. Zaczął mówić o swoim zdrowiu, o ranach, spojrzął na zegarek, po czym wyszedł.

– Założyłbym się – rzekł człowiek w kamizelkach – że generał pędzi za ministrem; będzie się tłumaczył z tego, że był tutaj, i będzie utrzymywał, że nami powoduje.

Skoro na wpół drzemiąca służba uporała się ze świecami, przewodniczący rzekł:

– Radźmyż wreszcie, panowie, nie silmy się już przekonywać wzajem. Pomyślmy nad treścią noty, która za czterdzieści osiem godzin dojdzie wiadomości naszych zagranicznych przyjaciół. Wspomniano o ministrach. Możemy powiedzieć teraz, kiedy pana de Nerval już nie ma: co nas obchodzą ministrowie? Zmusimy ich do okazania woli.

Kardynał przytwierdził subtelnym uśmiechem.

– Bardzo łatwo, zdaje mi się, streścić naszą pozycję – rzekł młody biskup z Agde z ogniem fanatyzmu.

Dotąd biskup milczał; oko jego, zrazu spokojne i zimne, rozpromieniło się już w pierwszej godzinie dyskusji. Obecnie dusza jego kipiała jak lawa Wezuwiusza.

– Od 1806 do 1814 – mówił – Anglia popełniła jeden tylko błąd, mianowicie, że nie wzięła na cel wprost i osobiście Napoleona. Z chwilą kiedy ten człowiek utworzył książąt i szambelanów, z chwilą gdy odbudował tron, misja, jaką Bóg mu powierzył, była skończona; wówczas należało go poświęcić. Pismo święte uczy nas w niejednym miejscu, w jaki sposób można uporać się z tyranem. (Tu kilka cytatów łacińskich.)

Dziś, panowie, nie jednego człowieka trzeba poświęcić, ale Paryż. Cała Francja wzoruje się na Paryżu. Po co uzbrajać po pięćset ludzi na każdy departament? Rzykowne i bezpożyteczne. Po co mieszać Francję w rzecz, która dotyczy osobiście Paryża? Paryż sam, ze swymi dziennikami i salonami, jest przyczyną złego; niech nowy Babilon zginie. Nie ma wyboru między Paryżem a ołtarzem. Ta katastrofa leży nawet w świeckich interesach tronu. Czemu Paryż nie ośmielił się pisać za Bonapartego? Spytajcie o to armat spod Świętego Rocha...

Ledwie o trzeciej rano Julian wyszedł z panem de la Mole.

Margrabia był zmęczony i zawstydzony. Kiedy mówił do Juliana, pierwszy raz w akcencie jego brzmiała prośba. Prosił go o przyrzeczenie, że nigdy nie zdradzi nadmiaru świętej gorliwości (to było jego wyrażenie), której przypadkowo stał się świadkiem. – Nie wspominaj o tym naszemu przyjacielowi za granicą, chyba że koniecznie zechce poznać ducha naszych młodych zapaleńców. Cóż im znaczy, że państwo runie, oni zostaną kardynałami i czmychną do Rzymu. Nas w naszych zamkach wyrzną chłopci.

Poufna nota, którą margrabia sporządził z dwudziestu sześciu stronic protokołu Juliana, była gotowa ledwo o trzy kwadransy na piętą.

– Zmęczony jestem śmiertelnie – rzekł margrabia – znać to po tej notatce, która pod koniec nie jest dość przejrzysta; mało z czego w życiu byłem równie niezadowolony. Teraz, chłopcze – dodał – idź spocząć na kilka godzin; z obawy zaś, aby cię nie wykradziono, zamknę cię na klucz.

Nazajutrz margrabia zawiózł Juliana do ustronnego zamku, dość daleko od Paryża. Zastali tam osobliwych gości, którzy mocno wyglądali Julianowi na księży. Wręczono mu paszport, wystawiony na fałszywe nazwisko, ale wskazujący prawdziwy cel podróży, którego Julian wciąż niby się nie domyślał. Wsiadł sam do kolaski.

Margrabia nie miał obawy o jego pamięć; Julian wyrecytował mu kilkakrotnie poufną notę. Pan de la Mole lękał się tylko, aby go nie przytrzymało w drodze.

– Staraj się zwłaszcza mieć minę furfanta, który podróżuje jedynie dla zabicia czasu – rzekł przyjaźnie, gdy opuszczali salon. – Był może niejedyn zdrajca wśród nas na wczorajszym zebraniu.

Podróż była szybka i smutna. Ledwie Julian stracił z oczu margrabiego, zapomniał o nocie i o misji, aby myśleć jedynie o wzdargie Matyldy.

O kilka mil za Metzem poczmistrz powiedział mu, że nie ma koni. Była dziesiąta wieczór, Julian, bardzo nierad, poprosił o wieczerzę. Przechadzał się koło domu i nieznacznie zajrzał do stajni. Koni nie było.

– A jednak ten człowiek wyglądał podejrzanie – myślał Julian – w tym chamskim oku było coś szpiegowskiego.

Jak widzimy, Julian zaczynał nie brać dosłownie wszystkiego, co mu mówiono. Zamierzał się wyniknąć po wieczerzy; aby zaś dowiedzieć się czegoś o okolicy, poszedł zagrzezać się w kuchni. Jakaż była radość, kiedy ujrzał sławnego śpiewaka, signor Geronima!

Wyciągnięty w fotelu, który kazał przystawić do ognia, neapolitańczyk lamentował na cały głos i sam jeden gadał więcej niż dwudziestu niemieckich chłopów, którzy gapiąc się otaczali go.

– Ci ludzie mnie rujną! – zawołał do Juliana. – Przyrzekłem śpiewać jutro w Moguncji. Siedmiu panujących ksiąząt zbiegło się, aby mnie słyszeć. Ale chodźmy się przejść! – dodał znacząco.

Skoro się oddalili o jakie sto kroków, tak aby nikt nie mógł ich podsłuchać, śpiewak rzekł:

– Wie pan, co się święci? Ten poczmistrz to prosty oszust. Dałem w czasie przechadzki dwadzieścia su małemu smykowi, który mi wszystko wyśpiewał. Jest dwanaście koni na drugim końcu wioski. Chcą przytrzymać jakiegoś kuriera.

– Doprawdy? – rzekł Julian niewinnym tonem.

To jeszcze było mało wykryć zdradę; trzeba było móc wyjechać: na to ani Geronimo, ani jego przyjaciel nie umieli poradzić.

– Czekajmy dnia – rzekł wreszcie śpiewak – nie ufają nam. Może podejrzewają mnie, może pana. Jutro zamówimy dobre śniadanie; gdy je nam będą gotować, wymkniemy się, najmiemy konie i dobijemy do najbliższej poczty.

– A pańskie rzeczy? – spytał Julian, któremu przyszło na myśl, że może sam Geronimo wysiany jest, aby go przytrzymać.

Trzeba było zjeść kolację i iść spać. Julian dopiero niedawno zasnął, kiedy go nagle obudził głos dwóch osób, które nie krępując się zbyt rozmawiały w jego pokoju.

Poznał poczmistrza uzbrojonego w ślepią latarkę. Światło padało na walizkę, którą Julian kazał wnieść do pokoju. Obok poczmistrza znajdował się jakiś mężczyzna, który spokojnie grzebał w otwartym kufrze. Julian dostrzegł jedynie rękawy jego ubrania, czarne i bardzo wąskie.

– To sutanna – pomyślał ujmując ostrożnie pistolety, które umieścił pod poduszką.

– Niech się ksiądz nie lęka, nie zbudzi się – rzekł poczmistrz. – Potraktowałem ich wczoraj owym winem, które ksiądz sam przyrządził.

– Nie widzę żadnych papierów – odparł ksiądz. – Dużo bielizny, pachnidła, pomady, fatałachów; to jakiś światowy lalusz, pochłonięty uciechami. Emisariuszem będzie raczej ten drugi, który udaje włoski akcent.

Zbliżyli się, aby przetrząsnąć podróżne ubranie Juliana. Miał chętkę zabić ich jako złodziejów. Nie pociągnęłoby to groźnych następstw. Szaloną miał ochotę... – To byłoby głupstwo – rzekł sobie – naraziłbym swoją misję.

– To nie jest dyplomata – rzekł ksiądz przetrząsnawszy odzież, po czym oddalił się, i dobrze uczynił.

– Jeśli mnie tknie w łóżku, biada mu – myślał Julian – może on przyszedł po to, aby mnie zasztyletować, tego bym nie zniósł.

Ksiądz odwrócił głowę, otworzył do połowy oczy; jakież było zdumienie Juliana! Był to ksiądz Castanède. W istocie, mimo iż silili się mówić po cichu, jeden głos wydał się Julianowi od początku znajomy. Uczuł pokusę, aby uwolnić ziemię od jednego z najnikczemniejszych łajdaków...

– A moja misja! – rzekł sobie w duchu.

Ksiądz i jego akolita wyszli. W kwadrans potem Julian udał, że się zbudził. Poruszył cały dom.

– Otruty jestem! – krzyknął. – Cierpię straszliwie! – Chciał znaleźć jakiś pozór, aby pośpieszyć na pomoc Geronimowi. Znalazł go w pół odurzonego pod wpływem laudanum zawartego w winie.

Julian, przewidując tego rodzaju psikusa, przyrządził sobie na wieczną czekoladę przywiezioną z Paryża. Nie był w stanie rozbudzić śpiewaka, aby go skłonić do wyjazdu.

– Gdyby mi dano całe królestwo Neapolu – powiadał artysta – nie wyrzekłbym się w tej chwili rozkoszy spania.

– Ale siedmiu panujących?

– Niech czekają.

Julian odjechał sam i dobił bez dalszych przygód do wysokiej osobistości. Stracił cały ranek na zabiegach o audiencję. Szczęściem około czwartej książe wybrał się na przechadzkę. Julian ujrzał go idącego pieszo i nie zawahał się poprosić o jałmużnę. Zbliżywszy się na dwa kroki do dostojnika, wydobyl zegarek margrabiego i pokazał go znacząco. – **P r o s z ę i ś ć z a m n ą z d a l e k a** – rzekł książe nie patrząc.

Uszedłszy z ćwierć mili książe wstąpił do małej kawiarenki. W tej to nędznej gospodzie, w jakiejś ciupie, Julian miał zaszczyt wyrecytować księciu cztery stronice noty.

– **P r o s z ę j e s z c z e r a z, i w o l n i e j** – brzmiała odpowiedź.

Książe porobił notatki. – **I d ź p a n p i e s z o d o n a j b l i ż s z e j s t a c j i p o c z t o w e j. Z o s t a w t u r z e c z y i k o l a s k ę. D o s t a ń s i ę, j a k z d o ł a s z, d o S t r a s b u r g a, d w u d z i e s t e g o d r u g i e g o z a ś (b y ł o t o d z i e s i ą t e g o) b ą d ź w p ó ł d o p i e r w s z e j w p o ł u d n i e w t e j s a m e j o b e r ż y. N i e w y c h o d ź a ż z a p ó ł g o d z i n y! M i l c z e n i e!**

Oto jedyne słowa, jakie Julian usłyszał. Wystarczyły, aby go przejąć uwielbieniem. – Oto jak załatwia się sprawy – pomyślał – cóż by powiedział ten wielki mąż stanu, gdyby słyszał przed trzema dniami naszych gadułów?

Julian dostał się za dwa dni do Strasburga; był przeświadczony, że nie ma tam nic do roboty. Nadłożył drogi dla zmylenia tropu. – Jeśli ten czart Castanède mnie poznał, niełatwo spuści mnie z oka... Z jakąż rozkoszą zadrwiłby ze mnie i udaremniłby mą misję!

Ksiądz Castanède, naczelnik policji kongregacji na całej północnej granicy, nie poznał go na szczęście; jezuici zaś w Strasburgu, mimo że czujni, nie wpadli na myśl śledzenia Juliana. W swoim błękitnym fraczku, z orderem, wyglądał na młodego wojskowego, mocno zajętego swą osobą.

## LIV. STRASBURG

O urzeczenie! ty posiadasz całą potęgę  
miłości, całą jego moc wytrwania  
w nieszczęściu. Jedyne jej urocze słodczyce,  
jej upojenie znajdują się poza twą sferą.  
Nie mogłem powiedzieć widząc ją śpiącą:  
ta anielska piękność, tak rozkosznie słaba,  
należy do mnie! Oto ją mam w swojej mocy,  
ją, którą niebo stworzyło w swym miłosierdziu,  
aby zachwycić serce mężczyzny.  
*Oda Schillera*

Zniewolony spędzić tydzień w Strasburgu, Julian silił się rozerwać myślami o chwale wojennej i poświęceniu dla ojczyzny. Byłże tedy zakochany? Nie miał pojęcia, czuł tylko w udręczonej duszy, że Matylda jest bezwzględnie panią jego szczęścia jak i wyobraźni. Potrzebował całej siły charakteru, aby się nie poddać rozpacz. Nie było w jego mocy myśleć o rzeczach nie mających związku z panną de la Mole. Ambicja, zadowolona próżność odrywała go nieraz od uczuć, jakie budziła w nim pani de Rênal. Matylda pochłonęła wszystko; znajdował ją w każdej myśli o przyszłości.

W którąkolwiek stronę Julian spojrzeł, przyszłość wydawała mu się nędzna i chybiona. Ten sam człowiek, w Verrières tak pełen zrozumienia i pychy, obecnie popadł w nadmiar śmiesznej skromności.

Trzy dni wprzód byłby zabił z przyjemnością księdza Castanède; w Strasburgu zaś, gdyby dziecko wszczęło z nim kłótnię, ustąpiłby dziecku. Rozmyślając na nowo o przeciwnikach i wrogach, których spotkał w życiu, dochodził zawsze do wniosku, że wina była po jego stronie.

Pochodziło to stąd, że obecnie nieubłaganą jego nieprzyjaciółką stała się owa potężna wyobraźnia, niegdyś wciąż zatrudniona obrazami świetnej przyszłości.

Zupełna samotność, na jaką skazany był w podróży, potęgowała jeszcze władzę czarnej wyobraźni. Jakimż skarbem byłby mu przyjaciel! – Ale – powiadał sobie Julian – czy jest serce, które by biło dla mnie? A gdybym miał przyjaciela, czyż honor nie nakazywałby mi wiekuistego milczenia?

W tak smutnym usposobieniu objeżdżał konno okolice Kehl; jest to miasteczko nad Renem, unieśmiertelnione przez Dessaix'a i Gouvion Saint-Cyr. Wieśniak niemiecki pokazywał mu strumyki, drogi, wysepki na Renie, wstawione męstwem tych wielkich wodzów. Julian, powodując koniem lewą ręką, trzymał w prawej wspaniałą mapę *zdobiącą Pamiętniki marszałka Saint-Cyr*. Naraz usłyszał wesoły okrzyk; podniósł głowę.

Był to książę Korazow, ów przyjaciel z Londynu, który przed kilkoma miesiącami odsłonił mu zasady *d a n d y z m u*. Wierny tej wielkiej sztuce, Korazow, bawiący po drodze ze Strasburga od pół godziny w Kehl, nie przeczytawszy zresztą w życiu ani wiersza o obłężeniu z 1796, zaczął wszystko tłumaczyć Julianowi. Niemiecki chłopiec spoglądał nań zdziwiony; rozumiał tyle po francusku, aby ocenić grube omyłki, jakie popełniał książę. Julian był o sto mil od myśli o tym, patrzył olśniony na pięknego młodzieńca, podziwiał jego wdzięk w dosiadananiu konia.

– Szczęśliwa natura – myślał. – Jak te spodnie doskonale leżą; jak wykwiłtnie ostrzyżony! Ach, gdybym ja był taki, nie zbrzydziłaby mi się może po trzech dniach miłości.

– Wyglądasz jak trapista – rzekł książę skończywszy wykład – przeholowałeś w powadze, którą ci wszczepiłem w Londynie. Smutek nie jest nigdy w dobrym tonie; należy być *z n u d z o n y m*. Jeśliś smutny, to znaczy, że ci czegoś brakuje, że coś ci się nie powiodło. *T o z n a c z y p r z y z n a w a ć s i ę d o u p o ś l e d z e n i a*. Przeciwnie, być znudzonym znaczy, że niełatwo coś ci się zdoła spodobać. Zrozumże, mój drogi, tę olbrzymią różnicę.

Julian rzucił talara wieśniakowi, który słuchał z rozdziawioną gębą.

– Dobrze – rzekł książę – w tym był wdzięk, była szlachetna wzdarda! Doskonale!

I puścił się galopa. Julian pognął za nim, przejęty cielecym podziwem.

– Och, gdybym był doń podobny, nie przełożyłaby nade mnie takiego Croisenois! – Im bardziej odczuwał rozumowo śmieszność księcia, tym bardziej gardził sobą, że je podziwia, i cierpiał, że ich nie posiada. Niepodobna dalej posunąć wstrętu do samego siebie.

Książę zauważył jego smutek.

– Ejże, mój drogi – rzekł, kiedy wjeżdżali do Strasburga – czyś zgrał się do nitki, czy też zakochałeś się w jakiej aktoreczce?

Rosjanie naśladowają francuskie obyczaje, ale zawsze z pięćdziesięcioletnim opóźnieniem. Obecnie są w wieku Ludwika XV.

Te romansowe aluzje sprowadziły łzy do oczu Juliana. – Czemu nie miałbym się porażać tego miłego chłopca? – pomyślał nagle.

– Więc tak, książę – odparł – spotykasz mnie tu w Strasburgu mocno zakochanym, nawet opuszczonym. Urocza kobieta w sąsiednim mieście puściła mnie kantem po trzydniowym miłowaniu, i ta zdrada zabija mnie.

Pod zmienionym nazwiskiem odmalował księciu postępowanie i charakter Matyldy.

– Nie mów dalej – rzekł Korazow – aby wzbudzić w tobie zaufanie do lekarza, dokończ twego zwierzenia. Mąż tej młodej osoby posiada olbrzymi majątek lub raczej ona sama należy do najwyższej arystokracji miejscowej. W ogóle musi być z czegoś dumna.

Julian skinął głową, nie miał siły mówić.

– Doskonale – rzekł książę – oto trzy gorzkie mikstury, które zażyjesz bez zwłoki.

1. Odwiedzać codziennie panią... jak się nazywa?

– Pani de Dubois.

– Cóż za nazwisko! – rzekł książę parskając śmiechem. – Ale, przepraszam, dla ciebie jest wspaniałe. Chodzi o to, aby widywać co dzień panią de Dubois; nie bądź zwłaszcza chłodny ani urażony; przypomnij sobie wielką zasadę epoki: bądź przeciwieństwem tego, czego po tobie oczekują. Okazuj się ściśle taki, jakim byłeś tydzień wprzód, nim cię zaszczyliła swymi łaskami.



– Och, byłem wówczas spokojny! – wykrzyknął Julian z rozpaczą. – Myślałem, że nią gardzę...

– Motyl spała się od świecy – ciągnął książę – porównanie stare jak świat.

2. Będziesz ją widywał co dzień.

3. Będziesz się zalecał do którejś z jej przyjaciółek, ale bez pozorów namiętności, rozumiesz? Nie taję ci, rola twoja jest trudna, masz grać komedię, a jeśli wyda się, że grasz, jesteś zgubiony.

– Ona ma tyle sprytu, a ja tak mało! Jestem zgubiony – rzekł Julian smutnie.

– Nie, jesteś tylko bardziej zakochany, niż myślałem. Pani de Dubois jest głęboko zajęta sobą, jak wszystkie kobiety, którym Bóg dał albo za wiele szlachectwa, albo za wiele pieniędzy.

Przygląda się sobie zamiast przyglądać się tobie, tym samym nie zna ciebie. W czasie kilku paroksyzmów miłości, na jakie z wielkim wysiłkiem wyobraziła się zdobyła, widziała w tobie wymarzonego bohatera, nie to, czym jesteś w istocie. Cóż u diabła, toż to elementarz, drogi Sorel, czy z ciebie zupełny uczeń?

Brawo! Wstąpmy do tego magazynu. Cóż za wspaniały czarny halsztuk, można by rzec, że wyszedł z pracowni Johna Anderson przy Burlington Street. Zrób to dla mnie i kup go sobie, wyrzuć oknem ten czarny postronek, który masz na szyi.

– A, ba – ciągnął książę, wychodząc z najwykwintniejszego sklepu w Strasburgu – w jakim świecie obraca się pani de Dubois? Wielkie bogi! Co za nazwisko! Nie gniewaj się, drogi Sorel, ale to nad moje siły... Do kogo będziesz się zalecał?

– Do pewnej skromnisi, córki bogatego pończosznika. Ma śliczne oczy, bardzo w moim guście; zajmuje pierwsze stanowisko w okolicy; ale mimo tych wielkości rumieni się i miesza, skoro przy niej wspomnieć o handlu w sklepie. Nieszczęściem ojciec jej był jednym z najbardziej znanych kupców w Strasburgu.

– Zatem kiedy mowa o p r z e m y ś l e – rzekł książę śmiejąc się – jesteś pewny, że piękna pani myśli o sobie, nie o tobie. Cudowna śmiesznośćka i bardzo użyteczna w tym wypadku; nie pozwoli ci ani na chwilę stracić głowy dla jej pięknych oczu. Powodzenie zapewnione.

Julian miał na myśli marszałkową de Fervaques, która bywała często w pałacu de la Mole. Była to piękna cudzoziemka, zaślubiła marszałka na rok przed jego śmiercią. Całe jej życie miało jak gdyby tylko jeden cel, mianowicie pokryć niepamięcią to, że jest córką p r z e m y ś l o w c a. Aby grać w Paryżu jakąś rolę, stanęła na czele stronnictwa cnoty.

Julian podziwiał szczerze księcia; czegóż nie dałby, aby mieć jego śmieszności! Gawęda przyjaciół ciągnęła się bez końca; Korazow był zachwycony: nigdy żaden Francuz nie słuchał go tak długo.

– Tak więc doszedłem w końcu do tego – powiadał sobie w upojeniu – że mogę dawać lekcje swoim mistrzom!

– Porozumieliśmy się zatem – powtarzał Julianowi dziesiąty raz – żadnych objawów miłosnych, kiedy w obecności pani de Dubois będziesz rozmawiał z piękną córką pończosznika. W zamian za to – płomienne listy. Czytać dobrze napisany list miłosny to dla skromnisi największa przyjemność, to moment wytchnienia. Wreszcie przez chwilę nie gra komedii, ośmiela się słuchać swego serca! Zatem, dwa listy dziennie.

– Nie, nigdy! – rzeki Julian zniechęcony. – Raczej dałbym się utłuc w mózdzierzu, niż bym sklecił bodaj trzy frazesy; jestem trup, mój przyjacielu, nie wydobędziesz ze mnie nic. Pozwól mi zemrzeć przy gościńcu.

– A któż mówi o składaniu frazesów? Mam w neseserze sześć tomów listów miłosnych w rękopisie. Są tam odmiany na wszelkie charaktery kobiece, nawet na najwyższą cnotę. Alboż Kaliski nie zalecał się w Richemond-la-Terrasse, wiesz, o trzy mile od Londynu, do najładniejszej kwakierki w całej Anglii?

Rozstając się z przyjacielem o drugiej z rana Julian czuł się mniej nieszczęśliwy.

Nazajutrz księżę wezwał kopistę i w dwa dni później Julian miał pięćdziesiąt trzy listy miłosne, skrupulatnie ponumerowane, przeznaczone dla najbardziej wzniosłej i melancholijnej cnoty.

– Nie ma ich więcej, bo Kaliskiego wystrychnięto na dudka, ale co ci to szkodzi, że córka pończosznika będzie dla ciebie okrutna, skoro chcesz tylko oddziaływać na serce pani de Dubois?

Codziennie jeździli konno na spacer: księżę szalał za Julianem. Nie wiedząc, jak mu okazać swą nagłą przyjaźń, ofiarował mu wreszcie rękę którejś z kuzynek, bogatej dziewczynki w Moskwie. – Skoro raz się z nią ożenisz – dodał – przy moich stosunkach i przy orderze, który już posiadasz, zostaniesz pułkownikiem do dwóch lat.

– Ależ ten krzyż nie jest z ręki Napoleona, całkiem przeciwnie.

– Cóż to znaczy – rzekł księżę – czyż nie on go ustanowił? I tak ten krzyż jest pierwszy w Europie.

Julian omal że nie przyjął; ale obowiązek kazał mu jechać do wysokiej osobistości; rozstając się z Korazowem obiecał pisywać. Otrzymał odpowiedź na swą tajemną notę i pomknął do Paryża. Ale zaledwie dwa dni spędził sam, uczuł, że opuścić Francję i Matyldę byłoby dlań gorsze niż śmierć.

– Nie zaślubię milionów, które mi ofiaruje Korazow – powiedział sobie – ale pójdę za jego radą. Ostatecznie, uwodzenie to jego zawód; myśli wyłącznie o tym od piętnastu lat, bo ma trzydzieści. Nie można powiedzieć, aby był głupi; jest sprytny i przebiegły; entuzjazm, poezja są zupełnie obce tej naturze; to istny prokurator; tym bardziej nie powinien się mylić. Tak trzeba: będę się zalecał do pani de Fervaques. Znudzę się może trochę, ale będę patrzył w te oczy tak piękne i tak podobne do oczu, które mnie kochały najbardziej w świecie. Jest cudzoziemką; nowy charakter do obserwacji. Szaleniec ze mnie, gubię się; trzeba mi iść za radami przyjaciela i nie dowierzać sobie.

## LV. MISTERIUM CNOTY

Ale, jeśli będę zażywał przyjemności  
lak rozważnie i ostrożnie,  
przestanie być przyjemnością.  
L o p e d e V e g a

Ledwie wróciwszy do Paryża, po wyjściu z gabinetu margrabiego, który wydawał się bardzo zbity z tropu otrzymanymi depeuszami, bohater nasz pobiegł do hrabiego Altamira. Z urokiem skazańca piękny ten cudzoziemiec łączył wielką powagę oraz szczęśliwą cnotę nabożności – te dwa przymioty, przede wszystkim zaś wysokie urodzenie, zjednały mu względy pani de Fervaques, która zapraszała go często.

Julian zwierzył mu się bardzo serio, że jest w niej zakochany.

– Jest to osoba wysokiej i nieskazitelnej cnoty – odparł Altamira – tylko nieco przesadna i jezuitka. Bywają dnie, że rozumiem każde ze słów, którymi się posługuje, ale nie rozumiem całego zdania. Często budzi we mnie uczucie, że nie posiadam języka francuskiego tak dobrze, jak ludzie twierdzą. Znajomość ta ściągnie na ciebie uwagę, doda ci znaczenia w świecie. Ale chodźmy do Bustosa – rzekł hrabia Altamira, który miał umysł systematyczny – on swego czasu zalecał się do marszałkowej.

Don Diego Bustos wysłuchał w milczeniu szczegółów dotyczących sprawy, niby adwokat udzielający konsultacji. Miał pulchną twarz mnicha, czarne wąsy i odznaczał się niezrównaną powagą; poza tym szczery *carbonaro*.

– Rozumiem – rzekł. – Czy marszałkowa de Fervaques miała przygody miłosne, czy nie? Czy ma pan jakie widoki powodzenia? Oto kwestia. Rozumie pan tym samym, że co do mnie, nie powiodło mi się. Teraz, kiedy mi już o to nie chodzi, patrzę jasno: jest to osoba podlegająca kaprysom i jak to panu zaraz opowiem, porządnie mściwa.

Nie widzę w niej owego żółciowego temperamentu, który bywa udziałem płomiennych dusz i powleka wszystkie uczucia pokostem namiętności. Przeciwnie, rzadką swą piękność i świeże kolory zawdzięcza marszałkowa spokojnej naturze Flamandki.

Powolność i niezachwiany spokój Hiszpana niecierpliwiły Sorela; od czasu do czasu wmykało mu się kilka słów.

– Czy raczy mnie pan słuchać? – rzekł poważnie don Diego Bustos.

– Daruj pan moją *furia francese*: cały zamieniam się w słuch – rzekł Julian.

– Marszałkowa umie tedy nienawidzić; prześladuje bez litości ludzi, których nigdy nie widziała, adwokatów, biednych piosenkarzy *à la Collé*, zna pan?

Moja gosposia,  
Luba Małgosia etc.

Julian musiał wysłuchać cytatu w całości. Hiszpan lubował się swoim francuskim śpiewem.

Nikt chyba nie wysłuchał cierpliwiej tej rozkosznej piosenki.

– Marszałkowa – podjął don Diego skończywszy śpiewać – pozbawiła posady autora tej piosenki.

Jednego dnia, dziewczeczka hoża...

Julian zadrzał, że zechce ją odśpiewać. Hiszpan zadowolił się rozbiorem: utwór był w istocie bezbożny i nieobyčajny.

– Kiedy marszałkowa zaczęła się miotać na tę piosenkę – rzekł don Diego – zwróciłem jej uwagę, że kobieta na tym stanowisku nie powinna czytać wszystkich głupstw, które ukazują się w druku. Mimo postępów, jakie czynią w tym kraju nabożność i powaga, zawsze będzie istniała we Francji literatura karczemna. Kiedy pani de Fervaques sprawiła, że autorowi, spensjonowanemu oficerowi, odebrano posadę przynoszącą tysiąc osiemset franków rocznie, rzekłem: Niech się pani ma na baczości, zaczęła pani tego rymarza swoją bronią, może pani odpowiedzieć rymami: kropnie piosenkę na cnotę. Salony będą po stronie pani, ale ludzie, którzy się lubią pośmiać, będą powtarzali jego koncepty. Wie pan, drogi panie, co mi odpowiedziała marszałkowa? „Dla religii zniosłabym męczeństwo w oczach całego Paryża; byłoby to dla Francji nowe widowisko. Naród nauczyłby się szanować cnotę. Byłby to najpiękniejszy dzień mego życia.” Nigdy oczy jej nie lśniły tak pięknie.

– Wspaniałe ma oczy – wykrzyknął Julian.

– Widzę, że pan zakochany... Zatem – ciągnął poważnie don Diego Bustos – nie posiada ona owego gwałtownego temperamentu, który popycha do zemsty. Jeżeli mimo to lubi szkodzić, to stąd, że jest nieszczęśliwa; podejrzewam jakąś *n i e d o l ę m o r a l n ą*. Może znudzona jest własną cnotą?

Hiszpan popatrzył na Juliana w milczeniu, które trwało dobrą minutę.

– Oto całe pytanie – dodał poważnie – i oto na czym możesz budować niejaki nadzieje. Dużo zastanawiałem się nad tym w ciągu dwóch lat, przez które byłem jej służką. Przyszłość pańskiej miłości zależy od tego problemu: czy ona jest znudzona własną cnotą i zła dlatego, że jest nieszczęśliwa?

– Lub – rzekł Altamira ocknąwszy się z głębokiego milczenia – może to to, co ci powiedziałem dwadzieścia razy, po prostu francuska próżność: wspomnienie ojca, słynnego fabrykanta sukna, dręczy ten charakter z natury oschły i smutny. Dla tej osoby byłoby tylko jedno szczęście: mieszkać w Toledo, pod obuchem spowiednika, który by jej codziennie ukazywał ziejące piekło.

Kiedy Julian się zegnał, don Diego, coraz poważniejszy, rzekł:

– Altamira wspominał mi, że jesteś jednym z *n a s z y c h*. Kiedyś pomożesz nam odzyskać wolność, otóż ja chcę panu dopomóc wzajem w tej rozrywce. Dobrze jest, abyś znał styl marszałkowej; oto cztery listy jej pióra.

– Przepiszę je – wykrzyknął Julian – i odniosę!

– I nigdy nikt nie dowie się ani słowa z tego, cośmy tu mówili?

– Nigdy, honorem ręczę! – wykrzyknął Julian.

– W imię Boże tedy! – dodał Hiszpan, po czym przeprowadził w milczeniu Altamirę i Juliana na schody.

Ta scena ubawiła nieco naszego bohatera; omal się nie uśmiechnął. – I oto nabożny Altamira – pomyślał – pomaga mi w zamierzonym cudzołóstwie.

Podczas całego poważnego wykładu don Diega Julian pilnie nasłuchiwał godzin, które wydzwaniał zegar pałacowy.

Zbliżała się pora obiadu, miał tedy ujrzeć Matyldę! Udał się do siebie i ubrał się bardzo starannie.

– Pierwsze głupstwo – mruknął idąc po schodach – trzeba dosłownie spełnić zlecenia księcia.

Wrócił do siebie i włożył najskromniejszy strój podróżny.

– A teraz – pomyślał – chodzi o spojrzenia. – Było dopiero wpół do szóstej, obiad był o szóstej. Julian zeszedł do salonu; nie było nikogo. Na widok niebieskiej kanapki łyzy napływały mu do oczu; policzki zaczęły go palić. – Trzeba się uporać z tą głupią czułościowością – rzekł z gniewem – zdradziłbym się. – Wziął dziennik, aby sobie dodać swobody, i przeszedł się kilka razy z salonu do ogrodu.

Drżąc całym, ukryty za wielkim dębem, ledwie ośmielił się spojrzeć w okno panny de la Mole. Było szczelnie zamknięte; Julian omal nie upadł. Długi czas stał tak oparty o dąb, następnie chwiejnym krokiem poszedł obejrzeć drabinę.

Łańcucha, skruszonego przezeń niegdyś w tak odmiennych, niestety, okolicznościach, dotąd nie naprawiono. Oszałały Julian przycisnął go do ust.

Nabłędziwszy się długo między salonem a ogrodem Julian uczuł się straszliwie znużony; rad był z tej pierwszej zdobyczy. – Będę miał zgaszone spojrzenie i nie zdradzę się! – Pomału goście zaczęli napływać do salonu. Każde otwarcie drzwi przejmowało śmiertelnym wzruszeniem serce Juliana.

Zajęto miejsca. Wreszcie zjawiała się panna de la Mole, spóźniona jak zwykle. Zarumieniła się na widok Juliana; nie wiedziała nic o jego powrocie. Zgodnie ze wskazówką Korazowa, Julian popatrzył na jej ręce i ujrzał, że drżą. Zmieszany nad wszelki wyraz tym odkryciem, zdołał ukryć swe szczęście pod maską znużenia.

Pan de la Mole rzucił mu kilka słów pochwały. W chwilę później zwróciła się doń margabina winszując mu jego zmęczonej miny. Julian powtarzał sobie co chwila: – Nie powinienem zbyt przyglądać się pannie, ale nie należy też uciekać z oczami. Trzeba być takim, jakim byłem w istocie na tydzień przed swym nieszczęściem...

Julian, rad z powodzenia, został w salonie. Pierwszy raz siląc się na uprzejmość wobec pani domu, dołożył starań, aby rozgadać towarzystwo i podsycać rozmowę.

Grzeczność jego znalazła nagrodę: koło ósmej oznajmiono marszałkową. Julian wysunął się z salonu; niebawem wrócił, ubrany najstaranniej. Pani de la Mole rada była niezmiernie z tej oznaki szacunku. Chcąc wyrazić zadowolenie, rozgadała się przed panią de Fervaques o podróży Juliana. Julian siadł koło marszałkowej w ten sposób, że Matylda nie mogła widzieć jego oczu. Tak się umieściwszy wedle wszelkich reguł sztuki, rozplątał się wobec pani de Fervaques w bezgranicznym podziwieniu. Tyrada na temat tego uczucia stanowiła początek pierwszego z pięćdziesięciu trzech listów darowanych mu przez księcia.

Marszałkowa wspomniała, że wybiera się do Opery. Julian pośpieszył tam, spotkał kawalera de Beauvoisis, który go zaprosił do łoża szambelanów, tuż obok pani de Fervaques. Julian wpatrywał się w nią bez przerwy. – Muszę – powiadał sobie wracając – prowadzić dziennik o b l ę z e n i a : inaczej zapomnielibym swoich strategicznych kroków. – Zmusił się do napisania paru stronicy o tym nudnym przedmiocie i osiągnął to, że – o cudzie! – prawie przestał myśleć o pannie de la Mole.

Matylda prawie zapomniała o Julianie w czasie jego podróży. – Ostatecznie ten pan to bardzo płaska figura – myślała – imię jego będzie mi zawsze przypominało największy błąd

mego życia. Trzeba szczerze wrócić do utartych pojęć cnoty i honoru; zbyt wiele traci kobieta zapominając o nich.

Okazała się skłonna uwieńczyć układy z margrabią de Croisenois, prowadzone od tak dawna. Szalał z radości; byłby mocno zdziwiony, gdyby mu kto powiedział, że na dnie uczuć Matyldy, które napełniały go taką dumą, jest – rezygnacja.

Wszystkie pojęcia panny de la Mole uległy zmianie na widok Juliana. – Nie ma co, to jest naprawdę mój mąż – mówiła sobie – jeżeli szczerze mam wrócić na drogę cnoty, powinienam zaślubić jego.

Była przygotowana na natręctwo, na nieszczęśliwe miny Juliana; przygotowała sobie odpowiedzi, była pewna, że po obiedzie spróbuje przemówić do niej kilka słów. Tymczasem, wręcz przeciwnie, został w salonie; nawet nie spojrzął w stronę ogrodu. (Bóg wie, ile go to kosztowało!) – Lepiej pozbyć się od razu tych wyjaśnień – pomyślała panna de la Mole; zeszła sama do ogrodu, Julian nie zjawił się. Matylda zaczęła się przechadzać w pobliżu oszklonych drzwi; ujrzała, jak Julian z zapałem opisuje pani de Fervaques ruiny, które zdobią wybrzeża Renu i dają im tyle wyrazu. Zaczynał nieźle używać sentymentalno-malowniczych frazesów cieszących się takim powodzeniem w pewnych salonach.

Książę Korazow byłby bardzo dumny, gdyby był w tej chwili w Paryżu: wieczór odbył się zgodnie z jego przepowiednią. Byłby również pochwalił Juliana przez dni następne.

Kilku członków tajemnego rządu miało do rozdania kilka wysokich odznaczeń; marszałkowa de Fervaques domagała się, aby jej stryjeczny dziadek otrzymał błękitną wstęgę. Margrabia de la Mole życzył sobie tego samego dla teścia; zespolili swe usiłowania. Marszałkowa zachodziła niemal codziennie do pałacu de la Mole. Od niej Julian dowiedział się, że margrabia ma zostać ministrem: przedstawił kamaryli genialny plan unicestwienia w ciągu trzech lat konstytucji bez najmniejszych wstrząśnień.

W razie gdyby pan de la Mole doszedł do władzy, Julian mógł się spodziewać infuly, ale wszystkie te wielkie interesy przesłoniły się w jego oczach jakby mgłą. Wyobraźnia jego widziała je jedynie mętnie i, można rzec, w wielkim oddaleniu. Straszliwe cierpienie zmieniło go w maniaka: treść życia skupiała się dlań w tym, jak się ułoży jego stosunek do panny de la Mole. Obliczył, że po kilku latach starań zdoła obudzić w niej na nowo miłość.

Ten zimny umysł doszedł, jak widzimy, do zupełnego szaleństwa. Ze wszystkich przymiotów, które wyróżniały go niegdyś, zostało mu jedynie nieco silnej woli. Wierny strategii Korazowa, siadał co dzień przy pani de Fervaques, ale niepodobna mu było znaleźć coś do powiedzenia.

Wysiłek, jaki sobie nakładał, aby się wydać w oczach Matyldy uleczonym, pochłaniał wszystkie siły jego duszy. Siedział przy marszałkowej w półżywy; oczy jego nawet, jak bywa przy nadmiarze fizycznego bólu, straciły cały blask.

Ponieważ pani de la Mole patrzyła na świat jedynie oczami męża, który mógł ją uczynić księżną, od kilku dni dama ta wносиła pod niebiosą zasługi Juliana.

## LVI. MIŁOŚĆ MORALNA

There also was of course in Adeline  
That calm patrician polish in the address,  
Which ne'er can pass the equinoctial line  
Of any thing which Nature would express:  
Just as a Mandarin finds nothing fine,  
At least his manner suffers not to guess  
That any thing he views can greatly please.  
*Don Juan, XIII, 84*

– Cała rodzina ma trochę źle w głowie – myślała marszałkowa – zacierzowali się w swoim księżyku, który umie jedynie słuchać i patrzeć, dość ładnymi oczami, to prawda.

Dla Juliana znowu marszałkowa była doskonałym niemal wzorem *p a t r y c j u s z o w s k i e g o* spokoju, który zasadza się na drobiazgowej grzeczności, a jeszcze bardziej na niezdolności do wszelkiego wzruszenia. Żywość ruchów, brak panowania nad sobą zgorzłyby panią de Fervaques niemal tyle, co brak majestatu wobec niższych. Najmniejsza oznaka wrażliwości uchodziła w jej oczach za *p i j a n s t w o m o r a l n e*, za które należy się rumienić jako za rzecz przynoszącą ujmę temu, co osoba wysoko położona winna jest sobie samej. Największym jej szczęściem było mówić o ostatnim polowaniu królewskim, ulubioną zaś jej książką były *Pamiętniki księcia de Saint-Simon*, zwłaszcza ich część genealogiczna.

Julian wiedział już, które miejsce przez swoje oświecenie odpowiada typowi urody pani de Fervaques. Siadał tam zawczasu, ale starannie odwracał krzesło tak, aby nie widzieć Matyldy. Zdziwiona tym wytrwałym unikaniem jej, opuściła jednego dnia niebieską kanapę i siadła z robótką opodal fotela marszałkowej. Julian widział ją dosyć dobrze ponad kapeluszem pani de Fervaques. Oczy te, władające jego losem, przeraziły go zrazu, następnie zaś wyrwały go gwałtownie ze zwykłej apatii: zaczął rozmawiać, i to z wielkim ożywieniem.

Zwracał się do marszałkowej, ale jedynym jego celem było działać na Matyldę. Zapalił się tak, że pani de Fervaques przestała go rozumieć.

Był to pierwszy triumf. Gdyby Julianowi wpadło na myśl uzupełnić go za pomocą kilku z niemieckich mistycznych, religijnych i jezuickich frazesów, marszałkowa zaliczyłaby go do ludzi wyższych, powołanych do odrodzenia epoki.

– Skoro ma na tyle zły smak – mówiła sobie panna de la Mole – aby rozmawiać tak długo i z takim ogniem z panią de Fervaques, nie będę już słuchała.

I przez resztę wieczoru dotrzymała postanowienia, mimo iż z trudem.

O północy, kiedy Matylda odprowadziła ze świecznikiem matkę, pani de la Mole zatrzymała się na schodach, rozwodząc się nad Julianem. Matylda zmarkotniała do reszty, nie mogła zasnąć. Jedna myśl ją uspokoiła: – Człowiek, którym ja gardzę, może być jeszcze niepospolity w oczach marszałkowej.

Co się tyczy Juliana, epizod ten stał się dlań odtrutką przeciw przygnębieniu; przypadkowo oczy jego padły na teczkę z rosyjskiej skóry, w której książe Korazow wręczył mu owe pięćdziesiąt trzy listy miłosne. U spodu pierwszego listu Julian ujrzał dopisek: *P o s y ł a s i ę N r 1 w t y d z i e ń p o p o z n a n i u.*

– Spóźniłem się! – wykrzyknął Julian. – Toć już od dawna znam panią de Fervaques! – Zabrał się do przepisywania pierwszego listu; była to śmiertelnie nudna elukubracja o cnotcie; szczęściem Julian zasnął przy pierwszej stronicy.

W kilka godzin później słońce zaskoczyło go śpiącego z łokciami na stole. Jedną z najprzykrzejszych chwil był moment, kiedy każdego rana, budząc się, *d o w i a d y w a ł s i ę* o swoim nieszczęściu. Tego dnia dokończył przepisywać list prawie wesoło. – Czy podobna – powiedział sobie – aby istniał młody człowiek piszący w ten sposób? – Niektóre zdania miały po dziewięć wierszy. U spodu ujrzał tę notatkę ołówkiem:

*Doręcza się te listy samemu: konno, w czarnej krawatce, w niebieskim surducie. Oddaje się list odźwiernemu, ze zboląłą miną, z wzrokiem brzemienym melancholią. Jeśli się napotka pannę służącą, obetrzeć oczy i zagadać do niej.*

Wszystko to wypełnił najściślej.

– Popelniam wielkie zuchwalstwo – pomyślał Julian wychodząc z pałacu pani de Fervaques – ale to wina Korazowa. Odważyłem się pisać do tak słynnej cnotki! Zmiażdży mnie wzgardą, co mnie bajecznie zabawi. To w gruncie jedyna rozrywka, jaką jestem zdolny odczuć. Tak, okryć śmiesznością wstrętną istotę, która się nazywa *m n a*, cóż za uciecha! Chętnie popełniłbym zbrodnię, byle się rozerwać.

Od miesiąca najpiękniejszą chwilą w życiu Juliana był moment, kiedy odprowadzał konia do stajni. Korazow zabronił mu wyraźnie, pod jakim bądź pozorem, patrzeć na hardą kochankę. Ale krok konia, tak dobrze jej znany, sposób, w jaki Julian pukał szpicrutą do stajni, aby zawołać stajennego, zwabiały niekiedy Matyldę do okna. Muślin firanek był tak lekki, że Julian mógł go przejrzeć; zerkając ukradkiem spod kapelusza, widział kibić Matyldy, mimo że nie widział jej oczu.

Wieczorem pani de Fervaques odniosła się do Juliana tak, jakby nie otrzymała filozoficzno-mistyczno-religijnej rozprawy, którą tego samego rana wręczył odźwiernemu z taką melancholią. W wilię przypadkowo Julian odkrył sposób pobudzenia swojej wymowy: usiadł w ten sposób, że widział oczy Matyldy. Ona sama w chwilę po przybyciu marszałkowej opuściła kanapę gardząc niejako dotychczasowym towarzystwem. Pan de Croisenois był zmiażdżony tym nowym kaprysem: jego widoczne cierpienie sprawiło ulgę męce Juliana.

Ten niespodziewany zwrot w jego życiu uczynił go złotoustym; że zaś miłość własna czai się nawet w sercach będących świątynią najdosłowniejszej cnoty, marszałkowa siadając do powozu pomyślała: – Pani de la Mole ma słuszność; ten młody kleryk jest bardzo na miejscu. Widocznie w pierwszych dniach obecność moja onieśmieliła go. Trzeba przyznać, że zwykły skład tego salonu jest dość lekkiego autoramentu; same cnoty wspierane powagą wieku, którym to ostudzenie było bardzo potrzebne. Ten młody człowiek musiał odczuć



różnicę; pisze wcale dobrze; lękam się tylko, aby ta prośba o światło i o rady, zawarta w jego liście, nie kryła bezświadomie innego uczucia.

Bądź co bądź, ileż nawróceń zaczęto się w ten sposób! Dobrze wróży w moich oczach różnica między jego stylem a stylem młodych ludzi, których listy miałam sposobność widywać. Nie sposób nie odczuć namaszczenia, powagi i przekonania w liście tego młodego lewity; tak, on posiada słodką cnotę biskupa Massillon.

## LVII. NAJPIĘKNIEJSZE POSADY DUCHOWNE

Praca! talent! zasługi! ba! Przede wszystkim  
trzeba należeć do jakiejś koterii.

T e l e m a k

Tak więc myśl o infule zjednoczyła się pierwszy raz z myślą o Julianie w głowie kobiety, która wcześniej lub później miała rozporządzać najtłustszymi posadami we francuskim Kościele. Korzyść ta nie byłaby wzruszyła Juliana, w tej chwili myśl jego nie ogarniała nic poza obecnym nieszczęściem; wszystko je potęgowało; widok własnego pokoju stał mu się nieznośny. Wieczorem, kiedy wracał ze świecą, każdy mebel, każdy ornament jak gdyby mówił do niego głosząc cierpko jakiś nowy szczegół jego cierpienia.

– Dziś bodaj mam przymusowe roboty – rzekł wchodząc do pokoju z od dawna już nie znaną żywością – miejmy nadzieję, że drugi list będzie równie nudny jak pierwszy.

Był jeszcze nudniejszy. Wydał mu się tak głupi, że w końcu kopiował wiersz po wierszu nie myśląc o sensie.

– To jeszcze bardziej napuszone – myślał – niż oficjalne dokumenty münsterskiego traktatu, które mój profesor dyplomacji dał mi do przepisywania w Londynie.

Wówczas dopiero przypomniał sobie listy pani de Fervaques, których oryginałów zapomniał zwrócić poważnemu Hiszpanowi. Odszukał je; były niemal równie górnotne jak listy rosyjskiego panka. Zupełna mgła; mogły znaczyć wszystko i nic. – To harfa eolska stylu – myślał Julian. – Wśród najwznieśszych maksym o nicości, śmierci, nieskończoności, czymś rzeczywistym jest tu tylko straszliwy lęk przed śmiesznością.

Monolog, któryśmy tu skrócili, powtarzał się dwa tygodnie z rzędu. Usnąć przepisując swój k o m e n t a r z d o A p o k a l i p s y, odnieść nazajutrz list z melancholijną miną, odprowadzić konia do stajni z nadzieją ujrzenia sukni Matyldy, pracować, wieczorem wpaść do Opery, o ile pani de Fervaques nie było w pałacu de la Mole – oto jednostajne życie Juliana. Bogaciej przedstawiało się ono, kiedy pani de Fervaques zawitała do margrabiny. Wówczas spod skrzydła kapelusza marszałkowej Julian mógł dojrzeć oczy Matyldy i stawał się wymowny. Jego malownicze i sentymentalne frazesy zaczęły nabierać śmielszej i wykwinniejszej formy.

Czuł, że to, co mówi, musi się wydać Matyldzie głupie, ale chciał ją olśnić dystynkcją wysłowienia. – Im bardziej to, co mówię, jest nienaturalne, tym bardziej musi się jej podobać – myślał Julian za czym z monstrualną śmiałością wydymał swój styl. Spostrzegł ry-

chło, iż aby się nie stać pospolitym w oczach marszałkowej, trzeba mu się zwłaszcza wystrzegać prostoty i rozsądku. Tej drogi trzymał się, skracając lub rozwijając swoje perory, wedle tego, czy widział uznanie czy obojętność w oczach dwóch wielkich dam, którym pragnął się podobać.

Na ogół życie stało mu się mniej okropne niż wówczas, kiedy dni płynęły w beczynności.

– Hm – powiadał sobie jednego wieczora – oto już przepisuję piętnastą z tych elukubracji; czternaście poprzednich oddałem wiernie odźwiernemu marszałkowej. Będę miał zaszczyt zapełnić wszystkie szuflady jej biurka. Mimo to traktuje mnie tak, jakby nic nie otrzymała! Do czego doprowadzi to wszystko? Czy stałość moich uczuć znudzi ją tak samo jak mnie? Trzeba przyznać, że ten Moskał, przyjaciel Korazowa, zakochany w pięknej kwakierce z Richmondu, to nie lada figura; niepodobna być rozpaczliwiej nudnym.

Jak wszystkie mierne istoty, którym los pozwolił przyglądać się działaniom wielkiego wodza, Julian nie rozumiał zgoła szturm przypuszczonego przez młodego Rosjanina do serca młodej Angielki. Pierwsze cztery dziesiątki listów miały za cel jedynie przebłagać za śmiałość pisania. Trzeba było zaszczepić tej słodkiej osobce, która zapewne nudziła się śmiertelnie, nałóg odbierania listów, może nieco mniej bezbarwnych niż jej codzienne życie.

Jednego ranka oddano Julianowi list. Poznał herby pani de Fervaques. Złamał pieczęć z pośpiechem, który kilka dni wprzód wydałby mu się niepojęty: było to tylko zaproszenie na obiad.

Uciekł się do instrukcji księcia Korazowa. Nieszczęściem młody Rosjanin chciał być lekki jak Dorat, tam gdzie należało być prostym i zrozumiałym; Julian nie mógł odszukać dla siebie dyrektywy na czas tego obiadu.

Salon był bezgranicznie wspaniały, wyłożony jak galeria Diany w Tuileriach, z obrazami olejnymi w boazeriach. Na obrazach tych lśniły się jasne plamy. Julian dowiedział się później, że tematy wydały się pani domu nie dość obyczajne, kazała tedy poprawić obrazy. – O wieku moralności! – pomyślał.

W salonie zauważył trzech dostojników, którzy byli obecni przy układaniu tajnej noty. Jeden z nich, biskup \*\*\*, wuj marszałkowej, miał w ręku wydział beneficjów i, jak mówiono, nie umiał siostrzenicy niczego odmówić. – Jakież olbrzymi krok uczyniłem – rzekł sobie w duchu Julian, uśmiechając się melancholijnie – i jak bardzo jest mi to obojętne! Jem oto obiad ze słynnym biskupem \*\*\*.

Obiad był nietęgi, a rozmowa niecierpliwiąca. – To s p i s r z e c z y lichej książki – myślał Julian. – Porusza się zuchwale najwyższe przedmioty, po trzech minutach człowiek pyta sam siebie, co większe: emfaza czy jego nieuctwo.

Czytelnik zapomniał zapewne o gryziptórku Tanbeau, siostrzeńcu akademika i przyszłym profesorze, który niskimi potwarzami zatruewał powietrze w pałacu de la Mole.

Figurka ta obudziła raz w Julianie pierwszą myśl, iż mimo że pani de Fervaques nie odpowiadała na listy, patrzy z pobłażliwością na uczucie, które je dyktuje. Czarną duszę pana Tanbeau dręczyły triumfy Juliana; ale że z drugiej strony niepospolity człowiek, tak samo jak i cymbał, nie może być w dwóch miejscach naraz, przeto jeśli Sorel zostanie kochankiem wzniosłej marszałkowej (powiadał sobie przyszły profesor), dama ta umieści go na jakiejś tłustej posadce duchownej, a ja pozbędę się go z pałacu de la Mole.

Ksiądz Pirard wypalił Julianowi długie kazanie z przyczyny jego powodzeń w pałacu Fervaques. Była w tym sekciarska zazdrość surowego jansenisty wobec jezuickiego i neomonarchicznego salonu cnotliwej marszałkowej.

## LVIII. MANON LESCAUT

Owóz, raz upewniwszy się o głupocie  
i osielstwie przeora, dość często wygrywał  
sprawę, mieniając czarnym białe, a białym czarne.  
L i c h t e n b e r g

Wskazówki Rosjanina zalecały stanowczo nie sprzeciwiać się w rozmowie osobie, do której się pisuje. Nie należy pod żadnym pozorem wypadać z ekstatycznego podziwu; to był zasadniczy ton każdego listu.

Pewnego wieczora w Operze, w loży pani de Fervaques, Julian wysławiał balet *Manon Lescaut*. Jediną przyczyną tego entuzjazmu było to, że balet wydał mu się dość mierny.

Marszałkowa rzekła, iż balet nie dorównywa bynajmniej powieści księdza Prévost. – Jak to – pomyślał Julian zdziwiony i ubawiony – osoba tak cnotliwa może wychwalać romanse! – Zazwyczaj dwa albo trzy razy w tygodniu pani de Fervaques wyrażała się z najwyższą wzdumą o pisarzach, którzy za pomocą tych płaskich bajek siłą się uwodzić młodzież, aż nadto niestety podatną zbłąkaniu zmysłów.

– Wśród tych niemoralnych i niebezpiecznych utworów -ciągnęła marszałkowa – *Manon Lescaut* zajmuje, jak powiadają, jedno z pierwszych miejsc. Słabość i zasłużone męczarnie występного serca są tam (powiadają) odmalowane prawdziwie i głęboko; co nie przeszkodziło pańskiemu Bonapartemu wyrazić się na Wyspie Świętej Heleny, że jest to romans pisany dla lokajów.

To odezwanie wróciło duszy Juliana całą jej energią. – Chciano mnie zgubić w oczach marszałkowej, powiedziano jej o moim entuzjazmie dla Napoleona. Dotknęło ją to niemile i nie mogła się wstrzymać, aby mi nie dać tego odczuć. – Odkrycie to zabawiło Juliana na cały wieczór i rozbudziło jego werwę. Kiedy w przedśionku żegnał się z marszałkowa, rzekła:

– Niech pan pamięta, że nie można równocześnie kochać mnie i Bonapartego; można, co najwyżej, brać go jako konieczne zło zesłane przez Opatrzność. Zresztą ten człowiek nie miał duszy dość wrażliwej, aby odczuwać arcydzieła sztuki.

– K o c h a ć m n i e ! – powtarzał sobie Julian – To nie znaczy nic albo znaczy wszystko. Oto sekrety języka, których brak jest nam, biednym parafianom. – I przypomniał sobie żywo panią de Rênal, przepisując równocześnie olbrzymi list przeznaczony dla marszałkowej.

– Czym się dzieje – spytała go nazajutrz marszałkowa ze źle udaną obojętnością – że pan mi mówi o Londynie i Richmondzie w liście, który pisałeś, jak się zdaje, wczoraj po operze?

Julian zmieszał się. Kopiował wiersz po wierszu nie myśląc o tym, co pisze, i widocznie zapomniał podstawić Paryż i Saint-Cloud w miejsce Londynu i Richmondu, znajdujących się w oryginale. Zaczął coś pleść, ale nie mógł dokończyć, czuł niepohamowaną chęć parsknięcia śmiechem. Wreszcie, szukając wymówki, wpadł na tę myśl:

– Byłem tak podniecony tą rozmową o wznioślejszych, najwyższych celach duszy, że pisząc do pani mogłem ulec roztargnieniu.

– Zrobiłem wrażenie – pomyślał – mogę sobie tedy oszczędzić nudy przez resztę wieczoru. – Wybiegł pędem z pałacu Fervaques. Wieczorem przeglądając oryginał listu skopiowanego w wilię odnalazł szybko nieszczęsne miejsce, gdzie młody Rosjanin mówi o Londynie. Julian spostrzegł ze zdziwieniem, że list jest niemal czytelny.

Kontrast, jaki pozorna lekkość Juliana tworzyła z wzniosłą, apokaliptyczną niemal głębią jego listów, obudził zainteresowanie marszałkowej. Podobała się jej zwłaszcza rozciągłość zdań. To nie był ów skoczny styl, wprowadzony w modę przez Woltera, potwora niemoralności! Mimo że nasz bohater robił, co mógł, aby się wyzbyć w rozmowie wszelkich śladów zdrowego sensu, zachował jednak pewne antymonarchistyczne i bezbożne zabarwienie, które nie uszło czujności pani de Fervaques. Otoczona osobami niezmiernie moralnymi, ale które często nie zdobyły się ani na jeden błysk myśli w ciągu całego wieczora, dama ta była niezmiernie tkliwa na wszystko, co trąciło cieniem nowości; ale równocześnie uważała za swój obowiązek czuć się zgorzonna. Wadę tę nazywała *p i ę t n e m l e k k o m y ś l n e j e p o k i . . .*

Ale takie salony może odwiedzać jedynie ten, kto się o coś ubiega. Czytelnik musi zapewne podzielać całą nudę jałowego życia, które pędził Julian. Są to istne stopy w naszej podróży.

Przez cały ten czas, w ciągu którego epizod z panią de Fervaques zagarnął życie Juliana, panna de la Mole musiała się bardzo zmagać z sobą, aby o nim nie myśleć. Dusza jej była pastwą gwałtownych walk; niekiedy ludziła się, że gardzi tym smętnym młodzieńcem; mimo woli jednak ulegała wrażeniu jego rozmowy. Zdumiewał ją zwłaszcza jego doskonały fałsz; każde słowo Juliana do marszałkowej było kłamstwem lub bodaj piekielnym maskowaniem jego myśli, które Matylda знаła prawie we wszystkich przedmiotach. Makiawelizm ten zdumiewał ją. – Cóż za głębia! – myślała. – Co za różnica od napuszonych dudków albo też pospolitych hultajów, jak na przykład Tanbeau, przemawiających tym samym językiem!

Mimo to Julian miewał dni bardzo ciężkie. Wysiadywać w salonie marszałkowej równało się dlań najcięższemu obowiązkowi. Wysiłek nałożonej roli odejmował duszy jego wszelką siłę. Często w nocy, przebywając olbrzymi dziedziniec pałacu Fervaques, musiał wyteżać całą wolę i rozum, aby się nie poddać rozpaczce.

– Przemogłem beznadziejność seminarium – powiadał sobie – a cóż za widoki miałem wówczas przed sobą! Czy byłoby mi się powiodło, czy nie, byłbym skazany na spędzenie życia ze wstrętnymi i odrażającymi istotami. Następnej wiosny, w niespełna rok później, byłem może najszcześniejszym z młodych ludzi w moim wieku.

Ale często wszystkie te rozważania były bezsilne wobec okropnej rzeczywistości. Codziennie widywał Matyldę przy śniadaniu i obiedzie. Z mnogich listów, które mu dyktował pan de la Mole, wiedział, że w najbliższym czasie ma zaślubić pana de Croisenois. Sympatyczny ten człowiek bywał już dwa razy dziennie w pałacu: zazdrosne oko opuszczonego kochanka nie straciło żadnego z jego poruszeń.

Często Julian miał wrażenie, że panna de la Mole zyczliwie przyjmuje swego przyszłego; wówczas wracając do siebie, mimo woli spoglądał na pistolety.

– Ha! O ileż byłoby mądrzej wypruć znaki z bielizny i udać się do samotnego lasu, dwadzieścia mil za Paryżem, aby skończyć to nędzne życie! Śmierć moja, gdzieś w obcej stronie, pozostałaby nie znana przez dwa tygodnie, a któż myślałby o mnie jeszcze po dwóch tygodniach!

Było to bardzo dorzeczne rozumowanie. Ale nazajutrz kawałek ramienia Matyldy, dojrzany między rękawkiem a rękawiczką, wystarczał, aby pogrążyć młodego filozofa we wspomnieniach, które choć okrutne, wiązały go z życiem. – Więc dobrze – powiedział sobie – doprowadzę do końca tę rosyjską taktykę. Jak się to skończy? To pewne, iż skoro przepiszę te pięćdziesiąt trzy listy, nie będę wymyślał dalszych.

Co do Matyldy, tych sześć tygodni tak uciążliwej komedii albo nie zmieni w niczym jej niechęci, albo zdobędzie mi chwilę pojednania. Wielki Boże! Umarłbym ze szczęścia. – Nie mógł już o niczym myśleć.

Po długiej zadumie zdołał wreszcie podjąć bieg swych rozważań. – Zatem – powiedział sobie – uzyskałbym dzień szczęścia, po czym odżyłaby na nowo jej niechęć oparta, niestety, na braku warunków do podobania się jej. Wówczas nie miałbym już żadnej ucieczki, byłbym złamany, zgubiony na zawsze... Jakąż mi ona może dać rękojmię przy swoim charakterze? Mnie zaś, niestety, zawsze będzie zbywało wytworności manier, lekkości wyśłowienia. Wielki Boże! Czemuż jestem sobą!

## LIX. NUDA

Być ofiarą namiętności, zgoda,  
ale namiętności, których się nie czuje!  
O smutny wieku XIX!  
G i r o d e t

Zrazu pani de Fervaques odczytywała długie listy Juliana obojętnie, później zaczęły ją zajmować; ubolewała jednak wciąż nad jedną rzeczą: jaka szkoda, że ten Sorel nie jest zupełnie księdzem! Można by go przyjmować na poufalej stopie; tymczasem tak, w tym świeckim ubraniu, z orderem, daje obecnością swą powód do drażliwych pytań; i wówczas, co odpowiedzieć? Nie kończyła swej myśli: jakaś złośliwa przyjaciółka może przypuszczać, a nawet rozgłaszać, że to jakiś pokątny kuzynek, krewniak ojca, jakiś kupczyk odznaczony w gwardii narodowej.

Do chwili, w której ujrzała Juliana, największą przyjemnością pani de Fervaques było kłaść tytuł m a r s z a ł k o w e j obok nazwiska. Następnie próżność parweniuszki, próżność chorobliwa i drażliwa na wszystko, znalazła się w walce z zaczątkiem sympatii.

– Tak, byłoby mi łatwo – myślała marszałkowa – zrobić go wielkim wikariuszem gdzieś w okolicy Paryża! Ale po prostu p a n S o r e l, do tego sekretarzyna pana de la Mole! To okropne!

Po raz pierwszy tę duszę, która lękała się wszystkiego, poruszało uczucie nie płynące z jej pozycji i z jej społecznych pretensji. Sędziwy odźwierny zauważył, że kiedy przynosi list od tego pięknego, a tak smętnego młodzieńca, natychmiast z twarzy marszałkowej znikają ów znudzony i niechętny wyraz, jaki przybierała dla służby.

Nuda życia wypełnionego wyłącznie ambicją i r e p r e z e n t a c j ą, bez żadnego udziału serca, stała się marszałkowej nie do zniesienia od czasu, jak myślała o Julianie. Wystarczyło jej spędzić wieczorem godzinę z tym szczególnym młodym człowiekiem, aby nazajutrz panny służące miały wytchnienie od zwykłej opryskliwości swej pani. Rosnącego wpływu Juliana nie zdołały osłabić nawet umiejętnie sporządzone anonimy. Próżno Tanbeau dostarczał panom de Luz, de Croisenois, de Caylus zręcznych potwarzy, które panowie ci puszczali w obieg, nie zastanawiając się zbytnio nad ich prawdą. Marszałkowa, której umysł nie był zdolny do odporności wobec tych pospolitych środków, zwierzała się ze swych wątpliwości Matyldzie i zawsze wracała pocieszona.

Jednego dnia spytawszy trzy razy służby, czy nie ma listów, pani de Fervaques postanowiła nagle odpowiedzieć Julianowi. Było to zwycięstwo nudy. Przy drugim liście marszałkowa zawahała się chwilę, kiedy jej przyszło własną ręką nakreślić ten tak pospolity adres: *D o p a n a S o r e l, u m a r g r a b i e g o d e l a M o l e.*

Wieczorem odezwała się do Juliana bardzo sucho:

– Musi mi pan przynieść parę kopert ze swoim adresem.

– I oto pasowano mnie na kochanka-pokojowca – pomyślał Julian, po czym skłonił się, z umysłu naśladowując minę Arsena, starego lokaja margrabiego.

Tegoż wieczoru przyniósł koperty, nazajutrz zaś, bardzo wcześnie, otrzymał trzeci list, przeczytał z pięć wierszy z początku, a dwa lub trzy od końca. List zawierał cztery stronicie bardzo drobnego pisma.

Stopniowo dama nabierała słodkiego przyzwyczajenia, aby pisywać co dzień. Julian odpowiadał, kopiując wiernie listy Rosjanina; bombastyczny zaś styl posiadał tę zaletę, iż pani de Fervaques nie zdziwiła się zbyt brakuwi ściślejszego związku z jej listami.

Jakże czułaby się upokorzona w swej dumie, gdyby Tanbeau, który z własnej gorliwości szpiegował Juliana, mógł ją objaśnić, że wszystkie jej listy, nie rozpieczętowane, leżą w szufladzie.

Jednego ranka odźwierny przyniósł do biblioteki list marszałkowej. Matylda spotkawszy go ujrzała list i na liście adres kreślony ręką Juliana. Weszła do biblioteki, gdy odźwierny wychodził; list leżał jeszcze na stole; Julian, pochłonięty pisaniem, nie wrzucił go do szuflady.

– Nie, tego nie myślę znosić – wykrzyknęła Matylda chwytając list – zapominasz zupełnie o mnie, o mnie, swojej żonie. Postępowanie pańskie jest haniebne.

Po tych słowach duma jej, jakby zdumiona przerażającym szaleństwem jej kroku, zdławiła ją; zalała się łzami, ledwie mogła oddychać.

Zdumiony, pomieszany, Julian nie ocenił nawet, jakim cudem, jakim szczęściem była dlań ta scena. Pomógł Matyldzie usiąść; osunęła się niemal w jego ramiona.

Pierwszym wrażeniem Juliana, z chwilą gdy poczuł jej bliskość, była bezmierna radość. Następnie, prawie równocześnie, wspomniawszy Korazowa: – Jednym słowem mogę wszystko zgubić.

Ramiona jego zeszytywniały, tak uciążliwy był wysiłek, który sobie nałożył z wyrachowania. – Nie mogę sobie pozwolić nawet na to, aby przycisnąć do serca to gibkie i urocze ciało; albo mną gardzi, albo znęca się nade mną. Cóż za charakter!

Tak przeklinając charakter Matyldy, kochał ją za to sto razy więcej; miał uczucie, że trzyma w ramionach królową.

Niewzruszony chłód Juliana zdwoił męczarnie dumy, która szarpała serce panny de la Mole. Nie miała tyle zimnej krwi, aby odgadnąć w jego oczach to, co czuł dla niej w tej chwili. Nie mogła się zdobyć na to, aby nań spojrzeć; drżała, iż spotka się z wyrazem wzgardy.

Siedząc na kanapie nieruchomo, z odwróconą głową, przechodziła najżywsze cierpienia, jakie duma i miłość mogą zadać duszy ludzkiej. Do jakiego kroku się zniżyła!

– Ja, nieszczęsna, narażam się na to, aby ktoś odtrącił moje najbezwstydniejsze awanse! I to kto! – dodawała pycha oszalała z bólu. – Domownik mego ojca!

– Nie, tego nie ścierpię – rzekła głośno.

I zrywając się z wściekłością, otworzyła szufladę od stołu Juliana, który stał tuż obok. Stała w osłupieniu, ujrawszy dziesiątek listów nie rozpieczętowanych, podobnych zupełnie do tego, który widziała przed chwilą. Na wszystkich adresach widniało pismo Juliana, mniej lub więcej zmienione.

– Zatem – wykrzyknęła, wółprzymienna – nie tylko jesteś kochankiem pani de Fervaques, ale nią gardzisz! Ty, plebejusz, gardzisz marszałkową de Fervaques?



Och, przebacz mi, drogi mój – dodała rzucając mu się do kolan – gardź mną, jeśli chcesz, ale kochaj mnie, nie mogę żyć dłużej bez twojej miłości! – I padła wpółzemdlna.  
– Leży nareszcie ta harda istota u mych nóg! – rzekł sobie Julian.

## LX. LOŻA W BOUFFES

As the blackest sky  
Foretells the heaviest tempest.  
*Don Juan*

Wśród tylu wzruszeń Julian czuł się bardziej zdziwiony niż szczęśliwy. Zniewagi Matyldy przekonywały, jak mądra była rosyjska taktyka. – *Ma ł o m ó w i ć, m a ł o d z i a ł a ć*, oto dla mnie jedyny środek.

Podniósł Matyldę i bez słowa posadził ją z powrotem. Zaczęła płakać.

Aby pokryć wzruszenie, wzięła listy pani de Fervaques i otwierała je z wolna. Uczyniła nerwowy gest poznając pismo marszałkowej. Obracała kartki nie czytając; większość listów miała po sześć stron.

– Odpowiedz mi przynajmniej! – rzekła błagalnie, nie śmiąc spojrzeć na Juliana. – Wiesz, że jestem dumna; jest to nieszczęście mego stanowiska, a nawet charakteru, wyznaję. Pani de Fervaques zabrała mi tedy twoje serce? Czy uczyniła dla ciebie wszystkie ofiary, do jakich mnie pchnęła ta nieszczęsna miłość?

Głuche milczenie było odpowiedzią Juliana. – Jakim prawem – myślał – ona żąda ode mnie niedyskrecji niegodnej uczciwego człowieka?

Matylda próbowała czytać listy: oczy pełne łez nie były do tego zdolne. Od miesiąca była nieszczęśliwa, ale ta wyniosła dusza wzbraniała się przyznać przed sobą do własnego uczucia. Jedynie przypadek spowodował ten wybuch. Na chwilę zazdrość i miłość zwyciężyły dumę. Siedziała na kanapie, tuż przy nim. Widział jej włosy, alabastrową szyję i przez chwilę zapomniał o swojej roli; okolił jej kibić ramieniem, przycisnął niemal Matyldę do piersi.

Obróciła z wolna głowę; zdumiał go bezgraniczny ból, jaki wyrażały jej oczy, zmienione do niepoznania.

Julian uczuł, że go siły opuszczają, tak śmiertelnie ciężki był akt woli, jaki sobie nałożył.

– Jeśli się dam ponieść szczęściu kochania jej – myślał Julian – niebawem oczy te wyrażać będą jedynie wzgardę. – Tymczasem ona, zdławionym głosem, urywanymi słowy powtarzała mu zaklęcia żalu za swe postępowanie płynące z nadmiaru dumy.

– I ja mam dumę – rzekł Julian ledwie słyszalnym głosem, przy czym twarz jego odbijała ostateczne wyczerpanie.

Matylda zwróciła się żywo. Słyszeć jego głos było to szczęście, którego nadziei niemal się wyrzekła. W tej chwili pamiętała o swej dumie jedynie po to, aby ją przeklinać, byłaby chciała popełnić jakieś rzeczy niemożliwe, niewiarygodne, aby mu dowieść, do jakiego stopnia ubóstwia go, a brzydzi się sobą.

– Prawdopodobnie dla tej dumy – ciągnął Julian – wyróżniła mnie pani przez chwilę; z pewnością też za ten hart, jaki przystoi mężczyźnie, szanuje mnie pani teraz. Mogę kochać marszałkową...

Matylda zadrżała; oczy jej przybrały dziwny wyraz. Miała usłyszeć wyrok. Drgnienie to nie uszło uwagi Juliana; czuł, że męstwo jego słabnie.

– Ach – mówił sobie nasłuchując dźwięku czcnych słów, które wygłaszały jego usta, jakby jakiegoś obcego szmeru – gdybym mógł okryć pocałunkami te blade policzki i gdybyś ty tego nie czuła!

– Mogę kochać marszałkową – ciągnął... i głos zamierał mu coraz bardziej – ale nie posiadam żadnych stanowczych dowodów jej sympatii...

Matylda spojrzała nań; wytrzymał to spojrzenie, sądził przynajmniej, że fizjonomia nie zdradziła go. Czuł, że miłość przenika go do ostatnich zaułków serca. Nigdy nie ubóstwiał jej tak jak w tej chwili; był niemal równie oszalały jak Matylda. Gdyby ona zdobyła się na trochę zimnej krwi i hartu, aby pokryć swe uczucia, padłby jej do nóg, wyrzekając się czezej komedii. Znalazł siłę, aby dalej mówić. – Ach, Korazow! – zakrzyknął w duchu. – Czemuż cię tu nie ma! Jakżebym potrzebował słowa wskazówki! – Przez ten czas głos jego mówił:

– W braku innego uczucia wdzięczność wystarczyłaby, aby mnie przywiązać do marszałkowej: była dla mnie dobra, pocieszała mnie, gdy mną gardzono... Mam prawo nie wierzyć bezwzględnie w pewne pozory, zapewne niezmiernie pochlebne, ale też może bardzo nietrwale.

– Wielki Boże! – wykrzyknęła Matylda.

– I cóż, jaką rękojmię daje mi pani? – podjął Julian porywczo i z siłą, jakby zapominając o dyplomatycznej przeczności. – Jakaż przysięga, jakiż bóg mi zaręczy, że usposobienie twoje będzie trwało więcej niż dwa dni?

– Bezmiar mej miłości i nieszczęścia, gdybyś już mnie nie kochał – rzekła ujmując go za rękę i zwracając się ku niemu...

Nagły ten ruch rozchylił nieco narzutkę; Julian ujrzał prześliczne ramiona. Zburzone nieco włosy przypominały mu rozkoszną chwilę...

Miał już ulec. – Jedno niebaczone słowo – pomyślał – i rozpocznę na nowo długi ciąg dni rozpacz. Pani de Rênal znajdowała racje, aby uczynić to, co serce jej dyktowało. Ta światowa panna pozwala sercu wzruszyć się jedynie wtedy, kiedy sobie dowiodła silnymi argumentami, że powinna być wzruszona.

W mgnieniu oka ogarnął tę prawdę i w mgnieniu oka też odzyskał siłę.

Cofnął rękę, które Matylda tuliła, i z ostentacyjnym szacunkiem usunął się nieco. Niepodobna mężczyźnie dalej posunąć hartu. Zebrał rozsypane listy pani de Fervaques i dodał z pozorami doskonałej grzeczności, jakże okrutnej w tej chwili:

– Panna de la Mole raczy mi pozwolić, abym się zastanowił nad tym wszystkim. – Odalił się szybko i opuścił bibliotekę; słyszała, jak kolejno zamyka wszystkie drzwi.

– Potwór! Wcale się nie wzruszył... – myślała. – Ale co ja mówię, potwór! Jest mądry, roztropny, dobry; to ja zawiniłam więcej, niż sobie można wyobrazić.

Wytrwała w tym usposobieniu. Tego dnia Matylda była prawie szczęśliwa, cała oddała się miłości; można by rzec, że nigdy w duszy tej nie zagościła pycha, i jaka pycha!

Zadrżała ze wstępu, kiedy wieczorem lokaj oznajmił panią de Fervaques; głos ten zabrzmiał jej złowrogo. Nie mogła znieść widoku marszałkowej, stanęła jak wryta. Julian,

niezbyt dumny ze swego bolesnego zwycięstwa, uląkł się własnych spojrzeń i nie zjawił się na obiad.

Miłość jego szczęście wzrastały szybko, w miarę jak się oddalał od momentu bitwy; już czynił sobie wyrzuty. – Jak mogłem się jej oprzeć! – powiadał sobie. – Gdyby miała mnie przestać kochać? Jedna chwila może odmienić tę hardą duszę, trzeba zaś przyznać, że obeszłem się z nią strasznie.

Wieczorem czuł, że trzeba się bezwarunkowo pojawić w Bouffes, w loży pani de Fervaques. Zaprosiła go wyraźnie; zarówno jego obecność, jak jego zuchwała nieobecność dojdą niechybnie do Matyldy. Mimo oczywistości tego rozumowania nie miał siły, aby od początku wieczoru wmieszać się między ludzi. Gdyby musiał rozmawiać, straciłby połowę swego szczęścia.

Wybiła dziesiąta: bezwarunkowo trzeba się pokazać.

Szczęściem zastał lożę marszałkowej pełną kobiet; stanął przy samych drzwiach, zasłonięty przez kapelusze. Pozycja ta oszczędziła mu śmieszności: boskie akcenty rozpaczy bowiem Karoliny w *Matrimonio segreto* wycisnęły mu łzy z oczu. Pani de Fervaques ujrzała te łzy. Tworzyły taki kontrast z hartem zwykłej jego fizjonomii, że ta światowa dusza, od dawna nasycona żrącymi kwasami parweniuszowskiej pychy, wzruszyła się. Reszta kobiecego serca, jaka w niej pozostała jeszcze, ozwała się. Zapragnęła słyszeć dźwięk głosu Juliana.

– Czy widział pan panie de la Mole? – rzekła. – Są na trzecim piętrze. – W jednej chwili Julian wychylił się i ujrzał Matyldę; oczy jej błyszczały od łez.

– Wszak to nie ich dzień – pomyślał Julian – co za zapal!

Matylda skłoniła matkę, aby się wybrała do teatru mimo nieodpowiedniej dla ich stanowiska loży, którą ktoś usłużny ofiarował się zdobyć. Chciała się przekonać, czy Julian spędzi wieczór z marszałkową.

## LXI. PRZERAZIĆ JĄ

Oto arcydzieło waszej cywilizacji!  
Z miłości uczyniliście zwyczajną sprawę.  
B a r n a v e

Julian pobiegł do łóży pani de la Mole. Oczy jego spotkały natychmiast załzawione oczy Matyldy; płakała nie krępując się; były tam jedynie podrzędne figury, przyjaciółka, która użyczyła łóży, i paru jej znajomych. Matylda położyła dłoń na ręce Juliana; zapomniała o obecności matki. Dławiąc się niemal od łez, rzekła tylko jedno słowo: – W i e r z y s z !

– Byle tylko nie odezwać się – myślał Julian, sam bardzo wzruszony, zasłaniając, jak mógł, oczy ręką, niby od świecznika zalewającego blaskiem łożę trzeciego piętra. – Jeśli przemówię, nie będzie mogła wątpić o mym wzruszeniu, głos zdradzi mnie, wszystko może się jeszcze popsuć.

Walka stała się dlań uciążliwsza niż rano, dusza jego miała czas ulec wzruszeniu. Lękał się, aby Matyldy nie ukąsiła próżność. Pijany miłością i rozkoszą, przemógł się, aby milczeć. Jest to wedle mnie jeden z najpiękniejszych rysów jego charakteru: człowiek zdolny do takiej siły woli może zejść daleko, *si fata sinant*.

Panna de la Mole nalegała, aby Julian wracał z nimi do pałacu. Szczęściem padał deszcz. Ale margrabina wskazała Julianowi miejsce naprzeciw siebie, wciąż go zagadywała, nie zostawiła mu czasu na rozmowę z córką. Można by rzec, iż margrabina czuwała nad szczęściem Juliana; nie lękając się już zepsuć wszystkiego nadmiarem wzruszenia, tonął w nim bez pamięci.

Czyż ośmielimy się wyznać, iż znalazłszy się w pokoju Julian rzucił się na kolana i okrył pocałunkami listy Korazowa?

– O wielki człowieku! Ileż ci zawdzięczam! – wykrzyknął oszalały.

Stopniowo ochłonął nieco. Porównywał się z generałem, który wygrał wielką bitwę. – Przewaga jest stanowcza, olbrzymia – powiadał sobie – ale co jutro? Jedna chwila może wszystko zgubić!

Otworzył gwałtownym ruchem *Pamiętniki*, dyktowane na Wyspie Świętej Heleny przez Napoleona, i przez całe dwie godziny zmuszał się do czytania; czytał jedynie oczami, mimo to zmuszał się. W czasie tej dziwnej lektury głowa jego i serce, nastrojone na najwyższy ton, pracowały bez jego wiedzy. – To zupełnie inna kobieta niż pani de Rênal – powiadał sobie, ale nie sięgał dalej myślą.

– P r z e r a z i ć j ą ! – wykrzyknął nagle, odrzucając książkę. – Nieprzyjaciel będzie mnie słuchał tylko o tyle, o ile stanę się groźny, wówczas nie ośmieli się mnie lekceważyć.

Przechadzał się po swoim pokoiku, pijany radością. Co prawda, szczęście to bardziej płynęło z dumy niż z miłości.

– Przerazić ją! – powtarzał dumnie, i miał prawo być dumny. – Nawet w najszcześniejszych chwilach pani de Rênal wąpiła zawsze, aby moja miłość była równa jej miłości. Tutaj mam do czynienia z demonem, trzeba go u j a r z m i ć.

Wiedział, że nazajutrz już o ósmej rano Matylda znajdzie się w bibliotece; zjawił się dopiero o dziewiątej, płonąć miłością, ale panując nad sercem. Nie upłynęła minuta, aby sobie nie powtarzał: – Utrzymywać ją wciąż w tej wątpliwości: C z y o n m n i e k o c h a ? Świetne stanowisko, pochlebstwa wszystkich, którzy się do niej zwracają, aż nadto czynią ją skłoną do pewności siebie.

Błada, spokojna, Matylda siedziała na kanapie, jakby wrosła w miejsce. Wyciągnęła rękę:

– Drogi mój, obraziłam cię, prawda; możesz gniewać się na mnie...

Julian nie spodziewał się takiej prostoty. Omal się nie zdradził.

– Chcesz rękojmi – dodała po chwili męczącego oczekiwania – masz słuszność. Wykradnij mnie, jedźmy do Londynu, będę zgubiona na zawsze, zhańbiona... – Miała tę siłę, aby wysunąć rękę z rąk Juliana i zasłonić sobie oczy. Wszystkie uczucia wstydu i cnoty niewieściej wróciły w tę duszę... – Więc dobrze! Okryj mnie hańbą – rzekła z westchnieniem – to będzie rękojmia.

– Wczoraj byłem szczęśliwy, bo miałem odwagę być surowym dla samego siebie – pomyślał Julian. Po chwili milczenia zdołał się opanować na tyle, aby rzec lodowato:

– A skoro uciekniesz do Londynu, skoro będziesz zhańbiona, któż mi ręczy, że będziesz mnie kochała? Że moje sąsiedztwo w kolasce pocztowej nie będzie ci niemiłe? Nie jestem potworem; to, że panią zgubię w opinii, będzie dla mnie tylko jednym nieszczęściem więcej. To nie twoja pozycja stanowi przeszkodę; to, niestety, twój charakter. Czy możesz zaręczyć sama przed sobą, że będziesz mnie kochała bodaj tydzień?

( – Och, niech kocha tydzień, tylko tydzień – powiadał sobie Julian – a umrę ze szczęścia. Co mi przyszłość, co mi życie! I to boskie szczęście może się zacząć dla mnie dziś, jeśli zechcę, zależy jedynie ode mnie!)

Matylda widziała jego zadumę.

– Jestem tedy zupełnie niegodna ciebie – rzekła ujmując go za rękę.

Julian wziął ją w ramiona, ale w tejże chwili żelazna dłoń obowiązku pochwyciła jego serce. – Jeśli spostrzeże, jak dalece ją ubóstwiam, stracę ją. – I nim wypuścił ją z objęć, odzyskał całą godność, jaka przystoi mężczyźnie.

Tego dnia i przez następne dni zdołał ukryć nadmiar szczęścia; bywały chwile, w których odmawiał sobie nawet rozkoszy wzięcia jej w ramiona.

Kiedy indziej znowu szał szczęścia tłumił wszelką przezorność.

Niegdyś miał zwyczaj spędzać wiele chwil koło altanki z dzikiego wina, przeznaczonej na to, aby ukryć drabinę. Siadał tak, aby móc z dala spoglądać na okno Matyldy i oplakiwać jej niestałość. Tuż obok wyrastał ogromny dąb, tak iż pień drzewa zasłaniał go od niepowołanych spojrzeń.

Kiedy przechodził z Matyldą koło tego miejsca, które mu tak żywo przypominało bezmiar niedoli, kontrast minionej rozpaczy a obecnego szczęścia za silny był dla Juliana; łązy nabiegły mu do oczu. Podnosząc do ust rękę ukochanej rzekł:

– Tutaj żyłem myśląc o tobie, tutaj patrzałem w te żaluzje, czekałem godziny całe szczęsnej chwili, w której ta ręka mi je otworzy...

Hart jego prysnął. Odmalował prawdziwymi barwami, takimi, jakich się nie da zmyślić, bezmiar swej rozpacz. Krótkie wykrzykniki świadczyły o jego obecnym szczęściu, które położyło kres okrutnej męce.

– Co ja czynię, Boże? – pomyślał Julian opamiętując się nagle. – Gubię się.

W bezmiarze przerażenia zdało mu się, że widzi już w oczach panny de la Mole mniej tkliwości. Było to złudzenie; ale twarz Juliana zmieniła się nagle i stała się śmiertelnie blada. Oczy jego zgasły; wyraz dumy, nie wolnej od ironii, zajął nagle miejsce najoddańszej miłości.

– Co tobie, drogi? – spytała Matylda z czułością i niepokojem.

– Kłamię – odparł Julian twardo – i kłamię przed tobą! Wyrzucam to sobie, a wszakże Bóg wie, iż szanuję cię na tyle, aby nie kłamać. Kochasz mnie, jesteś mi oddana, nie potrzebuję frazesów, aby trafić do twego serca.

– Wielki Boże! Czyż to frazesy, wszystkie te urocze słowa, które powtarzasz mi od kwadransa?

– Niestety, biję się w piersi, droga Matyldo. Ułożyłem je swego czasu dla kobiety, która mnie kochała, a którą byłem nieco znudzony... To mój nieszczęsny charakter, sam spowiadam się z niego przed tobą, daruj mi...

Gorzkie łzy spływały po licach Matyldy.

– Z chwilą gdy mnie coś urazi i wprawi w zadumę – ciągnął Julian – moja niegodziwa pamięć, którą przeklinam w tej chwili, nastęcza mi ratunek i nadużywam go.

– Czy mimo woli popełniłam coś, co cię uraziło? – spytała Matylda z czarującą prostotą.

– Jednego dnia, przypominam sobie, przechodząc koło tych powojów, zerwałaś kwiatek, de Luz wziął ci go z ręki i ty mu go zostawiłaś. Stałem tuż za tobą.

– De Luz? To niemożliwe – odparła Matylda z wrodzoną wyniosłością – nie mam takich zwyczajów.

– Wiem z pewnością – odparł porywczo Julian.

– Więc dobrze, prawda, drogi mój – rzekła Matylda spuszczać smutno oczy. Wiedziała stanowczo, że od wielu miesięcy nie pozwoliła panu de Luz na nic podobnego.

Julian spojrział na nią z niewysłowioną czułością. – Nie – pomyślał – ona nie kocha m n i e j.

Wieczorem wymawiała mu żartem jego słabostkę dla pani de Fervaques. Mieszczanin zakochany w parweniuszce? Tego rodzaju serca to są jedyne, których mój Julian nie zdoła przywieść do szaleństwa.

– Zrobiła z ciebie dandysa – mówiła bawiąc się jego włosami.

Od czasu jak sądził, że Matylda nim gardzi, Julian stał się jednym z najlepiej ubranych ludzi w Paryżu; miał zaś nad zawodowymi elegantami tę wyższość, że raz dokończywszy toalety nie myślał już o niej.

Jedno drażniło Matyldę: Julian w dalszym ciągu kopiował listy Rosjanina i przesyłał je marszałkowej.

## LXII. TYGRYS

Ha, czemuż to, a nie co innego!  
B e a u m a r c h a i s

Pewien angielski podróżnik opowiada dzieje swej zażyłości z tygrysem; wychował go, pieścił, ale zawsze miał na stole nabity pistolet.

Julian dał się unosić nadmiarowi swego szczęścia jedynie w chwilach, gdy Matylda nie mogła tego szczęścia wyczytać w jego oczach. Ściśle dopełnił nałożonego sobie obowiązku, aby jej rzec od czasu do czasu coś przykrego.

Kiedy słodczy Matyldy, której przyglądał się ze zdumieniem, i nadmiar jej oddania miały mu już odjąć władzę nad sobą, wówczas zdobywał się na to, aby ją opuścić.

Pierwszy raz w życiu Matylda kochała.

Życie, które zawsze się wlekło dla niej żółwym krokiem, teraz leciało na skrzydłach.

Ponieważ trzeba było jakiegoś upustu dla jej dumy, harda panna wystawiała się lekko-myślnie na wszystkie niebezpieczeństwa, jakie miłość mogła na nią ściągnąć. Julian musiał być przezorny za nią; jedynie wtedy, kiedy chodziło o niebezpieczeństwo, nie chciała ulec jego woli. Ale pokorna i uległa z nim, objawiała tym większą butę wobec otoczenia, rodziców czy służby.

Wieczorem w salonie, wobec kilkudziesięciu osób, przywoływała Juliana, aby z nim szeptać długo na osobności.

Kiedy raz Tanbeau usiadł koło nich, poprosiła, aby jej przyniósł z biblioteki tom Smoleta, w którym znajduje się rewolucja roku 1688, kiedy się zaś wahał, dodała: – A niech się pan nie śpieszy! – Powiedziała to ze wzgardliwą wyniosłością, która była jak balsam dla duszy Juliana.

– Zauważyłaś spojrzenie tej żmii? – spytał.

– Wuj jego liczy kilkanaście lat służby w tym salonie; inaczej kazałabym go wygnąć natychmiast.

Postępowanie jej z panami de Croisenois, de Luz etc., doskonale grzeczne co do formy, było w gruncie wyzywające. Matylda wyrzucała sobie zwierzenia, jakie uczyniła niegdyś Julianowi, i to tym bardziej, że nie śmiała mu wyznać, iż przesadziła oznaki sympatii niemal zupełnie niewinnej, jakiej panowie ci byli przedmiotem.

Mimo najpiękniejszych postanowień, za każdym razem duma kobieca broniła jej rzec Julianowi: To dlatego, że mówiłam do ciebie, znajdowałam przyjemność w opisywaniu



owej słabości, z jaką nie cofnęłam ręki, kiedy pan de Croisenois, położywszy dłoń na marmurowym stoliku, musnął mnie nią lekko.

Dziś zaledwie który z tych panów zbliżył się do niej na chwilę, natychmiast znajdowała jakiś interes do Juliana, a zawsze był to pozór, aby go zatrzymać przy sobie.

Uczuła się brzemiennej i z radością oznajmiła to Julianowi.

– Wątpisz teraz o mnie? Czy to nie jest rękojmia? Jestem twą małżonką na zawsze.

Zwierzenie to wstrząsnęło Julianem. Omal nie zapomniał o zasadach swego postępowania. W jaki sposób być z umysłu chłodnym i obrażającym dla tej biednej dziewczyny, która się gubi dla mnie? Skoro zdawała się cierpiącą, wówczas, nawet w dzień, gdy przezorność odzywała się straszliwym głosem, nie znajdował już siły, aby jej rzucać w twarz owe okrutne słowa, tak nieodzowne, wedle jego doświadczeń, dla utrwalenia miłości.

– Muszę napisać do ojca – rzekła Matylda – jest dla mnie więcej niż ojcem, jest mi przyjacielem. Uważałabym za niegodne ciebie i siebie oszukiwać go choćby przez chwilę.

– Wielki Boże, co chcesz uczynić?! – spytał Julian, przerażony.

– Spełnić obowiązek – odparła z oczami błyszczącymi radością. Czowała się wielkoduszniejsza od swego kochanka.

– Ależ on mnie wypędzi haniebnie!

– Będzie w swoim prawie, należy je uszanować. Podam ci rękę i wyjdziemy stąd główną bramą w biały dzień.

Julian, oszołomiony, prosił, aby to odwlokła o tydzień.

– Nie mogę – odparła – honor tak każe, to mój obowiązek, trzeba go spełnić, i to natychmiast.

– Zatem r o z k a z u j ę ci czekać! – rzekł wreszcie Julian. – Honor twój jest kryty, jestem twoim mężem. Ten ważny krok zmieni zasadniczo nasze położenie. Ja także jestem w swoim prawie. Dziś jest wtorek; w przyszły wtorek jest przyjęcie u księcia de Retz; wieczorem, kiedy pan de la Mole wróci, odźwierny wręczy mu nieszczęsny list... On myśli jedynie o tym, aby cię uczynić księżną, wiem doskonale; osądź, jaki będzie nieszczęśliwy.

– Chcesz powiedzieć: jak będzie się mścił.

– Mogę litować się nad mym dobroczyńcą, martwić się, że go nabawiłem zgryzoty, ale nie lękam się i nie zleknię nigdy nikogo.

Matylda uległa. Od czasu jak oznajmiła Julianowi swój stan, pierwszy raz przemówił do niej tak surowo; nigdy nie czuł tyle miłości. Tkliwa cząstka jego duszy chwyciła się z radością pozoru, jaki nastęczał mu ten stan Matyldy, aby sobie oszczędzić smagania jej okrutnymi słowami. Myśl o wyznaniu wszystkiego panu de la Mole wstrząsnęła nim. Czy będzie musiał rozłączyć się z Matyldą? I mimo całego bólu, jaki jej sprawi jego wyjazd, czy w miesiąc po tym wyjeździe pomyśli jeszcze o nim?

Tak samo prawie obawiał się słusznych wyrzutów margrabiego.

Wieczorem wyznał Matyldzie ten drugi powód zgryzoty; następnie, oszalały miłością, wyznał i pierwszy.

Zmieniła się na twarzy.

– Naprawdę – rzekła – pół roku z dala ode mnie byłoby dla ciebie nieszczęściem?

– Straszny, jedynym w świecie, które przejmuje mnie grozą.

Matylda czuła się szczęśliwa. Julian trzymał się tak wytrwale w swej roli, iż obudził w niej z czasem przeświadczenie, że z nich dwojga ona bardziej kocha.

Nadszedł nieszczęsny wtorek. O północy, wróciwszy do domu, margrabia zastał list z dopiskiem, że ma go otworzyć sam, bez świadków.

*Mój ojcze!*

Wszystkie węzły między nami zerwane, zostają jedynie węzły krwi. Po moim mężu jesteś i będziesz zawsze istotą najdroższą mi na ziemi. Oczy moje napęlniają się łzami, myślę o zgryzocie, jaką Ci sprawiam, ale iżby hańba moja nie była publiczna, aby Ci zostawić czas do namysłu i działania, nie mogę dłużej odkładać zwierzenia, które Ci mam uczynić. Jeśli Twoja czułość dla mnie – a wiem, że jest bezgraniczna – raczy wyznaczyć mi małą pensyjkę, udam się, aby zamieszkać, gdzie zechcesz, w Szwajcarii na przykład, wraz z mężem. Nazwisko jego jest tak nieznane, że nikt nie domyśli się Twojej córki w pani Sorel, synowej cieśli z Verrières. Oto nazwisko, które tak ciężko przyszło mi napisać. Obawiam się dla Juliana Twego gniewu, tak słusznego na pozór. Nie będę księżną, Ojczy; ale wiedziałam o tym, kiedym go pokochała: ja pokochałam go pierwsza; ja go uwiodłam. Odziedziczyłam po Tobie duszę zbyt wyniosłą, aby zwracać uwagę na to, co pospolite. Próżno, chcąc Ci być powolną, siliłam się pokochać pana de Croisenois. Czemu mi pokazałeś człowieka naprawdę wyższego? Powiedziałeś mi to sam, kiedy wróciłam z Hyères: „Ten Sorel to jedyny człowiek, który mnie nie nudzi”. Biedny chłopiec jest, jeśli to możebne, równie zmartwiony jak ja przykrością, jaką Ci sprawi mój list. Nie mogę przeszkodzić temu, abyś nie był oburzony jako ojciec; ale kochaj mnie jako przyjaciel.

Julian zachowywał się wobec mnie z całym szacunkiem. Jeżeli odzywał się kiedy do mnie, to jedynie z głębokiej wdzięczności, jaką miał dla Ciebie; wrodzona duma broni mu odnosić się inaczej niż urzędowo do osób stojących wyżej niego. Posiada on wrodzone poczucie różnic społecznych. To ja, wyznając to z rumieńcem memu najlepszemu przyjacielowi – i nikt inny nie usłyszy takiego wyznania! – to ja jednego dnia w ogrodzie ścisnęłam mu ramię.

Skoro ochłoniesz, nazajutrz, czemu miałbyś się na niego gniewać? Błąd mój jest nie do naprawienia. Jeśli żądasz, przez moje usta Julian przedłoży Ci zapewnienia najgłębszego szacunku oraz rozpaczy, iż sprawił Ci zgryzotę. Nie ujrzysz go; ale ja pójdę za nim tam, gdzie zechce. To jego prawo, to mój obowiązek, jest ojcem mego dziecka. Jeśli dobroć Twoja zechce nam użyczyć sześciu tysięcy franków na życie, przyjmuję to z wdzięcznością; w przeciwnym razie Julian zamierza się osiedlić w Besançon, gdzie będzie dawał lekcje literatury i łaciny. Mimo niskiego pochodzenia, jestem pewna, że wypłynie. Z nim nie obawiam się zostać w kącie. Jeśli wybuchnie rewolucja, pewna jestem, że odegra pierwszą rolę. Czy mógłbyś powiedzieć to samo o którymś z ubiegających się o moją rękę? Mają ładne majątki ziemskie? To mnie bynajmniej nie rozczula. Julian zdobyłby wysokie stanowisko, nawet pod obecnym rządem, gdyby miał milion i poparcie mego ojca...

Matylda, która wiedziała, że margrabia jest to człowiek na wskroś impulsywny, napisała pełnych osiem stron.

– Co robić? – powiadał sobie Julian, gdy pan de la Mole czytał ten list. – Gdzie leży *primo*: mój obowiązek, *secundo*: mój interes? Dług wdzięczności wobec margrabiego jest olbrzymi; bez niego byłbym jedynie podrzędnym hultajem, nie dosyć zaś hultajem, aby nie być przedmiotem nienawiści i prześladowania innych. Zrobił ze mnie światowca. Moje nieodzowne hultajstwa będą *primo*: rzadsze, *secundo*: mniej nikczemne. To więcej, niż gdyby mi dał milion. Zawdzięczam mu też ten krzyż i pozór dyplomatycznych usług, które wrywają mnie z tłumu.

Gdyby wziął w rękę pióro, aby rozporządzić mym postępowaniem, co by napisał?...

Dumania Juliana przerwało nagłe zjawienie się lokaja.

– Margrabia wzywa pana natychmiast, jak pan stoi. Niech pan uważa, jest strasznie wzburzony – dodał ciszej służący idąc obok Juliana.

## LXIII. PIEKŁO SŁABOŚCI

Szlifując ten diament, niezręczny jubiler  
pozbawił go paru najżywszych iskierek.  
W średnich wiekach, co mówię? Jeszcze  
za Richelieugo, Francuz umiał chcieć.

M i r a b e a u

Julian zastał margrabiego w furii: może pierwszy raz w życiu ten wielki pan wypadł z dobrego tonu; obsypał Juliana stekiem obelg. Bohater nasz był ogłuszony, zniecierpliwiony, ale nie zdołało to zachwiać jego wdzięczności. Ileż pięknych projektów, od dawna pieszczonych w duszy, biedny człowiek grzebie w jednej chwili! Ale trzeba mu coś odpowiedzieć, milczenie rozjątrzyłoby go tym bardziej. Odpowiedź zaczerpnął Julian z roli Tartufa.

– N i e j e s t e m a n i o ł e m... Służyłem dobrze, pan margrabia opłacał mnie hojnie... Byłem wdzięczny, ale mam dwadzieścia dwa lata... W tym domu dusza moja spotkała się ze zrozumieniem jedynie u ciebie, panie, i u tej uroczej istoty...

– Niegodziwcze! – wykrzyknął margrabia. – Urocza, urocza! W dniu, w którym wydała ci się urocza, powinieneś był uciekać!

– Próbowałem, wówczas prosiłem o wysłanie mnie do Langwedocji.

Zmęczony bieganiem po pokoju, margrabia, zmożony bólem, rzucił się na fotel; Julian usłyszał, jak mówił półgłosem:

– Nie, to nie jest zły człowiek.

– Nie, nie dla pana! – wykrzyknął Julian przypadając do jego kolan. Ale zawstydził się strasznie tego kroku i podniósł się rychło.

Margrabia był w istocie nieprzytomny. Na ten gest Juliana zaczął go znów obsypywać karczemnymi wyzwiskami. Nowość tych klątw sprawiła mu może ulgę.

– Jak to? Moja córka ma się nazywać panią Sorel? Moja córka nie będzie księżną! – Za każdym razem, kiedy te dwie myśli rysowały się z całą jasnością, pan de la Mole cierpiał męki i tracił panowanie nad sobą. Julian lękał się, aby go nie zaczął bić.

W jaśniejszych chwilach, kiedy margrabia zaczynał się oswajać z nieszczęściem, zwracał się do Juliana z dość słusznymi wymówkami.

– Trzeba było uciekać, mój panie – mówił. – Pańskim obowiązkiem było uciekać... Jesteś ostatnim łaj...

Julian podszedł do stołu i napisał:

*Od dawna życie stało mi się nie do zniesienia, kładę mu kres. Proszę, aby pan margrabia przyjął, wraz z wyrazami bezgranicznej wdzięczności, moje przeprosiny za kłopot, jaki może sprawić moja śmierć w pałacu.*

– Niech pan margrabia raczy spojrzeć na ten papier. Zabij mnie pan lub każ mnie zabić swemu lokajowi. Jest pierwsza po północy, pójdę się przechadzać w ogrodzie pod murem.

– Idź do wszystkich diabłów! – wrzasnął margrabia za odchodzącym.

– Rozumiem – pomyślał Julian – nie byłby od tego, abym oszczędził lokajowi fatygi zabijania mnie... Niech mnie zabije, doskonale, daję mu tę satysfakcję... Ale, do kroćset, ja kocham życie... mam obowiązki względem mego syna.

Myśl ta, która pierwszy raz nastęrczyła się tak jasno jego wyobraźni, pochłoneła go zupełnie po paru minutach przechadzki, wypełnionych uczuciem niebezpieczeństwa.

Ten nowy cel życia natchnął Juliana rozważą. – Trzeba mi czyjejs rady w postępowaniu z tym raptusem... Ta gorąca głowa zdolna jest do wszystkiego. Fouqué jest za daleko, zresztą nie zrozumiałby człowieka takiego jak margrabia.

Hrabia Altamira... Mógł być pewnym wiekiustego milczenia? Nie trzeba, aby moja prośba o radę miała znaczenie faktu i wylała położenie. Hm, zostaje mi jedynie ponury ksiądz Pirard... głowa ciasna, zamurowana jansenizmem... jakiś hultaj jezuita znający świat lepiej by umiał doradzać... Ksiądz Pirard jest zdolny obić mnie za samą wzmiankę o fakcie.

Geniusz Tartufa przyszedł w pomoc Julianowi. – Doskonale, wypowiadam się u niego. – Oto postanowienie, jakie powziął w ogrodzie po dwugodzinnej przechadzce. Nie myślał już o tym, że go może dosięgnąć kula, morzył go sen.

Nazajutrz, bardzo rano, Julian znalazł się o kilka mil od Paryża i zapukał do drzwi jansenisty. Przekonał się, ku wielkiemu zdumieniu, że zwierzenie jego nie zaskoczyło zbytnio księdza.

– Jest w tym moja wina – mówił ksiądz, bardziej stroskany niż zagniewany. – Domyślałem się po trosze tej miłości. Przez przyjaźń dla ciebie, niegodziwy urwisie, nie zdobyłem się na to, aby ostrzec ojca...

– Co on pocnie? – rzekł żywo Julian.

(Kochał w tej chwili księdza i sprzeczka z nim byłaby mu bardzo przykra.)

– Widzę trzy możliwości – ciągnął Julian – *primo*: pan de la Mole może mnie zgładzić – tu Julian wspomniał o liście pozorującym samobójstwo, jaki wręczył margrabiemu – *secundo*: może kazać hrabiemu Norbertowi zastrzelić mnie w pojedynku.

– Przyjąłbyś wyzwanie? – rzekł ksiądz zrywając się, wściekły.

– Nie dał mi ksiądz dokończyć. Oczywiście nie strzelałbym do syna mego dobroczyńcy. *Tertio*: może mnie oddalić. Jeśli mi powie: jedź do Edynburga albo do Nowego Jorku, usłucham. Wówczas będzie można ukryć stan panny de la Mole; ale nie ścierpię nigdy, aby uprządnięto mego syna.

– Możesz być pewny, że to będzie pierwsza myśl tego zepsutego człowieka...

W Paryżu Matylda była w rozpacz. Zobaczyła się z ojcem koło siódmej. Pokazał jej list Juliana; lęk ją zdjął, że może przez szlachetność się zabił. – I bez mego pozwolenia – potwarzała sobie z bólem, nie wolnym od gniewu.

– Jeśli on zginął, i ja zginę – mówiła. – To ty, ojcze, będziesz przyczyną jego śmierci... Będiesz może rad z tego... Ale przysięgam na jego cienie, że natychmiast wdzieję żalobę, będę publicznie w d o w a p o p a n u S o r e l, roześlę zawiadomienie o śmierci, możesz być tego pewny... Nie licz na moją podłość ani na moje tchórzostwo.

Miłość jej dochodziła do szaleństwa. Pan de la Mole patrzył na to bezradny.

Zaczął rozważać sprawy nieco chłodniej. Matylda nie zjawiała się na śniadanie. Margrabiemu sprawiło to pewną ulgę, a zwłaszcza pochlebiło mu to, że spostrzegł, iż Matylda o niczym nie wspomniała matce.

Julian zsiadł z konia... Matylda kazała go zawołać i rzuciła się w jego ramiona niemal przy panience służącej. Julian nie był zbyt zachwycony tym wybuchem; długa narada z księdzem Pirard uzbroidła go w rachubę i dyplomację. Wyobraźnię jego stłumił rachunek prawdopodobieństw. Matylda powiedziała mu ze łzami w oczach, że czytała jego samobójczy list.

– Ojciec może się namyślić; zrób to dla mnie i jedź natychmiast do Villequier. Siadaj z powrotem na konia, zniknij z pałacu, nim wstaną od stołu.

Widząc chłodną i zdumioną fizjonomię Juliana, załżała się łzami.

– Pozwól mnie działać – wykrzyknęła z uniesieniem, ściskając go. – Wiesz dobrze, że nie z własnej woli rozłączam się z tobą. Pisz na imię pokojówki, adresuj obcą ręką, ja będę pisała całe tomy. Bądź zdrow, uciekaj!

Ostatnie słowo uraziło Juliana, ale usłuchał. – To nieuniknione – pomyślał – iż nawet w najlepszej intencji ci ludzie znajdują sposób, aby mnie dotknąć.

Matylda oparła się stanowczo wszystkim rozsądnym projektom ojca. Nie chciała dopuścić do rokowań na innej podstawie niż ta; będzie panią Sorel i będzie żyła skromnie z mężem w Szwajcarii albo przy ojcu w Paryżu. Odrzucała bezwzględnie projekt tajnego połoгу. Wówczas byłaby wydana na potwarz i hańbę.

– W dwa miesiące po ślubie wyjadę z mężem w podróż i łatwo będzie udać, że nasz syn urodził się we właściwej porze.

Zrazu margrabia wściekał się, ale stanowczość ta zdołała go zachwiać.

– Masz tu – rzekł w chwili rozczulenia – masz tu obligację na dziesięć tysięcy franków renty, poślij ją swemu Julianowi i niech się urządzi tak, abym jej nie mógł odebrać.

Aby u s ł u c h a ć M a t y l d y, znając jej namiętność władzy, Julian zrobił bezużytecznie czterdzieści mil; bawił w Villequier załatwiając rachunki z dzierżawcami; dar margrabiego skłonił go do powrotu. Poprosił o gościnę księdza Pirard, który w jego nieobecności stał się najużyteczniejszym sprzymierzeńcem Matyldy. Za każdym razem, kiedy margrabia zasięgał jego rady, dowodził mu, że wszelka inna droga niż publiczne małżeństwo byłaby zbrodnią w oczach Boga.

– A na szczęście – dodawał ksiądz – mądrość ludzka zgadza się tu z nakazem religii. Czy wobec gwałtownego charakteru panny de la Mole można bodaj przez chwilę liczyć na sekret, którego by sobie sama nie narzuciła? Jeśli nie wstąpimy na otwartą drogę, zawierając jawnie małżeństwo, świat będzie się o wiele dłużej zajmował zagadką tego mezaliansu. Trzeba powiedzieć wszystko naraz, zniweczyć wszelki pozór tajemnicy.

– To prawda – rzekł margrabia, zamyślony. – W ten sposób, gdyby ktoś zechciał mówić o tym małżeństwie po upływie trzech dni, wyglądałby na dudka odgrzewającego stare bajki. Trzeba skorzystać z jakiegoś antyjakobińskiego zamachu rządowego i nieznacznie przemknąć się w jego cieniu.

Paru przyjaciół, których poradził się pan de la Mole, było zdania księdza Pirard. Główną przeszkodą, wedle nich, był charakter Matyldy. Ale mimo tych rozumowań duma margrabiego nie mogła się oswoić z myślą o wyrzeczeniu się mitry dla córki.

W pamięci i wyobraźni jego kłębiły się wszelkie szelmostwa i finty, możebne jeszcze za jego młodości. Ustąpić wobec konieczności, ulęknąć się prawa, zdawało mu się czymś niedorzecznym i hańbiącym dla człowieka jego stanowiska. Drogo dziś płacił czarowne marzenia, którymi opromieniał od dziesięciu lat przyszłość ukochanej córki.

– Kto by to przewidział? – powtarzał w duchu. – Dziewczyna tak dumna, tak wyniosła, bardziej ode mnie pyszna z nazwiska, które nosi, o której rękę zabiegało wszystko, co jest najświetniejszego we Francji!

Trzeba położyć krzyżyk na wszelkim rozsądku. Zadaniem tej epoki jest pomieszać wszystko! Idziemy ku chaosowi.

## LXIV. CZŁOWIEK Z GŁOWĄ

Człapiąc na koniu, prefekt dumiał:  
czemu nie miałbym zostać ministrem,  
prezydentem gabinetu, księciem?  
Oto jak rozpocznę wojnę...  
Tym sposobem zakuję nowatorów w łańcuchy...  
*Le Globe*

Żaden argument nie starczy, aby zniszczyć moc dziesięcioletnich marzeń. Margrabia pokonał gniew, ale nie umiał się zdobyć na to, aby przebaczyć. – Gdyby ten Julian mógł umrzeć przypadkiem... – powiadał sobie. Zgnębiona jego wyobraźnia znajdowała ulgę w ściganiu najniedorzeczniejszych majaków. Paraliżowały one wpływ roztropnych perswazji księdza Pirard. Tak upłynął miesiąc nie posuwając rokowań ani o krok naprzód.

W tej sprawie rodzinnej, jak i w sprawach politycznych, margrabia miał świetne pomysły, do których zapalał się przez trzy dni. Wówczas plan nie dlatego mu się podobał, że się wspiera na logice, ale przeciwnie, logika znajdowała łaskę w jego oczach, o ile wspierała jego ulubiony plan. Trzy dni pracował z całą gorączką i zapałem poety, aby doprowadzić rzecz do pewnego punktu; nazajutrz już o tym nie myślał.

Zrazu Julian zbity był z tropu wahaniem margrabiego; po kilku tygodniach zaczął się domyślać, że pan de la Mole nie ma w tej sprawie żadnego określonego planu.

Pani de la Mole i wszyscy domownicy myśleli, że Julian podróżuje w sprawach administracyjnych; on tymczasem siedział na plebanii księdza Pirard i widywał Matyldę prawie co dzień; ona co rano spędzała godzinę z ojcem, ale niekiedy tygodnie całe nie wspominali o sprawie, która zaprzętała wszystkie ich myśli.

– Nie chcę wiedzieć, gdzie jest ten człowiek – rzekł pewnego dnia margrabia. – Prześlij mu ten list.

Matylda przeczytała:

*Dobra moje w Langwedocji przynoszą 20 0 00 fr. rocznie. Darowuję 10 000 fr. renty córce, 10 000 panu Sorel. Sam majątek staje się oczywiście również ich własnością. Poleci pan rejentowi, aby sporządził dwa oddzielne akty darowizny i aby mi je przyniósł jutro, po*

*czym wszelkie stosunki między nami ustaną. Ach, panie, czy ja mogłem się spodziewać czegoś podobnego?*

*Margrabia de la Mole*

– Dziękuję ci, ojczulku – rzekła Matylda wesoło. – Zamieszkamy w zamku Aiguillon, między Agen i Marmande. Powiadają, że tam jest tak pięknie jak we Włoszech.

Darowizna ta zdumiała Juliana. Nie był to już ów surowy i zimny człowiek, któregośmy znali. Los syna zaprzętał zawczasu jego myśli. Nieprzewidziana ta i dość znaczna jak na biedaka fortuna zbudziła w nim ambicje. Wraz z żoną posiadał 30 000 fr. renty. Co się tyczy Matyldy, wszystkie jej uczucia roztopiały się w ubóstwianiu męża, tak bowiem zawsze w swej dumie nazywała Juliana. Jej wielką, jedyną ambicją było zdobyć uznanie małżeństwa. Z przesadą rozpyływała się nad genialnym rozumem, jaki okazała jednocząc swój los z losem niepospolitego człowieka. *W a r t o ś ć o s o b i s t a* stała się w jej główce modnym hasłem.

Ciągła prawie rozłąka, mnogość spraw, brak czasu na gruchania miłosne dopełniły działania mądrej polityki obranej niegdyś przez Juliana.

Matyldę zniecierpliwiło w końcu, że tak mało widuje człowieka, którego pokochała szczerze.

W chwili podrażnienia napisała list do ojca, zaczynając jak Otello:

*Tego, że przełożyłam Juliana nad uciechy światowe, godne margrabianki de la Mole, wybór mój dowodzi wystarczająco. Szacunek świata, próżności są dla mnie niczym. Blisko sześć tygodni żyję w rozłące z mężem. To dosyć, aby ci dowieść, ojcze, mego posłuszeństwa. Do przyszłego czwartku opuszczę dom rodzicielski. Dzięki twej wspaniałomyślności jesteśmy bogaci. Nikt nie zna tajemnicy prócz czcigodnego księdza Pirard. Udam się do niego, on nas połączy; w godzinę po obrzędzie będziemy w drodze do Langwedocji i nie zjawimy się w Paryżu, chyba na twoje rozkazy. Ale gnębi mnie, że świat ukuje z tego złośliwe pociski przeciw mnie, przeciw tobie, ojcze. Czy koncepty gawiedzi nie mogą popchnąć p o c z c i w e g o Norberta do szukania zwady z Julianem? W takim wypadku, znam go, nie miałabym nad nim żadnej władzy. W duszy jego obudziłby się zbuntowany plebejusz. Zaklinam cię na kolanach, ojcze, przyjedź, aby być świadkiem mego ślubu. Twoja obecność stępi ostrze złośliwego świata, upewni życie twego jedynego syna, mego męża etc., etc.*

List ten wtrącił margrabiego w straszliwy kłopot. Trzebaż było wreszcie coś p o s t a n o w i ć. Drobne narowy, zwykli przyjaciele, wszystko to straciło wpływ. W tych niezwykłych okolicznościach zasadnicze rysy charakteru, urobione w wydarzeniach młodości, odzyskały całą swą władzę. Ciężkie chwile spędzone na emigracji rozwinęły w panu de la Mole wyobraźnię. Po dwóch latach, w ciągu których margrabia zażywał olbrzymiego majątku i dworskich zaszczytów, rok 1790 wtrącił go w straszliwe niedole wygnania. Twarda ta szkoła przeobraziła duszę dwudziestoletniego młodzieńca. W gruncie raczej koczował wśród swych obecnych bogactw, niż podlegał ich panowaniu. Ale ta sama wyobraźnia, która uchroniła jego duszę od gangreny złota, wydała go na łup szalonego pragnienia tytułów dla córki.

W ciągu minionych sześciu tygodni, chwilami, jakby w przystępie kaprysu, margrabia chciał otoczyć Juliana bogactwem; ubóstwo zdało mu się czymś upadlającym, hańbiącym dla niego samego, pana de la Mole, czymś niemożliwym u męża jego córki; rzucał garściami pieniądze. Nazajutrz wyobraźnia jego szła innym korytem: zdawało mu się, że Julian rozumie niemą wymowę tej hojności, że zmieni nazwisko, przeprawi się do Ameryki,



napisze do Matyldy, że jest dla niej pogrzebany. Pan de la Mole już roił, że taki list istnieje, wyobrażał sobie, jak się odbije na charakterze córki...

W dniu, w którym z tych młodzieńczych rojeń wyrwał go rzeczywisty list Matyldy, margrabia nadumawszy się długo, w jaki by sposób zabić albo usunąć Juliana, marzył z kolei o tym, by mu stworzyć świetny los. Postarałby się, aby Julianowi pozwolono nosić miano jednego z majątków; a czemu nie miałby z czasem przelać nań parostwa? Książę de Chaulnes, jego teść, wspominał mu kilkakrotnie, od czasu jak syna jego zabito w Hiszpanii, że rad by przekazać swój tytuł Norbertowi.

– Nie można odmówić Julianowi talentów, odwagi, może nawet świetności – powiadał sobie margrabia. – Ale na dnie tego charakteru jest dla mnie coś przerażającego. To wrażenie wywiera on na wszystkich, musi w tym być coś rzeczywistego (im bardziej ów rzeczywisty punkt był nieuchwytny, tym bardziej przerażał wyobraźnię starego magnata). Córka zaznaczyła to bardzo trafnie kiedyś w liście, który zniszczyłem: „Julian nie uczepił się żadnego salonu, żadnej koterii”. Nie zapewnił sobie żadnego oparcia przeciw mnie ani najmniejszej deski ratunku, jeśli ja go opuszczę... Czy to nieznajomość dzisiejszego społeczeństwa?... Parę razy mówiłem mu: Jedna jest tylko prawdziwa i skuteczna droga: salony...

Nie, to nie jest zręczny i przebiegły kauzyperda, który nie straci ani jednej minuty, ani jednej sposobności... To nie jest charakter w stylu Ludwika XI. Z drugiej strony, tyle w nim jest zasad wręcz nieszlachetnych... Gubię się w tym... Czyżby wpierał w siebie te zasady, aby służyły za tamę jego namiętności?

Jedno jest pewne: nie jest zdolny znieść wzgardy, tu go mam.

Nie posiada czci dla urodzenia, to prawda, nie szanuje nas z instynktu... To wada, ale ostatecznie dusza biednego seminarzysty mogłaby być wrażliwa jedynie na używanie i na pieniądze. Natomiast on nie może za żadną cenę znieść wzgardy.

Przyciśnięty do muru listem córki, pan de la Mole musiał powziąć decyzję. – Oto wielkie pytanie: czy ten zuchwalec ośmielił się podnieść oczy na mą córkę dlatego, iż wie, że ją kocham nade wszystko i że mam sto tysięcy talarów rocznie?

Matylda zaręcza, że nie. Nie, mości Julianie, ten punkt musimy wyjaśnić!

Czy to jest prawdziwa nieprzewidziana miłość, czy pospolita chęć dochrapania się stanowiska? Matylda czyta w moich myślach, uczuła od razu, że to podejrzenie może go zgubić w moich oczach, stąd wyznanie, że to ona pierwsza się w nim rozkochała...

Dziewczyna tak dumna miałaby się zapomnieć do tego stopnia... uczynić pierwszy krok... ścisnąć mu ramię w ogrodzie wieczorem, cóż za ohyda! Jak gdyby nie miała stu przyzwoitych sposobów wyrażenia swej sympatii! Ta obrona Juliana jest podejrzana, świadectwo Matyldy nie jest pewne...

Tego dnia dumania margrabiego wydały konkretniejszy owoc. Mimo to nałóg przemógł: postanowił zyskać na czasie i napisać do córki, bo pisywali do siebie z jednego skrzydła pałacu do drugiego. Pan de la Mole bał się dyskusji i widzenia się z Matyldą. Lękał się, że zakończy wszystko nagłym ustępstwem.

### L i s t

*Nie waż się robić nowych szaleństw; oto nominacja na porucznika huzarów dla kawalera Juliana S o r e l d e l a V e r n a y e. Widzisz, ile robię dla niego. Nie sprzeciwiaj mi się, nie pytaj o nic. Niech w ciągu dwudziestu czterech godzin ruszy zgłosić się do Strasburga, gdzie jest jego pułk. Dołączam przekaz mego bankiera i żądam posłuszeństwa.*

Miłość i radość Matyldy nie miały granic; aby skorzystać ze zwycięstwa, odpowiedziała natychmiast:

*Pan de la Vernaye znalazłby się u twoich stóp, ojcze, przepelniony wdzięcznością, gdyby wiedział, coś raczył uczynić dla niego. Ale w pełni wspaniałomyślności zapomniałeś, ojcze, o mnie: honor twej córki jest w niebezpieczeństwie. Lada nieostrożność może spowodować wieczną plamę, której nie naprawi ani dwadzieścia tysięcy talarów renty. Poślę panu de la Vernaye dekret tylko wtedy, jeżeli dasz mi słowo, ojcze, że w ciągu miesiąca ślub nasz odbędzie się publicznie w Villequier. Wkrótce po tym terminie, którego błagam, abys nie odwlekał, córka twoja nie będzie się mogła pokazać publicznie inaczej niż pod nazwiskiem pani de la Vernaye. Jakże ci dziękuję, ojczulku, żeś mnie ocalił od nazwiska S o r e l etc., etc.*

Odpowiedź margrabiego była nieoczekiwana:

*Bądź posłuszna albo cofam wszystko: drżysz, niebaczna! Nie wiem jeszcze, co jest zacz ten twój Julian, a ty wiesz jeszcze mniej ode mnie. Niech jedzie do Strasburga i niech się pilnuje. Oznajmię mą wolę do dwóch tygodni.*

Ta stanowcza odpowiedź zaskoczyła Matyldę. Słowa: *n i e z n a m J u l i a n a*, wtrąciły ją w zadumę, która niebawem wybujała w najczarowniejsze domysły; wierzyła, że są prawdą. – Dusza mego Juliana nie przywdziała przeciętnego uniformu salonów; ojciec nie wierzy w jego wyższość właśnie z przyczyn, które jej dowodzą...

Ale jeśli się nie poddam temu atakowi stanowczości, mogę doprowadzić do przykrej sceny; skandal naraziłby mą pozycję i mógłby zmniejszyć mój urok w oczach Juliana. W ślad za tym... ubóstwo przez dziesięć lat; otóż szalony wybór męża dla jego osobistych zalet można ratować od śmieszności jedynie blaskiem złota. Jeśli będę zmuszona żyć z dala od ojca, w jego wieku może zapomnieć o mnie... Norbert zaślubi jakąś miłą, sprytną kobietkę; księżna burgundzka usiadła na starość Ludwika XIV...

Postanowiła być posłuszna, ale nie pokazała listu ojca Julianowi; ten dziki charakter mógłby się rzucić na drogę jakiegoś szaleństwa.

Wieczorem, kiedy oznajmiła Julianowi, że jest porucznikiem huzarów, radość jego nie miała granic. Radość tę można wytłumaczyć ambicją całego jego życia oraz namiętym przywiązaniem do *s y n a*. Zmiana nazwiska oszołomiła go.

– Ostatecznie – myślał – mój romans skończony i mnie przypada cała zasługa. Potrafiłem obudzić miłość w tym potworze dumy – dodał w duchu, spoglądając na Matyldę. – Ojciec nie może żyć bez niej, a ona beze mnie.

## LXV. BURZA

Boże mój, daj mi mierność.  
M i r a b e a u

Dusza jego tonęła w zadumie; zaledwie odwzajemniał tkliwość Matyldy. Był milczący i posepny. Nigdy nie wydał się Matyldzie tak wielki, tak godny uwielbienia. Lękała się, aby jego drażliwość nie zniweczyła całej pozycji.

Wiedziała, że co rano prawie ksiądz Pirard zjawia się w pałacu. – Czy nie mógł Julian przez niego dowiedzieć się czegoś o zamiarach ojca? Czy sam margrabia w chwili kaprysu nie mógł doń napisać? Po tak wielkim szczęściu jak sobie wytłumaczyć surowe oblicze Juliana? – Matylda nie śmiała go pytać.

N i e ś m i a ł a ! Ona, Matylda! Od tej chwili w uczucie jej dla Juliana wkradło się coś nieokreślonego, nieoczekiwanego, niemal bliskiego grozy. Ta oschła dusza gorzała namiętnością taką, do jakiej w ogóle jest zdolna istota wychowana wśród owej wybujałej cywilizacji stanowiącej podziw Paryża.

Nazajutrz wczesnym rankiem Julian znalazł się u księdza Pirard. Wjechał na dziedziniec pocztowymi końmi, zaprzężonymi do obdartej karety.

– Taki pojazd nie przystoi ci – rzekł surowo ksiądz z niezadowoleniem. – Oto dwadzieścia tysięcy franków, które przesyła ci pan de la Mole; masz je wydać w ciągu roku, unikając, o ile można, śmieszności (tak znaczna suma, powierzona młodemu człowiekowi, przedstawiała w oczach księdza jedynie sposobność do grzechu).

Margrabia dodaje: „Pan Julian de la Vernaye otrzymał te pieniądze od ojca, którego nie ma potrzeby określać bliżej. Pan de la Vernaye uzna może za właściwe przesłać jaki upominek panu Sorel, cieśli w Verrières, który go chował w dzieciństwie...” – Będę mógł podjąć się tego zlecenia – dodał ksiądz. – Nakłoniłem wreszcie pana de la Mole, aby się pojednał z tym jezuitą Frilair. Jego wpływy są stanowczo, jak dla nas, zbyt potężne. Uznanie twego wysokiego urodzenia przez tego człowieka, który trzęsie całym Besançon, będzie jednym z tajnych warunków układu.

Julian nie mógł zapanować nad swą radością, uściskał księdza, czuł, że dopływa do portu.

– Pfe! – rzekł ksiądz Pirard odpychając go. – Cóż to za światowa próżność?... „Co się tyczy Sorela i jego synów, ofiaruję im, własnym imieniem, pięćset franków pensji, którą podejmę się wypłacać każdemu z nich, o ile będę z nich zadowolony”.

Julian stał się znowu chłodny i wyniosły. Podziękował, ale w sposób ogólnikowy i nieobowiązujący. – Byłoby możliwe – powiedział sobie – abym ja był naturalnym synem jakiego magnata, wygnanego w nasze góry ręką Napoleona? – Z każdą chwilą myśl ta zdawała mu się mniej nieprawdopodobna. – Moja nienawiść do ojca to też może dowód... Nie byłbym już potworem!

W niedługi czas po tym monologu piętnasty pułk huzarów, jeden z najświetniejszych, znajdował się w pełnym rynsztunku na placu ćwiczeń w Strasburgu. Kawaler de la Vernaye dosiadał wspaniałego alzaczyka, za którego zapłacił sześć tysięcy. Został od razu porucznikiem, przebywszy podporucznikostwo jedynie w rejestrach pułku, o którym nigdy nie słyszał.

Jego spokojna postawa, surowe i niemal groźne oczy, niezmacona zimna krew zyskały mu od pierwszego dnia poważanie. Wkrótce jego doskonała i pełna umiaru grzeczność, zręczność w strzelaniu z pistoletu i władaniu bronią, którą objawił bez ostentacji, powściągnęły chętkę do żarcików. Po kilku dniach opinia pułku oświadczyła się na jego korzyść. – Wszystko ma ten młody człowiek – mówili starzy weredycy – z wyjątkiem młodości.

Ze Strasburga napisał Julian do księdza Chélan, dawnego proboszcza w Verrières, zgrzybiałego już prawie staruszka.

*Dowiedziałeś się zapewne, ojcze, z radością, o której nie wątpię, o wydarzeniach, które skłoniły mą rodzinę do zapewnienia mi losu. Oto pięćset franków: raczysz je, ojcze, rozdać bez rozgłosu i nie wspominając mego istnienia, nieszczęśliwym, biednym dziś, jak ja byłem niegdyś, których z pewnością wspomagasz, jak niegdyś mnie wspomagałeś.*

Julian był pijany ambicją, nie próżnością; ale zwracał wielką uwagę na wygląd zewnętrzny. Jego konie, uniformy, liberia jego ludzi, wszystko w najdrobniejszych szczegółach godne było angielskiego lorda. Ledwie zostawszy porucznikiem – od dwóch dni i dzięki protekcji – już obliczał, że aby być naczelnym wodzem najpóźniej w trzydziestym roku, jak wszyscy wielcy generałowie, trzeba być w dwudziestym trzecim więcej niż porucznikiem. Myślał jedynie o sławie i o synu.

Pośród tych urojeń nieokiełznanej ambicji zaskoczyło go zjawienie się młodego pokojowca z pałacu la Mole, który przybył co tchu konno.

*Wszystko stracone, pisała Matylda; przybywaj najspieszniej, rzuć wszystko, zdezerteruj w razie potrzeby. Skoro tylko przybędziesz, czekaj mnie w dorożce, koło furtki ogrodowej pod numerem... przy ulicy... Będę tam, może zdołam cię wprowadzić do ogrodu. Wszystko stracone i obawiam się, że bez ratunku; licz na mnie, znajdziesz mnie oddaną i mężną wobec przeciwności. Kocham cię.*

W kilka minut Julian otrzymał pozwolenie i ruszył cwałem; ale straszliwy niepokój, który go pochłaniał, nie pozwolił mu podróżować w ten sposób dalej niż do Metz. Najął karetkę pocztową i z nieprawdopodobną wręcz chyżością przybył w oznaczone miejsce. Furtka otworzyła się; w jednej chwili Matylda, zapominając wszystkich względów, rzuciła się w jego ramiona. Szczęściem była dopiero piąta rano; ulica była pusta.

– Wszystko stracone; ojciec, lękając się moich łez, wyjechał w czwartek w nocy. Dokąd? Nikt nie wie. Oto jego list, czytaj! – I wsiadła do dorożki obok Juliana.

*Mógłbym wszystko przebaczyć, z wyjątkiem planowanego uwiedzenia dla majątku. Oto, nieszczęsna dziewczyno, okropna prawda. Daję ci słowo honoru, że nigdy nie zezwolę na małżeństwo z panem Sorel. Zapewniam mu dziesięć tysięcy franków renty, jeśli się zgodzi wyjechać z kraju, najlepiej do Ameryki. Czytaj list otrzymany w odpowiedzi na prośbę o*

informację. *Bezwstydnik sam mi poddał, abym napisał do pani de Rênal. Oświadczam ci, że nie przeczytam ani litery, którą byś napisała do mnie za tym człowiekiem. Nabrałem wstrętu do Paryża i do was. Proszę cię, byś osłoniła największą tajemnicą to, co ma się zdarzyć. Wyrzecz się szczerze tego szubrawca, a odzyskasz ojca.*

- Gdzie jest list pani de Rênal? – rzekł Julian chłodno.
- Oto jest. Nie chciałam ci go pokazywać, nim będziesz przygotowany.

### L i s t

*Święty nakaz religii i moralności zmusza mnie, panie margrabio, do przykrego kroku; zasada, która nie może mylić, każe mi w tej chwili zaszkodzić bliźniemu, aby oszczędzić większego zgorszenia. Boleść, jakiej doznaję, musi ustąpić wobec poczucia obowiązku. Tak, w istocie postępowanie osoby, co do której żąda pan całej prawdy, mogło się wydać niewytłumaczone lub nawet uczciwe. Mógł ktoś uważać za właściwe ukryć lub przekształcić część prawdy; przezorność ta wymagała tego, zarówno jak religia. Ale w rzeczywistości postępowanie to, które Pan życzy sobie poznać, było wysoce naganne; bardziej, niż mogę wyrazić. Chłopiec ten, ubogi i chciwy, opanowawszy przy pomocy najwytrawniejszej obłudy słabą i nieszczęśliwą kobietę, starał się zdobyć stanowisko i piąć się w górę. Przykry obowiązek każe mi dodać, iż – niepodobna o tym wątpić – pan J... nie ma żadnych zasad. Jestem najgłębiej przekonana, iż sposobem, w jaki stara się zdobyć stanowisko w domu, jest uwieść kobietę zażywającą największego wpływu. Pod pozorem bezinteresowności i pięknych frazesów dąży do jednego celu, mianowicie owdzielenia panem domu i jego majątkiem. Zostawia po sobie nieszczęście i wiekuiste zgryzoty etc., etc.*

List ten, długi i na wpół zatarty łzami, pisany był w istocie ręką pani de Rênal; staranniej nawet niż zazwyczaj.

– Nie mogę potępić pana de la Mole – rzekł Julian skończywszy czytać – jest sprawiedliwy i przezorny. Któryż ojciec oddałby córkę takiemu człowiekowi! Bądź zdrowa.

Julian wyskoczył z dorożki i pobiegł do kolaski pocztowej, która zatrzymała się na rogu.

Matylda, o której jak gdyby zapomniał, zrobiła kilka kroków biegnąc za nim; ale spojrzenia kupców, którzy wychylili się ze sklepów, a którzy ją znali, zmusiły ją do rychłego schronienia się w ogrodzie.

Julian puścił się do Verrières. W ciągu tej spiesznej drogi nie mógł napisać do Matyldy, jak miał zamiar, ręka jego kreśliła jedynie nieczytelne znaki.

Przybył do Verrières w niedzielę rano. Udał się do miejscowego rusznikarza, który obсыpał go powinszowaniami z powodu świeżej kariery. Cała okolica mówiła tylko o tym.

Julian z trudem zdołał mu wytłumaczyć, że pragnie pary pistoletów. Na jego żądanie rusznikarz nabił broń.

Rozległy się trzy uderzenia dzwonu: sygnał ten, dobrze znany na wsi we Francji, gdzie rano rozlegają się różne głosy dzwonów, oznacza początek mszy.

Julian wszedł do nowego kościoła. Okna wysokiego budynku zasłonięte były karmazynowymi firankami. Julian znalazł się o kilka kroków za ławką pani de Rênal, która – tak mu się zdawało – modliła się żarliwie. Widok kobiety, która go tak kochała niegdyś, wprawił ramię Juliana w takie drżenie, iż zrazu niepodobna mu było wykonać zamiaru. – Nie mogę – mówił sam do siebie – fizycznie po prostu nie mogę.

W tej chwili młody kleryk, który służył do mszy, zadzwonił na Podniesienie. Pani de Rênal pochyliła głowę tak, że na chwilę ukryła ją prawie zupełnie w fałdach szala. Julian nie widział jej już tak wyraźnie: wypalił z pistoletu, chybił; wypalił drugi raz, pani de Rênal upadła.

## LXVI. SMUTNE SZCZEGÓŁY

    Nie spodziewajcie się słabości z mej strony.  
    Zemściłem się. Zasłużyłem na śmierć, oto jestem.  
    Módlcie się za mą duszę.  
    S c h i l l e r

Julian stał nieruchomo, nic nie widział. Skoro przyszedł nieco do siebie, spostrzegł, że wierni pierzchają z kościoła, ksiądz opuścił ołtarz. Julian udał się wolnym krokiem za jakimiś kobietami, które uciekały z okrzykiem. Jedna, chcąc się wydostać wcześniej, pchnęła go gwałtownie, upadł. Nogi zaplątały mu się w krzesło wywrócone przez tłum. A kiedy się podniósł, uczył, że ktoś go chwyta za kark; był to żandarm w pełnym rynsztunku. Machinalnie Julian sięgnął do pistoletów, ale drugi żandarm chwycił go za ręce.

Odprawiono go do więzienia, wpuszczono do celi, założono mu kajdany na ręce i zostawiono samego; drzwi zamknęły się na dwa spusty. Wszystko to stało się bardzo szybko. Julian zachował zupełną obojętność.

– A zatem wszystko skończone – rzekł głośno, przychodząc do siebie. – Tak, za dwa tygodnie gilotyna... Albo zabić się wprzód samemu.

Myśl jego nie sięgała dalej; miał uczucie, jakby mu coś gwałtownie ścisnęło głowę. Rozejrzał się spoglądając, czy go kto trzyma. Po kilku chwilach zasnął głęboko.

Rana pani de Rênal nie była śmiertelna. Pierwsza kula przebiła kapelusz; druga dosięgła jej w chwili, gdy się odwracała. Kula ugodziła ją w ramię i, rzecz zadziwiająca, odbiła się od kości, którą strzaskała, po czym ugodziła w gotycki filar odłupując złom kamienia.

Kiedy po długim i bolesnym opatunku chirurg, poważny człowiek, rzekł do pani de Rênal: „Ręczę za pani życie jak za własne”, uczuła głęboki żal.

Od dawna pragnęła szczerze śmierci. List, który zmuszona przez spowiednika napisała do pana de la Mole, zadał ostatni cios tej wyczerpanej ciągłym nieszczęściem istocie. Nieszczęściem tym była rozłąka z Julianem; ona nazywała je w y r z u t e m. Spowiednik, młody i gorliwy kapłan przybyły z Dijon, czytał wyraźnie w jej sercu.

– Umrzeć tak, ale nie z własnej ręki, to nie jest grzech – myślała pani de Rênal. – Bóg mi przebaczy może, że się cieszę ze śmierci. – Nie śmiała dodać, że umrzeć z ręki Juliana to szczyt szczęścia.

Ledwie pozbywszy się chirurga i przyjaciół, którzy zbiegli się tłumnie, przywołała swoją pokojówkę Elizę. – Dozorca – rzekła rumieniąc się – to nieludzki człowiek. Z pew-

nością będzie się znęcał nad nim, sądząc, że mi tym sprawi przyjemność... Nie mogę znieść tej myśli. Czy mogłabyś się udać do niego, niby sama z siebie, i wręczyć mu zawiniątko wraz z kilkoma ludwikami. Powiesz mu, że religia nie pozwala się znęcać... ale przede wszystkim niech nikomu nie wspomina o tych pieniądzech.

Oto okoliczność, której Julian zawdzięczał ludzkie obchodzenie dozorczy z Verrières; był to zawsze ów Noiroud, wzorowy urzędnik, któremu – jak czytelnik pamięta – wizyta pana Appert napędziła takiego strachu.

Zjawił się sędzia. – Zabiłem z rozmysłem – rzeki Julian – kupiłem i kazałem nabić pistolety u rusznikarza. Artykuł 1342 kodeksu karnego brzmi jasno, zasłużyłem na śmierć, oczekuję jej. – Sędzia, zdumiony tym sposobem zeznań, chciał jeszcze zadawać pytania, tak aby obwiniony w s y p a ł s i ę w odpowiedziach.

– Czy pan nie widzi – rzekł Julian z uśmiechem – że się przyznaję do winy, ile tylko pan zapagnie? Niech się pan nie obawia, nie minie was łup, który ścigacie. Będzie pan miał tę przyjemność, aby mnie skazać. Niech mi pan oszczędzi swej obecności.

– Pozostaje nudny obowiązek do spełnienia – pomyślał Julian – trzeba napisać do panny de la Mole.

*Zemściłem się, pisał. Nieszczęściem nazwisko moje pojawi się w dziennikach, nie mogę zejść ze świata incognito. Umrę za dwa miesiące. Zemsta była okrutna, jak ból rozłąki z tobą. Od tej chwili nie pozwolę sobie napisać ani wymówić twego imienia. Nie mów o mnie nigdy, nawet memu synowi; milczenie to jedyny sposób uczczenia mnie. Dla ogółu będę pospolitym mordercą... Pozwól mi rzec prawdę w tej uroczystej chwili: zapomnisz o mnie. Ta katastrofa, o której radzę ci nie wspominać nikomu w świecie, wyczerpie na szereg lat wszystko, co było romantycznego i zbyt burzliwego w twoim charakterze. Byłaś stworzona, aby żyć w świecie średniowiecznych bohaterów; okaż ich niezłomny hart. Niechaj to, co się ma stać, spełni się w tajemnicy, nie narażając ciebie. Przybierz fałszywe nazwisko i nie zwierzaj się nikomu. Jeśli ci koniecznie trzeba pomocy przyjaciela, przekazuję ci księdza Pirard.*

*Nie rozmawiaj z nikim innym, zwłaszcza zaś z ludźmi swojej sfery: z panem de Luz, de Caylus etc.*

*W rok po mojej śmierci wyjdź za pana de Croisenois; rozkazuję ci to jako twój mąż. Nie pisz do mnie, nie odpowiem. Mimo że, jak sądzę, mniej jestem niegodziwy od Jagona, powiem jak on: *From this time forth I never will speak word.**

*Nie będę już więcej mówił ani pisał; ty otrzymasz moje ostatnie słowa, jak również moje ostatnie uwielbienie. – J.S.*

Wysławszy ten list Julian, nieco otrzeźwiony, pierwszy raz uczul się bardzo nieszczęśliwy. Każdy poryw ambicji niweczyło mu kolejno w sercu to wielkie słowo: U m r ę. Śmierć sama w sobie nie byłaby w jego oczach s t r a s z n a. Całe jego życie było jednym długim przygotowaniem do nieszczęścia; przy czym nie zapominał o tym, które uchodzi za największe.

– Jak to – powiadał sobie – gdybym za dwa miesiące miał się pojedynkować z doskonałym fechtmistrem, czyż byłbym na tyle słaby, aby myśleć o tym ustawicznie, i to z lękiem?

Stracił jedną godzinę siląc się zgłębić samego siebie w tej mierze. Kiedy przejrzał jasno swoją duszę i kiedy prawda ukazała się jego oczom równie wyraźnie jak jedna z kolumn wieżyennych, zaczął myśleć o wyrzutach.

– Czemu miałbym mieć wyrzuty? Obrażono mnie okrutnie; zabiłem, zasługuję na śmierć; to wszystko. Umieram, załatwiłem rachunki z ludzkością. Nie zostawiam żadnego nie wypełnionego zobowiązania, nie jestem nic winien nikomu. W śmierci mej haniebne

jest tylko narzędzie: to jedno starczy aż nadto, by mnie okryć hańbą w oczach łyków z Verrières; ale z intelektualnego punktu widzenia, cóż to za głupstwo! Zostaje mi jeden sposób okrycia się blaskiem w ich oczach: rozrzucić między lud złoto idąc na stracenie. Pamięć moja, złączona z pojęciem złota, zostanie dla nich świetna.

Po chwili dumania konkluzja ta stała się dlań oczywista; Julian powiedział sobie: – Nie mam już nic do roboty na ziemi – i zasnął głęboko.

Około dziewiątej wieczór dozorca zbudził go przyniósłszy wieczerzę.

– Co mówią w Verrières?

– Panie Julianie, przysięga, którą złożyłem na krucyfiks wobec królewskiego trybunału obejmując posadę, zniewala mnie do milczenia.

Milczał, ale nie wychodził. Widok tej grubej obłudy ubawił Juliana. – Muszę – pomyślał – kazać mu długo czekać na pięć franków, za które pragnie sprzedać swoje sumienie.

Skoro dozorca ujrzał, że Julian kończy wieczerzę nie czyniąc żadnego zamachu na jego dyskrecję, odezwał się obleśnym głosem:

– Przyjaźń, jaką mam dla pana, panie Julianie, każe mi mówić, mimo że to jest ponoć sprzeczne z interesem sprawiedliwości, ponieważ to panu może posłużyć do obrony... Pan Julian jest poczciwy człowiek, ucieszy się tedy, skoro mu powiem, że pani de Rênal ma się lepiej.

– Jak to, żyje? – krzyknął Julian, oszołomiony.

– Co! Pan nic nie wiedział? – rzekł dozorca z głupawą miną, która niebawem zmieniła się w wyraz błogiej chciwości. – Słusznie by się należało, aby pan coś przesłał chirurgowi, który wedle prawa i sprawiedliwości nie powinien był nic mówić. Ale aby sprawić panu przyjemność, poszedłem do niego, opowiedział mi wszystko...

– Zatem rana nie jest śmiertelna – rzekł Julian, znicierpliwiony – ręcysz mi za to życiem?

Dozorca, olbrzym wysoki na sześć stóp, cofnął się ku drzwiom, przestraszony. Julian ujrzał, że obrał złą drogę, aby dowiedzieć się prawdy; usiadł i rzucił panu Noiroud ludwika.

W miarę jak opowiadanie tego człowieka upewniało Juliana, że rana pani de Rênal nie jest śmiertelna, uczył, iż łzy napływają mu do oczu.

– Wyjdź stąd – rzekł szorstko.

Dozorca usłuchał.

– Wielki Boże! Żyje! – wykrzyknął Julian, skoro drzwi się zawarły, i upadł na kolana płacząc gorącymi łzami.

W tej uroczystej chwili odzyskał wiarę. Cóż znaczą komedie księży? Czyż mogą ująć co z prawdy i wzniosłości mieszczących się w pojęciach Bóstwa?

Wówczas dopiero Julian zaczął żałować popełnionej zbrodni. Równocześnie – okoliczność, która obroniła go od rozpaczony – w tej chwili dopiero ustał stan fizycznego podrażnienia, jak gdyby szaleństwa, w jakim był pogrążony od wyjazdu z Paryża.

Łzy jego miały szlachetne źródło, nie wątpił ani na chwilę, że go skażą.

– Więc będzie żyła!... – powiadał sobie. – Będzie żyła, aby mi przebaczyć i kochać mnie...

Nazajutrz, kiedy go dozorca zbudził, było bardzo późno.

– Chwat z pana, panie Julianie – rzekł. – Dwa razy zaglądałem i nie chciałem pana budzić. Ma pan tu dwie butelki doskonałego wina, które panu przysyła ksiądz Maslon, nasz proboszcz.

– Jak to, ten obwieś jeszcze tutaj? – spytał Julian.

– A tak – rzekł dozorca ciszej – ale niech pan nie mówi tak głośno, to by panu mogło zaszkodzić.

Julian rozśmiał się z serca.



– W moim położeniu jedynie pan mógłbyś mi zaszkodzić, gdybyś przestał być dobry i ludzki... Zapłacę ci dobrze – dodał Julian z wyniosłą miną, którą usprawiedliwiała wręczona równocześnie sztuka złota.

Noiroud opowiedział na nowo ze szczegółami wszystko, czego się dowiedział o pani de Rênal, ale nie wspominał nic o odwiedzinach Elizy. Był pokorny i uniżony do ostatnich granic. Julianowi przemknęła przez głowę taka myśl: – Ten olbrzym-pokraka zarabia tu może jakie trzysta, czterysta franków, ile że więzienie stoi zazwyczaj puste; mogę mu zapewnić dziesięć tysięcy, jeśli zechce uciec ze mną do Szwajcarii. Trudność w tym, aby go przekonać o mojej dobrej wierze. – Myśl o długiej rozmowie, jaką musiałby przebyć z tak plugawą istotą, obudziła w Julianie wstręt. Zaczął myśleć o czym innym.

Wieczorem było już za późno. O północy zajechała po niego karetka pocztowa. Żandarmi towarzyszący Julianowi zachowywali się bardzo przyzwoicie. Rano, skoro przybył do więzienia w Besançon, pomieszczono go łaskawie na górnym piętrze gotyckiej wieży. Ocenił architekturę na początek XIV wieku, podziwiał jej wdzięk i lekkość. Przez wąską przestrzeń między murami poza głębokim dziedzińcem oko Juliana ogarniało skrawek wspaniałego widoku.

Nazajutrz przebył śledztwo, po czym przez kilka dni zostawiono go. Był w duszy spokojny, cała sprawa wydawała się mu niezmiernie prosta: – Chciałem zabić, powinienem być zabity.

Nie myślał o tym bliżej. Sąd, przykrość publicznego występu, obrona, wszystko to wydawało mu się niby drobny kłopot, nudny ceremoniał, o którym będzie czas myśleć, gdy przyjdzie pora. Chwila śmierci nie obchodziła go również: – Pomyślę o tym po wyroku. – Życie nie zdawało mu się nudne, patrzył na wszystkie rzeczy pod innym kątem, nie miał już ambicji. Rzadko myślał o panie de la Mole. Zaprzętały go natomiast wyrzuty i nasuwały mu często obraz pani de Rênal, zwłaszcza w ciszy nocnej, którą w tej wyniosłej wieży przerywał jedynie krzyk morskiego orła.

Dziękował niebu, że jej nie zranił śmiertelnie. – Rzecz zdumiewająca! – powiadał sobie; – sądziłem, że listem swoim do pana de la Mole zniweczyła na zawsze moje przyszłe szczęście, i oto w niespełna dwa tygodnie po liście nie myślę już zupełnie o tym, co mnie zaprzętało... Dwa, trzy tysiące franków, aby żyć spokojnie gdzieś w górach, w Vergy... Byłem wówczas szczęśliwy... Nie znałem swego szczęścia!

Tu znów zrywał się nagle. – Gdybym był zranił śmiertelnie panią de Rênal, zabiłbym się... Trzeba mi tej pewności, aby nie czuć wstrętu do samego siebie.

– Zabić się! Oto wielka sprawa – mówił sobie. – Ci sędziowie tacy formalisci, tacy zararci na biednego winowajcę, ludzie, którzy powiesiliby najlepszego obywatela, aby zarobić order... Umknąłbym ich władzy, ich niezdarnym obelgom, które miejscowy dzienniczek nazwie krasomówstwem...

Mam do życia mniej więcej kilka tygodni. Zabić się! Na honor, nie – rzekł po kilku dniach. – Napoleon został przy życiu...

– Zresztą, życie jest przyjemne, pobyt spokojny, nie ma natrętów – dodał śmiejąc się i zaczął gotować spis książek, które zamierzał sprowadzić z Paryża.

## LXVII. WIEŻA

Grób przyjaciela.  
S t e r n e

Raz, o niezwyklej porze, usłyszał hałas na korytarzu; orzeł morski odleciał z krzykiem, drzwi otworzyły się i czcigodny ksiądz Chélan, drżący, z laską w ręku, rzucił się w objęcia Juliana.

– Och, wielki Boże! Czy podobna, moje dziecko... Wyrodku! chciałem powiedzieć.

Dobry starzec nie mógł dodać ani słowa. Julian zląkł się, aby nie upadł. Musiał go odprowadzić do krzesła. Ręka czasu zaciężyła nad tym człowiekiem, niegdyś tak pełnym energii. Wydał się Julianowi jakby cieniem samego siebie.

Staruszek zaczerpnął oddech. – Przedwczoraj dopiero dostałem twój list ze Strasburga z pięciuset frankami dla biednych, doręczono mi go w górach, gdzie osiadłem u bratanka. Wczoraj dowiaduję się o katastrofie... O nieba! Czy to możliwe!

Starzec nie płakał, wyglądał jak nieprzytomny. Dodał machinalnie: – Będzie ci trzeba twoich pięciuset franków, odnoszę ci je.

– Trzeba mi ciebie, ojcze! – wykrzyknął Julian, wzruszony. – Mam dość pieniędzy.

Ale nie zdołał już nic wydobyć ze staruszka. Od czasu do czasu ksiądz Chélan ronił kilka łez, które spływały w milczeniu po twarzy; następnie spoglądał na Juliana, jakby zdziwiony, że chłopiec ujmuje jego ręce i niesie je do ust. Ta fizjonomia niegdyś tak żywa, wyrażająca tak dobitnie najszlachetniejsze uczucia, nie była już zdolna ocknąć się z apatii. Jakiś wieśniak przybył niebawem po starca. – Nie trzeba go męczyć – rzekł do Juliana, który zrozumiał, że to bratanek. Zjawisko to pograżyło go w głębokim przygnębieniu, łązy mu obeschły. Wszystko zdało mu się beznadziejnie smutne; czuł, jak serce mu lodowacieje w piersiach.

Była to najokropniejsza chwila, jakiej doświadczył od spełnienia zbrodni. Ujrzał oto śmierć w całej jej szpetocie. Wszystkie złudzenia wielkości, szlachetność pierzchły jak obłok przed burzą.

Ten straszny stan trwał kilka godzin. Po zatruciu moralnym trzeba leków fizycznych, szampańskiego wina. Julian uważałby się za tchórza, gdyby się do tego uciekał. Pod koniec okropnego dnia, który spędził przechadzając się w ciasnej wieży, wykrzyknął wreszcie: – Szaleniec ze mnie! Tylko wtedy, gdybym miał umrzeć jak inni ludzie, widok biednego

starca powinien by mnie wtrącić w ten straszliwy smutek, ale śmierć szybka i w kwiecie wieku zabezpiecza mnie właśnie od tej smutnej zgrzybiałości.

Mimo wszelkich rozumowań Julian czuł się roztkliwiony, słaby, a tym samym pogębiony tymi odwiedzinami.

Nie było w nim już nic surowego, wielkiego, żadnej rzymskiej cnoty; śmierć przedstawiała mu się na wielkiej wyżynie i jako rzecz mniej łatwa.

– To będzie mój termometr – myślał. – Dziś wieczór jestem dziesięć stopni poniżej odwagi, która mnie wiedzie na poziom gilotyny. Dziś rano miałem tę odwagę. Zresztą, o cóż chodzi? Bylem ją odzyskał w potrzebnej chwili. – Porównanie z termometrem zabawiało go i zmieniło bieg jego myśli.

Nazajutrz, po przebudzeniu, wstydził się poprzedniego dnia. – Szczęście moje, spokój są zagrożone. – Gotował się już napisać do prezydenta sądu z prośbą, aby nie wpuszczać doń nikogo. – A Fouqué? – pomyślał. – Gdyby się zdobył na to, aby przybyć do Besançon, jakżeby mu było przykro!

Od dwóch miesięcy może nie wspominał go. – W Strasburgu byłem wielkim głupcem, nie sięgałem myślą poza galony. – Wspomnienie Fouquégo zajęło go i roztkliwiło. Przechadzał się wzburzony. – Oto jestem teraz bez wątpienia na dwadzieścia stopni niżej poziomu śmierci... Jeśli ta słabość ma wzrastać, lepiej mi będzie się zabić. Cóż za radość dla takich Maslonów i Valenodów, jeżeli umrę jak niktzemnik!

Przybył Fouqué; prosty ten i zacny człowiek nie posiadał się z bólu. Jedyłą jego myślą – o ile w ogóle był zdolny zebrać myśli – było sprzedać całe swoje mienie, aby przekupić dozorcę i ocalić Juliana. Gadał długo i szeroko o ucieczce pana de Lavalette.

– Przykrość mi robisz – rzekł Julian. – Lavalette był niewinny, a ja jestem zbrodniarzem. Niechcący dałeś mi uczuć różnicę... Ale czy to prawda? Jak to! Sprzedałbyś wszystko? – rzekł Julian, znów podejrzliwy i nieufny.

Fouqué uszczęśliwiony, że przyjaciel wchodzi w jego myśl, wyszczególnił mu obszernie, niemal co do franka, ile może dostać za wszystko, co posiada.

– Cóż za zaszczytna ofiara ze strony wieśniaka! – myślał Julian. – Ileż oszczędności, ileż brudnego niemal sknerstwa, które przyprawiało mnie o rumieniec, gdy na nie patrzałem, poświęca oto dla mnie! Żaden z tych pięknych młodzieńców, których widywałem w pałacu la Mole i którzy czytują *Renégo*, nie miałby tych śmiesznośtek; ale z wyjątkiem bardzo młodych i nie znających jeszcze wartości pieniędzy, któryż z paryskich lalusiów byłby zdolny do takiego poświęcenia?

Wszystkie prowincjonalizmy, wszystkie pospolitości Fouquégo znikły; Julian rzucił się w jego ramiona. Nigdy prowincja, porównana z Paryżem, nie święciła piękniejszego triumfu. Fouqué, uszczęśliwiony zapalem, którego odbłysek ujrzał w oczach przyjaciela, mniemał, że Julian godzi się na ucieczkę.

Ten widok wzniosłości zwrócił Julianowi całą siłę, której pozbawiło go zjawienie się księdza Chélan. Był jeszcze bardzo młody, ale wedle mnie była to szlachetna latorośl. Zamiast iść od tkliwości do wyrachowania, jak większość ludzi, on, przeciwnie, z wiekiem byłby nabrał dobroci, zdolności do wzruszeń, wyleczyłby się z obłądnej nieufności... Ale na co te czcze przepowiednie?

Przesłuchania stawały się coraz częstsze, na wspaniałym wysiłku Juliana, którego wszystkie odpowiedzi dążyły do skrócenia sprawy.

– Zabiłem lub przynajmniej chciałem zadać śmierć z rozmysłem – odpowiadał co dzień. Ale sędzia był przede wszystkim formalistą. Zeznania Juliana nie skracały bynajmniej śledztwa; sędzia czuł się podrażniony w ambicji. Julian nie wiedział, że go chciano przemieścić do okropnej kaźni i że tylko dzięki staraniom Fouquégo zostawiono mu piękny pokój w baszcie.

W liczbie znanych osobistości, które Fouqué zaopatrywał w drzewo, znajdował się ksiądz de Frilair. Zacny kupiec dotarł do wszechpotężnego wikariusza. Ku niewymownemu zachwytowi Fouquégo ksiądz de Frilair oświadczył, iż wzruszony przymiotami Juliana oraz usługami, jakie niegdyś oddał seminarium, chce wstawić się za nim do sędziów. Fouqué dojrzał w tym błysk nadziei; wychodząc i kłaniając się do ziemi prosił wielkiego wikariusza, aby przyjął dziesięć ludwików i obrócił je na msze święte na intencję oskarżonego.

Fouqué mylił się grubo. Ksiądz de Frilair nie był Valenodem. Odmówił i starał się nawet wytłumaczyć dobremu wieśniakowi, że słuszniej by uczynił zachowując te pieniądze na lepszy uczynek. Widząc, że niepodobna wyrazić się jasno bez nieostrożności, poradził mu, aby obrócił tę kwotę na jałmużnę dla biednych więźniów, cierpiących najokropniejsze braki.

– Ten Julian to szczególny człowiek – myślał ksiądz de Frilair. – Nie rozumiem jego postępu, powinienem zaś rozumieć wszystko... Może się uda zrobić zeń męczennika... W każdym razie dotrę do jądra sprawy; może zdołam napędzić strachu pani de Rênal, która nie ma dla nas szacunku, mnie zaś w gruncie nie cierpi... Może też zyskam w tym wszystkim podstawę do publicznego pojednania się z panem de la Mole, który ma słabość do tego chłopca.

Kompromis podpisano przed paru tygodniami; ksiądz Pirard wyjechał z Besançon, natrąciwszy o tajemniczym urodzeniu Juliana, w tym samym dniu, w którym nieszczęśliwy chłopiec targnął się w Verrières na życie pani de Rênal.

Julian widział już tylko jedną przykrość pomiędzy sobą a śmiercią, mianowicie odwiedziny ojca. Zwierzył Fouquému zamiar swój napisania do prezydenta sądu z prośbą, aby mu oszczędzono wszelkich wizyt. Ten wstręt do widoku ojca, i to w takiej chwili, uraził głęboko uczciwe mieszczańskie serce handlarza drzewa.

Zrozumiał nagle, czemu tylu ludzi tak serdecznie nienawidzi jego przyjaciela. Przez szacunek dla nieszczęścia skrył swoje uczucie.

– W każdym razie – odparł zimno – zakaz taki nie stosowałby się do twego ojca.

## LXVIII. POTEŻNE RAMIĘ

To tajemnicze postępowanie,  
ta wytworna postać, kto to może być?  
S c h i l l e r

Nazajutrz drzwi baszty otworzyły się bardzo wcześnie. Julian zbudził się nagle.

– Och, Boże – pomyślał – to ojciec! Cóż za przykra scena!

W tej samej chwili kobieta w stroju wieśniaczki rzuciła się w jego ramiona. Zaledwie mógł ją poznać. Była to panna de la Mole.

– Niedobry! Dopiero z twego listu dowiedziałam się, gdzie jesteś. W Verrières dowiedziałam się o tym, co ty nazywasz twoją zbrodnią, a co jest tylko szlachetną zemstą godną hardzego serca bijącego w twej piersi...

Mimo jego uprzedzeń do panny de la Mole – uprzedzeń, których zresztą nie uświadamiał sobie zbyt jasno – wydała się Julianowi bardzo ładna. – To, co robi, co mówi, czyż nie jest świadectwem szlachetnych uczuć wznoszących ją wysoko ponad wszelką małość i pospolitość? – Znów miał uczucie, że kocha królową; jakoż po chwili przemówił do niej z rzadką górnością myśli:

– Przyszłość rysowała się mym oczom bardzo jasno. Po mej śmierci, chciałem, abyś wyszła za pana de Croisenois, jako wdowa. Szlachetna, ale nieco romantyczna dusza uroczej wdowy, wróciwszy na drogę pospolitego rozsądku pod wpływem niezwykłego, tragicznego i wielkiego dla niej wydarzenia, raczyła ocenić rzetelną wartość młodego margrabiego. Zgodziłabyś się wreszcie być szczęśliwą szczęściem zwykłych ludzi: poważanie, bogactwo, zaszczyty... Ale, droga Matyldo, przyjazd twój do Besançon, o ile wyjdzie na jaw, będzie śmiertelnym ciosem dla pana de la Mole, a tego bym sobie nie przebaczył. Sprawilem mu tyle zgrzyoty! Akademik powie, że w y g r z a ł ż m i j ę n a ł o n i e.

– Wyznaję, że się nie spodziewała tyle chłodnego rozsądku, tyle troski o przyszłość – rzekła panna de la Mole, nieco urażona. – Pokojówka moja, prawie tak rozsądna jak ty, wzięła paszport na swoje nazwisko. Przyjechałam tu pocztą jako p a n i M i c h e l e t.

– I pani Michelet dostała się tu tak łatwo?

– Och, zawsze jesteś człowiekiem niepospolitym, tym, który mnie zainteresował! Najpierw ofiarowałam sto franków sekretarzowi sędziego, który utrzymywał, że niepodobna wpuścić mnie do wieży. Ale wzięwszy pieniądze ten uczciwy człowiek kazał mi wyczekać, zaczął robić trudności, myślałam, że mnie chce okraść... – Urwała.

– No i...? – spytał Julian.

– Nie gniewaj się, Julisiu – rzekła ściskając go – musiałam zdradzić swoje nazwisko temu panu, który brał mnie za jakąś gryzetskę z Paryża, zakochaną w pięknym Julianie... (To jego wyrażenia). Przysięgłam mu, że jestem twoją żoną, i będę miała pozwolenie widywania cię co dzień.

– Stało się – pomyślał Julian – nie mogłem zapobiec temu szaleństwu. Ostatecznie, pan de la Mole jest tak wielkim panem, że opinia potrafi znaleźć usprawiedliwienie dla młodego pułkownika, który zaślubi tę uroczą wdowę. Moja śmierć pokryje wszystko.

I poddał się z rozkoszą miłości Matyldy; było w tym szaleństwo, wielkość duszy, najdziwniejsze wrażenia. Oświadczyła zupełnie poważnie gotowość zabicia się wraz z nim.

Po pierwszych wylewach, kiedy Matylda nasyciła się szczęściem oglądania Juliana, żywa ciekawość owładnęła nagle jej duszą. Przyglądała się kochankowi, przerastał o wiele to, co sobie wyobrażała. Miała wrażenie, że zmartwychwstał Bonifacy de la Mole, ale heroiczniejszy.

Matylda obesza najlepszych miejscowych adwokatów; obraziła ich ofiarowując im złoto otwarcie, ale w końcu przyjęli.

Spostrzegła rychło, iż w zakresie wątpliwych a doniosłych spraw wszystko w Besançon zależy od księdza de Frilair.

Kiedy pod skromnym nazwiskiem pani M i c h e l e t siliła się dotrzeć do wszechpotężnego członka kongregacji, napotkała zrazu niesłychane trudności. Ale tymczasem rozeszła się po mieście wieść o pięknej młodej modystce, oszalałej z miłości i przybyłej z Paryża, aby pocieszyć Juliana Sorel.

Matylda uganiała się pieszo po Besançon, miała nadzieję, że jej nie poznają. W każdym razie uważała, że z korzyścią dla sprawy będzie poruszyć wyobraźnię ludu. Szaleństwo jej szło tak daleko, że roiała o wznieceniu rozruchów, w razie gdyby Julian szedł na śmierć. Panna de la Mole sądziła, że ubrana jest skromnie, jak przystało ciężko stroskanej kobiecie; tymczasem wygląd jej ściągał wszystkie spojrzenia.

Była już w Besançon przedmiotem powszechnego zajęcia, kiedy po tygodniowych zbiegach uzyskała posłuchanie u księdza de Frilair.

Pojęcie potężnego członka kongregacji oraz głębokiej, chytrej zbrodniczości były tak zespolone w umyśle Matyldy, iż mimo swej odwagi, drżała dzwoniąc do konsystorza. Zaledwie mogła iść, kiedy jej przyszło wstąpić na schody wiodące do pokojów wielkiego wikariusza. Pustka biskupiego pałacu przejmowała ją chłodem. – Siądę na fotelu, ten fotel chwyci mnie za ramiona i zniknę. U kogo moja pokojowa będzie mogła upomnieć się o mnie? Naczelnik policji nie odważy się ruszyć palcem... Jestem sama, sama w tym wielkim mieście!

Objąwszy okiem apartament panna de la Mole uspokoiła się. Przede wszystkim otworzył jej lokaj w wytwornej liberii. Salon, do którego ją wpuszczono, odznaczał się wykwintnym zbytkiem, jaki spotyka się w Paryżu jedynie w najwyższych domach, tak odległym od prostackiego przepychu. Ksiądz de Frilair zbliżył się z ojcowskim wyrazem twarzy – majaki straszliwych zbrodni pierzchły. Nie znalazła nawet na tej pięknej twarzy owej energicznej cnoty, tak odstraszającej dla paryżan. Lekki uśmiech, który ożywił rysy wszechpotężnego księdza, zwiastował dobrze wychowanego człowieka, światowego prałata, mądrego pastera. Owionęła Matyldę atmosfera Paryża.

Kilka chwil wystarczyło księdzu de Frilair, aby wydobyć z Matyldy wyznanie, że jest córką jego potężnego przeciwnika, margrabiego de la Mole.

– W istocie, nie jestem panią Michelet – rzekła odzyskując zwykłą wyniosłość – wyznając to bez trudu, przychodzę bowiem zasięgnąć rady księdza co do możliwości ucieczki pana de la Vernaye. Po pierwsze, winien jest jedynie nierozwagi: kobieta, do której strzelił, ma się dobrze. Po drugie, gdy chodzi o przekupienie podrzędnych figur, mogę natychmiast

złożyć pięćdziesiąt tysięcy franków, przyrzec zaś drugie tyle. Wreszcie, wdzięczność moja i mojej rodziny nie cofnie się przed niczym dla osoby, która ocali pana de la Vernaye.

Ksiądz de Frilair wydawał się zdziwiony tym nazwiskiem. Matylda pokazała kilka listów ministra wojny, adresowanych do pana Juliana Sorel de la Vernaye.

– Widzi ksiądz, że ojciec zajął się jego losem. Zaślubiłam Juliana w sekrecie; otóż ojciec pragnął, aby uzyskał wyższy stopień wojskowy, nim się ogłosi małżeństwo, nieco osobliwe dla panny de la Mole.

Matylda zauważyła, iż w miarę jak ksiądz de Frilair dochodził do tych ważnych odkryć, wyraz dobroci i łagodnej słodyczy zniknął z jego oblicza, na którym malował się w tej chwili spryt połączony z głębokim fałszem.

Ksiądz miał wątpliwości, odczytywał z wolna urzędowe dokumenty.

– Jaką korzyść mogę wyciągnąć z tych dziwnych zwierzeń? – myślał. – Oto znalazłem się nagle w bliskich stosunkach z przyjaciółką słynnej marszałkowej de Fervaques, wszechmocnej siostrzenicy Jego Eminencji biskupa \*\*\*, który samowładnie rozdaje infuły we Francji. To, com uważał za odległą przyszłość, staje się rzeczywistością. To może mnie doprowadzić do celu.

W pierwszej chwili Matylda zlekła się nagłej zmiany potężnego człowieka, z którym znalazła się sama w odludnym pałacu. – Ale nie! – rzekła sobie rychło. – Czyż nie byłoby o wiele gorzej, gdybym się rozbiła o zimny egoizm księdza sytego władzy i użycia!

Olsniony otwierającą się przed nim nagłą i nieprzewidzianą drogą do infuły, uderzony inteligencją Matyldy, ksiądz de Frilair przestał na chwilę panować nad sobą. Panna de la Mole ujrzała go prawie u swych stóp; nadzieja i ambicja wstrząsały go nerwowym dreszczem.

– Rozumiem – pomyślała – nic tu nie będzie niemożliwe dla przyjaciółki pani de Fervaques. – Mimo dotkliwego jeszcze ukłucia zazdrości zdobyła się na to, aby wyjaśnić, że Julian jest bliskim przyjacielem marszałkowej i że spotykał u niej co dzień Jego Eminencję biskupa \*\*\*.

– Gdyby się ciągnęło bodaj kilka razy z rzędu listę trzydziestu sześciu przysięgłych spośród wybitnych mieszkańców departamentu – rzekł wielki wikariusz z okiem płonącym ambicją, kładąc nacisk na każde słowo – uważałbym za bardzo nieszczęśliwy traf, gdybym w każdej liście nie liczył jakiego dziesiątka przyjaciół, i to z najinteligentniejszych. Prawie zawsze będę miał większość, więcej niż większość, gdy chodzi o skazanie, widzi tedy pani, z jaką łatwością przyszyłoby mi uniewinnić...

Ksiądz urwał nagle, jakby zdumiony dźwiękiem własnego głosu; odsłaniał rzeczy, których nie mówi się profanom.

Ale z kolei Matylda osłupiała, kiedy ksiądz wtajemniczył ją w to, co głównie zdumiewało i zaprzętało całe Besançon w dziwnej przygodzie Juliana, a mianowicie, że wzbudził on niegdyś żywą namietność w pani de Rênal i namietność tę długi czas podzielał. Ksiądz de Frilair spostrzegł z łatwością, jak mocno opowiadanie jego poruszyło Matyldę.

– Oto mój odwet! – pomyślał. – Mam wreszcie sposób powodowania tą energiczną osobką: drżałem, że mi się to nie uda. – Dystynkcja i wyniosłość Matyldy zdwajały w jego oczach urok tej rzadkiej piękności, która skłaniała się przed nim niemal błagalnie. Odzyskał całą zimną krew i nie zawahał się wbić sztylet w je j serce.

– Nie dziwiłbym się ostatecznie – rzekł lekko – gdybyśmy się dowiedzieli, że to przez zazdrość pan Sorel strzelił dwa razy do kobiety, którą niegdyś tak kochał. Jest to osoba bynajmniej nie pozbawiona powabów cielesnych, od niedawna zaś przyjmowała bardzo często niejakiego księdza Marquinot z Dijon, jansenistę bardzo podejrzanych obyczajów, jak oni wszyscy.

Podchwyciwszy słabą stronę pięknej panny, ksiądz de Frilair krwawił z rozkoszą jej serce.

– Czemu – mówił zwracając palące oczy na Matyldę – pan Sorel wybrał kościół, jeżeli nie dlatego, iż właśnie w tej chwili rywal jego odprawiał mszę? Wszyscy przyznają wiele inteligencji, a jeszcze więcej przezorności szczęśliwemu człowiekowi, którym się pani interesuje. Cóż prostszego niż ukryć się w ogrodzie pana de Rênal, który znał tak dobrze? Tam, mając niemal pewność, że go nikt nie zobaczy, nie chwyci ani nie będzie podejrzewał, mógł zadać śmierć kobiecie, o którą był zazdrosny.

Rozumowanie to, tak słuszne na pozór, do reszty wyprowadziło Matyldę z równowagi. Ta dusza harda, ale nasycona oschłym rozsądkiem wielkiego świata, niełatwo zdolna była zrozumieć rozkosz drwienia sobie z wszelkiego rozsądku, tak żywą dla dusz z płomienia. W wysokich sferach towarzystwa paryskiego, w których obracała się Matylda, namiętność wyjątkowo chyba zdoła się wyzuć z rozsądku; z okna skacze się zwykle z piątego piętra.

Wreszcie ksiądz de Frilair uczuł się panem sytuacji. Dał do zrozumienia Matyldzie (bez wątpienia kłamał), że urzędnik mający oskarżać Juliana jest na jego rozkazy.

Skoro los wyznaczy trzydziestu sześciu przysięgłych na bieżącą kadencję, ksiądz de Frilair obrobi wprost i osobiście najmniej trzydziestu.

Gdyby Matylda nie wydawała mu się taka ładna, wielki wikariusz nie mówiłby z nią tak jasno wcześniej niż za jaką piątą lub szóstą konferencją.



## LXIX. INTRYGA

Castres 1676. Tuż obok mego domu brat  
zabił siostrę; szlachcic ów już raz  
dopuścił się morderstwa. Ojciec jego  
dał potajemnie sędziom pięćset talarów i ocalił mu życie.  
L o c k e, *Podróż po Francji*

Wyszedłszy z konsystorza Matylda nie zawahała się wysłać umyślnego do pani de Fervaques; obawa narażenia się nie wstrzymała jej ani na sekundę. Zaklinała rywalkę, aby się wystarała o list do księdza de Frilair całkowicie pisany ręką biskupa \*\*\*. Posunęła się nawet do tego, że błagała ją o przybycie do Besançon. Ze strony tej zazdrosnej i hardej duszy był to rys heroiczny!

W myśl rady Fouquégo była na tyle ostrożna, że nie wspomniała Julianowi o swych staraniach. Obecność jej nękała go już dość i bez tego. W obliczu śmierci Julian stał się skrupulatniejszy, niż był w życiu: miał wyrzuty nie tylko wobec pana de la Mole, ale i wobec Matyldy.

– Dziwna rzecz! – powiadał sobie. – Kiedy jesteśmy razem, miewam chwile roztargnienia, nawet nudy. Ona się gubi dla mnie, a ja ją tak nagradzam! Byłżebym niegodziwcem?

Zagadnienie to niewiele by go zaprzętało dawniej, gdy poruszała nim ambicja, wówczas niepowodzenie było jedynym wstydem w jego oczach.

Czuł się zakłopotany i nieswój wobec Matyldy, tym bardziej że ona sama objawiała mu w tej chwili szaleńczą miłość.

Mówiła jedynie o niezwykłych ofiarach, które chce podjąć, aby go ocalić.

Podniecona uczuciem, z którego była dumna i które przeważało jej pychę, pragnęła każdą chwilę wypełnić jakimś niezwykłym postępkim. Najdziksze, najniebezpieczniejsze dla niej projekty wypełniały jej długie rozmowy z Julianem. Dozorcy, hojnie opłacani, pozwalali jej rządzić się w więzieniu. Pomysły Matyldy nie ograniczały się do poświęcenia reputacji; nic jej nie ważyło objawić swój stan przed całym światem. Rzucić się na kolana przed powóz króla pędzący galopem, aby błagać o łaskę dla kochanka, ściągnąć na siebie uwagę monarchy narażając się na stratowanie, oto jedna z chimer, jakie roiała ta rozbujana i śmiała wyobraźnia. Dzięki pośrednictwu przyjaciół była pewna, że zdoła się dostać do najbardziej zamkniętej części ogrodów królewskich w Saint-Cloud.

Julian nie czuł się godny takiego poświęcenia; prawdę mówiąc, znużony był heroizmem. Prosta, naiwna, prawie nieśmiała tkliwość byłaby mu trafiła do serca; gdy przeciwnie, wyniosłej duszy Matyldy trzeba było zawsze publiczności, d r u g i c h.

Wśród wszystkich udręczeń, wszystkich obaw o życie kochanka, którego nie chciała przeżyć, czuła tajemną potrzebę zdumiewania gawiedzi nadmiarem swej miłości i wzniosłości postanowień.

Julian wyrzucał sobie, że cały ten heroizm go nie wzrusza. Cóż dopiero, gdyby znał wszystkie szaleństwa, którymi Matylda nękała oddaną, ale z gruntu rozsądną i ograniczoną duszę poczciwego Fouqué.

Nie wiedział dobrze, co można by zarzucić poświęceniu Matyldy, i on także poświęciłby majątek i naraził życie, aby ocalić Juliana. Zdumiewała go obfitość złota, które rozrzuciła Matylda. W pierwszych dniach sumy te olśniły Fouquégo, który miał dla pieniędzy typową cześć mieszkańca prowincji. Wreszcie doszedł, że projekty panny de la Mole zmieniają się często, i z wielką ulgą znalazł wyraz na określenie charakteru, który dlań był tak nużący: była kapryśna. Od tego epitetu do miana n a r w a n e j, największej klątwy, jaką zna prowincja, jest tylko krok.

– Rzecz dziwna – myślał jednego dnia Julian po odejściu Matyldy – że ta gwałtowna namiętność, której jestem przedmiotem, wzrusza mnie tak mało, a wszakże ubóstwiałem Matyldę przed dwoma miesiącami! Czytałem wprawdzie, że wobec zbliżającej się śmierci człowiek obojętnieje na wszystko; ale okropne jest czuć się niewdzięcznym i nie móc się zmienić. Czyżbym był egoistą? Czynię sobie w tej mierze najdotkliwsze wyrzuty.

Ambicja umarła w jego sercu, inna namiętność wynurzyła się z popiołów; nazywał ją wyrzutem z powodu morderstwa pani de Rênal.

W istocie zaś kochał się w niej do szaleństwa. Czuł się nad wyraz szczęśliwy, kiedy zostawszy sam z tą pewnością, że mu nikt nie przeszkodzi, mógł się cały oddać wspomnieniu szczęśliwych dni w Verrières i w Vergy. Najdrobniejsze wydarzenia tych minionych zbyt rychło czasów miały dlań nieodparty urok i świeżość. Nigdy nie myślał o swoich triumfach paryskich; nudziły go.

Zazdrość Matyldy odgadła po części ten stan, który wzmagał się z dnia na dzień. Czuła jasno, że trzeba jej walczyć z miłością w samotności. Niekiedy wymawiała ze zgrozą nazwisko pani de Rênal. Widziała, że za każdym razem Julian drżał. Odtąd namiętność jej nie miała już granic ani miary.

– Jeżeli umrze, i ja umrę – powiadała sobie zupełnie szczerze. – Co powiedziałyby paryskie salony widząc, że panna mego nazwiska ubóstwia do tego stopnia kochanka przeznaczonego na śmierć? Aby spotkać takie uczucia, trzeba sięgnąć do epoki bohaterów, taką namiętnością drgały serca za Karola IX i Henryka III.

Wśród najwyższych uniesień, przyciskając do serca głowę Juliana, powtarzała ze zgrozą: – Jak to! Ta urocza głowa miałaby iść pod nóż kata! Dobrze więc! – dodawała, rozpromieniona heroizmem nie wolnym od rozpaczony – wargi moje, które tulą się do tych pięknych włosów, zastygną w dobę później.

Wspomnienia tych chwil heroizmu oraz straszliwej rozkoszy przykuwały ją przemożnymi więzami. Myśl o samobójstwie, tak zaborcza sama przez się, dotąd tak odległa od tej hardej duszy, wniknęła w nią i niebawem zapanowała w niej z bezgraniczną mocą. – Nie, krew moich przodków nie ostygła we mnie! – powiadała Matylda z dumą.

– Mam cię prosić o jedną łaskę – rzekł jednego dnia Julian – oddaj swoje dziecko na mamki w Verrières, pani de Rênal będzie go doglądała.

– To bolesne, co mówisz... – i Matylda zbladła.

– To prawda, przepraszam cię stokrotnie! – wykrzyknął Julian, jakby budząc się z zadumy i ściskając ją.

Osuszywszy jej łzy, wrócił do swej myśli, ale już zřęcznie. Uderzył w ton melancholijno-filozoficzny. Mówił o tej przyszłości, która miała się dlań niebawem zamknąć.

– To fakt, droga Matylde, że wielkie uczucia są przypadkiem w życiu, ale ten przypadek zdarza się jedynie u wyższych dusz... Śmierć mego syna byłaby, w gruncie, szczęściem dla twojej rodziny; otóż nędzne dusze zrozumieją to w lot. To dziecko nieszczęścia i hańby pójdzie w poniewierkę. Mam nadzieję, że w epoce, której nie chcę określać, ale którą mam odwagę przewidywać, posłuchasz mej ostatniej woli: zaślubisz margrabiego de Croisenois.

– Jak to, zhańbiona?

– Hańba nie chwyta się nazwiska takiego jak twoje. Będiesz wdową, wdową po szaleńcu, ot i wszystko. Pójdę dalej; zbrodnia moja – jako że pobudką jej nie był pieniądz – nie będzie hańbiącą. Może do tej pory prawodawca-filozof zwalczy przesady epoki i uzyska zniesienie kary śmierci. Wówczas jakiś życzliwy głos wspomni jako przykład: Ot, pierwszy małżonek panny de la Mole był szaleńcem, ale nie był niegodziwym człowiekiem, zbrodniarzem. Niedorzecznością było strącać tę głowę... Wówczas pamięć moja nie będzie bezecna, przynajmniej po jakimś czasie... Twoje stanowisko w świecie, twój majątek i pozwól sobie powiedzieć, twoja genialna inteligencja stworzą panu de Croisenois, skoro zostanie twym mężem, rolę, do której sam nie byłby zdolny. Ma jedynie urodzenie i odwagę, a dwa te przymioty, które tworzyły pełnego człowieka w roku 1729, dziś, o wiek później, stały się anachronizmem i rodzą jedynie pretensje. Trzeba czegoś więcej, aby dziś stanąć na czele francuskiej młodzieży.

Twój silny i przedsiębiorczy charakter stanie się podporą stronnictwa, w które pchniesz swego męża. Będiesz godną następczynią pań de Chevreuse i de Longueville z czasu Frondy... Ale wówczas, droga Matylde, boski ogień, który cię ożywia w tej chwili, wychłódnie nieco.

Pozwól to sobie powiedzieć – dorzucił po dłuższych przygotowaniach – za piętnaście lat miłość twoja dla mnie będzie ci się przedstawiała jako szaleństwo godne rozgrzeszenia, ale zawsze jako szaleństwo...

Urwał nagle i zadumał się. Znów znalazł się wobec tej myśli, tak dotkliwej dla Matylde: Za piętnaście lat pani de Rênal będzie ubóstwiała mego syna, a ty zapomnisz o nim...

## LXX. SPOKÓJ

Dlatego dziś jestem mądry, że niegdyś  
byłem szalony. O filozofie, który widzisz  
jedynie bieżąca chwilę, jakże twój wzrok  
jest krótki! Oko twoje niezdolne jest śledzić  
podziemną pracę namiętności.  
G o e t h e

Rozmowę tę przerwało śledztwo, po czym nastąpiła konferencja z adwokatem, który podjął się obrony. Były to jedyne przykre chwile owego leniwego życia wypełnionego tkliwym marzeniem.

– Zachodzi fakt morderstwa, i to morderstwa z rozmysłem – oświadczył Julian zarówno sędziemu, jak adwokatowi. – Przykro mi bardzo, panowie – dodał z uśmiechem – ale to sprowadza waszą działalność do nader szczupłych rozmiarów.

– Ostatecznie – powiadał sobie Julian, skoro zdołał się oswobodzić od tych figur – muszę być odważny, odważniejszy niewątpliwie od tych dwóch ludzi. Oni patrzą na ten fatalny pojedynek jako na szczyt nieszczęścia, jako na bezmiar grozy, gdy ja pomyślę o nim poważnie jedynie w sam dzień.

To dlatego, że ja poznałem większe nieszczęście – myślał Julian dalej. – O ileż więcej cierpiałem w czasie pierwszej podróży do Strasburga, gdy mniemałem, że Matylda rzuciła mnie na zawsze... I powiedzieć, że pragnąłem tak namiętnie tej bliskości, którą dziś przyjmuję tak chłodno... W istocie, czuję się szczęśliwszy sam, niż kiedy ta śliczna panna dzieliła mą samotność...

Adwokat, pedant i formalista, uważał go za szaleńca i myślał, wraz z ogółem, że to zbrodnia wcisnęła mu pistolet w rękę. Jednego dnia spróbował Julianowi dać do zrozumienia, że domysł taki, bez względu na jego prawdziwość, byłby znakomitym środkiem obrony. Ale apatia oskarżonego ustąpiła w mgnieniu oka stanowczości.

– Jeśli pan dbasz o swoje życie – wykrzyknął Julian półprzytomny – nie waż się powtarzać tak ohydnych kłamstw!

Ostrożny adwokat zląkł się na chwilę, aby go Julian nie zamordował. Przygotował obronę, ponieważ zbliżał się rozstrzygający dzień. W Besançon i w całym departamencie mówiono tylko o tej głośnej sprawie. Julian nie wiedział o tym, prosił, aby mu nigdy nie wspomniano o tego rodzaju rzeczach.

Tego dnia Fouqué i Matylda chcieli podzielić się z nim niektórymi pogłoskami, zdolnymi, ich zdaniem, obudzić nadzieję. Julian przerwał im przy pierwszym słowie.

– Zostawcie mi moje idealne życie. Wasze ploteczki, zdarzenia, szczegóły, mniej lub więcej dla mnie drażniące, wyrwałyby mnie z nieba. Każdy umiera, jak może: ja chcę myśleć o śmierci na swój sposób. Co mi i n n i ? Moje stosunki z i n n y m i będą gwałtownie przecięte. Przez litość, nie mówcie mi już o tych ludziach: dość już widywać sędziego i adwokata.

– W istocie – powiadał sam do siebie – zdaje się, że moim losem jest umrzeć marząc. Istota nieznaną jak ja, pewna, że zapomną o niej przed upływem dwóch tygodni, byłaby zaiste bardzo niemądra, gdyby się siliła grać komedię...

Rzecz wszelako osobliwa, że sztukę używania życia poznałem dopiero od czasu, jak widzę jego kres tak blisko.

Spędził te ostatnie dni przechadzając się po wąskiej terasie na wieży, paląc doskonałe cygara, które Matylda sprowadziła przez kuriera z Holandii, i nie domyślając się, że teleskop całego miasta oczekuje co dzień jego zjawienia się. Myśl jego była w Vergy. Nigdy nic nie mówił do Fouquégo o pani de Rênal, ale parę razy przyjaciół wspomniawszy, że rychło przychodzi do zdrowia, a słowa te znalazły żywy oddźwięk w sercu Juliana.

Gdy dusza więźnia przebywała prawie ciągle w krainie marzeń, Matylda, zajęta rzeczywistością, jak przystało arystokratce, zdołała tak daleko posunąć korespondencję między panią de Fervaques a księdzem Frilair, że padło nawet wielkie słowo i n f u ł a.

Czcigodny prałat, zawiadujący listą beneficjów, dodał w formie przypisku do listu siostrzenicy: „T e n b i e d n y S o r e l j e s t t y l k o n a r w a n y, m a m n a d z i e j ę, ż e g o u w o l n i c i e”.

Na widok tego dopisku ksiądz de Frilair oszalał. Nie wątpił, że ocali Juliana.

– Gdyby nie to jakobińskie prawo, które nakazuje zestawienie olbrzymiej listy przysięgłych i którego istotnym celem jest odjąć wszelki wpływ ludziom dobrze urodzonym, ręczyłbym za werdykt. Zdołałem wszak uwolnić proboszcza z N\*\*\*...

Tak mówił do Matyldy w wilię losowania trzech tuzinów przysięgłych na bieżącą sesję.

Nazajutrz ksiądz de Frilair ucieszył się znajdując między nazwiskami, które wyszły z urny, pięciu członków kongregacji w Besançon, zaś spoza obrębu miasta nazwiska panów Valenod, de Moirod, de Cholin. – Ręczę przede wszystkim za tych ośmiu – rzekł do Matyldy. – Pięciu pierwszych to n a r z ę d z i a. Valenod jest moim agentem, Moirod zawdzięcza mi wszystko, de Cholin to głupiec, który wszystkiego się lęka.

Dziennik obwieścił całemu departamentowi nazwiska sędziów; pani de Rênal, ku niesłychanemu przerażeniu męża, postanowiła udać się do Besançon. Pan de Rênal zdołał jedynie wymóc na niej, że nie opuści łóżka, aby nie być narażoną na przykry obowiązek świadczenia.

– Nie rozumiesz mego położenia – mówił eks-burmistrz – jestem obecnie liberałem i odstępcą, jak oni nazywają. Nie ulega wątpliwości, że ten chłystek Valenod oraz ksiądz de Frilair wymogą na przewodniczącym i na sędziach wszystko, co może mi dokuczyć.

Pani de Rênal poddała się bez trudności zarządzeniom męża. – Gdybym się zjawiała w sali sądowej – powiadała sobie – wyglądałoby to na domaganie się pomsty.

Mimo obietnic danych spowiednikowi oraz mężowi pani de Rênal, ledwie przybywszy do Besançon, napisała własnoręcznie do każdego z przysięgłych:

*Nie pojawię się w dzień sądu, ponieważ obecność moja mogłaby oddziaływać niekorzystnie na sprawę pana Sorel. Pragnę tylko jednej rzeczy, i to z całego serca, mianowicie jego ocalenia. Niech pan będzie przekonany: straszna myśl, iż z mego powodu posłano niewinnego na stracenie, zatrułaby resztę mego życia i skróciłaby je z pewnością. W jaki sposób moglibyście go skazać na śmierć, skoro ja żyję? Nie, to pewna, społeczeństwo nie ma pra-*

wa wydzierać życia, zwłaszcza takiemu człowiekowi jak Julian Sorel. Całe Verrières patrzyło na napady jego niepoczytalności. Biedny młodzieniec ma potężnych nieprzyjaciół; a nawet wśród jego wrogów (a iluż ich jest!) któż mógłby podawać w wątpliwość jego talenty i głęboką wiedzę? Ten, którego panowie macie sądzić, nie jest zwykłą jednostką. Przez półtora roku blisko znaleźmy go nabożnym, roztropnym, gorliwym; ale parę razy na rok podlegał napadom melancholii, graniczącym z obłędem. Całe Verrières, Vergy, cała moja rodzina, sam pan podprefekt oddadzą sprawiedliwość jego budującej pobożności; umie na pamięć całe Pismo święte! Czyż bezbożnik przykładałby się lata całe, aby się wyuczyć świętej książki? Moi synowie będą mieli zaszczyt doręczyć panu ten list: to dzieci! Niech pan ich raczy spytać, opowiedzą panu o tym młodym człowieku wszystkie szczegóły, które pana przekonają, jakim barbarzyństwem byłoby skazać go. Zamiast mnie pomścić, zadalibyście mi śmierć.

Cóż mogą jego wrogowie przeciwstawić tym faktom? Rana moja – wynik jednego z napadów szaleństwa, jakie nawet dzieci mogły zauważyć u swego nauczyciela – jest tak lekka, że niespełna po dwóch miesiącach pozwoliła mi przybyć pocztą do Besançon. Jeśli się dowiem, że pan się waha, bodaj w najlepszej wierze, ochronić od barbarzyństwa praw tak niewinną istotę, wstanę z łóżka, w którym zatrzymują mnie jedynie rozkazy męża, i pójdę rzucić się do pańskich stóp.

Racz pan oświadczyć, że nie stwierdzono zamysłu, a nie będziesz sobie musiał wyrzucać krwi niewinnego, etc...

## LXXI. SĄD

Okolice długo będzie wspominała ten słynny proces. Sympatia dla oskarżonego dochodziła do wrzenia, zbrodnia jego była niezwykła, a nie była okrutna, a gdyby nawet! Młodzieniec tak piękny... świetny jego los, tak rychło przecięty, pomnażał współczucie. „Czy go skazają?”, pytały kobiety znajomych mężczyzn i bladły czekając odpowiedzi.  
S a i n t e - B e u v e

Wreszcie nadszedł ów dzień, którego się tak lękały pani de Rênal i Matylda.

Niezwykła fizjonomia miasta zdwajała ich trwogę, nie pozostała nawet bez wpływu na mężną duszę Fouquégo. Cała prowincja zbiegła się do Besançon, aby być świadkiem tej romantycznej sprawy.

Od kilku dni nie było miejsca w żadnej gospodzie. Prezydent sądu zasypany był prośbami o bilety; wszystkie panie z miasta chciały być na rozprawie; sprzedawano po ulicach portrety Juliana etc.

Matylda zachowała na tę chwilę stanowczą list pisany całkowicie własną ręką Jego Eminencji biskupa \*\*\*. Prałat ów, władający Kościołem Francji i rozdający do woli infuły, raczył prosić o ułaskawienie Juliana. W wilię rozprawy Matylda zaniósła ten list wszechpotężnemu wikariuszowi.

Pod koniec posłuchania, kiedy miała odejść, zalana łzami, ksiądz de Frilair wyszedł wreszcie ze swej dyplomatycznej wstrzeźliwości. – Ręczę za werdykt – rzekł, sam niemal wzruszony. – Między dwunastu osobami mającymi orzec, czy zachodzi fakt zbrodni, a zwłaszcza rozmysłu, liczę sześciu oddanych przyjaciół. Dałem im do zrozumienia, że od nich zależy moja infuła. Baron Valenod, którego zrobiłem merem, rozrządza całkowicie dwoma swymi podwładnymi, panami de Moirod i de Cholin. Wprawdzie los zesłał nam na kark dwóch przysięgłych bardzo nieprawomyślnych, ale mimo że ultraliberalni, posłuszni są w ważnych okolicznościach moim rozkazom. Prosiłem ich, aby głosowali za panem Valenod. Dowiedziałem się w sekrecie, że szósty przysięgły, przemysłowiec, kolosalnie bogaty i hałaśliwy liberał, wzdycha w sekrecie do pewnej dostawy w ministerium wojny i z

pewnością nie chciałby mi się narazić. Kazałem mu powiedzieć, że pan Valenod zna moje intencje.

– A jakież jest ten pan Valenod? – spytała Matylda, zaniepokojona.

– Gdyby go pani знаła, nie wątpiłabyś o powodzeniu. Śmiały krzykacz, bezczelny, pospolity, stworzony na trybuna głupców. Rok 1814 wtrącił go w nędzę, ja zaś zrobię zeń prefekta. Raczej użyłby pięści na przysięgłych, niżby pozwolił głosować przeciw sobie.

Matylda uspokoiła się nieco.

Wieczorem czekała ją druga rozmowa. Aby nie przedłużyć przykrew sceny, której rezultat nie może być wątpliwy, Julian postanowił nie zabierać głosu.

– Adwokat mój będzie mówił – rzekł do Matyldy. – I tak aż nazbyt długo będę służył za widowisko moim wrogom. Tych łyków podrażniło szybkie wyniesienie, które tobie zawdzięczam; wierzaj mi, nie ma wśród nich ani jednego, który by nie pragnął mego skazania, co im nie przeszkodzi becząc jak cielecia, kiedy mnie będą prowadzili na stracenie.

– Pragną twego upokorzenia, to prawda – odparła Matylda – nie sądzę jednak, aby byli okrutni. Obecność moja w Besançon, widok mej boleści poruszył wszystkie kobiety; twoja piękność dokona reszty. Jeśli powiesz choć słowo na rozprawie, całe audytorium będzie za tobą etc., etc.

Nazajutrz o dziewiątej, kiedy Julian opuścił więzienie, aby udać się do Pałacu Sprawiedliwości, z trudem przyszło żandarmom usunąć ciżbę w dziedzińcu. Julian spał dobrze, był bardzo spokojny i nie doświadczał innych uczuć prócz filozoficznej litości dla tłumu zawistnych, który bez okrucieństwa miał oklaskiwać wyrok śmierci. Ku wielkiemu swemu zdziwieniu, zniewolony zatrzymać się w tłumie więcej niż kwadrans, spostrzegł, że obecność jego budzi tkliwe współczucie. Nie słyszał ani jednego wrogiego słowa. – Te łyki są lepsze, niż myślałem – powiedział sobie.

Kiedy wchodził do sali sądowej, uderzyła go jej wytworna architektura. Był to czysty gotyk, mnóstwo kolumnienek prześlicznie ciosanych w kamieniu. Miał wrażenie, że jest w Anglii.

Niebawem całą jego uwagę pochłonęło kilkanaście ładnych kobiet, które naprzeciw ławy oskarżonego wypełniały trzy balkony nad trybunałem i przysięgłymi. Obróciwszy się do publiczności ujrzał, iż cała trybuna biegnąca nad amfiteatrem pełna jest kobiet; przeważnie były młode i ładne; oczy miały błyszczące i rozciekawione. Poza tym był straszny tłok; bito się przy drzwiach, straż nie mogła utrzymać spokoju.

Kiedy wszystkie oczy szukające Juliana ujrzały, że zajmuje podwyższenie przeznaczone dla oskarżonego, przyjęto go szmerem zdziwienia i współczucia.

Można by rzec tego dnia, że nie ma dwudziestu lat; ubrany był skromnie, ale z nieskazitelną wytwornością, włosy i czoło były czarujące; Matylda sama dopilnowała toalety. Był bardzo blady. Ledwie usiadł, usłyszał ze wszystkich stron:

– Boże, jakież młody!... Ależ to dziecko! O wiele przystojniejszy niż na portrecie.

– Panie oskarżony – rzekł żandarm siedzący po prawej – widzi pan tych sześć dam, o tam, na balkonie? (To mówiąc wskazał łózkę nad ławą przysięgłych.) To pani prefektowa – ciągnął – obok niej margrabina de M\*\*\*, ta panu bardzo sprzyjała, słyszałem, jak rozmawiała z sędzią śledczym. Obok to pani Derville.

– Pani Derville! – wykrzyknął Julian i rumieniec oblał jego czoło. – Natychmiast po rozprawie – pomyślał – napiszę do pani de Rênal. – Nie wiedział, że pani de Rênal jest w Besançon.

Przesłuchanie świadków trwało krótko. Zaraz po pierwszych słowach prokuratora dwie panie w loży na wprost Juliana zalały się łzami – Pani Derville nie roztkliwia się tak – pomyślał Julian. Zauważył wszelako, że jest bardzo czerwona.

Prokurator rozwiódł się z patosem, a w lichej francuszczyźnie, nad barbarzyństwem popełnionej zbrodni; Julian zauważył, że sąsiadki pani Derville zdradzają oznaki niezadowo-



lenia. Kilku przysięgłych, widocznie znanych tych pań, rozmawiało z nimi starając się je uspokoić.

– To chyba dobra wróżba – pomyślał Julian.

Do tej chwili czuł bezgraniczną wzdargę dla wszystkich obecnych. Płaska elokwencja prokuratora spotęgowała to uczucie niesmaku. Stopniowo jednak oschłość Juliana ustąpiła wobec przejawów sympatii, której był wyraźnie przedmiotem.

Rad był ze stanowczej miny swego adwokata. – Bez frazesów – szepnął mu w chwili, gdy miał przemawiać.

– Cała ta emfaza z kiepska po Bossuecie, jaką wytoczono przeciw panu, tylko nam pomogła.

W istocie, jeszcze nie mówił pięciu minut, a już wszystkie kobiety miały chustki przy oczach. Adwokat, zagrzany, rzucał pod adresem przysięgłych słowa bardzo silne. Julian zdrzął, czuł się bliski płaczu.

– Wielki Boże! Co powiedzą moi wrogowie?

Miał się oddać wzruszeniu, które go ogarniało, kiedy, szczęściem dla pań, podchwycił triumfalne spojrzenie barona de Valenod.

– Jak się błaznowi oczy świecą – pomyślał – cóż za triumf dla tej niskiej duszy! Gdyby moja zbrodnia sprawiła tylko to jedno, wystarczyłoby to, abym ją przeklinał. Bóg wie, co on nagadał o mnie pani de Rênal!

Ta myśl zagłuszyła wszystkie inne. Niebawem wyrwały Juliana z zadumy oznaki sympatii ze strony publiczności. Adwokat kończył swą mowę obrończą. Julian przypomniał sobie, że wypada mu uścisnąć rękę. Czas zbiegł szybko.

Przyniesiono chłodniki adwokatowi i oskarżonemu. Wówczas dopiero uderzyła Juliana jedna okoliczność: żadna z kobiet nie opuściła sali, aby iść na obiad.

– Na honor, umieram z głodu – rzekł adwokat – a pan?

– Ja także – odparł Julian.

– Patrz pan, pani prefektowej także przyniesiono obiad – rzekł adwokat wskazując łózkę. – Bądź pan dobrej myśli, wszystko idzie dobrze.

Posiedzenie rozpoczęło się na nowo.

Gdy przewodniczący wygłaszał referat, zaczęła bić północ. Mówca zmuszony był przerwać; wśród powszechnej ciszy i lęku dźwięk zegara nappełnił salę.

– Oto zaczyna się mój ostatni dzień – pomyślał Julian. Niebawem rozplomieniła go świadomość obowiązku. Dotąd panował nad swym wzruszeniem i trwał w zamiarze milczenia; ale kiedy przewodniczący spytał go, czy ma co do powiedzenia, wstał. Widział przed sobą oczy pani Derville, które w blasku światła zdawały mu się bardzo błyszczące. – Czyżby płakała? – pomyślał.

– Panowie przysięgli! Lęk przed wzdargą każe mi zabrać głos; mniemałem, iż zdołam jej urągać w chwili śmierci. Panowie, nie mam zaszczytu należeć do waszej sfery; widzicie we mnie chłopa, który się zbuntował przeciw nikczemności swego losu.

Nie proszę was o łaskę – ciągnął Julian silniejszym głosem. – Nie robię sobie złudzeń, czeka mnie śmierć: będzie zasłużona. Ośmieliłem się targnąć na życie kobiety ze wszelki miar godnej czci i szacunku. Pani de Rênal była dla mnie jak matka. Zbrodnia moja jest straszna, a popełniłem ją z r o z m y s ł e m. Zasłużyłem tedy na śmierć, panowie przysięgli. Ale gdybym nawet mniej był winny, widzę tu ludzi, którzy, nie dając się uwieść współczuciu przez wzgląd na mą młodość, zechcą w mej osobie ukarać i zniechęcić na zawsze tę klasę młodzieży, która, zrodzona w niskim stanie i poniekąd zdławiona ubóstwem, miała szczęście zdobyć wykształcenie oraz miała to zuchwalstwo, aby się wcisnąć w sferę, którą pycha bogaczy nazywa ś w i a t e m.

Oto moja zbrodnia, panowie, i spotka się ona z karą tym surowszą, iż w rzeczywistości nie będą mnie sądzili moi równi. Nie widzę na ławie przysięgłych ani jednego zubożonego wieśniaka, widzę jedynie oburzone mieszczaństwo...

W tym tonie mówił Julian dwadzieścia minut; wypowiedział wszystko, co miał na sercu; prokurator, który zabiegał o względy arystokracji, podskakiwał na krześle, ale mimo abstrakcyjnego nieco tonu, jaki Julian wniósł w swoje przemówienie, wszystkie kobiety płakały. Nawet pani Derville trzymała chusteczkę przy oczach. Kończąc Julian podkreślił jeszcze raz *r o z m y s ł*, następnie żal, szacunek, synowskie i bezgraniczne uwielbienie, jakie w szczęśliwej epoce czuł dla pani de Rênal... Pani Derville wydała krzyk i zemdląła.

Pierwsza biła, gdy przysięgli udali się do sali obrad. Ani jedna z kobiet nie opuściła miejsca, wielu mężczyzn miało łzy w oczach. Zrazu rozmawiano z ożywieniem; stopniowo jednak, w miarę jak się narada przysięgłych przewlekała, czuć było powszechne znużenie. Była to uroczysta chwila, światła zaczęły przygasać. Julian, bardzo zmęczony, słyszał dokoła siebie roztrząsanie, czy ta zwłoka dobrze czy źle wróży. Ujrzał z przyjemnością, że wszystkie sympatie są za nim; przysięgli nie wracali, mimo to żadna z kobiet nie opuściła sali.

Z uderzeniem drugiej dał się słyszeć wielki ruch. Drzwi się otwały. Baron de Valenod sunął poważnym, teatralnym krokiem na przedzie, za nim przysięgli. Zakaszłał, po czym oświadczył, iż w duszy i sumieniu przysięgli orzekli jednogłośnie, że Julian Sorel winien jest morderstwa, i to morderstwa z rozmysłem: orzeczenie to pociągało za sobą karę śmierci, którą też ogłoszono w chwilę później. Julian spojrział na zegarek i przypomniał sobie pana de Lavalette; był kwadrans na trzecią. – To dziś piątek – pomyślał.

– Tak, ale to jest dzień szczęśliwy dla Valenoda, który mnie skazał na śmierć... Zbyt pilnie jestem strzeżony, aby Matylda mogła mnie ocalić jak pani de Lavalette... Tak więc za trzy dni o tej godzinie będę wiedział, czego się trzymać co do *w i e l k i e g o B y ć m o ż e*<sup>5</sup>.

Naraz usłyszał krzyk, który go przywołał do spraw tego świata. Kobiety dokoła niego szlochały. Ujrzał, że wszystkie twarze zwracają się ku łóżce umieszczonej w kapitelu gotyckiego pilastru. Dowiedział się później, że znajdowała się tam Matylda. Ponieważ krzyk się nie powtórzył, wszyscy zaczęli na nowo przyglądać się Julianowi, któremu żandarmi torowali drogę w tłumie.

– Starajmy się nie dać przyczyny do śmiechu temu obwiesiowi Valenod – pomyślał Julian. – Z jaką obleśną i stroskaną miną wygłosił oświadczenie, które pociąga za sobą karę śmierci! Gdy ten pocziwy prezydent, mimo że jest sędzią od tylu lat, miał łzy w oczach skazując mnie. Cóż za radość dla Valenoda pomścić się za dawne współzawodnictwo o panią de Rênal!... Nie ujrzę jej tedy! Stało się... Ostatnie pożegnanie niemożliwe jest między nami, czuję to... Jakże byłbym szczęśliwy, gdybym mógł jej wyrazić cały żal za swą zbrodnię!...

Tylko te słowa: Uważam, że mnie skazano słusznie.

---

<sup>5</sup> *Le grand Peut-être*, wyrażenie, którego, wedle legendy, miał użyć umierający Rabelais.

## LXXII

Odprowadziwszy Juliana do więzienia, zawiedziono go do celi przeznaczonej dla skazanych na śmierć. On, który zazwyczaj zauważał najdrobniejsze okoliczności, nie spostrzegł, że nie prowadzą go z powrotem na wieżę. Myślał o tym, co by powiedziała pani de Rênal, gdyby przed ostateczną chwilą miał szczęście ją ujrzeć. Przypuszczał, że by mu przerwała, chciał tedy od pierwszego słowa odmalować cały swój żal. Po takim postępkowi jak ją przekonać, że ją jedynie kocham? Bo ostatecznie chciałem ją zabić przez ambicję lub przez miłość do Matyldy.

Kładąc się uczuł, że prześcieradło jest z grubego płótna. Z oczu spadło mu bielmo. – Aha! Jestem w kaźni – pomyślał – skazany na śmierć. Słusznie...

Hrabia Altamira opowiadał mi, iż w wilię śmierci Danton powiadał swym grubym głosem: „To szczególne słowo *g i l o t y n o w a ć* nie odmienia się we wszystkich czasach; można rzec: będę zgilotynowany, będziesz zgilotynowany, ale nie mówi się: *b y ł e m z g i l o t y n o w a n y*.”

Czemu nie – podjął Julian – jeśli jest przyszłe życie... Na honor! Jeżeli tam znajdę Boga chrześcijan, przepadłem: jest to despota przejęty myślą o zemście; jego Biblia prawi jeno o straszliwych karach. Nigdy go nie kochałem, nie chciałem nawet wierzyć, aby go ktoś kochał szczerze. Jest bez litości (przypomniał sobie ustępy z Biblii). Ukarze mnie w okropny sposób.

Ale jeżeli znajdę Boga Fénelona! Powie mi może: Będzie ci wiele przebaczone, bo wiele kochałeś...

Czy wiele kochałem? Ach, kochałem panią de Rênal, ale postępowanie moje było okropne! Jak zwykle: proste i skromne serce porzucono dla świetnej błyskotki.

Ale też co za widoki!... Pułkownikiem huzarów, gdybyśmy mieli wojnę; sekretarzem poselstwa w razie pokoju, następnie ambasadorem... bo rychło połapałbym się w tych sprawach... a gdybym nawet był głupcem, alboż zięć margrabiego de la Mole potrzebowałby się obawiać rywalizacji? Wszystkie głupstwa przebaczone by mi lub raczej policzone za zasługę. Błyszcząc talentami i wiodąc wspaniałą egzystencję w Wiedniu lub w Londynie...

– Niezupełnie, drogi panie, gilotynka za trzy dni.

Julian śmiał się serdecznie z tego wysoku humoru. – To prawda, człowiek ma w sobie dwie istoty – pomyślał. – Kiż diabłu wpadło do głowy uczynić tę złośliwą refleksję?

Więc dobrze, tak, mój przyjacielu, gilotynka za trzy dni -odpowiedział natrętowi. – De Cholin najmie okno do połowy z księdzem Maslon. Kiedy przyjdzie do zapłaty za najem, która z tych godnych osobistości orźnie drugą?

Nagle przypomniał mu się ustęp z *Wacława*, tragedii Rotrou.

WŁADYSŁAW

...dusza ma gotowa.

KRÓL, ojciec Władysława

I rusztowanie także: potoczy się głowa.

– Ładna odpowiedź! – pomyślał Julian otwierając błędne oczy. Myślał, że już jest w rękach kata.

Była to Matylda. – Szczęściem, nie zrozumiała mnie. – Ta refleksja wróciła Julianowi całą zimną krew. Matylda wydała mu się zmieniona niby po chorobie; była wręcz nie do poznania.

– Nikczemny Frilair zdradził mnie! – wołała łamiąc ręce; wściekłość dławiła jej mowę.

– Czy piękny byłem wczoraj, kiedym przemawiał? – odparł Julian. – Improvizowałem, i to pierwszy raz w życiu! Co prawda, zachodzi grube niebezpieczeństwo, że i ostatni.

W tej chwili Julian grał na uczuciach Matyldy z zimną krwią biegłego pianisty grającego na fortepianie... – Brak mi urodzenia, to prawda – dodał – ale wielka dusza Matyldy podniosła jej kochanka aż do siebie. Czy myślisz, że Bonifacy de la Mole lepiej się znalazł wobec sędziów?

Tego dnia biedna Matylda była serdeczna bez przesady, jak biedna szwaczka z poddasza, ale nie mogła wydobyć z niego prostego słowa. Oddawał jej bezwiednie udęczenie, jakie ona mu nieraz zadała.

– Nikt nie zna źródeł Nilu – mówił do siebie w duchu Julian – nie było dane oku człowieka widzieć króla rzek w postaci strumyka. Tak samo żadne oko nie ujrzy Juliana słabym, choćby dlatego, że nim nie jest. Ale serce moje łatwo podlega wzruszeniu; najprostsze słowo, jeśli jest powiedziane z akcentem szczerości, może zmiękczyć mój głos lub nawet wycisnąć łzy. Ileż razy wada ta ściągnęła na mnie wzgardę oschłych serc! Zdawało się im, że proszę o łaskę – tego nie można ścierpieć.

Powiadają, że wspomnienie żony wzruszyło Dantona u stóp rusztowania; ale Danton dał siłę narodowi trzpiotów i nie pozwolił wrogowi dotrzeć do Paryża... Ja sam tylko wiem, co bym zdołał uczynić... Dla innych przedstawiam co najwyżej BYĆ MOŻE.

Gdyby pani de Rênal była tu w miejsce Matyldy, czy mógłbym ręczyć za siebie? Bezmiar mej rozpacz i żalu uchodziłby w oczach Valenodów i wszystkich okolicznych patrycjuszów za niegodny lęk przed śmiercią; tak dumni są ci słabi ludzie, których majątek stawia powyżej pokus! Oto – powiedzieliby tacy Moirod i Cholin, którzy skazali mnie na śmierć – co znaczy urodzić się synem cieśli! Można zdobyć naukę, zręczność, a l e o d w a g a !...odwagi nie da się nauczyć. Nawet przy tej biednej Matyldzie, która płacze teraz lub raczej nie może już płakać – rzekł patrząc na jej czerwone oczy. I ucisnął ją; widok prawdziwej boleści przerwał nitkę rozumowań. Płakała całą noc – pomyślał – kiedyś jakże się będzie wstydzić tego wspomnienia! Uwierzy święcie, że młoda i niedoświadczona dała się odurzyć nikczemnym sofizmatom plebejusza... Croisenois jest dość słaby, aby ją zaślubić, i, na honor, dobrze uczyni! Matylda zrobi zeń wybitnego człowieka.

Mocą, jaką duch krzepki i w objęciu śmiały,  
Duszy zwykłych śmiertelnych narzuca ospalej.

Haha! To zabawne, od czasu jak mam umrzeć, wszystkie wiersze, jakie umiałem w życiu, przychodzą mi na pamięć. To musi być znak upadku sił.

Matylda powtarzała zgasłym głosem: – Jest tam, w sąsiednim pokoju. – Wreszcie zwrócił uwagę na jej słowa. – Głos zesłał – pomyślał – ale cały jej despotyczny charakter brzmi jeszcze w akcencie. Ścisza głos, aby nie wybuchnąć gniewem.

– Kto taki? – spytał łagodnie.

– Adwokat, przyniósł ci apelację do podpisu.

– Nie będę apelował.

– Jak to! Nie będziesz apelował – rzekła wstając z oczami błyszczącymi gniewem – i czemuż to, jeśli łaska?

– Temu, że w tej chwili czuję się zdolnym umrzeć nie narażając się zbytnio na śmieszność. A któż mi ręczy, że za dwa miesiące, po długim pobycie w tej wilgotnej kaźni, będę tak samo nastrojony? Przeczuję odwiedzin księży, ojca... Nie może być nic nieznośniejszego. Trzeba umierać.

Ten nieprzewidziany opór podrażnił do żywego wyniosłą Matyldę. Nie mogła się dostać do księdza Frilair przed godziną, w której otwiera się więzienie w Besançon; wściekłość jej spadła na Juliana. Ubóstwiała go, ale przez dobry kwadrans w złorzeczeniach jej na charakter Juliana, w żalach, że go pokochała, ujawniła się cała harda dusza, która niegdyś w bibliotece pałacowej obsypywała go tak dotkliwymi zniewagami.

– Dla chwały twego rodu niebo powinno było cię stworzyć mężczyzną – rzekł.

– Co do mnie jednak – myślał – byłbym głupi, gdybym się zgodził żyć jeszcze dwa miesiące w tej wstrętnej norze, wydany na pastwę bezeceństw i upokorzeń patrycjuszowskiej zgrai<sup>6</sup>, mając za jedyną pociechę złorzeczenia tej wariatki... Pojutrze rano tedy pojedynkuję się z człowiekiem znanym z zimnej krwi i znakomitej zręczności... Bardzo znakomitej – dodał głos Mefistofelesa – nie chyba nigdy.

Więc dobrze, niech będzie, doskonale (Matylda dalej roztaczała wymowę). Dalibóg, nie, nie będę apelował.

Powziąwszy to postanowienie, utonął w zadumie... – Listonosz przyniesie dziennik o szóstej, jak zazwyczaj; o ósmej, kiedy pan de Rênal go przeczyta, Eliza, stąpając na palcach,łoży go na jej łóżku. Później ona się obudzi; naraz czytając wstrząśnie się; ładna jej ręka zadrży; doczyta do tych słów: *P i ę ć m i n u t p o d z i e s i ą t e j p r z e s t a ł i s t n i e ć.*

Będzie płakała gorącymi łzami, znam ją, nic to, że chciałem ją zamordować; wszystkiego zapomni. Osoba, której chciałem wydrzeć życie, będzie jedyną, która zapłacze szczerze nad mą śmiercią.

Och! Cóż za przeciwieństwo! – myślał; i przez dobry kwadrans, który trwała jeszcze scena z Matyldą, dumął jedynie o pani de Rênal. Mimo woli, nawet odpowiadając na pytania Matyldy, nie mógł oderwać duszy od wspomnienia sypialni w Verrières. Widział be-sansońską gazetę na kołdrze z pomarańczowej tafty. Widział tę białą rękę ściskającą papier konwulsyjnym ruchem, widział panią de Rênal płaczącą... Śledził bieg każdej łzy na tej ślicznej twarzy.

Panna de la Mole, nie mogąc nic wydobyć z Juliana, wezwała adwokata. Był to, na szczęście, dawny kapitan armii włoskiej z roku 1796, gdzie był towarzyszem broni Manuela.

Dla formy zwalczał postanowienie skazańca. Julian pragnął mu okazać szacunek wyszczególnił swoje racje.

– Na honor, można rozumować i tak! – rzekł w końcu pan Felix Vanneau: było to nazwisko adwokata. – Ale masz pan trzy pełne dni czasu do apelacji i moim obowiązkiem jest zjawiać się tutaj co dzień. Gdyby wulkan otwarł się przed więzieniem w ciągu dwóch mie-

<sup>6</sup> To są myśli jakobina (przyp. autora).

sięcy, byłbyś pan ocalony. Może pan umrzeć z jakiej choroby – rzekł spoglądając na Juliana.

Julian uściskał mu rękę. – Dziękuję panu, jest pan dzielny człowiek. Pomyślę.

Kiedy Matylda wyszła wreszcie z adwokatem, czuł o wiele więcej sympatii do niego niż do niej.

## LXXIII

W godzinę później, gdy spał głęboko, obudziły go łzy spływające mu po ręce. – Ach, znowu Matylda? – pomyślał na wpół przebudzony. – Przychodzi, wierna swym poglądom, zwalczać tkliwością moje postanowienie. – Znudzony perspektywą patetycznej sceny, nie odwrócił oczu.

Usłyszał niezwykle westchnienie, otworzył oczy: była to pani de Rênal.

– Ach, widzę cię jeszcze przed śmiercią, czy to złuda? – wykrzyknął rzucając się jej do nóg. – Ale daruj mi, pani, w twoich oczach jestem tylko mordercą – rzekł natychmiast, opamiętując się.

– Panie Julianie, przychodzę błagać, abys apelował; wiem, że pan nie chce... – Szlochania zdławiły ją; nie mogła mówić.

– Racz mi pani przebaczyć.

– Jeśli chcesz, abym ci przebaczyła – rzekła wstając i rzucając mu się w objęcia – wnieś odwołanie od wyroku.

Julian okrywał ją pocałunkami.

– Będziesz mnie odwiedzała co dzień przez te dwa miesiące?

– Przysięgam ci! Co dzień, chyba że mąż mi zabroni.

– Podpisuję! – wykrzyknął Julian. – Jak to! Przebaczasz mi, czy podobna!

Tulił ją w ramionach, szalał. Wydała cichy okrzyk.

– To nic – rzekła – uraziłeś mnie.

– W ramię! – wykrzyknął Julian zalewając się łzami. Odsunął się nieco i okrywał jej ręce palącymi pocałunkami. – Kto by mi to powiedział ostatni raz, kiedy cię widziałem w twojej sypialni w Verrières?

– Kto by mi był powiedział wówczas, że napiszę do pana de la Mole ten bezecny list?

– Wiesz, że cię kochał zawsze, kochałem tylko ciebie.

– Czy podobna! – krzyknęła pani de Rênal w upojeniu. Wsparła się na Julianie, który klęczał u jej kolan; długo płakali w milczeniu.

W żadnej epoce życia Julian nie zaznał podobnej chwili.

Po długiej pauzie, kiedy mogli mówić, pani de Rênal rzekła:

– A ta młoda pani Michelet lub raczej panna de la Mole?... bo zaczynam wierzyć w tę dziwną powieść!

– Jest to prawda jedynie z pozoru – odparł Julian. – To moja żona, ale nie kochanka.

Przerywając sobie po sto razy wzajem, zdołali sobie wreszcie opowiedzieć z trudem to, czego nie wiedzieli. List do pana de la Mole napisał młody przewodnik duchowy pani de Rênal, po czym ona przepisała. – Do jakiejż ohydy popchnęła mnie religia! – mówiła. – A i tak załagodziłam najokropniejsze ustępy.

Szczęście Juliana dowodziło pani de Rênal, jak zupełnie jej przebaczył. Nigdy nie był tak oszalały miłością.

– Uważam się wszelako za pobożną – mówiła dalej pani de Rênal. – Wierzę szczerze w Boga; wierzę także, a nawet mam najgłębsze przekonanie, że zbrodnia, którą popełniam, jest okropna, a z chwilą kiedy cię widzę, nawet po tych dwóch strzałach...

Tutaj, mimo jej wzdragań, Julian okrył ją pocałunkami.

– Zostaw mnie – ciągnęła – chcę ci wszystko powiedzieć, inaczej boję się, że zapomnę...

– Z chwilą gdy cię widzę, wszystkie obowiązki znikają, jestem już tylko miłością dla ciebie lub raczej słowo miłość jest za słabe. Czuję dla ciebie to, co powinna bym czuć jedynie dla Boga: połączenie czci, miłości, posłuszeństwa... W istocie, ja nie wiem, co ty budzisz we mnie... Gdybyś mi kazał pchnąć dozorcę nożem, spełniłabym tę zbrodnię, nim bym się zdołała zastanowić. Wytlumacz mi dokładnie, nim się z tobą rozstanę, chcę czytać jasno w swoim sercu, bo za dwa miesiące rozstaniemy się... Słuchaj, czy się rozstaniemy? – rzekła z uśmiechem.

– Cofam słowo – rzekł Julian wstając – nie będę apelował od wyroku, jeśli trucizną, nożem, pistoletem, węglami lub jakim bądź sposobem będziesz się starała położyć koniec swemu życiu.

Fizjonomia pani de Rênal zmieniła się nagle; tkliwość ustąpiła miejsca głębokiej zadumie.

– A gdybyśmy umarli natychmiast? – rzekła wreszcie.

– Kto wie, co nas czeka w drugim życiu? – odparł Julian. – Może męki, może nic. Czyż nie możemy spędzić razem rozkosznych dwóch miesięcy? Dwa miesiące to dużo dni. Nigdy nie zaznałem takiego szczęścia!

– Nigdy nie zaznałeś takiego szczęścia!

– Nigdy – powtórzył Julian w upojeniu – mówię do ciebie tak, jakbym mówił do samego siebie. Niech mnie Bóg strzeże od przesady.

– Takie słowa to dla mnie rozkaz – rzekła nieśmiało z melancholijnym uśmiechem.

– A zatem przysięgasz na swą miłość dla mnie nie targnąc się na swoje życie bezpośrednio ani pośrednio... Pomyśl – dodał – trzeba, abyś żyła dla mego syna, którego Matylda porzuci na łaskę lokajów, z chwilą gdy zostanie margrabiną de Croisenois.

– Przysięgam – rzekła chłodno – ale chcę mieć twoją apelację napisaną i podpisaną własną ręką. Pójdę sama do prezydenta sądu.

– Uważaj, narażasz się.

– Po mej bytności u ciebie w więzieniu jestem na zawsze dla całego Besançon i okolicy pastwą języków – rzekła z głębokim smutkiem. – Przekroczyłam granice surowej cnoty, honor mój stracony; prawda, że to dla ciebie.

W głosie jej było tyle smutku, że Julian uściskał ją z nie znanym dotąd wzruszeniem. Nie było to już pijaństwo miłości; była to bezmierna wdzięczność. Pierwszy raz ogarnął rozmiar jej poświęcenia.

Jakaś miłosierna dusza powiadomiła bez wątpienia pana de Rênal o długich godzinach, jakie żona spędza w celi Juliana; po trzech dniach przysłał po nią powóz ze stanowczym rozkazem powrotu.

Ta okrutna rozłąka źle rozpoczęła dzień dla Juliana. Powiadomiono go w parę godzin później, że jakiś klecha-intrygant, który wszelako nie zdołał się wybić wśród jezuitów w Besançon, usadowił się od rana pod bramą więzienia, na ulicy. Padał silny deszcz, człowiek



ten chciał odgrywać rolę męczennika. Julian był podrażniony, głupstwo to wzburzyło go mocno.

Rano już odmówił przyjęcia tego księdza, ale klecha wbił sobie w głowę, że wyspowiada Juliana i zdobędzie sobie reputację między damulkami w Besançon za pomocą zwierzeń, które rzekomo wydobędzie ze skazańca.

Oświadczał głośno, że spędzi dzień i noc u bram więzienia.

– Bóg mnie posyła, abym wzruszył serce tego nowego apostaty. – I pospólstwo, zawsze chciwe widowiska, zaczynało się gromadzić.

– Tak, bracia – mówił – spędzę tu dzień, noc i następne dni, i wszystkie noce. Duch Święty przemówił do mnie, mam posłannictwo z góry: mnie przeznaczone jest zbawić duszę młodego Sorel. Połączcie się z moją modlitwą etc.

Julian miał wstręt do skandalu i do wszystkiego, co mogło nań ściągnąć uwagę. Zamierzał uchwycić sposobną chwilę, aby się wynieść ze świata incognito, ale miał nadzieję ujrzeć jeszcze panią de Rênal, którą kochał bez pamięci.

Brama więzienna wychodziła na jedną z uczęszczanych ulic. Myśl o tym zabłoconym klesze, powodującym zbiegowisko i skandal, dręczyła go. – Do tego, bez wątpienia, raz po raz powtarza moje nazwisko! – Chwila ta była przykrzejsza niż śmierć...

Wołał parę razy odźwiernego, który był mu oddany, i wysyłał go dla sprawdzenia, czy ksiądz stoi jeszcze u drzwi więzienia.

– Proszę pana, klęczy w błocie – powiadał za każdym razem odźwierny – modli się głośno i odmawia litanie za pańską duszę. – Błazen! – pomyślał Julian. Równocześnie usłyszał głuchoe buczenie: to lud odpowiadał na inwokacje litanii. Do ostateczności doprowadziło go, iż ujrzał, że sam odźwierny porusza wargami, powtarzając łacińskie słowa.

– Zaczynają gadać – dodał odźwierny – że pan musi mieć bardzo zatwardziałe serce, aby odrzucać duchową pomoc tego świętego człowieka.

– O moja ojczyzno! Jakaś ty jest barbarzyńska! – wykrzyknął Julian, pijany z gniewu. I dalej mówił z sobą głośno, nie troszcząc się o odźwiernego: – Ten klecha pragnie mieć artykuł w dzienniku, i będzie go miał na pewno. A, przeklęta prowincja! W Paryżu nie byłbym narażony na te utrapienia. Tam szarlataneria posunęła się wyżej.

– Wpuścić tego świętego kapłana! – rzekł wreszcie. Pot spływał mu z czoła. Odźwierny uczynił znak krzyża i wyszedł z widocznym zadowoleniem.

Świątobliwy ksiądz był bardzo szpetny, a jeszcze bardziej niechlujny. Zimny deszcz, który padał, zwiększał mrok i wilgoć więzienia. Ksiądz chciał uściskać Juliana i zaczął się głośno rozczulać. Obłuda najniższego gatunku przebijała zbyt wyraźnie; w życiu swoim Julian nie był tak wściekły.

W kwadrans po wejściu księdza Julian czuł się zupełnym tchórzem. Pierwszy raz śmierć wydała mu się straszna. Myślał o stanie zgnilizny, w jakim znajdzie się jego ciało w dwa dni po straceniu etc., etc.

Miał już się zdradzić jakimś odruchem słabości lub też rzucić się na księdza i udusić go swym łańcuchem, kiedy przyszło mu do głowy poprosić świętego człowieka o odmówienie zań porządnej mszy za czterdzieści franków, tegoż samego dnia.

Było blisko południa, ksiądz pomknął.

## LXXIV

Po jego wyjściu Julian długo płakał; i płakał, że umiera. Czuł, że gdyby pani de Rênal była w Besançon, wyznałby jej swą słabość...

W chwili gdy najbardziej żałował nieobecności tej ubóstwianej kobiety, usłyszał kroki Matyldy.

– Najgorsze z niedoli więzienia – pomyślał – to, że nie można się zamknąć. – Wszystko, co mówiła Matylda, drażniło go tylko.

Opowiedziała mu, iż w dzień sądu Valenod mając w kieszeni nominację na prefekta ośmielił się zadzwonić z księdza de Frilair i zrobił sobie tę przyjemność, aby skazać na śmierć Juliana.

– Cóż za pomysł miał Julian, mówił mi ksiądz de Frilair, aby jątrzyć i zaczepiać drobną próżność tej m i e s z c z a ń s k i e j a r y s t o k r a c j i ! Po co mówić o k a ś c i e ? Wskazał im, co powinni uczynić we własnym interesie; te dudki nie myślały o tym i gotowe były rozbeczeć się. Ten i n t e r e s k a s t y przesłonił w ich oczach zupełnie grozę skazania. Trzeba przyznać, że pan Sorel jest wielkim nowicjuszem w dyplomacji. Jeśli nie zdołamy go ocalić w drodze łaski, śmierć jego będzie po prostu s a m o b ó j s t w e m...

Matylda nie powiedziała Julianowi tego, czego sama nie domyślała się jeszcze, mianowicie, że ksiądz de Frilair, mając Juliana za straconego, uważał za pożyteczne dla swej ambicji starać się o jego następstwo...

– Idź wysłuchać za mnie mszy! – zawołał Julian, prawie nieprzytomny z bezsilnego gniewu i podrażnienia. – I zostaw mnie w spokoju. Matylda, już zazdrosna o odwiedziny pani de Rênal i wiedząc o jej wyjeździe, zrozumiała przyczynę rozdrażnienia Juliana; rozpłakała się.

Boleść jej była prawdziwa; Julian widział to i drażniło go to tym więcej. Czuł nieprzepartą potrzebę samotności: jak ją uzyskać?

W końcu Matylda, wyczerpawszy wszelkie perswazje, aby go wzruszyć, zostawiła Juliana samego, ale prawie w tej samej chwili zjawił się Fouqué.

– Potrzebuję być sam... – rzekł do wiernego przyjaciela. Widząc zaś jego wahania, dodał: – Obmyślam memoriał do prośby o ułaskawienie... zresztą... zrób mi tę przyjemność, nie mów mi nigdy o śmierci. Jeśli będę potrzebował w ten dzień szczególniejszych usług, pozwól, abym sam się o nie zwrócił.

Skoro Julian wywalczył sobie wreszcie samotność, uczuł większe jeszcze przygnębienie i lęk niż wprzód. Niewiele sił, jakie pozostały jeszcze tej wycieńczonej duszy, wyczerpał na ukrywanie swego stanu przed panną de la Mole i Fouqué.

Nad wieczorem pocieszyła go jedna myśl:

– Gdyby tego rana, w chwili gdy śmierć wydawała mi się tak szpetna, oznajmiono mi o egzekucji, o k o p u b l i c z n o ś c i s t a ł o b y s i ę b o d ź c e m a m b i c j i. Może krok mój miałby coś sztywnego, jak krok nieśmiałego eleganta, gdy wchodzi do salonu. Paru ludzi bystrych, o ile tacy zdarzają się na prowincji – mogłoby się domyślić mej słabości... ale nikt by j e j n i e w i d z i a ł.

Czuł, że brzemień jego stało się lżejsze. – Jestem w tej chwili tchórzem – powtarzał sobie nucąc – ale nikt się o tym nie dowie.

Jeszcze przykrzejsze zajście oczekiwało go nazajutrz. Od dawna ojciec zapowiadał swoje odwiedziny, tego dnia, przed zbudzeniem się Juliana, stary cieśla o białych włosach zjawił się w kaźni.

Julian doznał uczucia niemocy, spodziewał się najdotkliwszych wyrzutów. Dla dopełnienia przykrości, tego rana doznawał ostrego żalu, że nie kocha ojca.

– Przypadek pomieścił nas obok siebie na ziemi – powiadał sobie, gdy odzwierny sprzątał z grubsza celę – i wyrządziliśmy sobie mniej więcej wszystko możliwe zło. Przybywa w chwili śmierci zadać mi ostateczny cios.

Skoro znaleźli się bez świadków, starzec rozpoczął surowe wyrzuty.

Julian nie mógł wstrzymać łez. – Cóż za niegodna słabość! – mówił sobie wściekły. – Będzie rozgłaszał przesadnie mój brak odwagi; coś za triumf dla Valenodów i dla wszystkich płażów rządzących w Verrières! Są we Francji potęgą, jednoczą wszystkie przewagi społeczne. Dotąd mogłem sobie bodaj powiedzieć: oni mają pieniądze, to prawda, wszystkie zaszczyty spływają na nich, ale ja mam szlachectwo duszy.

I oto świadek, któremu wszyscy uwierzą, będzie świadczył w całym Verrières, ba, z przesadą, że byłem słaby w obliczu śmierci! Okażę się tchórzem w tej próbie, którą wszyscy zdolni są ocenić!

Julian był bliski rozpacz. Nie wiedział, jak się pozbyć ojca. Udawać zaś tak, aby oszukać przenikliwego starca, było w tej chwili nad jego siły.

Umysł jego przebiegał wszystkie możliwości. – M a m t r o c h ę o s z c z ę d z o n e g o g r o s z a ! – wykrzyknął nagle.

To genialne odezwanie się zmieniło fizjonomię starca i położenie Juliana.

– Jak mam tym rozporządzić? – ciągnął Julian spokojniej. Wrażenie, jakie wywarł, odjęło mu wszelkie poczucie niższości.

Stary cieśla płażał żądzą niewypuszczenia z rąk tych pieniędzy; Julian przebąkiwał coś o przekazaniu ich części braciom. Mówił długo i z ogniem. Julian bawił się w duchu.

– Zatem Bóg pokierował w ten sposób mą ostatnią wolą; dam po tysiąc franków każdemu z braci, a resztę tobie, ojczu.

– Doskonale – rzekł starzec – ta reszta słusznie mi się należy; ale skoro Bóg okazał tę łaskę i wzruszył twoje serce, tedy jeśli chcesz umrzeć jak dobry chrześcijanin, powinieneś spłacić długi. Zalegają jeszcze koszta twego żywienia i wychowania, na które łożyłem; o tym nie myślisz...

– Oto miłość ojcowska! – powtarzał sobie Julian z goryczą, zostawszy sam. Niebawem zjawił się dozorca.

– Mój dobry panie, po odwiedzinach rodziców przynoszę zawsze moim klientom flaszkę szampańskiego. Trochę to drogie, sześć franków butelka, ale skrzepia człowiekowi serce.

– Przynieście trzy szklanki – rzekł Julian z dziecinnym zadowoleniem – i wpuście dwóch więźniów z gromadki, która przechadza się po korytarzu.

Dozorca wprowadził dwóch recydywistów gotujących się wrócić na galery. Byli to zbrodniarze bardzo weseli i w istocie niepospolici sprytem, odwagą i zimną krwią.

– Jeśli mi pan da dwadzieścia franków – rzeki jeden – opowiem panu szczegółowo swoje życie. Caca!

– Będziesz zmyślał? – rzekł Julian.

– O, n i – odparł – mój kompan, który zazdrości mi tych dwudziestu franków, wydałby mnie, gdybym coś przyłgał.

Historia zbrodniarza była straszna. Przebijało w niej mężne serce, w którym istniała już tylko jedna namiętność: pieniądz.

Po ich odejściu Julian był nie tym samym człowiekiem.

Wszelki gniew na samego siebie ścichł. Okrutny ból, zatruty lękiem, który go nękał od rozstania z panią de Rênal, obrócił się w melancholię.

– W miarę, jak bym się nauczył jasno czytać w pozorach – powiadał sobie – ujrzałbym, że salony paryskie zaludnione są uczciwymi ludźmi jak mój ojciec lub zręcznymi łajdakami jak ci galernicy. Mają słuszność, nigdy mieszkańcy salonów nie budzą się rano z tą przesywającą myślą: Skąd wezmę dziś na obiad? I wysławiają swoją uczciwość, i powołani na sędziów przysięgłych, skazują dumnie człowieka, który ukradł srebrną łyżkę dlatego, że omdlewał z głodu.

Ale jeśli wchodzi w grę dwóch, jeśli chodzi o to, aby zdobyć lub postradać tekę, uczciwi salonowcy popełniają zbrodnie zupełnie podobne do owych, jakie konieczność zdobycia obiadu podsunęła tym dwom galernikom.

Nie ma żadnego p r a w a n a t u r a l n e g o : to słowo jest jedynie starożytnym bzdurstwem godnym prokuratora, który prowadził na mnie obławę, a którego pradziad wzbogacił się konfiskatą za Ludwika XIV. Istnieje p r a w o jedynie o tyle, o ile istnieje ustawa zabraniająca czynić taką a taką rzecz pod grozą kary. Przed prawem n a t u r a l n a jest jedynie siła lwa lub potrzeba istoty, której chce się jeść, której jest zimno, jednym słowem, p o t r z e b a... Nie, ludzie szanowni to jedynie hultaje, którzy mieli to szczęście, że ich nie schwytano na gorącym uczynku. Oskarżyciel, którego społeczeństwo wypuszcza na mnie, czerpie zyski z bezceństwa... Ja popełniłem morderstwo i skazano mnie słusznie, ale z wyjątkiem tego jednego postępkę, Valenod, który mnie skazał, jest sto razy szkodliwszy dla społeczeństwa.

Tak! – dodał Julian smutnie, ale bez gniewu – mimo swej chciwości ojciec mój wart jest więcej niż oni wszyscy. Nigdy mnie nie kochał. Dopelniałem miary bezczeszcząc go haniebną śmiercią. Ta obawa braku pieniędzy, to przesadne pojęcie o niegodziwości ludzkiej, które zowie się s k n e r s t w e m, ukazuje mu potężny środek pociechy i bezpieczeństwa w sumie kilkuset ludwików, które mogę mu zostawić. Którejś niedzieli po obiedzie pokaże owo złoto zawistnym sąsiadom. Za tę cenę – powie im jego spojrzenie – któryż z was nie ujrzałby z radością syna na rusztowaniu?

Filozofia ta mogła być prawdziwa, ale była zarazem taka, że mogła obudzić pragnienie śmierci. W ten sposób upłynęło pięć długich dni. Julian był łagodny i grzeczny dla Matylidy, którą pożerała straszliwa zazdrość. Jednego wieczora Julian myślał serio o tym, aby sobie zadać śmierć. Cierpienie, w które wtrącił go wyjazd pani de Rênal, wyczerpało jego duszę. Nic nie miało już dlań powabu ani w życiu, ani w wyobraźni. Brak ruchu zaczynał podkopywać jego zdrowie, rodził w nim egzaltację i słabość niemieckiego studenta. Tracił tę męską hardość, która energiczną klątwą odpycha niewczesne myśli oblegające duszę nieszczęśliwych.

– Kochałem prawdę... Gdzie ona?... Wszędzie obłuda lub bodaj szarlataneria u najcnocliwszych, nawet u największych... – tu skrzywił się z niesmakiem. – Nie, człowiek nie może zwierzyć się człowiekowi.

Pani de \*\*\*, kwestując dla biednych sierot, mówiła mi, że pewien książę dał jej dziesięć ludwików: kłamstwo. Ale co mówię? Napoleon na Wyspie Świętej Heleny! Ta proklamacja na rzecz króla rzymskiego: czysta szarlataneria.

Wielki Boże! Jeśli taki człowiek, i to w chwili gdy nieszczęście powinno by go surowo przywołać do obowiązku, zniża się do szarlatanerii, czegoż można się spodziewać od reszty?...

Gdzie prawda? W religii... Tak – dodał z gorzkim uśmiechem bezmiernej wzdardy – w ustach takiego Maslon, Frilair, Castanède... Może w prawdziwym chrystianizmie, gdzie księży nie byli płatni, jak nie byli płatni apostołowie?... Ale święty Paweł był płatny przyjemnością rozkazywania, mówienia, rozgłosu...

Ha! Gdyby istniała prawdziwa religia... Ja, głupiec, widzę gotycką katedrę, czcigodne witraże, moje słabe serce uzmysławia sobie kapłana z tych witraży... Dusza moja zrozumiałaby go, dusza moja potrzebuje go... Znajduję jedynie niechlujnego pajaca, coś w rodzaju kawalera de Beauvoisis bez jego wykwintu...

Ale prawdziwego kapłana, jakiegoś Massilona, Fénelona... Massilon wyświęcił księdza Dubois. *Pamiętniki Saint-Simona* zepsuły mi Fénelona – ale wreszcie prawdziwego kapłana... Wówczas tkliwe dusze miałyby punkt zborny. Nie bylibyśmy samotni... Ten dobry kapłan mówiłby nam o Bogu. Ale o jakim Bogu? Nie owym z Biblii, małostkowym, okrutnym, dyszącym zemstą despocie... ale o Bogu Woltera, sprawiedliwym, dobrym, nieskończonym...

Kłębily mi się w głowie ustępy z Biblii, którą umiał na pamięć... – Ale w jaki sposób, z chwilą gdy ludzie zbiorą się we trzech, uwierzyć w to wielkie imię: Bóg, po straszliwych nadużyciach, jakich dopuszczają się z nim księży?

Żyć samotnie!... Co za męczarnia!...

Staję się szalony i niesprawiedliwy! – zawołał Julian uderzając się w czoło. – Jestem samotny tu w więzieniu, ale nie żyłem samotnie na ziemi; miałem silne poczucie obowiązku. Obowiązek, jaki sobie nakreśliłem, źle czy dobrze pojęty... był niby pień drzewa, o które opierałem się podczas burzy, chwiałem się, wahałem. Ostatecznie, byłem tylko człowiekiem... ale nie dałem się porwać.

To wilgotne powietrze kaźni zbudziło we mnie myśli o osamotnieniu.

Po cóż jeszcze być hipokrytą, zlorzecząc hipokryzji? To nie śmierć ani więzienie, ani wilgoć – to brak pani de Rênal mnie gnębi. Gdybym w Verrières musiał żyć całe tygodnie w piwnicy, aby ją widzieć, czyżbym się skarżył?

Duch epoki działa we mnie – rzekł głośno z gorzkim uśmiechem. – Mówiąc sam ze sobą, o dwa kroki od śmierci, jeszcze jestem hipokrytą... O wieku dziewiętnastym!

Myśliwiec strzela z fuzji w lesie, zdobycz spada, on rzuca się, aby ją pochwycić. But jego depce mrowisko wysokie na dwie stopy, niszczy mieszkanie mrówek, rozrzuca mrówki, ich jaja... Najwięksi filozofowie wśród mrówek nie zdołają nigdy zrozumieć tego czarnego, olbrzymiego przerażającego ciała: buta myśliwca, który nagle wpadł do ich mieszkania z nieopisaną chyżością, poprzedzany straszliwym hałasem oraz migotaniem czerwonego ognia.

Tak samo śmierć, życie, wieczność, rzeczy bardzo proste dla kogoś, kto by miał organa dość pojemne, aby je ogarnąć...

Leciuchna łąka rodzi się w upalny dzień o dziewiątej rano, aby umrzeć o piątej wieczór; w jaki sposób rozumiałaby słowo *n o c* ?

Dajcie jej jeszcze pięć godzin, a ujrzy i zrozumie, co to jest noc.

Tak i ja umrę w dwudziestym trzecim roku. Dajcie mi pięć lat jeszcze, aby żyć z panią de Rênal...

Zaczął się śmiać śmiechem Mefistofelesa. – Co za szaleństwo roztrząsać te wielkie zagadnienia!

*Primo*: Jestem hipokrytą, jak gdyby ktoś mógł mnie słyszeć.

*Secundo*: Zapominam żyć i kochać wówczas, gdy mi zostaje tak niewiele dni... Niestety! Pani de Rênal nie ma; może mąż nie pozwoli jej już wrócić do Besançon i szargać w dalszym ciągu swej czci.

Oto przyczyna osamotnienia, nie zaś brak sprawiedliwego, dobrego, wszechmogącego Boga, wolnego od złości, nie łaknącego pomsty...

Ha! gdyby istniał!... och, padłbym do jego stóp! Zasłużyłem na śmierć – powiedziałbym – ale, o wielki, dobry, łaskawy Boże, oddaj mi tę, którą kocham!

Była późna noc. Po paru godzinach spokojnego snu zbudził go Fouqué.

Julian czuł się silny i zdecydowany, jak człowiek, który widzi jasno w swej duszy.

## LXXV

– Nie mogę wypłatać zacnemu księdzu Chas-Bernard tego figla, aby go wzywać – rzekł do Fouquégo – biedaczysko nie mógłby trzy dni jeść obiadu. Ale staraj się znaleźć jakiegoś jansenistę, przyjaciela księdza Pirard i nie należącego do kliku.

Fouqué czekał z niecierpliwością tego wynurzenia, Julian dopełnił przyzwoicie wszystkich obowiązków, jakie na prowincji człowiek jest winien opinii. Dzięki księdzu de Frilair, mimo złego wyboru spowiednika, Julian był w swej kaźni protegowanym kongregacji; gdyby miał więcej sprytu, mógłby się wymknąć. Ale zatrute powietrze więzienia wywierało swój skutek; inteligencja słabła. Tym radośniej odczuł powrót pani de Rênal.

– Mój pierwszy obowiązek to ty – rzekła ściskając go. – Uciekłam z Verrières...

Julian nie miał wobec niej małości ambicji; opowiedział wszystkie swoje słabości. Była dlań dobra i słodka.

Wieczorem, ledwie opuściwszy więzienie, sprowadziła do ciotki owego księdza, który rzucił się na Juliana niby na żer; ponieważ marzeniem klechy było wcisnąć się w łaski młodych pań z wyższego towarzystwa, pani de Rênal skłoniła go z łatwością, aby się udał odprawić nowennę w Bray-le-Haut.

Żadne słowo nie zdoła wyrazić upojeń, szału miłości Juliana.

Przy pomocy złota, posługując się na wszystkie strony nazwiskiem ciotki, osoby bogatej i znanej z dewocji, pani de Rênal uzyskała wstęp do więzienia dwa razy dziennie.

Kiedy Matylda dowiedziała się o tym, zazdrość jej doszła do obłędu. Ksiądz de Frilair powiedział jej wręcz, że wpływy jego nie sięgają tak daleko, aby depcąc pozory mógł się jej wystarać o prawo odwiedzania kochanka więcej niż raz dziennie. Matylda kazała śledzić panią de Rênal, chciała znać każdy jej krok. Ksiądz de Frilair rozwijał wszystkie zasoby zręczności, aby dowieść pannie de la Mole, że Julian jest jej niegodny.

Wśród tych udręczeń kochała go tym bardziej i co dzień prawie robiła mu straszne sceny.

Julian dokładał wysiłków, aby do końca zachować się poprawnie wobec biednej dziewczyny, którą tak bardzo naraził, ale co chwila ponosiła go szalona miłość do pani de Rênal. Kiedy za pomocą nieszczęsnych perswazji nie mógł przekonać Matyldy o niewinności odwiedzin rywalki, powiadał sobie: – Ostatecznie koniec dramatu jest już bliski, niech mi to posłuży za wymówkę, jeśli nie umiem lepiej udawać.

Panna de la Mole dowiedziała się o śmierci margrabiego de Croisenois. Pan de Thaler, ów bogacz, pozwolił sobie na niewłaściwą uwagę z powodu zniknięcia Matyldy: Croise-

nois poprosił go, aby ją odwołał: Thaler pokazał mu anonimowe listy zawierające tak kunsztownie zestawione szczegóły, że niepodobna było biednemu margrabiemu nie dojrzeć prawdy.

Pan de Thaler pozwolił sobie na grube zarciki. Pijany bólem i wściekłością, Croisenois zażądał tak ciężkiego zadośćuczynienia, że milioner wołał pojedynek. Głupota odniosła triumf; jeden z ludzi najgodniejszych miłości znalazł śmierć w dwudziestym czwartym roku życia.

Śmierć ta wywarła dziwny i chorobliwy wpływ na zwątloną duszę Juliana.

– Biedny Croisenois – rzekł – był to w istocie rozsądny i zacny człowiek; mógł mnie znienawidzić wówczas, kiedy w salonie matki dopuszczałaś się dla mnie takich nietaktów, mógł szukać ze mną zwady. Nienawiść, która następuje po wzgardzie, bywa zazwyczaj wściekła.

Śmierć pana de Croisenois zmieniała wszystkie poglądy Juliana na przyszłość Matyldy; przez kilka dni dowodził jej, że powinna przyjąć pana de Luz. Jest to człowiek nieśmiały, nie nadto jezuita, z pewnością się wybiję. Ambitniejszy od pana de Croisenois, nie posiadający mitry w rodzie nie będzie się wzdrygał przed małżeństwem z wdową po Julianie Sorel.

– I to z wdową, która gardzi wielką miłością – odparła zimno Matylda – dożyła bowiem tego, iż po pół roku kochanek jej przełożył nad nią inną kobietę, sprawczynię wszystkich ich nieszczęść.

– Jesteś niesprawiedliwa. Odwiedziny pani de Rênal to świetna broń dla paryskiego adwokata, który będzie prowadził apelację; odmaluje obraz mordercy otoczonego staraniami swej ofiary. To może wyrzucić wrażenie, kiedyś może ujrzysz mnie bohaterem jakiego melodramatu etc., etc.

Wściekłość i bezsilna zazdrość, poczucie nieszczęścia bez nadziei (przypuściwszy nawet ułaskawienie Juliana, jak odzyskać jego serce?), wstyd, ból, że bardziej niż kiedykolwiek kocha niewiernego, wtrąciły pannę de la Mole w ponure milczenie, z którego nie mogły jej wyrwać ani nadskakiwania księdza de Frilair, ani szorstka szczerłość Fouquégo.

Co się tyczy Juliana, z wyjątkiem chwil, które mu zagarniała Matylda, żył miłością, prawie nie myśląc o przyszłości. Dzięki osobliwemu działaniu tego uczucia, wówczas gdy jest bardzo silne i szczerze, pani de Rênal podzielała niemal jego beztroskę i pogodę.

– Niegdyś – mówił Julian – kiedy mogłem być tak szczęśliwy w czasie naszych przechadzek po lasach Vergy, ambitna wyobraźnia wiodła mą duszę w urojone krainy. Miast przyciskać do serca to cudne ramię, które było tak blisko moich warg, rwałem się w przyszłość, duchem byłem w odmęcie walk, które mi trzeba było stoczyć, aby zbudować olbrzymią fortunę... Umarłbym, nie zaznawszy szczęścia, gdybyś mnie nie odwiedziła w tym więzieniu.

Dwa wypadki zmały to spokojne życie. Spowiednik Juliana, mimo iż jansenista, nie zdołał się uchronić od wpływu jezuitów i bezwiednie stał się ich narzędziem.

Oświadczył mu jednego dnia, iż o ile nie chce popaść w okropny grzech samobójstwa, winien użyć wszelkich środków, aby zyskać ułaskawienie. Zważywszy tedy, że duchowieństwo posiada wielkie wpływy w Paryżu, nastęcza się taki sposób; trzeba się nawrócić z wielką ostentacją.

– Z ostentacją! – powtórzył Julian. – Ha! i ty zatem, ojczy, odgrywasz komedię godną misjonarza...

– Wiek twój – odparł poważnie jansenista – wdzięczna powierzchowność, jaką otrzymałeś od Opatrzności, niezrozumiała dotąd pobudka zbrodni, heroiczne wysiłki panny de la Mole dla twego ocalenia, wszystko wreszcie, nawet ta zdumiewająca przyjaźń, jaką okazuje ci twoja ofiara, wszystko uczyniło z ciebie bożyszcze kobiet w Besançon. Wszystkiego zapomniały dla ciebie, nawet polityki...



Twoje nawrócenie znalazłoby echo w sercach i sprawiłoby głębokie wrażenie. Możesz oddać nieoszacowane usługi religii; i ja miałbym się wahać dla tej błahej racji, że jezuita obraliby tę samą drogę! Tak więc, nawet w tym odosobnionym wypadku, który umyka się ich zachłanności, mieliby wyrządzić szkodę! Nie, to być nie powinno... Łzy wyciśnięte twoim nawróceniem przekreślą zgubny wpływ dziesięciu wydań Woltera.

– A co mi zostanie – odparł zimno Julian – jeśli będę musiał gardzić samym sobą? Byłem ambitny, nie wyrzucam sobie tego, postępowałem zgodnie z duchem epoki. Obecnie żyję z dnia na dzień, ale czułbym się bardzo nieszczęśliwy, gdybym się zniżył do podłości...

Drugie wydarzenie, o wiele dotkliwsze dla Juliana, spowodowała pani de Rênal. Jakaś chytra przyjaciółka zdołała przekonać tę naiwną duszę, że powinna jechać do Saint-Cloud rzucić się do kolan króla.

Zdobyła się na ofiarę rozstania z Julianem; po takim wysiłku przykrość uczynienia z siebie publicznego widowiska, która w innych okolicznościach wydałaby się jej gorsza niż śmierć, była niczym w jej oczach.

– Pójdę do króla, powiem głośno, że jesteś moim kochankiem; życie człowieka, i to takiego człowieka jak Julian, powinno przeważać wszystkie względy. Powiem, że przez zażdrość targnęłaś się na moje życie. Są liczne przykłady, że w takich wypadkach nieszczęśliwi młodzi ludzie uzyskiwali łaskę przysięgłych lub króla...

– Nie chcę cię widzieć, zabronię cię wpuszczać do więzienia! -wykrzyknął Julian. – I możesz być pewna, że nazajutrz zabiję się z rozpacz, jeśli nie przysięgniesz poniechać wszelkiego kroku, który by nas wydał na łup gawiedzi. To nie twój pomysł ta jazda do Paryża. Powiedz, co za intrygantka podsunęła ci go?...

Używajmy szczęścia przez tę resztę krótkiego życia. Skryjmy nasze istnienie; zbrodnia moja jest aż nazbyt oczywista. Panna de la Mole ma w Paryżu olbrzymie stosunki, bądź pewna, że robi, co tylko w ludzkiej mocy. Tu, na prowincji, mam przeciw sobie wszystko, co zamożne i wpływowe. Krok twój podrażniłby jeszcze tych bogatych, a zwłaszcza statecznych ludzi, dla których życie jest tak łatwe... Nie narażajmy się na śmiech Maslonów, Valenodów i tysiąca lepszych może nieco.

Duszne powietrze kaźni stało się Julianowi nie do zniesienia. Szczęściem w dniu, w którym oznajmiono mu, że trzeba umierać, słońce złociło pięknie przyrodę. Julian zaś miał przyływ odwagi. Przechadzka po świeżym powietrzu była dlań rozkoszą, jak przechadzka po łądzie dla żeglarza, który był długo na morzu. – Wszystko idzie dobrze – myślał – odwaga mnie nie zawiodła.

Nigdy ta głowa nie była równie poetyczna, jak w chwili gdy miała upaść. Słodkie chwile, których kosztował niegdyś w lasach Vergy, cisnęły się tłumnie i z niezwykłą siłą w jego myślach.

Wszystko odbyło się po prostu, przyzwoicie, bez najmniejszej przesady z jego strony.

Dwa dni wprzód rzekł do Fouquégo: – Co się tyczy wzruszenia, za to nie mogę ręczyć; ta szpetna, wilgotna cela nabawiła mnie jakiejś gorączki, w której nie poznaję sam siebie; ale to pewna, że nikt nie ujrzy, bym pobrał ze strachu.

Zarządził zawczasu, aby rankiem ostatniego dnia Fouqué wywiózł Matyldę i panią de Rênal.

– Wsadź je do jednej karety – mówił. – Każ, niech pocztynion puści się z miejsca galopem. Padną sobie w ramiona albo też zmierną się wzrokiem nienawiści. Tak czy tak, biedne kobiety znajdą chwilową ulgę w swej boleści.

Julian wymógł na pani de Rênal przysięgę, że będzie żyła, aby się zająć synem Matyldy.

– Kto wie? Może doznajemy wrażeń po śmierci? – mówił raz do Fouquégo. – Lubiłbym spoczywać, tak, spoczywać to właściwe słowo, w małej grocie, tam, na górze nad Verrières. Niejeden raz opowiadałem ci to, schowawszy się na noc do tej groty, obejmując okiem

najbogatsze okolice Francji czułem w sercu płomień ambicji; wówczas żyłem tą namiętnością... Słowem, kocham tę grotę... to fakt, że położenie jej zdolne jest obudzić zazdrość w duszy filozofa... Słuchaj, ta poczciwa kongregacja wybije monetę ze wszystkiego: jeśli się dobrze zakęcisz, sprzedadzą ci moje zwłoki...

Fouqué przeprowadził pomyślnie ten smutny handel. Spędził noc samotnie w swoim pokoju, czuwając przy zwłokach przyjaciela, naraz, ku jego zdumieniu, zjawiała się Matyllda. Przed kilku godzinami zostawił ją o dziesięć mil od Besançon. Oczy miała błędne.

– Chcę go zobaczyć – rzekła.

Fouqué nie miał siły, aby przemówić lub wstać. Wskazał palcem wielki niebieski płaszcz na podłodze; w nim było zawinięte to, co zostało z Juliana.

Padła na kolana. Wspomnienie Bonifacego de la Mole i Małgorzaty Nawarskiej wlało w nią snadź nadludzkie męstwo. Drżącymi rękami rozchyliła płaszcz. Fouqué odwrócił oczy.

Usłyszał, że Matyllda chodzi żywo po pokoju. Zapaliła kilka świec. Skoro Fouqué zdobył się na to, aby na nią spojrzeć, ujrzał, że umieściła przed sobą na marmurowym stoliku głowę Juliana i całowała ją w czoło...

Matyllda odprowadziła kochanka do grobu, który sobie wybrał. Sznur księży poprzedzał trumnę, ona zaś, bez niczyjej wiedzy, w powozie okrytym kirem, wiozła na kolanach głowę człowieka, którego kochała.

Skoro przybyli na szczyt jednej z wyniosłych gór łańcucha Jura, w nocy, w grocie, wspaniale iluminowanej niezliczoną mnogością świec, dwudziestu księży odprawiło mszę żałobną. Mieszkańcy wiosek górskich, przez które przechodził kondukt, udali się za nim, zwabieni niezwykłością obrzędu.

Matyllda ukazała się w długiej żałobnej szacie i po skończeniu ceremonii kazała rozrzucić między lud kilka tysięcy pięciofrankówek.

Zostawszy sama z Fouqué, pragnęła własnymi rękami pogrzebać głowę kochanka. Fouqué omal nie oszalał z bólu.

Staraniem Matylldy dziką tę grotę ozdobiono rzeźbami wykutymi wielkim sumptem we Włoszech.

Pani de Rênal dotrzymała obietnicy. Nie próbowała targnąć się na swoje życie, ale w trzy dni po śmierci Juliana umarła uściskawszy dzieci.